



Ksawery Pruszyński
Artykuły i opowieści

3

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

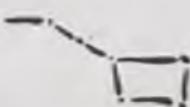
Gdańsk-Wrzeszcz
Al.Gen.J.Hallera 14



164248

Artykuły i opowieści

WIELKI WÓZ.



Ksawery Pruszyński

Artykuły i opowieści

3

Twoi **STYL**

Warszawa 2001

Projekt okładki i karty tytułowej
Piotr Goliszek

Edytor
Katarzyna Merta

Korekta redakcyjna
Barbara Wiśniewska

© Copyright by Mieczysław Pruszyński,
Warszawa 2001

© Copyright by Wydawnictwo Książkowe Twój STYL,
Warszawa 2001



164248

/sygn 161175/3

ISBN 83-7163-328-9

Wydawnictwo Książkowe Twój STYL, Sp. z o.o.
Warszawa 2001

Wydanie pierwsze

Skład i łamanie: Enterek, Warszawa

Druk i oprawa: ZP-W „POZKAL”, Inowrocław

Przedmowa

Początkowo zamierzałem w 50. rocznicę śmierci mego brata, Ksawerego Pruszyńskiego, zmieścić wybór jego utworów w jednym tomie. Okazało się jednak, że tylko najcenniejsze spośród nich złożyły się na objętość aż dwóch woluminów: *Wspomnień, reportaży i artykułów* oraz *Opowieści*. A i tak dla wielu świetnych tekstów zabrakło już miejsca.

Wkrótce po opublikowaniu owego dwutomowego wyboru usłyszałem wywiad znakomitej aktorki, pani Anny Milewskiej, w którym wspomniała ona dziennikarzowi, jak swego czasu zdając do szkoły teatralnej, zdumiała profesorów tym, że do wygłoszenia przed komisją egzaminacyjną wybrała fragment prozy mego brata. Było to w czasach, kiedy większość kandydatów na tę uczelnię upatrywała raczej swojej szansy na pomyślne zdanie egzaminu w recytacjach utworów

z „żelaznego” repertuaru romantycznego – Mickiewicza czy Słowackiego. Jak się okazało, wybór pani Anny Milewskiej obrócił się dla niej na dobre.

Byłem ciekaw, który tekst Ksawerego tak ją wówczas zainteresował i postanowiłem zapytać o to telefonicznie. Pamiętała, iż była to opowieść pt. „Wiatraki z Ranley”, a ja pożałowałem, że utwór ten nie znalazł się w dokonanym przeze mnie wyborze.

Ten i inne braki wpłynęły właśnie na moją decyzję opublikowania niniejszego, trzeciego już tomu „Wyboru pism” mego brata. Stanowi on rodzaj suplementu do dwóch wcześniejszych, wydanych przez Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl” w maju 2000 roku. Czytelnik znajdzie w nim zarówno opowieści (jest ich dziewięć), które nie weszły do drugiego tomu, jak i niektóre artykuły, których z kolei zabrakło w pierwszym.

Uznałem, że wnikliwy i oryginalny tekst Ksawerego o Piłsudskim należy uzupełnić przypomnieniem równie celnych jego artykułów o czterech niezmiernie zasłużonych współtwórcach II Rzeczypospolitej: Romanie Dmowskim, Ignacym Paderewskim, Wincentym Witosie, Wojciechu Korfantym.

To właśnie Roman Dmowski uporczywie i z wielką żarliwością zabiegał, by rządy Francji i Wielkiej Brytanii uznały konieczność odbudowy państwa polskiego i w rezultacie doprowadził do tego, że na kongresie pokojowym w Wersalu przedstawiciele Polski zasiedli po stronie zwycięzców, a nie zwyciężonych (słowa Mołotowa o Polsce jako tworze traktatu wersalskiego były wulgarnie, ale trafne).

Tak jak na gorącą prośbę właśnie Ignacego Paderewskiego Woodrow Wilson do swych propozycji pokojowych dopisał pamiętny warunek: „Polska wolna i niepodległa z dostępem do morza”.

A Witos? Przyczynił się walcnie, aby z chłopów uczynić świadomych swych praw obywateli Polski; zaś w roku 1920 przysłużył się do ocalenia kraju. To on zaapelował wówczas do kobiet wiejskich, aby wyganiały z wiosek dezertersów, których było ponad 100 tysięcy, a żandarmeria i policja nie dawały sobie z nimi rady.

Czy wreszcie Korfanty. Bez niego Polska w 1922 roku nie odzyskałaby Śląska.

Warte przypomnienia, jak się wydaje, są też artykuły zawierające refleksje mego brata

na temat historii Polski, jak choćby ten o zagubionym pokoleniu w Rosji, albo zabawna historia o Polsce, która uszczęśliwiła „Gugenmusa z Gandawy”.

Życzę Państwu miłej lektury,

Mieczysław Pruszyński

Artykuły

Roman Dmowski

Urodził się nie w Warszawie, jak pisały bezmyślne nekrologi, ale na Kamionku. Jest to różnica, i różnica bardzo wielka, wprost olbrzymia, a to, że ktoś nie jest w stanie dostrzec jej znaczenia, nic nas w tej chwili nie obchodzi. W Warszawie, tej prawdziwej Warszawie klasycystycznych pałaców i wielkich wspomnień historii, mógł się jeszcze od biedy narodzić ktoś dla Polski znaczny: Zygmunt Krasiński. Może ktoś powie, że w Zułowie* geniusze także nie rodzili się kopami, ale to też nie będzie bardzo mądre: w takich samych Zułowach, rozsianych od Poługi po limany tego morza, o którego istnieniu zapomnieliśmy dziś doszczętnie, rodziło się właśnie od paru wieków wszystko wspaniałe i butne, co tworzyło i niszczyło Polskę. Nawet rodziło się tyl-

* Miejsce urodzenia marszałka J. Piłsudskiego.

ko tam, i byli tacy, co utrzymywali, że tylko tam powinno i nadal się rodzić. Bywały, rzecz jasna, dwory wielkie, bardzo wielkie, bywały i dworki skromniutkie, bywały i oficyny dworów, bywało tylko owych dworów wspomnienie, w mieście blaknące. Polska, owszem, oczekiwała wiele, a bez pośpiechu po „ludziach nowych”. Ale możemy bez przesady powiedzieć, że nikt w Polsce nie marzył nawet, aby tych nowych ludzi poczęły nam rodzić Kamionki czy ulice Bednarskie. Nikt do nich nawet nie miał tak wielkich pretensji! Marzono, owszem, poetycznie, o „słomianej strzesze”, o Bronowicach, Podhalu. Doczekano się nawet Wierzchosławic. Kamionki były tedy czymś nowym nie tylko w rzeczywistości, ale nawet i w snach polskich. Wielcy ludzie owej doby przełomowej, jaka objęła ostatni okres niewoli i pierwszy niepodległości, wyszli tak czy owak z mniejszego lub większego, zamożniejszego lub zbankrutowanego ziemiaństwa. Nawet Ignacy Daszyński przyszedł na świat w kresowym, sienkiewiczowskim Zbarażu, i nawet jego ojciec był choćby urzędnikiem w starostwie. Tymczasem Walenty Dmowski był majstrem kamieniarskim. Rodzinne wspomnienia z zaścianków szlacheckich na Podla-

siu musiały się dawno rozplynać w szarzyźnie przedmieścia. Dosłownie: wsiąkły w bruk. W pracę bardzo żmudną, bardzo ciężką, bardzo niewdzięczną i bardzo trwałą. Albowiem te właśnie cechy posiada praca kamieniarska, praca kamieniarskiego majstra, zawód ojca Romana Dmowskiego. Owo „miejsce urodzenia”, owo „pochodzenie”, ów „zawód ojca” to w dziejach wielkich ludzi w Polsce coś zupełnie nowego i absolutnie innego. Tego, jako żywo, nie było dotąd, i to się przy obecnych warunkach może nie tak szybko powtórzyć...

Jeżeli zaś zaczynamy od owych personaliów, to ani że tak każe utarty szablon biografii, ani żeby nas tu coś razilo czy, przeciwnie, w szczególny wprawiało zachwyty. Mylą się ludzie, którzy rozróżniają pochodzenie „dobre” od „złego”, obojętnie, czy są to panegryści, dorabiający Bonapartemu uksiążęconych przodków, czy marksieści sowieccy, którzy od kandydatów na oficerów i studentów żądają legitymowania się z analfabetyzmu ojca, matki i dziadków. Niemniej grubo mylą się ludzie płytcy, którzy sądzą, że Zułów czy Kamionek „właściwie” nic nie znaczą, że urodzenie się na szlaku wypraw Batorego i Napoleona czy na rzemieślniczych

peryferiach właśnie w tej dobie nic nie mówi, nie ma znaczenia, nie zaważyło w niczym. Każde pochodzenie wnosi pewne znamiona, pewne strony dodatnie i ujemne czy może raczej pewne cechy, które w jednym wypadku będą szczególnie pomocne, gdy w innych staną się zawadą. Kamionek zaś i kamieniarstwo dały Dmowskiemu bardzo wiele, dały mu najpierw olbrzymi zapas pracowitości, i to pracowitości w Polsce osobliwej: drobnej, ustawicznej, twardej, starannej. Każde zdanie, jakie w życiu napisał, nie jest zrąbane jednym rzutem, jak cięciem szabli, ale odkute równo, wyłupane solidnie, obrobione bez zarzutu. Jest coś z tej sumiennej, kamieniarskiej roboty w jego stylu pisarskim. Dały mu dalej upór, upór Mazurów, ludzi z przedmieść i ludzi, których zawód jest ciężki i uporu wymaga. Wreszcie jest w nim coś z kalkulatora, człowieka, który wylicza, majstra, który odmierza, właściwości wyniesionych z zawodu, gdzie trzeba było wyliczać i wymierzać, a nie wyczuwać intuicją, nie osądzać „na oko”. Działalność, która nie przypomina impetu husarii, świetności poloneza, ale rytm powolny młota kującego granit. System pracy nie znający zrywów, ale nie uznający

i opadnięć. Człowiek z takiej gliny rządzi się mózgiem, nie sercem, intelektem, nie intuicją, hołduje dedukcji, nie indukcji, przesłankom logiki bardziej niż wynikom doświadczenia. Tacy ludzie bywają wcieleniem porządku, antytezą chaotyizmu, tacy bywają pedantami, z takich rekrutują się samoucy. Taki przestrzega pilnie przepisów lekarza i nakazów ustawy, stosuje gimnastykę szwedzką. Pnie się do góry szczebel za szczeblem, powoli, ale nieustannie. Nic nie zmarnuje. Wszystko wyzyska. Jest trzeźwy, nazywają go realnym. Odmawiają mu fantazji, polotu, rozmachu, szerokości; on sam nazywa to fantastycznością, powierzchownością, irrealizmem. Dlatego właśnie nie ma wielkiego sensu rozpatrywanie przyczyn, dlaczego Ten z Zulowa i Ten z Kamionka nie połączyli swych dróg. Abstrahując od wszystkich innych różnic – a jest ich niemało – gliny ludzkie, z jakich tych dwóch ulepiła Opatrzność, były najbardziej różne w swym składzie glebowym ze wszystkich różnych glin, jakie zna ziemia polska.

Nie jest naszym zadaniem pisanie tu nekrologu czy życiorysu ani nawet wymienienie kolejne zasług zgoła niespożytych, przez wszyst-

kich znanych, przed którymi nawet środowiska zwalczane przez Zmarłego aż do końca schyliły w owych dniach czoło. Piękny artykuł poświęcony Dmowskiemu nazajutrz po jego śmierci przez krakowski żydowski „Nowy Dziennik”^{*} jest tu dowodem nie mniej zasługującym na uznanie niż pamiętne wspomnienie Bolesława Koskowskiego w „Kurierze Warszawskim” z dnia 13 maja 1935 roku. Sądzymy natomiast, że wielkiej postaci ostatniego okresu dziejów Polski oddamy właściwy hołd, jeśli podejmiemy próbę wytłumaczenia, jaka była i dlaczego taka się stała. A właśnie w owym Kamionku i w owych tradycjach kamieniarskich mieści się nie tylko charakter człowieka. Mieści się rodowód jego ideologii. Kto wie, czy nie byłby on inny, gdyby ten człowiek urodził się właśnie w jakiejś Mereczowszczyźnie czy Zułowie, pod Hajsynem czy Humaniem albo nawet w Zbarażu? Może Żyd, widziany jako pachciarz usłużnie nawiedzający tylne wejście dworu, wyglądałby inaczej? Może białoruska czy ukraińska mowa nie wydawałaby się tak obca, może w tym amalgamacie narodów, jaki stworzyła na tych ziemiach szerokich hi-

^{*} Żydowski „Nowy Dziennik” wychodził w Krakowie w l. 1918–1939.

historia sama, widziałby przede wszystkim wiekowi twór – Polskę, w jej najświetniejszym okresie, ogniwa różne, których sprzężanie w jedno ku powszechnemu dobru jest, jak wierzył rok sześćdziesiąty trzeci, zadaniem elementu polskiego? Może tam właśnie nacjonalizm nie przybierałby charakteru czegoś, co narodowi polskiemu przypomina czasy Chrobrych i Krzywoustych, a za to chłopu spod Kałużyc czy Strzelczyniec wpaja w zmierzwioną łepetynę, że mowa białoruska była językiem polskich kancelarii królewskich i wielkoksiążęcych, że w wieku XIII księżniczki kijowskie wychodząc za królów Francji zdumiewały Zachód swą sztuką czytania? Może historia, widziana stamtąd, nie wydawałaby się pięćsetleciem błędów, zwichnięciem kierunku rozwojowego, chorobliwym spaczeniem organizmu narodowego wskutek zaniku całych organów, lecz przeciwnie, czymś co narodowi przydało skrzydeł prawdziwie wielkich, zmiatających szron bałtyckich wybrzeży, wypijających ciepło czarnomorskich wiatrów?

Ale w tym właśnie rzecz, że Dmowski – nigdy tego zbyt silnie nie podkreśliliśmy – rodził się w domku kamieniarskiego majstra, a nie pana ze dworu, i nie na żadnym szlaku,



czarnym czy napoleońskim, ale na owym zapomnianym od Boga, historii i magistratu Kamionku, o którym co najwyżej pamiętał *isprawnik** z pobliskiego cyrkułu. I nie na kresach dawnej Rzeczypospolitej, ale na peryferiach poniewolonej, sprowincjonalnionej Warszawy drugiej połowy XIX wieku. Dmowski patrzył i Dmowski rozważał. I właśnie z tego, na co patrzył, i z tego, co rozważać mógł, wyrósł sprzeciw Dmowskiego. Być może, mógł taki panicz, czy i nie panicz, kresowy paktowanie z innymi narodowościami rozumieć, a nawet zalecać. Cokolwiek by się rzekło, to on był niejednokrotnie przybyszem znad dalekiego Gopła, Mazowsza czy Krakowa, indygenowanym, ale nie wrodzonym. Być może, wiejski Żyd, handlujący jajami i okowitą, czy chłop pokłony bijący mogli się takiemu wydawać żywiołem słabszym, którego nie należało lekceważyć, ale którego nie trzeba też było przeceniać: *prestige* kulturalny i gospodarczy dworu i polskości promieniował tam falą jeszcze szerszą niż nimb czynowniczego urzędu. Ale żadnej z tych pięknych racji nie mógł mieć nigdy syn Kamionka, Roman

* *isprawnik* (ros.) – naczelnik komisariatu policji.

Dmowski. Uważał – i uważać musiał – że gdzie jak gdzie, ale tu, w Warszawie, on, Dmowski, jest na swoim miejscu, a wszyscy inni są tu obcy. Gorzej, bo ci obcy ani myśleli mu czapkować, przeciwnie, to oni się rozpiekali. Jeżeli byli Rosjanami, otaczał ich nimb władzy, w Kongresówce i w stolicy generałgubernatorstwa znacznie większy niż na dalekich kresach. Jeżeli byli Żydami, stał za nimi w tej ultrakomercyjnej epoce cały nimb kapitału. To nie syn ziemianina patrzył na pachciarzy, to syn robociarza patrzył na kupców. A wtedy inaczej się patrzy. I wreszcie trzeba sobie odmalować tę ponurą, bogatą Warszawę, nie polską w swej większości, lecz rosyjsko-żydowską. To stwarza uraz. Trzeba pamiętać, że stały banie cerkiewne na pałacu Staszica i na placu Saskim, i że baryszenie, oficery, żołdacy, „Rusek”, wszystko to niewoliło ludność moralnie. I wreszcie trzeba pamiętać, że Żydzi to nie były nawet Nalewki w chałatach, ale litwacy świeżo przybyli z Rosji, trwający w getcie albo ruszczejący. Tradycje polskie Warszawy siłą rzeczy musiały im być bez najmniejszej ich winy tak obce, jak obce są tradycje Azteków dla emigranta, który z Europy przybywa do Ameryki. Ci wszyscy uważali, że

on też, a raczej właśnie oni są tu u siebie. Za Rosjanami stał car, za Żydami pieniądz. Cóż mogło stać za Dmowskim w owej Warszawie sprzed lat zaledwie czterdziestu? A przecież Dmowski musiał myśleć o tym, że miasto, w którym ulice brukują ludzie z Kamionka, rządzą panowie z Petersburga, a posiadaczami są wieczni tułacze, było przez długie wieki stolicą państwa, jakie tu miał jego naród!

Był to sprzeciw nie tylko wobec obcej władzy i obcego żywiołu. Był to sprzeciw wobec własnej historii. Tu na Kamionku i w owej dobie mógł Dmowski widzieć tylko pasywa polskiej historii. Cóż przyszło nam, zapytywał siebie, że sięgnęliśmy po Rewel i Zadnieprze, skoro utraciliśmy ziemię, gdzie lud był polski? Cóż nam dało przodowanie Litwie i Rusi, skoro u siebie daliśmy zapanować innym? Cóż po wspaniałości polskiej szlachty, skoro miejsce polskiego mieszczaństwa zajęli obcy? Cóż nam dał wykwint naszej kultury, jej subtelność i jaśniepaństwo, skoro pod nią pozostał ludowy, nietknięty surowiec? Dmowski jest radykałem daleko istotniejszym niż Stanisław Thugutt*

* Stanisław Thugutt (1873–1941) – działacz ruchu ludowego i spółdzielczego, współorganizator Centrolewu i Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

czy Juliusz Poniatowski*, aczkolwiek jego radykalizm cechuje wielka powściągliwość słowa: tamci to tylko czerwoni synowie szlacheccy, typu tak miłego Tołstojowi, a tak częstego w dawnej Rosji. To radykalizm społeczny, który sięga aż w historię. J. L. Popławski jedynie biadał, że bardziej się w Polsce myśli o Kijowie niż o Poznaniu. Dmowski swą historiozofią zapłodnił samych historyków; uczeni, jak Waław Sobieski**, podmurowali naukowo jego tezy polityczne. Dlatego porównywanie Dmowskiego z wielkim kanclerzem, jak Jan Zamoyski czy Jerzy Ossoliński, to grube nieporozumienie. Cóż łączy Dmowskiego z mężami stanu, którzy potężnymi pchnięciami wiosła skierowywali Rzeczpospolitą właśnie na Wschód, którym marzył się Kijów i Carogród, śniła się w mirażach Moskwa białokamienna? Dmowski,

* Juliusz Poniatowski (1886–1975) – polityk, ekonomista; współzałożyciel PSL „Wyzwolenie”.

** Waław Sobieski (1872–1935) – historyk, profesor UJ, krytykując „państwową” historię stańczyków, za najistotniejszy element obrazu dziejowego uznał historię narodu, stając się piewcą „ludu szlacheckiego” i demokracji szlacheckiej. Do ważniejszych jego prac należą m.in. *Dzieje Polski* (t. 1–3, 1924–1925) i *Trybun ludu szlacheckiego* (1905) – studium historyczne o Janie Zamoyskim.

jeśli antenatów szukać mu chcemy, ma przodków realniejszych: to Dekerty i Staszice, to Piotr Powęski, mieszczanin z Grójca, jako kaznodzieja Skargą zwany, to ci wszyscy, którzy na ściegu stuleci znaczą opór mieszczaństwa polskiego przewadze szlacheckiej w Polsce. Dmowski stał się tylko największym z owego czarnego mieszczańskiego pocztu. Naszym jednak zdaniem należy raczej do tych, co są antenatami potomnych, niż do tych, co sami mają antenatów.

Zapewne, nie było mu dane Polską rządzić. Ale wszystko pozwala sądzić, że nie miał w sobie materiału na polskiego Mussoliniego czy Hitlera: Obóz Wielkiej Polski był tylko przeróbką poprzednich politycznych formacji, przybrał może pewne formy faszyzmu, ale nie jego treść: gdyby było inaczej, wodzowie tego ruchu panowaliby dziś w Polsce lub podzieliliby los młodego Primo de Rivery* czy Codreanu. Można natomiast po-

* José Antonio Primo de Rivera (1903–1936) – syn Miguela, b. dyktatora Hiszpanii z l. 1923–1930. W l. 1933–1935 współzałożyciel i wódz faszystowskiej Falangi. Na krótko przed wybuchem rebelii frankistowskiej uwięziony i stracony przez republikanów.

wiedzieć, że odniósł przez pisma swoje z ostatnich lat życia zwycięstwo większe i szybsze niż ktokolwiek kiedykolwiek odniósł piórem w Polsce: poglądy młodego pokolenia niemal w całości, poglądy inteligencji polskiej chyba w lwiej części, poglądy wszystkich innych warstw polskich w całych dziedzinach są tak czy owak zaczerpnięte z Dmowskiego. Żeby to tylko! Ci, którzy jako żołnierze walczyli przeciw niemu, dziś, komendę objąwszy, jego – nie czyją inną – realizują wolę. Czyż to nie najwspanialsze zwycięstwo? Czyż to nie lepsze niż wstęga Orła Białego, krypta w tumie poznańskim, pogrzeb na koszt państwa? I czy tak nie jest? Poglądy opinii na stosunek do Niemiec czy do Rosji, sprawa ukraińska czy sprawa żydowska, wszędzie, wszędzie, w Polsce współczesnej jak i w Polsce oficjalnej, zwyciężył – Dmowski. A przecież jego ostatnie książki, te, z których wydarto owe poglądy, pełne są jeszcze przepowiedni, które się nie sprawdziły, choć czasem ledwo lat parę upłynęło od ich napisania. Nie dźwignęły się Chiny z upadku i nie zagrażają Rosji, jak prorokował w roku 1931. Francja i Anglia za podniecią „żydowskiego komiwojażera” zgoła się nie

przygotowują do pochodu na Moskwę. „Zmierzch germanizmu”, któremu poświęcał całe rozdziały, ani rusz nie przychodzi, a antysemityzm Hitlera, długo nie brany przez Dmowskiego na serio, długo uważany za „pozorny” i „chwilowy”, chyba złożył już dowody prawdy? Jak się stało, że prorok tak często się mylący zapłodnił ideowo schyłek jednego pokolenia, a poranek drugiego? Czy podziałały tu przymioty stylu, uniwersalizm i prostota koncepcji? Autorytet nazwiska? Płytkość i brak krytycyzmu czytelników? Brak poważnej publicystyki w obozie przeciwników? Zapewne wszystko razem. Dość że święci za grobem zwycięstwo.

Można poczytywać za wielkość Dmowskiemu, że on właśnie najpierw nacjonalizm do Polski przedwojennej wprowadził, a potem, w niepodległej, zdobył dlań całe pokolenia. Może to być uważane za tytuł do nieśmiertelności. Bardzo, bardzo zdradliwy tytuł. Bardzo wielkie, acz niedostrzegane przez epokę pigmejów politycznych, niebezpieczeństwo niosący.

Albowiem nacjonalizm, wielki prąd wieku, niejednako dał wszystkim państwom i wszystkim narodom. Być może, że budził

Ukraińców, Litwinów, Czechów czy Łoty-
szów, i być może, że niejedynemu ludkowi
od wielu wieków zawdzięcza mu wszystko.
Być może, że nacjonalizm scementował
w jedno różne państwa, jak to widzieliśmy
z Rzeszą i Austrią. Ale trzeba pamiętać, że
były jeszcze narody mimo niewoli nie uśpio-
ne narodowo i trzymające się jeszcze i że by-
ły państwa, formacje historyczne, dla
których ten właśnie prąd był niezwykle nie-
bezpieczny, bo je rozkładał, a nie komasował.
To tylko dowód mądrości narodu angielskie-
go, że nie wydał brytyjskiego nacjonalizmu.
Tendencje nacjonalistyczne przedwojennych
Węgier skończyły się tragicznie dla korony
świętego Stefana. Burzenie dzieła historii
przez nowe Czechy doprowadziło do rozpadu
tego państwa. A Rzeczpospolita była przede
wszystkim tworem nie etnografii, ale historii.
Nacjonalizm niszczył najgłębsze podstawy
jej bytu, jeśli chodzi o wschodnie ziemie Pol-
ski. Jeśli zaś o zachodnie chodzi, pamiętajmy,
że zwrócił nam bardzo mało z tego, co nie
było objęte zaborami: Opole i Wrocław, Ma-
zurzy pruscy i Kołobrzeg, wszystko to pozos-
tało niemieckie. Pięciuset lat historii się nie
odrabia, w koryto piastowskie już nie wlewa

się z powrotem. I nie wróciwszy nad Odrę, można utracić Dniepr. Nasz zachodni sąsiad rozszerzył dzięki nacjonalizmowi swe obszary, nasz wschodni nie rozpadł się ku radości (nielogicznego tu zresztą) Dmowskiego. Doprawdy, można się głęboko, bardzo głęboko, zastanowić, czy nacjonalizm (tak dziś wielbiony, że wszyscy ubiegają się o miano nacjonalistów) przysporzył Polsce więcej szkód, czy więcej zysków? Ale bywają epoki i ludzie, którzy czynność myślenia i rozważania uważają za niepotrzebny luksus.

A jednak w niejednej książce Dmowskiego dadzą się wyczytać nacjonalistyczne tęsknoty! Ten wróg Lloyd'a George'a* podziwia Anglików, którzy zdobyli morza, i Rosjan, którzy ujarzmili step, ten człowiek cytuje zdania Arabów sprzed lat tysiąca, że wielkie państwa tworzyli stepowi nomadzi, przyznaje, że morze, Indie, kolonie wychowały zdrową angielską rasę, o ileż lepszy budulec państw niż współcześni drodzy Dmowskiemu Francuzi!

* David Lloyd George (1863–1945) – przywódca Partii Liberalnej, w l. 1916–1922 premier Wielkiej Brytanii. Po zwycięskiej wojnie nie chciał dopuścić do zbytowego wzmocnienia pozycji Francji w Europie. W związku z tym sprzeciwiał się osłabieniu Niemiec i oddaniu Polsce Gdańska i Górnego Śląska.

Tak, tak pisze Dmowski. Prawda, ktoś wykaże, że tuż obok atakuje Anglię, że przestrze- ga Polskę przed wkraczaniem w ten sam step, który z Moskwy uczynił mocarstwo. To wszystko jest prawda. Ale w takich chwilach trzeba pamiętać, że ciężar, jaki odwałało ze swych barków życie tego człowieka był katrorżniczym ciężarem, że droga z kamie- niarskiego warsztatu na Kamionku, w Warsza- wie ery Berga i Skałona, litwaków tulskich i żołdatów permskich, była straszliwie trudna. Trzeba podziwiać, że ten człowiek mógł się zdobyć na takie nienacjonalistyczne, mocar- stwowe, imperialne przebłyski, w potwornych kazamatach owego czasu. Jego nacjonalizm zrozumie historia. Historia nie zrozumie nacjonalizmu trzeciego po nim pokolenia, pokolenia, które nie znało już niewoli, które miało wodza nie na darmo chyba pojącego ko- nie swej armii w siwym Dnieprze i które na szlak mocarstwowej Rzeczypospolitej wejść z powrotem nie miało odwagi, przeciwnie, święciło beztrosko zupełny z nimi rozbrat.

„Wiadomości Literackie” 1939, nr 4

Paderewski

Przszedł przez świat jak dziwne, niesamowite widmo, jak wydarzenie i zjawą, jak postać zawleczona w prawdziwe dzieje i do rzeczywiście dziejącej się historii z jakiegoś fantastycznego filmu, z jakiejś nierzeczywistej powieści. Nie był nigdy ani politykiem, ani mężem stanu, a w chwili przełomowej historii działał więcej, niż działali politycy, mężowie stanu, całe narody i armie. Inni mieli za sobą potęgi materii czy potęgi ducha, mieli armie lub mieli banki, stał za nimi Kościół lub popierała ich masoneria, reprezentowali instynkt zachowawczy społeczeństw lub ich dążenie do postępu. Lud czy Kapitał, Rewolucję czy Ład, Wolność czy Władzę. Mieli za sobą choćby potęgę słowa, która nigdy nie jest w pełni samą sztuką i zawsze w stopniu większym czy mniejszym wyraża pewne obce sztuce tendencje, zabarwia ją w ten lub inny, zawsze nieartystyczny sposób.

Paderewski był sam. Nie popierała go nigdy w pełni żadna wielka partia, żaden wielki ruch polityczny, a ośrodki, jakie się wokoło niego w rozmaitych czasach tworzyły, ludzie, jacy wkoło niego tak czy owak się kręcili, nigdy nie podtrzymywali jego wielkości, najczęściej sami się wkoło niej wieszali. Paderewski był wielki sam przez się. Był wielki siłą, która emanowała z niego, działała na wyobraźnię ludzi przez jego sztukę, jego słowo, jego spojrzenie, jego postać. Nie są to wcale rzeczy zwykłe, by wielki artysta nie przestawał być wielki wtedy, kiedy schodzi z estrady, kiedy otwiera usta, by mówić, kiedy od sztuki przechodzi do polityki.

Otóż Paderewski posiadał ten dar w stopniu niezwykłym, niesamowitym. Na Zachodzie nikomu nie wydawało się dziwne, że z jego słowem i zdaniem mógł liczyć się Woodrow Wilson, kiedy do swych propozycji pokoju dopisał ów wielki warunek: „Polska wolna i niepodległa z dostępem do morza”. W pamiętnikach Clemenceau Paderewski jest wspomniany z szacunkiem, w którym drga wzruszenie naprawdę szczere, a „stary tygrys” ani nie wzruszał się łatwo, ani nie schlebiał nikomu. Lloyd George oddaje hołd

Paderewskiemu, aczkolwiek sprawy polskie nie natrafiły u brytyjskiego premiera na zbyt wiele życzliwości czy zrozumienia. Europejscy mężowie stanu rozmawiali z nim jak z mężem stanu, choć ledwo zszedł z estrady koncertowej i miał jeszcze na nią powrócić. Europa obrad wersalskich widziała nawet z pewnym zadowoleniem, że przedstawicielem owej Polski, która przez tyle lat była legendą historii i swoje istnienie zawarła w wielkiej sztuce Chopina, ma oto za przedstawiciela człowieka o głowie marzyciela, poety, wieszczka i muzyka, zamiast twardej głowy żołnierza czy lisiej – dyplomaty. Tylko w Polsce padł mu pod nogi ów fortepian, jak pada pod nogi ciężka kłoda drzewa...

Albowiem drogi Polski i drogi Paderewskiego rozeszły się były dawno, dawno temu, i po prawdzie rozchodzić się miały z biegiem czasu coraz, coraz więcej. Wystarczy się wyczytać w dziecinne wspomnienia Paderewskiego, żeby zrozumieć wszystko. Paderewski był synem wielkiej kultury polskiej w jej przedzmierzchowym okresie; urodził się lat temu osiemdziesiąt, na trzy lata przed powstaniem styczniowym, którego skutki miały

tak bardzo przeobrazić i Polskę, i jej klasę inteligentką. Ten jeden jeszcze kresowiec – urodzony na Podolu rosyjskim – jest synem nie ziemiańskim, ale synem administratora czy „oficjalisty” ziemiańskiego, z niejakiej Kuryłówki. W tym domu, gdzie oszczędza się na ubraniach dla dzieci, nie oszczędza się na wykształceniu dla nich, na nauczycielach języków, nauczycielach muzyki, a przecież jest to daleka od kolei Ukraina i skromny dom inteligencki! Oto jak głęboka była ówczesna kultura inteligencka, jeszcze przed swym wzbogaceniem licznymi dopływami innymi, które miały przynieść lata najbliższe. Paderewski wyrasta w takiej właśnie atmosferze, w klimacie nasyconym kulturą naprawdę europejską, zachodnią, uniwersalną. Zdumieje ona w niejednym jego mistrzów w Berlinie i w Wiedniu; stworzy w każdym razie doskonały podkład, najlepsze warunki do tego, by mógł się rozwinąć we wszystkich swych właściwościach ten wielki, jedyny w swoim rodzaju talent.

W Polsce jest mu – to jasne przecież – za ciasno, tak samo jak za ciasno było Chopinowi na pół wieku przed nim. Wielkie konserwatoria i wielkie – coraz większe – sale koncerto-

we, coraz większe i coraz pełniejsze ludzi, otwarte są gdzie indziej. W r. 1889 w Wiedniu zdobywa sławę. Ma lat 29 i lata wielkiej pracy za sobą. Potem przychodzi po kolei Paryż i Londyn, Nowy Jork i Chicago, i znowu, w kolejności zwycięskiej, stolice wielkie Nowego i Starego Świata. Drogi jego zawadzają nieraz o Polskę. Rozchodzą się jednak zawsze, mimo fundacji pomnika grunwaldzkiego na pięćsetlecie Grunwaldu, mimo wielu ofiar, darów, występów, inicjatyw. Wszystko to bowiem zdumiewa i zadziwia, ale budzi zazdrość i niepokoi. Polska tych czasów jest już bardzo biedna i poczytuje posiadanie za formę przestępstwa nieomal, robienie pieniędzy na wielkie cele, tak niespodziane, jak pomniki, tak dręczące sumienia, jak fundacje, nieomal za objaw pychy. W dodatku, zarobienie tyłu pieniędzy *via* fortepian wydaje się jej niesprawiedliwie przesadne, a *via* koncert za *shocking*. Zarabiać może rzeźnik, nie może artysta. A tu jak na złość artysta zarabia, zarabia, zarabia! Przez te palce artysty, którymi tak mistrzowsko prowadzi po czarnych i białych klawiszach, przecieka rokrocznie i rozplywa się, jak przyplynęła, niepokojąco olbrzymia struga złota... A wreszcie, Paderewski idzie swoimi

drogami. Nie wiedzieć nigdy, na czyje cele da swoje złoto, nie wiedzieć, jaką akcję wesprze i kiedy od niej odstąpi. Polska jest już wtedy krajem obliczonych, odmierzających się ludzi. Jest już podzielona na barierki i przegródki, wedle których ten, co uznaje talent Wyspiańskiego, nie może uznawać Rydla, ten, który ceni Sienkiewicza, nie może cenić Żeromskiego, kto jest socjałem, nie może czytać *Ogniem i mieczem*, a kto jest endekiem, nie powinien wychodzić poza ramy *Rerum novarum*. Polska jest już w tych czasach jedną wielką polityczną parafią. Co się na to złożyło? Anormalne warunki, w których żyje naród polski w XIX w. i które sprawiają, że każda myśl do tych spraw własnych, polskich tylko wraca; zubożenie społeczeństwa polskiego w większości ziem polskich; wreszcie niedostatek szkół, kultury, oświaty i wychowania dla tych warstw kulturalnie młodych, które proces społeczny wysuwa coraz to silniej w sam nurt życia narodowego. Zjawisko to można zrozumieć, ale to zrozumienie nie zmienia w niczym faktu, że pomiędzy Paderewskim-Europejczykiem a Polską sparafialniałą musi trwać i rosnąć niezrozumienie i obcość.

O władzę, o rząd dusz, o zasługi w odbudowaniu ojczyzny zabiegali zawczasu ludzie bardzo różni. Ale start każdego z nich i bieg dokonywał się w samej Polsce, w jej czterech ścianach, na bieżniach, na których od lat wielu torem „pracy pozytywnej” i torem walki „podziemnej” toczyły się dzieje działaczy polskich. Paderewski znowu przyszedł późno i przyszedł z zewnątrz. A doszedł jeden z najpierwszych. Przyniósł w posagu przyjaźń Wilsona, szacunek Clemenceau, znajomość, uznanie, serdeczność wielu najwybitniejszych ludzi na świecie. „Kolosalne kontakty!”, jak by powiedział w piętnaście lat potem jakiś mandaryn emeszecki. „Wielkie nazwisko”, jak by orzekł *manager* koncertowy. I właśnie z owego wielkiego świata, w którym indywidualizm nie był brakiem, w którym posiadanie osobowości własnej nie było wadą, talent artystyczny przywarą, a koncertowanie śmiesznością, wszedł na nasze polskie podwórko rozdygotane kokoszymi wojnami. Na pewno nie był głupszy od niejednego z ówczesnych „wielkich” ludzi, od premierów, takich jak Moraczewski, jak Ponikowski, jak Nowak czy kto inny. Ale myśl, że premierem w Polsce może być arty-

sta, intelektualista, „taki pan, co koncertuje”, wydała się Polakom w sposób ogromnie zgodny niewłaściwą i niepoważną. Gdyby ten sam Paderewski zamiast znać osobiście i dobrze tuzin najwybitniejszych rządców Anglii, Ameryki i Francji, i być przez nich cenionym i szanowanym, zamiast od trzydziestu lat koncertować na całym świecie, w wiecznie przetłoczonych elitą salach, zasiadał sobie od sześciu lat u Michalika czy Lourse'a, i tam, w gronie „sztamgastów” wypowiadał w sposób namaszczone uroczyste brechty, miałyby dziesiątek wybiegiwaczy, co by krzatali się i mówili: „o, o, to poważny człowiek, o, to głowa, czemu z niego nie zrobią ministra”. I dopięliby swego. Gdyby Paderewski się „zrównoważył”, gdyby poszedł wyraźnie pod batutę pana Romana albo pana z Belwederu, miałyby wreszcie kogoś za sobą. Ale nie poszedł. A zatem i nie miał.

Poważniony z krajem, a nie z tymi czy innymi ludźmi, nie zrozumiany i nie rozumiejący, poszedł Paderewski do Szwajcarii, skąd od czasu do czasu rzucał jeszcze do Polski wielkie sumy na politykę, na prasę itd. Po kilku latach zaczął znowu grać. Grał jak zawsze na wielkie dobroczynne cele, na inwalidów

wojennych polskich, brytyjskich, francuskich. Znowu setki tysięcy przepłynęły przez jego ręce artysty o szczodrości gestów magnata. Powoli, powoli, stawał się zjawiskiem coraz bardziej niematerialnym, coraz mniej z tego świata. Anglicy wiedzieli, że grał jeszcze na dworze starej królowej Wiktorii. Amerykanie pamiętali, że był w zażyłej przyjaźni z prezydentem Rooseveltem starszym (stryjem obecnego). Dla Francuzów był on postacią współczesną najlepszym latom przedwojennym Trzeciej Republiki. Gdy koncertował w Paryżu, król Albert i królowa Elżbieta belgijscy przybyli z Brukseli, a gdy artysta pojawił się na estradzie, oboje, a za nimi cała sala, powstali ze swych miejsc. Tu, nad Sekwaną, nad Tamizą, za Oceanem, Paderewski był w wielkim, uniwersalnym świecie, w którym talent ma miejsce przed mieczem, a myśl czyn wyprzedza. Przez jego sztukę, tak wyjątkową, o tak indywidualnym zabarwieniu i charakterze, ten świat daleki i zachodni wyczuwał złote blaski wielkiego ludzkiego geniuszu. I kiedy utożsamiano go z Polską, to poprzez tego starego człowieka, którego palce umiały tyle wyczarować i wygrać z klawiszy, szła na świat daleki aureo-

la, legenda ostatnia jakiejś Polski nie tylko zgrzebnej, zabiedzonej, na przedszkolu cywilizacji i na przedprożu kultury. Wszystko wielkie, stare i piękne w kulturze polskiej, krewne arkadom wawelskim i pseudoklasyycznym kolumnom, Łazienkom i pałacom, Chopinowi i Rogalinowi, szło wtedy na świat daleki.

Polska sama szła zaś drogą wiele, wiele zgrzebniejszą. Odmówiła rządów państwem muzykowi, tak samo jak panna „z dobrego domu” odmawia ręki i wdzięków skrzypkowi. Woląła je zachować – wdzięki i rządy – dla dziarskich szwoleżerów, dla zabijackich rotmistrzów, dla pełnych tupetu pułkowników, no, a wreszcie dla podstarzałych już generałów. Ludzie, którzy krzywili się na to, że premierem w Warszawie był Paderewski, uważali za całkiem naturalne, żeby premierem był Sławoj-Składkowski. Stuletni prymat, jaki w myślach Polaka miała szabla nad intelektem, ponowił się raz jeszcze i raz jeszcze czarował. A raczej może czadził.

Paderewski pojawił się także raz jeszcze w dziejach Polski. Jak cień, jaka mara, jak widziadło, gdy tamto wszystko przepadło. Na sali w Angers głosem drżącym inauguro-

wał zebranie Rady Narodowej. Był już stary, głos mu się trząsł, ale w chwili kiedy kończył słowami: „Nie zginie Polska, i żyć będzie, dla nas, dla was, dla całego świata”, to już nie starość, ale wzruszenie drgało muzyką tych słów. Po raz wtóry i ostatni miał jeszcze przemówić do świata wtedy, gdy wylądowawszy w Ameryce, wzywał ją do udziału w wojnie. W Ameryce ten człowiek miał autorytet inny niż w Polsce, a głos jego wydźwięk jakże szerszy! Ten głos starczy artysty, rzucony na szalę wahań, był silniejszy od głosu młodego pułkownika Lindbergha. Dziś, kiedy ruszają coraz silniej olbrzymie fabryki amerykańskie, kiedy dostawa motorów, samolotów, broni, okrętów, popędza coraz silniej machinę wojny, jest w tym i siła fatalna, niewytłumaczalna materialnie, nieodgadła dla ludzi ciasnych, niedostępna dla rozumów maluczkich, siła fatalna Ignacego Paderewskiego, syna starej, wielkiej, dziś przekreślonej przez historię, dawnej kultury polskiej.

„Wiadomości Polskie” 1941, nr 28

Wincenty Witos

Dwa nazwiska: upadek i odrodzenie

Urodził się w przeludnionej wsi galicyjskiej ósmego dziesięciolecia zeszłego wieku – i po to by ocenić wielkość i znaczenie życia Wincentego Witosa, należy się właśnie do tego okresu i do tego kraju, poprzez całe dziesięciolecie i poprzez dwie olbrzymie dziejowe burze, myślami naszymi cofnąć. Była to wieś o bardzo świeżych tradycjach pańszczyźnianych, o niedawnych wspomnieniach chłopskiej „rabacji”, o żywej legendzie Jakuba Szeli, wieś przeludniona, nędzna, biedna, jak mało która wieś w Europie, wieś pełna kurnych chat, analfabetów, znachorów, przesądów, wieś bez szkół, bez inteligentów, bez innych dachów jak strzechy, a innego patriotyzmu jak „cesarski”. W późno napisanych wspomnieniach zapisał to jeszcze Witos, że

w jego dzieciństwie słowa „Polska” i „polskość” pokrywały się w pełni z obcym, ba, wrogim, pojęciem socjalnym, pokrywały się z „panami” i „pańskością”, z tym wszystkim, z czym owa wieś, logiczną koleją rzeczy, musiała toczyć zaciekły, klasowy bój. Wspomnieliśmy Jakuba Szelę nie bez racji. Jakub Szela był tylko o jedno pokolenie wcześniej wodzem mas ludowych z tej samej części Polski, gdzie chłop po wsze czasy był najbardziej rozbudzony, najbardziej dynamiczny i aktywny. Nie jesteśmy skłonni przeceniać, śladami pewnych literatów, historyczną wartość wodza rabacji. Zdaniem naszym, był on tylko i wyłącznie produktem warunków, w jakich żyła ówczesna masa ludowa w kraju, zwanym wówczas oficjalnie i szumnie „królestwem Galicji i Lodomerii”, był – od początku i aż do końca – narzędziem, nader wiernym, a jeszcze bardziej ślepym, habsburskiej despotycznej polityki, starościńskiej policji, która wyszukała go, wyhodowała, natchnęła, pozwoliła mu „pohulać”, by wreszcie, gdy rolę odegra, usunąć go, no i opłacić. Wyolbrzymiany fantazją paru pisarzy, Jakub Szela jest bardzo mizernym typem w porównaniu z takimi wodzami ludo-

wej zemsty, jakimi byli Kostka Napierski, Chmielnicki czy Pugaczew. To co nim można mierzyć, to przede wszystkim ogrom ciemnoty i niedoli, w jakiej tkwiły od szeregu pokoleń masy polskiego ludu, ciemnoty, niedoli i nędzy, której on, Jakub Szela, był tylko straszliwym produktem. To czym będziemy kiedyś w przyszłości mierzyć ogrom postępu, dokonanego w jednym tylko półwieczu przez polskie masy włościańskie, będzie kiedyś stwierdzenie: w 1846 roku chłop polskiego stać było jedynie na Szelę, w dziesięcioleciach poprzedzających setną rocznicę rzezi galicyjskiej stać go było na męża stanu tej miary, co Wincenty Witos. – Te dwa nazwiska, i to co z nimi związane jest w historii, będą obrazowały upadek i odrodzenie.

Za dni młodości

A jednak, jeśli Jakub Szela był tylko produktem swego czasu, warunków i warstwy, to Wincenty Witos był czymś bez porównania większym. Dzieciństwo i młodość Wincentego Witosa były, rzecz prosta, odmienne od –

nieznanego bliżej, ale łatwego do zrekonstruowania – dzieciństwa i młodości Jakuba Szeli, ale nie tak znowuż bardzo odmienne i nie o tak wiele lepsze! Prawda, odpadła już prawna forma zależności ludu od szlachty, to jest pańszczyzna, ale jej wspomnienia były jeszcze świeże, a zależność gospodarcza od dworu miała trwać jeszcze przez dalsze dziesięciolecia. Prawda, szkoła powszechna zaczęła na wieś docierać, ale w jakże ograniczonej mierze, i jak wielkie wzbudzając protesty! Prawda, od rzezi galicyjskiej poczucie konieczności oświecenia ludu wzrosło, ale znowuż – wzrastało bardzo słabo, szerzyło się bardzo powoli, a pomiędzy chłopem z jednej, a wszystkimi innymi warstwami narodu z drugiej strony, istniała dalej ogromna, zdawało się niepokonalna, nieufność wsi, nieufność, jaką jeszcze dzisiaj żywią przecież niejedni działacze chłopscy. Wreszcie, w okresie młodości Witosa narodziły się, lub urosły, pierwsze większe ruchy ludowe, w tej ojczyźnie polskich ruchów ludowych, jaką była Galicja. Stapiński, ksiądz Stojałowski, Wysłouch. Ale były to znowuż ruchy, których własni przywódcy załamywali się, zawodzili, schodzili na manowce ileż ra-

zy, brodzili w ciemnocie ogólnej, a wreszcie przebijali się przez mur niechęci nie tylko dworu, ale i plebanii czy kurii. Ruch ludowy tych przedpotopowych czasów miał nie tylko swój program antyziemiański, ale jeszcze i antyklerykalny, dążył do emancypacji wsi nie tylko spod kurateli dziedzica, ale i opieki proboszcza, likwidował – na rzecz obranych przez masy przywódców – i ten i tamten „rząd dusz”. Przez bardzo długi czas – niestety! – ani dwór, ani plebania nie chciały się zrzec owego „rządu”, i niepotrzebne zatargi, jakie jeszcze za naszej pamięci zachodziły pomiędzy biskupem tarnowskim a miejscowym stronnictwem ludowym, stanowiły tego spóźnione przebłyski. Nie był to jedyny konflikt. Należy pamiętać, że przez długie lata przywódcy ludowców w parlamencie wiedeńskim nie wstępowali do „Koła Polskiego” w parlamencie, do instytucji zatem, która obejmowała wszystkich polskich posłów z jednym, chyba rażącym, wyjątkiem, posłów chłopskich. Dziś, kiedy za trumną Wincentego Witosza szedł cały naród, kiedy dzwoniły dzwony Wawelu, chyliły się sztandary armii i rozlegały się śpiewy kościelne, jakże trudno przypomnieć tamte, inne, czasy!

Mąż polityczny

Otóż tak samo jak Wincenty Witos stanowił już dalszy, o ileż bardziej posunięty, niewypaczony w rozwoju typ przywódcy ludowego, o tyleż bardziej stanowił wytrawniejszy, większego formatu i miary typ męża politycznego, co wszyscy Stojałowscy i Stapińscy – za najlepszych, nie za gorszych ich dni. O dzieciństwo zahaczały dalekie echa pańszczyzny i rabacji, o młodość – już ludowych walk chłopskich z wyborów, z parlamentu, z Wiednia. Jego austriacka działalność parlamentarna – jako bardzo młodego posła – w okresie wielkiej wojny, była dopiero szkołą, przysposobieniem – i kiedy w lutym 1919 roku zebrał się w Warszawie pierwszy sejm polski, to niezawodnie wielka kariera parlamentarna Witosza miała się dopiero rozpocząć. Sejm ówczesny nie mógł się skarżyć na brak posłów – było ich paruset, nie mógł się skarżyć na brak wybitnych parlamentarzystów – Trąpczyński, Daszyński, ks. Ferdynand Radziwiłł, Korfanty, ks. Lutosławski, sławnych nieraz z Reichstagu, z parlamentu wiedeńskiego, z petersburskiej Dumy. Ale wojna 1914–1918 roku przyniosła, podobnie jak i obecna wojna, bar-

dzo silny przeskok na lewo, i pod niejednym z wytrawnych parlamentarzystów sprzed 1914 roku grunt usunął się tak samo jak się obsunął obecnie. Jednocześnie fala radykalizmu wyniosła ku górze, jak to nieraz bywa, miernoty, tuzinkowców, przypadkiewiczów, ludzi, z których miały powstawać parotygodniowe gabinety i o których nikt niebawem nie miał pamiętać, że w ogóle kiedykolwiek istnieli. W tej masie ludzkiej wyniesionej biegiem wypadków ku górze ostało się niewiele pierwszorzędnych talentów. Największym z nich był niezawodnie Wincenty Witos.

Moc, prawa i obowiązki ludu

Trybunem ludowym nie jest jeszcze ten, który potrafi tłum rozhuścić, rozgrzać, który prawi tłumowi komplementy, a potem, w stanowczej chwili, nie potrafi go poprowadzić. Wielkością przywódcy ludowego jest m ó c i umieć nie tylko mówić tłumowi „tak”, ale czasem powiedzieć mu „nie”, nie tylko mówić mu o jego p r a w a c h, ale jeszcze i o jego o b o w i ą z k a c h. W ciągu całej swej parlamentarnej kariery Witos był właśnie ta-

kim. W ciężkich dla państwa chwilach – jak lato 1920 – umiał mówić i mówił tylko o obowiązkach mas, obowiązkach, które posiadają nawet pokrzywdzeni i wydziedziczeni, nawet „wyrobnik, dziewczka bosa”. Wielkością przywódcy ludowego jest nie tylko umieć wyliczać krzywdy ludu, jest jeszcze przede wszystkim mówienie o prawach ludu, mówienie o jego m o c y. Tej mocy Witos był spokojnie świadom. Spokój jest to wielka rzecz. Wielowiekowa dola chłopska zaciążyła nad potomkami ludu ogromem różnorodnych kompleksów czy urazów, czasem, jak u Juliusza Poniatowskiego i różnych „paniczów” z „Wyzwolenia”, nawet urojonych urazów. U Witosa nie było tego ani śladu. Każde jego posunięcie, odezwanie się, czy powiedzenie, cechowała spokojna, pewna siebie godność, jakiś umiar, jakaś powaga. W kularach sejmu na Wiejskiej, czy jadąc okrytym kilimem wasążkiem do Wierzchosławic, objeżdżając Polesie jako premier, odwiedzając front pod Radzyminem, przyjmując obcych posłów, Witos był zawsze ten sam. Zachował obojętność gospodarzy z Wierzchosławic, Rejtarowic, Mogilan, równie dalekie od okliwointeligenckiej bronowiczczyzny à la

Lucjan Rydel, co od obmieszczających się na gwałt wiejskich groszorbów. W owych latach 1920–1926 wprowadzał za sobą do dalekiej Warszawy coś z tych ludowych wiejskich mas, które naprawdę stanowią Polskę.

Przeciw chłopskiemu premierowi

I znowu należy to także przypomnieć, że w owych latach właśnie – 1922–26 – chłopski premier z sierpnia 1920 roku stanął pod ostrzałem gromów, przekpiwań, ośmieszeń. Kiedy minęła trwoga wojny, zauważono, że jest to premier w wysokich butach i bez krawatki, że mówi po ludowemu, że zachowuje się po gospodarsku. W instynktach miejskich drzemią zawsze antychłopskie antagonizmy, być może kojarzyły się one jeszcze z jakimiś poziemiańskimi urazami u części inteligencji, być może wzmacniało je urzędnicze, biurokratyczne poczucie wyższości. Karykatura i satyra polska owego czasu była równie kurtuazyjna, gdy chodziło o Marszałka Piłsudskiego, co złośliwa, zaciekle, małostkowa, gdy chodziło o Witosa. Podnosząca się z wolna w Polsce fala odwrotu od 1918, od demo-

kracji, od rządów ludowych (nim doszła konsekwentnie do odwrotu od parlamentaryzmu), wzięła sobie Witosą za szczególny cel. Przewrót majowy, idący przeciw chłopskiemu premierowi, miał dopełnić reszty. Ale przewrót majowy był niedostateczny. Musiał jeszcze nastąpić Brześć, wyrok brzeski, a po Brześciu – lata czechosłowackiego wygnania.

Lata wygnania

Lata wygnania, lata emigracji, to doskonały okres rekolekcyjny dla polityka, to znakomita próba potrzeby lub niepotrzebności jakiegoś człowieka. Emigrując do Czechosłowacji, Witos miał możliwość spokojnego, dokładnego zapoznania się z na wskroś europejską i na wskroś demokratyczną strukturą państwa, do którego w Polsce panowało tyle mylnych uprzedzeń, zapoznać się nareszcie ze zdrową strukturą rolną, nie zachłystującą się ideałem bezrolności i karłowacizny. Kiedy w tym mniej więcej czasie – 1937 – przypątnikowałem do jego pustelni w pięknym Rożnowie pod Radhostem, nie mogłem się oprzeć przekonaniu, że wielki

przywódca chłopski jeszcze dojrzał, jeszcze urósł, jeszcze zmądrzał – że na wygnaniu z Polski marnuje się mąż stanu o naprawdę europejskim, rodzimym formacie, podczas gdy wóz polityki polskiej prowadzą szabliste miernoty, typu Sławoja czy Rydza. Tak, w owych latach 1935–39, Wincenty Witos stał u szczytu swych możliwości jako człowiek, tak samo jak w tym także okresie, podobnie jak on na bezczynność skazany, Sikorski przeżywał największe natężenie swych zdolności twórczych. Co za szkoda, że obaj nie zostali wtedy użyci! Ale było jeszcze coś innego. W tym właśnie okresie ruch ludowy przybrał w Polsce na sile, jak nigdy jeszcze. Oczyszczył się z elementów, jakie starano się wprowadzać chyłkiem w jego szeregi, skryształizował wokoło swoich autentycznych przywódców – Witosa, Rataja, Kota – ogarniał nowe połacie Polski, wyrugował ze swego łona owych ultraradykałów, typu Juliusza Poniatowskiego i jego „sztabu”, którzy mieli czarującą zdolność godzenia swych wiecowo-kolektywistycznych frazesów z pełną współpracą z reżimem, który przeciwko strajkom rolnym wysyłał kolumny karne. Był to naprawdę wielki ruch społeczny, po-

tężny, z roku na rok silniejszy, a silniejszy tym przede wszystkim, że na czoło swych transparentów postawił nie takie czy inne żądanie materialne, nie taki czy inny postulat gospodarczy, ale jeden tylko naczelny: demokracji, to znaczy wolnych wyborów. Było rzeczą jasną, że sanacja zgodzi się na dziesięć „reform” rolnych, tysiąc posiad w ministerstwie rolnictwa i dwieście nowych „biur planowania”, niż na ten jeden, najgroźniejszy dla niej, postulat.

Kim byłby na emigracji

Wygnanie swe przeżył Witos ciężko, niezwykle ciężko, i zawsze mi się zdawało, że chłop wygnanie odczuwa silniej niż np. inteligent, że jest z ziemią związany bardziej biologicznie. Być może, że wygnanie to zaciążyło fatalnie i na losach samego Witosa i – co gorsza! – na losach całej Polski. Wróciwszy do kraju po rozbiórze Czechosłowacji – nawet i wtedy nie oszczędzono mu w Polsce więzienia – powiedział sobie (słyszałem to jeszcze w lipcu 1939 roku z jego ust w Krakowie), że więcej się z kraju nie ruszy. Pozostał w kraju po klęsce, tak jak to uczynili wszyscy przy-

wódcy stronnictw polskich, z jednym wyjątkiem – sanacji. Był to krok niezwykle szlachetny i większość tych ludzi zapłaciła zań swym życiem, jak Niedziałkowski, jak Rataj, jak Rybarski. Krok ten zyskał, oczywiście, olbrzymi aplauz w kraju – „zostają z nami, nie wyjeżdżają, nie opuszczają nas...”. Politycznie był to krok niesłychanie, niestety, szkodliwy i niewątpliwie sanatorzy, którzy podobnych skrupułów nie mieli, zacierali sobie ręce w hotelach paryskich. Rezultatem tego było, że na emigracji zabrakło prawdziwych demokratycznych przywódców narodu, takich co by znaleźli wspólny język i z Labour Party, i z *radicaux socialistes*, i ze wszystkimi innymi dalej na lewo – a Niemcy mieli tylko ułatwione zadanie w swym dziele niszczenia Polaków. Cała ta polityczna elita Polski poszła, kolejno, przed plutony egzekucyjne. Jakim cudem ocalał Witos? Zapewne dlatego, że znaczenie jego nazwiska było nawet dla Niemców za wielkie, że orientowali się oni doskonale, czym będzie dla chłopstwa polskiego wiadomość o śmierci czy zastrzeleniu Witosy. Skończyło się więc na więzieniu i na inwigilacji. Niestety, oznaczało to jeszcze i to, że w życiu politycznym Polski, tym co toczyło się na emigracji, Witos udziału już nie wziął.

Nie chcieli go zabrać

Nie wiem, czy kraj tak wiele zyskał na tym, że przez pewien – krótki zresztą – okres Niedziałkowski czy Czapiński chodzili wolno po Warszawie 1939, a Witos przebywał na Podkarpaciu. To pewne za to, że emigracyjne nasze życie straciło na tym ogromnie wiele. Gdyby na emigracji, w Paryżu, w Londynie, pojawiła się skupiona, barczysta, spokojna i godna postać Wincentego Witososa! Gdybyż się pojawiła! Czymże by wobec niej był Władysław Raczkiewicz, czym jakiś August Zaleski, czym jacyś Łukasiewicz, Doboszyńscy, Bieleccy! On byłby wszystkim. Podobno latem 1944 r., na krótko przed powstaniem warszawskim, Mikołajczyk liczył się z tym i chciał Witososa sprowadzić do Londynu, ale wtedy już aparat krajowy był na tyle usamodzielniony, że mógł dowolnie wykonywać lub odraczać decyzje polskiego premiera i okazało się niebawem, że wprawdzie samolot może lądować w Polsce, może zabierać stąd ludzi, może na przykład zabrać pana Arciszewskiego, Berezowskiego czy innego, ale jakoś nie może zabrać Wincentego Witososa. Nie dziw zresztą, że nie mógł go za-

brać. Gdyby w 1944 roku na lotnisku londyńskim wylądował samolot wiozący Witosą, można by było mówić i pisać, co się chce, o takiej lub innej konstytucji polskiej, ale jedno byłoby pewne. Z chwilą wylądowania Witosy w Anglii, nie istniałby więcej Raczkiewicz, Sosnkowski, rząd, rada narodowa, nikt. Istniałby tylko Wincenty Witos – i decyzje, które on by wtedy powziął, byłyby przyjęte przez emigrację, tak jak byłyby przyjęte przez naród: – bez szemrania. Bo naród wiedziałby, że jeśli postanowi coś ten człowiek, to widocznie że nie mogło być inaczej, to widocznie tak trzeba. Przyjazd Witosy do Londynu okazał się „niemożliwym technicznie”.

W kraju

Niemniej pozostała Witosowi jeszcze jedna wielka rola do odegrania, i o roli tej historia jeszcze napisze. Przyjął godność wiceprezydenta Krajowej Rady Narodowej. Nie był to czczy gest. Witos mógł nie przyjmować żadnej godności – wiek i stan zdrowia były aż nadto dostateczną wymówką. Witos przyjął tę godność w bardzo ciężkiej dla

narodu chwili, w okresie zdezorientowania i wahań, niepewności i zastrzeżeń. Co oznaczała decyzja Witos? Chyba nie była objawem żądz władzy czy zaszczytów. Nie. Witos chciał powiedzieć narodowi: „Współpracujcie, jak ja współpracuję, szukajcie porozumienia z ZSRR, stańcie na gruncie tej rzeczywistości, jaka jest rezultatem zmagają wojennych, budujcie, jak możecie, ową nową Polskę”. Najniewątpliwiej tak wybitny człowiek mógł posiadać wiele zastrzeżeń, wiele odrębnych zdań, wiele wątpliwości, ale wydawało mu się niewątpliwym to jedno, że zbawienie Polski nie wyjdzie z daleka, nie przyplynie zza morza, że trzeba je wypracować i wywalczyć tu, w tych warunkach, jakie są, jakie powstały i powstają każdego dnia. Witos wiedział, że gdyby się uchylił od współpracy, nie przyjął tego stanowiska, to krok ten byłby odpowiednio skomentowany i w kraju i zagranicą, być może polany sosem, przesolonym jeszcze grubo. Tego wszystkiego Witos nie chciał. Na schyłku swego życia uczynił – on, premier z 1920 r. – jeszcze wielki gest zaufania i zgody w stosunku do wielkiego narodu, od którego tyle nas dzieliło w dawnej i niedawnej przeszłości, i w stosunku do grup

politycznych dotąd najzupełniej mu obcych. Nie była to rzecz mała i bezwartościowa, przeciwnie, miała olbrzymie znaczenie, a doceni je w pełni dopiero ten, kto dobrze zna Polskę – i rzeczywistość narodową naszej chwili.

Hold i żal

Ale też pogrzeb tego człowieka, który nie był nigdy głową państwa, nigdy nie dowodził w bojach, nigdy nie nosił munduru, ba, który – jak tego mu tylu „wielkodusznych” przeciwników nie umiało zapomnieć, nawet nie nosił... krawatki, przemienił się w manifestację narodową, jednoczącą naprawdę wszystkich. Widziałem ją w ten dzień listopadowy na ulicach Krakowa, mrocznych od chmur jesiennych na niebie i od tłumów u podcieni Rynku. Tak, Kraków widział niejedne wspaniałe pogrzeby, królewskie i wodzowskie, widział pogrzeby wspaniałe, urządzone jak defilada czy parada, jak nabożeństwo w Kaplicy Sykstyńskiej, jak musztra przed pałacem królewskim w Londynie. Ale w pogrzebie Wincentego Witosy było coś, co jak rzeka rwąca na jesieni przerwało wszelkie urządzenia i przygotowa-

nia, zmiotło wszelki ceremoniał i wszelki protokół, i było tylko hołdem i tylko żalem, tylko rozstaniem się mas narodu z prawdziwym narodem ojcem. Naród polski zrozumiał, że w trumnie płynącej najdostojniejszym z placów miejskich w Polsce, tym gdzie przysięgano ongiś narodowi, idzie na spoczynek człowiek, który ten naród zjednoczył, ten lud unarodowił, który sprawił, że królewski Wawel i postacie dawnej historii przestały być dla mas obcym światem „panów”, że polskość wrosła najgłębiej w najnędnieszy próg wiejski – i najmizernieszy zagon. Naród przypomniał sobie, że nie zawsze należycie oceniał tego wielkiego człowieka, i żegnał go tak jak za naszej pamięci, a także za pamięci naszych ojców i dziadów i pradziadów nie żegnał w Krakowie nikogo. I jeśli będziemy sięgać myślą wstecz i szukać drugiego takiego właśnie pogrzebu, to znajdziemy go chyba w chwili, kiedy także barwna masa racławickich chłopów wylała jak morze na ulice tego grodu. Istotnie, podobnym pogrzebowi Wincentego Witosa był w tym porywie ludowym jedynie pogrzeb Kościuszki.

„Dziennik Polski”, Kraków, 6 listopada 1945

Wojciech Korfanty

Należał do tych kilku czy kilkunastu niepospolitych jednostek, którymi Opatrzność wyposażyla naród polski w momencie naprawdę przełomowym, bo w okresie, kiedy z niewoli, na skutek jedynej dziejowej możliwości wybiłaliśmy się na świat niepodległości, w okresie tragicznym zresztą, bo właśnie wtedy przeciętna patriotyczna społeczność, dotąd tak wartościowego, spadła bardzo nisko, obniżając się do mirażu autonomicznych, do snów o rosyjskich „rynkach zbytu” dla przemysłu Warszawy czy Łodzi, do zachwyty nad poszumem odezwy wielkoksiażęcej, od których tętniła przecież Warszawa lat temu zaledwie dwadzieścia pięć. Jednostki te były różnego kalibru i z różnej ulepione bryły, los rozmaitym obdarzył je szczęściem, w bardzo różnym stopniu pozwolił im na wyzyskanie wszystkich ich możliwości.

W gronie tych wielkich niedawnego nam jeszcze czasu Wojciech Korfanty był społecznie jedną z najbardziej odmiennych, najbardziej innych postaci. Był najbardziej człowiekiem z Zachodu, najbardziej człowiekiem z ludu, najmniej zaś człowiekiem z historii.

To nie jest przesada, że wielcy ludzie tej Polski, która dopiero za naszych dni schodzi w cień cmentarzy, pochodzili z dworu polskiego w pierwszym, w drugim lub może w trzecim pokoleniu, że nawet w Ignacym Daszyńskim, urodzonym w Zbarażu, synu urzędnika starostwa, wietrzono duszę szlachecką, że nawet za kamieniarskim ojcem Romana Dmowskiego stały jakieś zaścianki Dmochy-Wielkie, Dmochy-Rozumy na ziemi mazowieckiej. Józef Piłsudski nie był tu wcale wyjątkiem. Przeciwnie. W nim cechy szlacheckiego pochodzenia, skutki formacji historycznej, że tak się wyrazimy, występowały najskrajniej, najrzeczywiście. „Ja się urodziłem w pałacu, mnie nazywano paniczem, ja rękami gnoju wynosił nie będę” – rzucił jeszcze w Belwederze na parę lat przed śmiercią. W tym samym roku poeci proletariaccy pisali doń inwokacje. „Towarzyszu Piłsudski, w przededniu polskiej rewolucji, krwią wasze

imię wypisujemy na tarczach”. Tak to się dziwnie mijają w Polsce drogi poezji i szlaki prozy. Ale to nie znaczy, żeby inni współcześni tych cech nie posiadali. Co najmniej w tym samym napięciu posiada je Władysław Studnicki*, człowiek 5 listopada. W niewiele mniejszym stopniu posiadał je Stanisław Grabski, w niezgorszym i jego brat Władysław. Dwór, z którego ci wszyscy ludzie wyszli, był bliższy lub dalszy, miał oficyny lub sam bywał oficyną innego, magnackiego dworu, jego kolumny były z drzewa lub kamienia, a na ścianach wisiały dzieła sztuki lub kicze. Ale to wszystko były już kwestie natężeń, wymiarów, ilości.

Owi wielcy, każdy na swój sposób opuszczali swój dwór. I słusznie. Bo rola dworu skończyła się już w Polsce jako taka. Mogła, w najlepszym razie, trwać przez czas jakiś w charakterze inkubatora czy kołyski, ale niczego już więcej. Panicze wychowani w pałacach chwycili się zatem omaszczonej smarem drukarni, mieszkali po norach proletariackich,

* Władysław Gizbert-Studnicki (1867–1953), polityk, publicysta. Działacz obozu niepodległościowego, od 1916 rzecznik współpracy z Niemcami. Autor licznych książek, m.in. *Sprawa polska*.

mówili do siebie per „wy”. I znowu przeszłość Piłsudskiego czy Studnickiego, Grabskich czy Daszyńskich, nie bardzo tu od siebie odbiegała. I dopiero na tle tego pochodzenia i tych dróg życiowych odcina się inność, odmienność Korfantego. Ten człowiek nie potrzebował podchodzić do warstw proletariackich, bo sam z tych warstw wyszedł. Ten człowiek nie miał w najdalszych komórkach swej przeszłości żadnego kasztelana, jak kupiec Wokulski, żadnego miecznika, jak Dmowski. Jak daleko sięgnąłby w pamięci, widziałby tylko sztygarów, podmajstrzych, wyrobników. Dalej sięgnąwszy, odnalazłby chłopów pańszczyźnianych. I cała daleka jego przeszłość, to byli owi pańszczyźniani chłopci śląscy, ławą wielką idący, jak niegdyś ławą wielką szły na Śląsku bory piastowskie. Kiedy kresowiec Piłsudski czy Studnicki powiadał sobie „szlachta”, to wiedział, że był to żywioł, który jeden jedyny na dalekich ziemiach aż po Witebsk, aż po Połtawę, utrzymywał słabe, złote, delikatne niteczki polskości. Dla Korfantego szlachta to byli hrabiowie Dohna-Schlobitten, księżęta Henckel-Donnersmarck, księżęta Pless, hrabiowie Hochberg. Wobec tych ludzi syn sztygara z kopalni „Fanny” mógł sobie uświadomić łatwo

swoją proletariackość. Stąd do Marksa był krok, zdawałoby się, najłatwiejszy. Wobec tych feudałów syn sztygara uświadomił sobie jednak swoją polskość. To był krok, zdawać by się mogło, znacznie trudniejszy, ale prowadzący naprawdę do historii.

Droga Korfantego do historii jest to właściwie ścieżka biegnąca obok wielkiego, także historycznego szlaku: szlak ten, to droga powrotna Śląska do Polski. Trzeba było wielu bardzo procesów, aby ziemie odpadłe w w. XIV, a odpadające już wcześniej, wróciły w w. XX – przynajmniej w części – do Polski. Trzeba było wielu przełamań, aby syn sztygara z Siemianowic, Korfanty, urodzony w r. 1873, wychowany w pełni ery bismarckowskiej, poczuł się Polakiem, a stał się działaczem polskim. Jest to droga życia bodaj jeszcze trudniejsza i cięższa od tej, jaką przebył inny wielki człowiek zarania Polski, Wincenty Witos. Górnik, który wydobywał się ze sztolni, miał zaiste drogę dłuższą, niż chłop odrywający się od pługa. A jednak ją przebył. Może by jej nie przebył, pozostając chłopem. Wtedy zakazy biskupie, półklątwy i zwarta kampania kleru niemieckiego na Śląsku, pilnującego tu pilnie interesów niemieckiej partii Centrum, zastra-

chałyby może chłopu lub popchnęły go na skrajną drogę stojałowczyków. Korfanty umiał kampanii się nie zląknąć, z równowagi wyprowadzić się nie dał. Zachował stanowisko katolicko poprawne, narodowo wierne. I zwyciężył. Jego zaś zwycięstwem było obudzenie politycznej polskości na Śląsku, to, że robotnik śląski począł głosować na posłów Polaków i uświadomił sobie, że między nim a inteligencją śląską, niemiecką lub zniemczoną, istnieje przedział nie tylko majątkowy, nie tylko społeczny. Ten posiew, rzucony przed wojną, w ciężkich latach Wrześni i mowy malborskiej, miał wzejść po wojnie. Kto wie: gdyby Korfanty urodził się i działał nie na Śląsku, ale w Warmii, może byśmy zamiast Katowic mieli Szczytno, Elbląg i Malbork. Kto wie: gdyby na Śląsku nie był działał przez dziesiątki lat Korfanty, może dziś o Katowicach pisalibyśmy jak Melchior Wańkowicz w *Na tropach Smętka*. Tamtych ziem nie odzyskaliśmy, te odzyskaliśmy. Te ziemie są polskim województwem, na tamtych wznosi się mauzoleum Hindenburga i tam mowy swoje wypowiada Hitler. Można o tych sprawach mówić dziennikarskie sofizmaty, można zapluwać się tu niewczesną nienawiścią,

a jednak każdy Polak w tej żałobnej godzinie powie sobie, że o losie Śląska zdecydował właśnie Korfanty, a o losie Warmii i Mazurów pruskich zadecydowało to, niestety, że tam się człowiek z nieugiętością Korfantego, z zązartością Korfantego, z uporem Korfantego, nawet z chytrnością Korfantego nie zrodził. Oto czym mierzyć wpływ, jaki na granice narodów i historię Europy miał Korfanty.

Współczesna historiografia polska powstań śląskich obniża zasługi i rolę Korfantego. Ciekawe, że czyni to jednocześnie i historiografia niemiecka. Jeśli chodzi o Niemców, jest to zrozumiałe. Niemcom zależy na udowodnieniu „naukowym”, że powstania śląskie wychodziły z inicjatywy pozaśląskiej, z „intrygi” polskiej, że w najlepszym razie miały śląskich wykonawców, subalternów, a wodzowie i oficerowie przyszli z zewnątrz, spoza Śląska. Każdy, kto zna dzieje powstań śląskich, wie oczywiście, że Niemcy mijają się tu z prawdą, że było zupełnie inaczej, ale politycznie ich stanowisko w umniejszaniu roli wodza powstań, Korfantego, Ślązaka z krwi i kości, jest całkowicie niezrozumiałe. Dlaczego i u nas podtrzymuje się od paru lat wytrwale tezę niemiecką, wysuwa inne, nie-

śląskie nazwiska, a umniejsza lub skreśla zupełnie rolę Korfantego – to już rzecz inna, i celowość tego wydaje nam się bardzo krótkowzroczna.

Stosunek Korfantego do państwa, gdy Śląsk wszedł w granice Rzeczypospolitej, to karta ciekawa, z której wiele uczyć by się można. Wbrew temu, co się o tym mówiło i pisało, Korfanty był daleki od separatyzmu, był nawet znacznie mniej zagorzałym zwolennikiem autonomii śląskiej niż ci, co po nim przyszli. Ten rdzenny Ślązak był przede wszystkim zwolennikiem oddania władzy na Śląsku w ręce Ślązaków. Sam przecież za czasów niemieckich uświadamiał Ślązaków, że na własnej ziemi są rządzeni przez niemiecki element napływowy. W pierwszych latach Polski dożył swego tryumfu. Wszystkie dwanaście starostw śląskich obsadzone były Ślązakami, a wojewodą śląskim został rodowity Ślązak, syn sztygara, ś.p. Józef Rymer. Było coś z sowieckiego „wydwiżeństwa” w owych pierwszych latach naszego włodarzenia tą ziemią, i tego rodzaju „autonomii” był gorliwym wyznawcą Korfanty. Przyszłość okaże, czy takie pojmowanie autonomii nie było dla Rzeczypospolitej szczęś-

liwsze i korzystniejsze od pojęć późniejszych, wniesionych przez ludzi spoza Śląska.

Wbrew ludziom, wbrew epokom, czas zarzuca zasłonę milczenia na to wszystko, co dzieliło, było zgrzytem, było bólem. Czas wygładza mogiły powstańców śląskich, czas wygładzi i niejeden rozdźwięk niepotrzebny, krzywdę dotkliwą. Błędy są rzeczą ludzką. Tak się stało, że w okresie śmiertelnej choroby Korfantego czytałem tę wspaniałą rzecz, jaką jest *Historia Polski* Długosza. Z jakimże bólem historyk Polski średniowiecznej opisuje, jak piastowicze śląscy z zawiści rodzinnej do swego kuzyna Kazimierza Wielkiego, odrywali się co rychlej od Polski, jak swoje piastowskie, polskie orły przemalowywali gwałtem na obcy kolor niebieski lub czarny – niemiecki. Jakże piękne jest zakończenie tego dzieła, gdzie historyk prosi, by kontynuowano je dalej, pisząc „kroniki krajowe”, i by za jego grzeszną duszę zmawiał czytelnik „Ojciec nasz” i „Zdrowaś Maria”! I otóż w owym Długoszu jest jeszcze taki przepiękny ustęp: „I ja, kroniki te piszący, odczuwałem radość niezmierną z powrotu do Korony Polskiej owych ziem i miast sławnych, gdańskiej, pomorskiej. A więcej bym się cieszył, gdyby mi dane było

dożyć i owej chwili, kiedy Polsce wrócona będzie jej prastara ziemia śląska. Ochoczej bym się wtenczas w grób położył i spokojniejsze w nim miał odpoczywanie”.

A teraz, kiedy po śmierci Korfantego odczyta się te słowa, przyjdzie nam chyba na myśl, że może jednak na tamym świecie przed furta Piotrową powita ktoś pana Wojciecha i wprowadzi przed groźny majestat sądów Bożych. I że przecież pracą tego człowieka, nie nagrodzoną na tej ziemi wedle jej miary, spełniły się sny Długoszowe sprzed czterech wieków, dopełniła się nadzieja narodu.

„Wiadomości Literackie”, Warszawa, 5 września 1939

Pamiętniki Bogdana Hutten-Czapskiego

Bogdan Hutten-Czapski. Sześćdziesiąt lat życia politycznego i towarzyskiego. Tomy pierwszy i drugi. Warszawa, F. Hoesick, 1936; str. XI i 1 nlb. i 652 i 2 nlb. i tabl. 12 (I), 4 nlb. i 685 i 3 nlb. i tabl. 12 (II).

Był członkiem zakonu rycerskiego, jak Parsifal i Ulrich von Jungingen, hrabią, jak Gotfryd z Bouillonu i Rudolf z Habsburga. Był jeszcze burgrabią cesarskiego zamczyska o romańskich sklepieniach, z salą rycerską i tronem, jak w sagach o Barbarossie. Był również parem królestwa, jak lordowie Lancasterów i Tudorów, jak grandowie Izabeli Kastylskiej, jak bojarzy Iwana Kality. Jak synowie znakomitych lenników, służył w orszaku zbrojnym swego suzerena, pracował w jego kancelarii jak legiści Filipa Pięknego, posłował w dalekich krajach jak *missi dominici*

Karolingów. Spędził życie na dworze wielkiej dynastii, w stolicy wielkiego państwa. Przez prawie pół wieku służył trzem pokoleniom cesarzy i królów bardziej jako wasal niż jako poddany. Ale...

Ale zakon maltański dawno już przestał zdobywać Ziemię Świętą, walczyć z niewiernymi, bronić pątników, strzec grobu Chrystusowego. Hrabowie już dawno potracili swe hrabstwa, zamczysko romańskie nie stało nad Renem, ale nad Wartą, husarze przedziergnęli się w huzarów, legiści – w radców, *missi dominici* – w dyplomatów. Dwór, na którym spędził życie, nie był dworem króla Artusa ani Karola Wielkiego, cesarstwo nie było świętym cesarstwem rzymskim. Był bowiem nie wiek X, ale XIX, Berlin – zamiast Spiry, Hohenzollernowie – zamiast Hohenstaufów, Wilhelmowie zamiast Ottonów. Zamiast zwycięstwa nad Lechem była wyprawa chińska Walderseego, zamiast Canossy, zamku margrabiny Matyldy i papieża – było Rethondes, salonka wojskowa na dworcu małej stacji i przyjmujący delegatów armii niemieckiej marszałek Foch. Takie właśnie było średniowiecze, w którym przyszło żyć i działać autorowi tych wspomnień. Przez 1368

stron, jak przez wielkie sale Poczdamu, snują się nieprzerwanym ciągiem cesarze i cesarzowe, królowie i królowe, księżęta zwykli, wielcy i zmediatyzowani, ochmistrze, wielcy łowczowie, grafowie i baroni, palatyni i wasale. Nieraz odkładając tę książkę, jesteśmy jak po „Nocy Walpurgi” lub „Złocie Renu”, gdy z opery wychodzi się na ulicę pełną ludzi, samochodów i neonów. Trzeba sobie wtedy powiedzieć, że to jednak nie była dekoracja, że opera trwała kilka niedalekich dziesięcioleci, że za tą rampą ludzie nie tylko grali, ale żyli. Hr. Bogdan Hutten-Czapski do nich należał.

Wnuk po matce generała napoleońskiego, syn powstańca, rewolucjonisty i karbonariusza, który odumarł go we wczesnym dzieciństwie, znalazł się przez wychowanie u stóp dworu, który z pruskiego przeobrażał się w niemiecki wtedy właśnie, gdy z królewskiego stał się cesarskim. Fryderyk II kazał podobno porywać synów polskiej szlachty i wychowywać ich w pruskich szkołach oficerskich. Mikołaj I dzieci powstańców umieszczał w korpusie paziów. W wieku polskiej ekspansji na Pomorze znaleźli się Baysenowie, którzy stali się Bażyńskimi, w wieku

niemieckiej ekspansji na Poznańskie Rado-
lińscy stawali się książętami Radolin. Każde
wielkie państwo miało władcę, miało otocze-
nie tego władcy, miało dwór, i wcześniej czy
później, mniej lub bardziej świadomie, stara-
no się robić zeń tygiel, w którym łączyły się
i stapiały różne dotąd pierwiastki na nową ca-
łość. Dwór jagielloński czynił to z pruskimi
Denhoffami, litewskimi Radziwiłłami, ruski-
mi Ostrogskimi, dwór madrycki nawet z po-
tomków meksykańskich Inkasów uczynił
markizów Montezuma. Hr. Bogdan Hutten-
-Czapski nie był jedyny, który po dworze nie-
mieckim obnosił swe obce nazwisko i nie
mniej obce imię hetmana zaporoskich kozo-
ków. Książę Sagan, bratanek Talleyranda,
piastowicz Ratibor, Duńczyk Moltke, byli tu
nie mniej obcy. Imię Chlodwig starego kanc-
lerza Hohenlohe, z ongi udzielnej dynastii,
było również obce. Wielki tygiel pruski prze-
tapiał w jedną całość wszystkie ułamki, ale
już od pierwszych stron pamiętników widać,
że nie wszystkie kruszce, rzucone do tygla
posiadają zdolność do aliaży. Darmo młody
Czapski bywa w najściślejszym kółku dworu
darmo okazuje szacunek dymisjonowanemu
Bismarckowi, całuje starego cesarza w rękę

Fama dworska widzi w nim jezuicko-polskiego intryganta, tajnego księdza i wysłannika Watykanu, który skrycie nawróconej cesarzowej Auguście odprawia na audiencjach mszę świętą.

Jest bal dworski, na którym po raz pierwszy występuje panna Elza von Bleichroeder. Jej ojciec jest Żydem, został uszlachcony przez cesarza i przez cesarza zaproszony na przyjęcie, ale oficerowie gwardii, których rody „są w Marchii dawniej niż Hohenzollernowie”, zmówili się, aby z panną nie tańczyć. Następca tronu, ojciec Wilhelma II, odwołuje Czapskiego i prosi, aby z panną zatańczył. Czapski chce to uczynić, ale podchodzą oficerowie, i tylko powołanie się przez tancerza na „rozkaz najwyższy” uwalnia go od sankcji przeciw łamistrajkowi. A przecież w dziejach rozwoju Niemiec Bleichroeder zajmuje poważne stanowisko: wspomagał finansowo budowę pierwszych kolei, wojny 1866 i 1870 r., wpływami zagranicznymi skierował na Niemcy strumień pieniędzy, które kraj rolniczy zmieniły w przemysłowy, w kraj zagłębi węglowych, centrum ciężkiego przemysłu, fabryk maszyn i produkcji chemicznej. Ale trzeba było aż rozkazu następcy tronu, aby

panna von Bleichroeder mogła zatańczyć na hofbalu. Ciekawe, czy tańcząc z nią pomyślał Czapski nad tym, dlaczego to właśnie na niego padł wybór cesarzewicza, i ciekawe, czy w czasie tego balu i całego życia towarzyskiego i politycznego nie miał sposobności uczynić spostrzeżenia, że on sam był w tym świecie czymś w rodzaju panny Bleichroeder?

Panna Bleichroeder, z którą nie chcieli tańczyć młodzi ludzie z gwardii, uważała się przynajmniej za Niemkę. Czapski uważał się za Polaka pruskiej przynależności państwowej. Beznadziejność polityczna powstań polskich i świetność polityczna Niemiec posiadających, polskie tradycje narodowe i pruski sentyment monarchistyczny, osobiste związki z panującymi, widzenie ich nie jako tyranów, ale jako ludzi o dobrych i złych stronach, zaletach i słabostkach, a więc w sposób, który nas zawsze zbliża, perspektywy konfliktów i wojen, nadzieje na antagonizm niemiecko-rosyjski, wojnę i wyciosanie z ziem polskich Rosji jakiejś Polski – oto mniej więcej poglądy, które nie zsyntetyzowały się nigdy, ale z ich autora i wyznawcy czyniły dziwaczny i nierealny rodzaj *gente*

Poloni natione Borussi. W ówczesnych stosunkach narodowościowych wszystko to było nie do przyjęcia dla żadnej ze stron. Polacy przestawali uważać autora za Polaka, Niemcy nie uważali go za Niemca. Pozycja oparta na takim poglądzie na świat była i musiała być niewyraźna. Hr. Czapski nie wstąpił do służby administracyjnej, bo na tej drodze jego sumienie katolickie i polskie poczucie narodowe czekał konflikt z obowiązkami pruskiego urzędnika. Karierę dyplomatyczną pokrzyżowało mu „uzyskanie zbyt wielkiego wpływu na szefa”, kariera wojskowa zapadła od początku w oczka niewidocznej, ale silnie ściągniętej sieci intryg i uprzedzeń. Radolińscy, którzy ostatek swej polskości, końcówkę nazwiska, zamienili na tytuł książęcy, mogli w tym samym państwie dochodzić do szczytów oficjalnej hierarchii. Mieli wyraźną ideologię, przynależność narodową i pozycję.

W zupełnej, charakterystycznej dysproporcji do tych „oficjalnych notowań” pozostaje pozashuzbowa kariera Czapskiego. Jest gefrajtrem – gdy nosi krzyż maltański, porucznikiem – gdy zasiada w izbie panów, majorem – gdy ma zostać jednym z dwóch najbliższych współpracowników kanclerza

Rzeszy. Powierzono mu misje poufne, wysłano w poselstwach, hr. Schlieffen, autor słynnego planu operacyjnego przeciw Francji, tłumaczy mu na czternaście lat przed wojną konieczność przemarszu przez Belgię. W gmachu władzy, do którego wpuszczają go jedynie przez boczne małe drzwi, orientuje się doskonale, dociera wszędzie. (Tu znowu mógł się *ci-devant* sarmackiemu karmazynowi przypomnieć w niejednym niejednym z plemieńców ojca panny Bleichroeder.) Wciąż widzimy jego sylwetkę w tłumie wielkich panów i wielkich dam, cesarzy i feldmarszałków, ministrów i dygnitarzy, przewijających się w olbrzymim korowodzie dziś nieznanym, zapomnianym i obcym, niegdyś świętym, sławnym i wielkich nazwisk. Tytuły i godności szeleszczą na kartkach tej książki, niczym falbany krynolin.

Dziś, gdy to wszystko jest wspomnieniem osiemdziesięcioletniego starca, dwóch tylko ludzi z tego całego tłumu wypadnie nam wziąć za rękę i pominąwszy wszelką hierarchię, wszelki ceremoniał, wyprowadzić na plan najpierwszy. Pierwszym z tych ludzi jest prezes rejencji Schwerin sprzed lat trzydzie-

stu paru. Nie znamy w Polsce prezesa rejencji Schwerin? A przecież to on właśnie, prezes rejencji Schwerin, o którym zupełnie zapomnieliśmy, chciał się na nas, Polakach, odznaczyć. Trzydzieści parę lat temu, tak niedawno, prezes rejencji Schwerin był wybitnym urzędnikiem administracyjnym, o dużych zdolnościach, większych jeszcze ambicjach. „Dzielny pod względem technicznym” – przyznaje sumiennie Czapski. Prezes rejencji Schwerin uważał się za powołanego do wielkich zadań, m.in. do przyśpieszenia własnego awansu. Stąd to prezes rejencji Schwerin, dzielny pod względem technicznym urzędnik pruski, stał się autorem i promotorem ustawy o wywłaszczeniu w Poznańskim.

Dzieje tej ustawy, walka z nią, walka, w której nawet sam Czapski rozwinął olbrzymią aktywność, opisane są tu beznamiętnie, sucho, politycznie. Nikt tak jeszcze nie mówił o niej w Polsce, ale trzeba aby ktoś teraz właśnie i tak właśnie jak Czapski o niej mówił. Poprzez jego relację, udokumentowaną przez traktat historyczny, poprzez pamiętniki (literacko może słabe, pragmatycznie doskonale opracowane), patrzymy na ustawę

jako na głęboką klęskę, brzemiennie nieszczęście, nieprzewidziane zło nie dla żywiołu polskiego, lecz dla Niemiec. Widzimy zdemontowane na części koła i kółka tej procedury. Widzimy, jak cierpiący na władcze niewyżycie się urzędnik prowincjonalny koncytuje „program” oderwany od stosunków w świecie, od skutków, jakie pociągnie, widzimy, jak machina administracyjna, mająca jako tryby i pasy transmisyjne takich samych prezesów rejencji, zamiast zatrzymać w biegu, chwyta to dzieło w swe tryby, uzupełnia, dodaje, udokładnia, widzimy, jak przy pomocy zależnych od siebie „organizacji politycznych” „urabia” opinię, jak one z kolei chwytają ów produkt, unoszą, podają, jak wreszcie wyskakuje obrobiony i opakowany w paragrafy. Widzimy jednocześnie, jak najwybitniejsi patrioci pruscy, prof. Delbrück, stary feldmarszałek hr. Haeseler, wrocławski kardynał Kopp, prezes izby panów ks. Knypshausen, są mu zasadniczo przeciwni. Słyszymy, jak pruski konserwatysta hr. Schulenburg woła: „wstępujemy tu na równię pochyłą i nie wiemy, gdzie zatrzyma się kamień, który się po niej potoczy”. Łoskot rozpędzonej z miejsca maszyny głuszy wszystkie przestrogi, po-

wołany do wielkich zadań prezes rejencji Schwerin okazał się silniejszy. Nie znamy dalszych dziejów prezesa rejencji Schwerin. Nie wiemy, czy awansował i jak daleko zaszedł w służbie, nie wiemy, czy zdołał świetniejszą jeszcze koncepcją wykazać swą pruską państwowotwórczość. Wiemy tylko, że jego typ psychiczny potrafił się znakomicie utrzymać i rozmnożyć. O każdej godzinie i minucie w różnych krajach, różnych rejencjach, departamentach i starostwach, wyżywa się tak samo wspaniale i pożytecznie jak w upadłym państwie kajzera.

Gen. Beseler musi wyjść również na plan pierwszy. Przez pryzmat opowiadań jego warszawskiego adiutanta widzimy go tak blisko, jak nie widziano go nigdy w ciągu lat trzech pobytu w Warszawie. Beseler, człowiek prawy, surowy dla siebie, sumienny i wykształcony, to również człowiek niewyżyty. Ten świat strojący się w średniowiecze jest bowiem światem niewyżytych ludzi. Niewyżytym „twórcą historii” jest Ludendorff, niewyżytym cezarem Wilhelm, niewyżytymi Napoleonami, Aleksandrami i Kortezami są najmniejsi majorzy z Ober-Ostu. Tak samo, może nawet bardziej niż prezes rejencji

Schwerin, nie okazują się nam wcale zapamiętałymi wrogami Polski. Ich stosunek do niej jest raczej stosunkiem stolarza do drzewa. Wahają się między pomysłami. Ludendorff ni stąd ni zowąd staje się zwolennikiem dużej Polski, która mu pośle większą jeszcze armię Bartków Zwycięzców, cesarz marzy o polskim członie Mitteleuropy, Beseler ma ambicję stania się, niczym Konstanty, wodzem naczelnym armii polskiej, i to właśnie, w najgłupszy dla interesów niemieckich sposób, poróżni go z Piłsudskim. *Ober-Ost*, anonimowa grupa sztabowców usadowionych w Wilnie, posiada również „*grosszügige*” zacięcie. Tworzy Litwę i Białoruś, organizuje szlachtę jądźwińską, obmyśla trony, konstytucje i ludy pod te trony. To już nie Polska przedrozbiorowa, ale Polska dzielnicowa synów Krzywoustego. Potem wszystko naraz się zmienia. Teraz Ludendorff żąda aneksji, Wilhelm arcyksięcia z Żywca, Beseler go wstrzymuje. Energie niewyżyte w paradach wojennych wyżywają się w koncepcjach politycznych i terytorialnych. Olbrzymim wysiłkiem żołnierz niemiecki dotarł do Berezyny i Dniepru, usunął z kraju panowanie rosyjskie. Można ten kraj zreorganizować, wy-

zwolić, może pozyskać. Ale oto na tyłach armii niemieckiej grasuje niebezpieczny, najgroźniejszy dywersant, podważa wszystkie rzucone mosty, burzy z trudem wytyczone drogi. Darmo walczą z nim na wszelki możliwy sposób. Nieuchwytny wojenny dywersant, w cywilu prezes rejencji Schwerin, dotarł w tym kraju wcześniej i dalej niż oni.

Całe bezrozumne dzieje beseleriady to najciekawszy i najżywotniejszy ustęp z tych ogromnych pamiętników. Nie wiemy, czy jakakolwiek koncepcja Polski aktywistycznej mogła po ustawie wywłaszczeniowej i Wrześni być budowana na rzeczywistość. Ale ta, której obraz widzimy, była oparta na najgrubszej fikcji. Generał pruski, który w rywalizacji z Piłsudskim o rząd dusz armii polskiej wyprzedza Hallera, Dowbora czy Sikorskiego, ludzie, którzy myślą, że mogą dowolnie tworzyć narody i obozy, którzy usuwają wszystkie siły niezależne i tworzą powolne sobie a bezsilne narzędzie – oto świat, dla którego zatarła się granica między życiem a teatrem, epopeją z opery z epopeją z frontu. Takie zatarcie się granic jest zapewne rodzajem schorzenia psychiki politycznej: wraz z casusem niewyżytych w inicjatywie, duf-

nych we wszechmoc okólnika prezesów re-jencji, zostanie może niebawem ustalony i zbadany naukowo, otrzyma stosowną kwalifikację i przydział kliniczny. W epoce, gdy mówimy o państwie jako totalnym, organicznym tworze, gdy mówimy, że ma „mózg” i „serce”, dopuszczamy logiczne istnienie w nim organicznych schorzeń. Schorzenie *Schwerin* i schorzenie *Beseler-Ober-Ost* doprowadziły do agonii wielkiego państwa. Jesteśmy również państwem. Mamy również sprawy narodowościowe i jako państwo-organizm również podlegamy schorzeniom. Na niejednych kresach naszego państwa znajdziemy objawy obu tych schorzeń, których dwa klasyczne opisy przekazał przyszłej medycynie politycznej hr. Bogdan Hutten-Czap-ski. Już za to samo należy mu się słusznie nadany przez Uniwersytet Warszawski tytuł doktora nauk lekarskich *honoris causa*.

„Wiadomości Literackie” 1936, nr 8

Ten, co w przelomowej godzinie zwichnął plany Władysława IV

I

Nie ma dzisiaj Polaka, nie ma zwłaszcza młodego Polaka, który by czytając dzieje Władysława IV, jego wielkie plany i zamysły, jego usiłowania kampanii antytureckiej, pochodu na Krym, wojny o wyzwolenie Bałkanu, nie wzdychał dzisiaj żałośnie:

– Jaka szkoda, że spełzły na niczym plany wielkiego króla! Jaka szkoda, że owe wielkie zamysły nie wykonała Polska, a przeprowadził je kto inny, mianowicie Rosja, Rosja Katarzyny II, zdobywająca Krym, Rosja Aleksandra II, ostatnim swym rozpędem rozbijająca Turcję na Bałkanie!

Po czym każdy Polak dodaje:

– Co za szkoda, że zwyciężyła ówczesna opinia publiczna szlacheckiego narodu, bojąca się króla z silną armią, niechętna dalekim

wojnom! Co za szkoda, że zwyciężyli nie stacyści pokroju Jerzego Ossolińskiego*, a ludzie małej miary, ci, co gdy im mówiono, że Ojciec Święty bardzo by się wojną z pohańcem cieszył, odpowiadali spokojnie: „Ojca świętego ukontentujemy czym innym: spalimy więcej heretyków na stosie!”

Wszystkie te żale są bardzo mądre i słuszne, szkoda tylko, że spóźnione o jakie bez mała trzysta lat i że za swe wielkie plany mocarstwowe był Władysław IV tak samo znie-nawidzony, jak w roku 1920 i w paru latach następnych znie-nawidzony był kto inny**. I szkoda tylko, że młody Polak w 1938 roku, wspominający ową małość w wielkiej dziejów godzinie, widzi nader dokładnie postać Władysława, dość wyraźnie kanclerza Ossolińskiego, ale za to twarze tych, co wtedy pokonali wielkiego króla i wielkiego kanclerza, tych, co przekreślili ich plany mocarstwowe, pozostają w cieniu i mroku. Co prawda, było ich dużo. Poza Ossolińskim plany Władysła-

* Jerzy Ossoliński (1595–1650) – wielki magnat, polityk, dyplomata, kanclerz wielki koronny od 1643, zwolennik wzmocnienia władzy królewskiej.

** Mowa o Piłsudskim w kontekście artykułu K. Pruszyńskiego z 1935 r. „Istota samotności Piłsudskiego”.

wa podzielał jeszcze tylko hetman wielki koronny Konięcpolski*, niestety, zgasły przedwcześnie, człowiek na miarę Żółkiewskich i Chodkiewiczów, może nawet geniuszem polityka większy jeszcze.

Niemniej wydaje się niezrozumiałe, dlaczego nie wartałoby wyciągnąć z pomroki dziejowej nazwisk i twarzy tych co zatrzymali pochód Rzeczypospolitej nad Morze Czarne, tych co prowadzili niezmordowaną kampanię przeciw królowi i kanclerzowi, tych co w historycznej godzinie przeważyli szalę małości: ostatecznie potępia ich dziś w jeden głos historia polska. Dlaczegoż ich nie znamy? Czy żadnego nazwiska nie da się wyłowić z tej ciżby?

Owszem, jedno nazwisko da się bez trudu wyłowić.

Jest to nazwisko znane nam wszystkim, bo wsławione z niezwykłym talentem przez największego z naszych pisarzy.

Jest to nazwisko człowieka ubóstwianego za życia przez tłum szlachecki, potępionego

* Stanisław Konięcpolski (ok. 1594–1646) – hetman wielki koronny, wybitny wódz. Pogromca Tatarów, organizator tzw. obrony potocznej. Po bitwie pod Cecorą w niewoli tureckiej, w l. 1627–1629 dowodził w walkach ze Szwedami o ujście Wisły (zwycięstwo pod Trzcianą).

przez większość polskich historyków po śmierci.

Człowiekiem tym był Jeremi książę Korybut Wiśniowiecki, pan na Łubniach, wojewoda ruski, wojownik dzielny, kolonizator Zadnieprza wytrwały, obrońca heroiczny Zbaraża, postrach Kozaków.

Słowem, Jeremi Wiśniowiecki.

II

Nie chodzi tu o żadne rewelacje historyczne. Są to rzeczy powszechnie znane. Kto temu nie wierzy, niech przeczyta choćby świadectwo wystawione Jaremie przez Szajnochę albo zresztą również fakty wymienione w bardzo życzliwej monografii naszego bohatera pióra Władysława Tomkiewicza. Pomińmy zupełnie zarzuty wystawiane mu przez historyków ukraińskich czy rosyjskich: zmianę religii, forsowanie katolicyzmu i nietolerancję, okrucieństwa w wojnie z Moskwą 1633 roku, gdzie na przykład tak odważnie i po rycersku stawał... Adam Kisiel. Przypuśćmy nawet, że za targi z sąsiadami na kresach, srogość w stosunku do poddanych swych chłopów, nierzetelne

obchodzenie się z dobrami swych krewniaków, których był opiekunem, są niemiłymi szczegółami z życia prywatnego, ale przecież założyciel potęgi morskiej Wielkiej Brytanii sir Francis Drake był pirackim rabusiem, a nie przeszkodziło mu to być w publicznych sprawach mężem zasłużonym Koronie Brytyjskiej.

Ale. –

Ale w tym właśnie sęk, że w sprawach publicznych ma Jarema Wiśniowiecki ciężkie niezmiernie grzechy.

Znowu pomińmy nawet taki wypadek jak sąd sejmowy, na który staje srogi kniaź w Warszawie z poczem zbrojnym w sile... 4000 ludzi, nakazując im – wedle świadectwa jego dworzana, który to zapisał z zachwytem – być w pogotowiu, i na jego rozkaz w razie potrzeby wpaść na salę obrad senatu, by tam „siec choćby i króla samego”.

Pomińmy i walkę, prowadzoną przeciwko Ossolińskiemu z przyczyny błażej – chodziło o tytuł książęcy, jaki kanclerz przyjął za granicą i jaki używał w kraju.

Pomińmy też walkę przeciw Orderowi Niepokalanego Poczęcia, jaki zamierzał wprowadzić król Władysław i jaki w jego za-

myśleniach miał się stać ogniwem wzmocnienia władzy królewskiej.

Ale znowu, jak świadczą zgodnie historycy, Jeremi Wiśniowiecki, posłując na sejmy w ważnych latach 1635–1645, należy stale do opozycji przeciwko królowi i jego ministrowi, Ossolińskiemu. Kiedy indziej jest antagonistą innego członka partii królewskiej, Kazanowskiego. Jeszcze innym razem – plany orderowe króla zwalcza w sposób bardzo nieprzyjemny dla Władysława IV, w tych zaś latach, kiedy król snuje swe wielkie plany, przeszkadza mu stale sejm, sejm, w którym Jeremi Wiśniowiecki grupuje sporą frakcję, i należy do posłów najbardziej wziętych, najpopularniejszych...

Oczywiście, w tym okresie, może ktoś odpowiedzieć, że i partia królewska dokuczała Jaremi, ile mogła, pomijano go w awansach i urzędach. Ale oto umiera drugi po Ossolińskim mąż partii królewskiej, człowiek wielkich planów, wojownik znakomity – Koniecpolski, hetman wielki koronny. On to snuł plany naddunajskie, mołdawskie i krymskie, on to miał być wodzem naczelnym wyprawy, dyplomatycznie przygotowanej przez kancle-rza. Teraz brak wodza. Co czyni król? Król

daje najpierw Jarema województwo ruskie. Przysądza na jego rzecz nowy proces o dobra ukraińskie. W maju 1646 roku wzywa go na naradę; szuka wyraźnie porozumienia z tym przeciwnikiem o talentach wojennych. Fama, że buławę wielką otrzyma po Koniecpolskim Mikołaj Potocki, jak chce zwyczaj (gdyż był on dotąd hetmanem polnym), a z kolei buława „mniejsza” hetmana polnego przypadnie Wiśniowieckiemu, Jarema ma wiek marszałków napoleońskich, 34 lata.

W końcu maja 1646 roku odbywa się w Warszawie rozmowa między królem a kandydatem do buławy. Jarema opuszcza Zamek Ujazdowski – bez buławy. Nie znamy przebiegu rozmowy. Dwaj współcześni, Sapieha i Radziwiłł, stwierdzają jednomyślnie, że Wiśniowiecki oparł się planom królewskim...

A wiemy, jakie były plany królewskie.

Wiemy, że wtedy właśnie była godzina, gdy Polska mogła stać się naprawdę mocarstwem.

III

Tak jak pomijaliśmy zarzuty stawiane Jaremie Wiśniowieckiemu przed majem tego przełomowego roku, tak nie myślimy mu stawiać zarzutów z późniejszej epoki. A jest ich dużo, bardzo dużo. Z pola walki śpieszył na elekcyjne pole, umawiał się z Rakoczym przeciw królewiczowi Janowi Kazimierzowi, nie grzeszy ten wojak karnością pod Beresteczkiem, niejasno przedstawia się jego wyjazd spod Pilawiec. A już zgoła nieprzyjemnie obrona Lwowa, którą obiecał był dzielnym mieszczanom lwowskim, od których poabrał na ten cel milion trzykroć złotych polskich, aby potem opuścić miasto. Mieszczanie obronili Lwów w sposób bohaterski, co jednak stało się z sumą 1 300 000 złotych, zabranych od mieszczan przez naszego bohatera, trudno wyjaśnić: zapewne przez długi jeszcze czas porównywano ją we Lwowie z... 20 000 złotych wpłaconych kilka tygodni później Bohdanowi Chmielnickiemu za odstąpienie od szturmu: czasami bywa, że przyjaciel jest kosztowniejszy od wroga...

I chyląc czoło przed wszystkimi sprawami wojennymi księcia, rozumiejąc, że jeśli był

czas na paktowanie z Kozakami, to był i czas, gdy należało się tylko bić z nimi, i kiedy miecz musiał rozstrzygać, musimy przecież powiedzieć:

– Jarema Wiśniowiecki stanął w poprzek polityki Władysława IV, w poprzek jego planów, prowadzących Polskę ku silnej władzy, ku rządowi, ku mocarstwowej roli w Europie. On, wojownik, był trybunem szlacheckiego pacyfizmu, gdy szło o wielkie rzeczy. Popęłnił tym tak ciężki grzech przeciw polskiej racji stanu, że tego żadna inna zasługa nie zdołałaby wyrównać.

– Należał do tego typu ludzi, jak Cinq-Mars*, jak Montmorency**, jak Gaston

* Henri markiz de Cinq-Mars (1620–1642) dzięki protekcji kardynała Richelieu wszedł na dwór Ludwika XIII, gdzie został faworytem królewskim. Wkrótce zaczął spiskować przeciw byłemu protektorowi, organizując wraz z Gastonem Orleańskim i księciem de Boullion spisek na życie kardynała. Spiskowcy zawarli tajny traktat z Hiszpanią. Po jego wykryciu i przyznaniu się Gastona d'Orléans do winy Cinq-Mars został skazany i ścięty 15 IX 1642.

** Henri Montmorency (1595–1632) – admirał i marszałek francuski, ścięty z powodu buntu przeciw kardynałowi Richelieu.

d'Orléans*, jak wodzowie Frondy**, jak ci niekarni i krnąbrni magnaci i królewicze we Francji współczesnej, którzy stawali w poprzek wielkich planów kardynała Mazarina, kardynała Richelieu.

Było największym szczęściem Francji, że tam, w bardziej zorganizowanym społeczeństwie, tamtejsi Ossolińscy okazali się silniejsi, tamtejsi Wiśniowieccy zaś przegrali. Było szczęściem Francji jako państwa, że głowy tamtejszych królewiczów, dzielnych, sympatycznych, rycerskich, ale rozstrajających państwo, osłabiających jego władzę centralną, potoczyły się pod toporem katowskim.

„Słowo” 1939, nr 7

* Książę Gaston d'Orléans (1608–1660) – trzeci syn Henryka IV i Marii Medycejskiej, uczestniczył we wszystkich spiskach organizowanych przeciwko kardynałowi Richelieu, a później Mazarinowi, zawsze w ostatniej chwili zdradzając towarzyszy i uzyskując przebaczenie. Wygnany, zakończył życie w Blois.

** Fronda – francuski ruch polityczny 1648–1653, skierowany przeciw absolutystycznej polityce kardynała Mazarina.

Karola Zbyszewskiego
„Niemcewicz”

Jest to książka, która przysporzy potwornych kłopotów każdemu solidnemu krytykowi, natomiast najłatwiej będzie wyśmiać ją, okrzyczeć, zahukać. (Choć co prawda z zahukaniem może nie pójść tak łatwo.) Najłatwiej bowiem będzie powystrzygiwać kawałek po kawałku i serwować oburzonym czytelnikom takimi choćby porcjami, jak owa wzmianka o nocy poślubnej państwa Marcelego i Julianny z Niemcewiczów, może nie pornograficzna nawet, ale za to co najmniej mocno dosadna. Właściwie należałoby ją przytoczyć, bo niewątpliwie ilustruje styl pisarski, ale woleliśmy się z tym wstrzymać...

Tak bowiem zaczyna swego *Niemcewicza od przodu i tyłu* (też tytuł, który kusić będzie karcącą rękę przeciętnego krytyka!) Karol Zbyszewski, Karol z popularnych felie-

tonów w „Słowie” wileńskim, Karol Zbyszewski pisujący swe cotygodniowe *Ryżową szczotką* na łamach „Prosto z mostu” Stanisława Piaseckiego. [...]

Ludzie, którzy czytali Waleriana Kalinkę, Korzona, Konopczyńskiego, cóż powiedzą na taki oto obraz czcigodnego Sejmu Czteroletniego:

„Sejm pracował całą gębą. Mrozy nastawiały, więc stutysięczną armię należało czym prędzej ubrać. Gdakano o tym zapamiętałe; wysokość kasku, kolor munduru, szerokość spodni, grubość podeszew – wszystko to roztrząsało plenum sejmowe. Posłowie, co nie odróżniliby prochu od kaszy, spierali się do upadłego o pakowność patrontaszy, o długość piki.

– Kurtka dragona winna mieć dziewięć guzików! – wołał hetman Tyszkiewicz.

– Przenigdy! W razie alarmu nie zdąży się zapiąć! Siedem guzików wystarczy! – oponował pisarz koronny Kazimierz Rzewuski, mający się za wielkiego znawcę wojskowości, odkąd ruskie żołdacy pogwałciły mu wszystkie dziewczki folwarczne.

– Dragoni Fryderyka mieli po dziewięć guzików pod Molwitzami i dzięki temu ich atak rozstrzygnął o zwycięstwie.

– Widocznie atak był po południu i zdążyli się ubrać.

– Ustanówmy osiem guzików i niech będzie zgoda – proponował marszałek sejmu, Małachowski.

– Nie mogę przystać, bez dziewięciu guzików to żaden dragon.

– Jeden więcej niż siedem – to każda bitwa przegrana. Proszę o głosowanie!

I szedł turnus, a hetman Tyszkiewicz mruzczał: – Wybuliłem 300 000 złotych za mój urząd i jeszcze mnie za autorytet nie uważają! Co za bezczelność!

Otóż jest to niewątpliwie sposób mówienia o najczcigodniejszych z polskich sejmów zupełnie *irrévérencieux*, bez uszanowania, bez nijakiego respektu. Jest to szarganie sejmu, który dał nam Konstytucję trzeciego maja, który pamiętamy opromieniony grą Janiela i polonezem z finału *Pana Tadeusza*. Ale znowu, i niewątpliwie, wszystko, co tu pisze p. Karol Zbyszewski, jest i zgodne z historyczną prawdą, i – słuszne! Ten sejm strawił przecież cztery lata drogiego czasu na szczegóły, pogubił się w drobiazgach, dziesięciorzędnych kawałkach, zmarnował okres,

kiedy Katarzyna była zajęta wojną turecką i miała kłopoty szwedzkie. Te cztery lata obfite w patriotyczne krasomówstwo, te dyskusje o ilości guzików na kurcie dragońskiej grubo kosztowały Rzeczpospolitą!

I wbrew temu, co sądzimy, zdanie Karola Zbyszewskiego nie jest wcale obce literaturze historycznej. Tylko że to, co inni powiedzieli do połowy, do ćwierci, co rozmydlili, osłodziли i rozwlekli na setki stronic, porozlokowali w przypiskach, to ten niemożliwy, ordynarny Karol wywalił na pierwszy plan, wypowiedział aż do końca, skomprymował, wyżył ze wszelkiej literackiej wody. Dlatego właśnie jest taki dosadny.

Ale dlatego właśnie jednym zdaniem, jednym chwytem, maluje cały obraz. Oto właśnie w czasie Sejmu Czteroletniego bohater tej *vie romancée*, Julian Ursyn Niemcewicz, poczyną wydawać słynną wtedy „Gazetę Narodową i Obcą”. Po raz pierwszy silny, francuski, rewolucyjny wiew idzie po stęchłościach saskich, po buduarach arystokratycznych polskich kochanic Repninów i Stackelbergów:

„Gazeta dawała spore zyski. Należało się z tym kryć, bo zarabianie piórem wywołało-

by w salonach zgodny okrzyk: – pfe! W Polsce jedynie prostak mógł pieniądze zarabiać. Dystyngowanemu człowiekowi godziło się je tylko – dostawać.”

Król Staś, twórca Łazienek, współtwórca Konstytucji, nie doczekał się tutaj zbyt łaskawego portrecisty:

„Rankiem 16 lipca Niemcewicz poszedł na Zamek, został wprowadzony do garderoby króla. Stanisław August siedział przed lustrem nie umyty, nie uczesany, bez szminki – wyglądał na stare pudło. Słuchał raportu kurliera przed chwilą przybyłego z Litwy:

– Trzecia dywizja cofnęła się pospiesznie pod Słonim, cały tabor stracony...

– Uaaa – ziewnął król.

– Czwarty pułk został rozbity, kilkudziesięciu ludzi padło.

– Uaaa.

– Major Różycki i kapitan Biesiadecki zabici.

– Uaaa.

– Po stronie rosyjskiej zabity został Zubow...

– Kto taki?! – podskoczył król.

– Zubow, Walery Zubow, udało się naszym dragonom go przystrzelić...

– Łotry, zbrodniarze – tupał nogami król – zamordowali szwagra najcnotliwszej Imperatorowej! Tego nieszczęścia jeszcze nam brakło! Precz, won z moich oczu!

Kurier wybiegł oszołomiony. Dobrą wiadomość zachował na ostatek i właśnie ona dopiero rozzłościła króla. Nie rozumiał.”

Oto w jakich skrótach, w jakich zgrużleniach pokazuje p. Zbyszewski historię. I mielibyśmy to wszystko za persyflaż, za objaw dosyć brutalnej wyobraźni, gdyby nie... Gdyby nie maleńkie, niemal niewidoczne cyferki na boku, z odsyłaczami na końcu książki, gdzie, skąd i jak, w jakim archiwum leżą dotąd nie wydane i nie znane, obkastrowane przez „poważnych” historyków wspomnienia i memuary...

Natomiast byłoby mylnym powiedzieć, że cała książka Zbyszewskiego, wydana pod ryzykownym, obcesowym tytułem, jest książką lubującą się w brudzie, w ordynarności, w prostactwie. O, nie! Są miejsca w książce, gdzie ten sam Zbyszewski pisze z głową odkrytą i czapką w rękę, tak samo skąpy w sło-

wa, ale jaki inny. Ile razy przechodzi wobec wielkości historii, tyle razy Karol Zbyszewski jest daleki nie tylko od Céline'a, nie tylko od Zegadłowicza, nie tylko od Boya, a nawet od Wasylewskiego. I to właśnie stanowi o książce.

Zjechać ją będzie łatwo. Tak książek się nie pisze, tak ich nie pisano. Tak nie pisze się zwłaszcza historii. Tak nie pisano dotąd w Polsce o wytwornym „królu Stasiu”, tak nie pisano o pięknym księciu Pepi. Tak nie pisano o pani Grabowskiej, o wspaniałych damach rokoka, o księżnej Izabeli, o wielkich paniach, umilających gorliwie noce wysłaników Katarzyny. Ten się nie cacka. To wszystko prawda. Z tych wszystkich licznych i ważkich racji wolno wołać o skandal, wolno się oburzać, gorszyć, krzywić, wydymać usta wobec „ordynarności”. To wszystko – wolno. Ale... – Ale oto nawet najbardziej zjadliwy krytyk nie potrafi zataić, że książka Karola Zbyszewskiego nie jest lada jaką łatwizną powieści historycznej, jakie się mnożą w naszych czasach, gdzie historyczne niedouki ufają swojej genialnej intuicji lepiej niż archiwum, więcej niż nauce. Jest to książka pisana językiem ulicy, językiem paszkwilu

i pamfletu, językiem rynsztoku – wszystko to można powiedzieć, zgoda. Ale jest to zarazem książka oparta na solidnej wiedzy historycznej, wygrzebana z dziesiątka archiwów, wyłuskana strona po stronie, epizod po epizodzie, fakt po fakcie. Był jakiś zamysł dziennikarski w grzebaniu się w tym wszystkim. Iluż historyków „z fachu” nie potrafi wydobyć ciekawych szczegółów. W ciężkich pracach wielotomowych ile zbiera się dusznego kurzu archiwaliów!

Jest to książka pisana nie tylko ze studiami, ale jeszcze z pasją. Z olbrzymią pasją. A w tym sęk, że u nas nie pisze się historii z pasją. W tym sęk, że nasi historycy kiwają głowami i nad dobrymi chęciami Stanisława Augusta, i nad szlachetnością Kościuszki, że uronią łezkę i nad zanością intencji Szczęsnego, i nad zasługami Kołłątaja. W rezultacie wszystko wychodzi podlane sownicie jednakim, lepkiem, letnim, mdławym sosem ogólnego rozgrzeszenia. Tymczasem książka Karola Zbyszewskiego ma swoje strony brutalnych, krótkich oskarżeń, o ileż gwałtowniejszych niż wszystkie dosadne określenia, które mógłby z niej wyłuskać, ku zgorszeniu samego siebie, lada zawodowy krytyk. Tymczasem ta książka, jędrna, dosadna,

trywialna, ma w sobie istotnie coś ulicznego, ale nie tylko z tej uliczności, jaką szanujący się krytyk uważa od wieków za synonim ordynarności i chamstwa. W tej książce bez patosu, bez głądzeń, bez frazesowych rodzynków, bez literackich lukrów, pisanej nie tylko prosto, ale i „prosto z mostu”, jest niezawodnie wulgarność ulicy. Tak jest. Ale jest to wulgarność ulicy warszawskiej z krwawego rewolucyjnego czerwca, insurekcyjnej Warszawy 1794 roku. To obrzydliwa wulgarność tych, co chcieli wieszać zaprzedanego króla, a wieszali Kossakowskich i Ożarowskich, możnych hetmanów i wspaniałych kasztelanów, świecąc szubienicami w poblądłe okna Zamku. Tych, co w uliczki starego miasta tchnęli grozą jakobińskiego Paryża, czerwienią czapki frygijskiej, tętnem ludowej karmanioli.

Oto właśnie, co trzeba przede wszystkim powiedzieć o tej jedynej w swoim rodzaju książce. Kto, jak Zbyszewski, studiował u źródeł, wdarł się na dno upadającej Rzeczypospolitej, czerwienił hańbą upodlenia możnych, kogo mdliło od sejmowych słowolejstw, tego musiało korcić i skusić niejedno brzydkie słowo. Ta książka – to nie sąd daleki i odległy o dalekiej przeszłości. To współczesny dzien-

nikarski atak, świeży aktualnością, dygocący pasją. Odzywa się ten autor bez ceremonii o królu-jurgieltniku, o wielkich paniach-kokotach, o posłach-cymbałach, o wojskowych safundułach. Odzywa się wzgardliwie o ciemnych jak tabaka w rogu panach podczaszych brześciańskich. O magnacie-złodzieju mówi się tam *per* złodziej, a o jaśnie pani-magnatce *per* gamratka.

Ale właśnie w ten sposób mówił o nich w owym 1794 roku, roku insurekcji kościuszkowskiej, ten lud warszawski, porwany przez Kilińskiego i Konopkę, ten, co wyrznął rosyjskie załogi spodłonej przez karmazyków stolicy, co odpierał u jej bram armie pruskie, a potem konał na szafkach męczeńskiej Pragi. Właśnie w książce Karola jest gniew, wściekłość, pogarda tych ludzi. W tej monografii brutalnej, dosadnej, aż obrzydliwej, wściekłej, prawdziwej, pasjonującej, dochodzą do głosu wreszcie ci ludzie bezimienni i nieherbowi, niejurgieltnicy i nieurodzeni, niewytworni i niedystyngowani. – Uliczni? Pewno że uliczni. [...]

Gdańsk – „miasto niegdyś nasze”

Muszę przyznać się otwarcie, że za ostatniej bytności w Gdańsku nie odwiedziłem Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej, że nie byłem w centrali partii hitlerowskiej, że nie zajechałem do Kałdowa, miejsca gdzie padł już przecież pierwszy strzał. To znaczy, że nie patrzyłem ani na teraźniejszość, ani na najbliższą przyszłość. Jakby nic nigdy nie zaszło, włóczyłem się po ulicach i uliczkach gdańskich, ulicach i uliczkach starego, dawnego Gdańska. Kościoły o tej porze są czarne i chłodne wilgocią jak stare lochy latem. W podsieniach domów mieszczańskich utrzymuje się rzeźwość wirydarzy klasztornych pod wiosną. W takie niedzielne popołudnia ulice są bardziej wymarłe niż kiedykolwiek, a skąpe drzewka u przedproży domów na Frauengasse jeszcze mniej dają cienia niż zawsze. Ale za to w ta-

kim lipcu jak obecny twardy gotyk najstarszych budowli traci swoją niemiecką kancistaść, twardość średniowiecznej ascezy, pruskość okutego w stal knechta. Ale za to barok pękających rogów obfitości, toczonych w dębie kolumn schodowych w Dworze Artusa, rozkraczonych ciężko starych szaf i sepetów, pęcznieje jeszcze bardziej, pęka jak dojrzały owoc, wybrzusza się jak szlachcic ze sztychów Chodowieckiego i staje się jeszcze bardziej sarmacki, niż był kiedykolwiek. Ale cienkie rąbki złocień rokokowych na domach przy murach miejskich (ostatnie piękne, co budowano w Gdańsku) stają się w tym słońcu skąpej Północy jeszcze bardziej złociste i jeszcze lżejsze. I poczwórna aleja wspaniałych lip do Oliwy jest o tej porze roku najbardziej zielona listowiem, najbardziej cienista konarami, najgwarniej pszczołami rojna. A nic w świecie nie kojarzy się tak przecież z wyobrażeniem dalekiej Polski kołodzieja Piasta jak ule pasieczne i zapach rozkwitłych lip. I o takiej porze roku Gdańsk jest najbardziej polski. Jak najbardziej niemiecki jest porą zimową i dżdżystą, gdy Wisła wyszarza się ku morzu i wieją północne wiatry, te same co przed wiekami niosły ku nam, od bazaltowe-

go Bornholmu, czarne korabie Wikingów. Latem przychodzi tu zawsze Polska, jak podpływała niegdyś złotym bogactwem komięg, pszenicą, z tyłu ziem polskich spławianą do spichrzy motławskich. Zimą wraca tu zawsze północ, północ normandzka, gotycka i nor-dycka. Tak nad tym miastem odprawia się misterium ani słowiańskie, ani germańskie, lecz łatyńskie: Persefona wraca do Demeter, Persefona Demeter opuszcza.

I wiem, że nie ma nic z dziennikarskiego aktualizmu w tych rozważaniach na pół mitologicznych, a także, że tak o tym mieście nie myśli dzisiaj mój wielki, wielki naród, naród, w którym ofiarność tak zwanych malucz-kich, ich gotowość do walki, jest może naj-większą, najbardziej wzruszającą rzeczą, jaka dzieje się w świecie szerokim. Wiem, że aż po wsiach najgłuchszych (a może właśnie po tych „najgłuchszych” wsiach) – jest wo-jenna gotowość taka sama jak ta, co w roku pańskim 1410, także w skwarne ówczesne la-to, kiedy król bił po puszczech zwierza na „wielką wyprawę” i kiedy Zbyszkom z Bog-dańca, Cztanom z Rogowa, Powalom z Ta-czewa śniło się „poszerzenie ojcowizny” ku morzu dalekiemu, oparcie jej o ten Gdańsk,

o Piłę, o Sambię pruską. I jeśli co ludzie z mas polskich wyorują dziś ze swej pamięci o Gdańsku, to tylko pamięć owej rzezi zgotowanej słowiańskiemu Gdańskowi przez krzyżowych rycerzy, owego dnia św. Dominika, po którym przez tyle wieków śpiewka szła po checzach kaszubskich: „A w Raduni krwawo woda, szkoda ojca, że co szkoda!” Dla tych ludzi prostych, ale którzy stanowią jedno z narodem, jaki tu żył temu lat pół tysiąca, marzy się najwyżej słowiańska, nikła, legendarna przeszłość Gdańska, a ta, niemiecka, historyczna jest im nienawistna i obca. Cemu się zresztą dziwić? Jeśli lipcem dziejowym Gdańska był wiek, kiedy po raz pierwszy spłynęły Wisłą, Narwią, Bugiem i Pilicą galary zbożowe, to przecież orać na to począł ciężko i krwawo chłop, zagnany wtedy do obróbki na pańskim folwarku. My, szczupła, szczuplejąca z roku na rok i z pokolenia w pokolenie warstewka szlacheckiego pomiotu, możemy patrzeć inaczej na ów wiek „złoty”, gdy dla nas wracały z Gdańska łodzie z sukmem luńskim i korzeniami przyprawnymi, szkła ozdobne i szafy zamczone. Oni, z pokolenia w pokolenie, byli tymi, którzy płacili za to, że spod Nieszawy i Cerekwi-

cy pospolite ruszenie szlacheckie poszło jednak na Chojnice i Malbork, a nie do domu. Im jest trudno kochać ten Gdańsk niemiecki, hardy, ten, co Batoremu się opierał i początki polskiej floty witał zawistnie. Im jest trudno kochać ten Gdańsk, który już się skończył i odszedł. Którego nie będzie, jak nie będzie już Pragi złotej, i polsko-ruskiego Kijowa, i Konstantynopola, jeszcze w czasach potomków Bajazeta pełnego bizantyjskiego piękna Komnenów. Oni bardzo po chłopsku kochają – och, jak kochają! – i nie te mury, ale tę piędź ziemi, jaka niedużą bryłką tkwi u ujścia polskiej Wisły do Bałtyku. I przeto żegnam dziś Gdańsk, jak żegnałem rok temu Pragę: oto rozchwiała się na zawsze współpraca polsko-niemiecka, jak rozchwiała się przed rokiem współpraca czesko-niemiecka, wiekowa, płodna współpraca, która budowała dwie wielkie kultury, i jako wyraz najpiękniejszej tej kultury – dwa wielkie, dwa przepiękne miasta.

Stare miasta są miastami antykwariatów. Gdańska nie niszczyły wojny, nawet napoleońska, nawet tak zwana Wielka. Przeto Gdańsk był miastem antykwariatów, a dziś jest nim bardziej niż kiedykolwiek. Właśnie

w tych tygodniach, kiedy czeka się na nowe gromy i nowe strzały, kiedy ludzie są tu tak spłoszeni, jak rok temu w Egerze-Chebie sudeckim, Egerze Schillera i Wallensteina, lady antykwariatów gdańskich zalewa *tout embar-ras* starego mieszczańskiego bogactwa. Można by powiedzieć, że zanim skończył się dawny Gdańsk, już się skończyła owa warstwa rajców miejskich i kupieckiej szlachty, po której Rzeczpospolita tyle dobrych zachowała wspomnień i której doszukiwała się przez ostatnich lat dwadzieścia w każdym Sahmie i w każdym Ziehmie, a wreszcie w Hermanie Rauschningu. Skończyła się i wyprzedaje. Wszystko na wyprzedazy! Srebrzą się srebra stare, wyjadłe, zużyte, błękitnieje mieszczański delft, rozsychają ciężkie meble gdańskie, dobre znajomki. Ale może najśliczniejsze, sercu najbliższe, są te stare biedaczki cyny. Srebra przetapiano w potrzebach wojennych. Srebra były w bogatszych domach i z domów tych córki patrycjuszowskie wnosiły je – jakże często! – daleko poza Gdańsk, wchodząc do domów szlacheckich i ziemiańskich, wychodząc za Mierów, Szembeków, Potworowskich, za półpolskich a półpruskich junkrów z tamtej strony Wisły.

Cyny pozostawały. Przeto te cyny są nieraz starsze, bliższe nam, że nie tak przepyszne, nie tak magnackie, a przecież w pięknie linii nie mniej pańskie. I wreszcie stare portrety pań w robronach i kryzach, mężczyzn o twarzach chłodnych, zamkniętych, północnych. Jest cała przeszłość Gdańska na wyprzedazy. Nikt się po nią nie zgłasza. Pewna epoka odeszła jak fala, i jak fala odchodząca „mieci za sobą muszle, perły i korale”. Ale nowa fala, która przyjdzie, zmyje owe szczątki i odrzuci. Podnieść nie podniesie. Fale bowiem nie podnoszą niczego i nikogo.

A jednak człowiek, który jest pogrobowcem psychicznym dawnej Rzeczypospolitej mnogoziemnej i mnogoludnej, Rzeczypospolitej wielu mów i więcej jeszcze wiar, nie będzie mógł patrzeć na ten koniec Gdańska inaczej niż z sercem najgłębiej i najsamotniej ściśniętym. W krakowskich Sukiennicach, ponad kramami tandetnych dzisiejszych towarów, wśród herbów miast polskich sąsiaduje Gdańsk z Kijowem. Te herby sukiennickie to wielki anachronizm. Tam są i Wrocławie, i Pskowy, i Smoleński, i Orsze. To prawie tak jak tytuły królów Portugalii czy Hiszpanii, którzy światem trzęśli, po których pozostało

jeno puste wspomnienie. Wywołują one takie samo zakłopotanie u współczesnych, jak wtedy gdy w domu miejskim jakiejś polskiej rodziny dochowa się parę sztucy czy łyżek obficie wytłoczonych herbami, przypomnienie ostatnie, krępujące, czasów gdy przodkowie owych ludzi mieszkali w pałacach, mieli kozaków w liberii i rozjeżdżali w karetach. Otóż w tych herbach sukiennickich nie bez racji i nie z megalomanii sąsiadowało wielkie miasto znad ujścia Wisły z grodem znad Dniepru. Trzeba znać to, czego młode pokolenie już nie zna i znać nie będzie: rozpustne złoto kopuł cerkiewnych Ławry Peczerskiej, biel klasycystycznej dzwonnicy i rokoko włoskiej cerkwi zawieszanej na dniewprowej skarpie, żeby sobie uświadomić, że skrzydła Orła Białego zmiatały szron północnych mórz i nawiewały ciepło z czarnomorskich limanów. Rzeczpospolita osiadała tym Orłem nad czarnymi kirchami gdańskich lutrów i nad baniami błahoczestiwych cerkwi, pod którymi piał starosłowiańskie molebnie mnich brodaty w riasie tybetańskiej, w których pachniał ładan i schły moszcze rurykowiczowskich starców. Po ulicach tego miasta bałtyckiego, które należało do wielkiej konfraterni hanzeatyckich, ger-

mańskich miast handlowych, chodzili ludzie bliżsi mową Holbeinom i Rembrandtom, bliżsi swym życiem Egmontom i Hornom; nawet ich bunty przeciw królom polskim miały w sobie coś z owych mieszczańskich buntów, jakie gezowie niderlandzcy wzniecali przeciw kastylskim namiestnikom. Tyle że Batory nie miał tych wojsk co Filip II, i namiestników w stylu księcia Alby. Po ulicach tamtego miasta, schodzącego jarem na dniewowy padoł, po ulicach, które przypominały raczej suk arabski czy majdan Siczy kozackiej, chodzili ludzie bliżsi koczownikom z Samary i węglarzom z Wołogdy, niedalecy wnukowie koczowników z jurty mongolskich i arb mandżurskich. Dziś dziwimy się, że tak być mogło. Może kiedyś zrozumiemy jeszcze, że aby utrzymać wolność tych ziem, nie mogło być inaczej. Potem, dużo potem, na gruzach tego Gdańska miała urosnąć jedność militarna Prus fryderycjańskich. Potem, dużo potem, ten sam Kijów miał być pomostem, po którym potomkowie wielkiego Piotra mościli sobie trakt dziejowy od granitów znad Newy do białych marmurów Bosforu. Ale wtedy w skład *Corpus Regni Poloniae* wchodziły te dwie ziemie, te dwa grody i dwa ludy tak sobie niepodobne,

tak różne. To tak jakby w skarbczyku klejnotów słowiańskiej królowy Wandy spoczywał nabrzmiały perłami Wschodu naszyjnik Szecherezady i rzeźbiony kunsztownie pierścień Loreley. I to tak jakby naraz znikły z owego skarbcza i naszyjnik, i pierścień. I późniejszym dziedzicom pustego skarbcza były i ten, i tamten – obce.

Tedy na widok tego Gdańska, którego ostatni przepych schodzi do antykwariatów, gdzie w ciągu paru krótkich lat polsko-niemieckiego porozumienia, przy wszystkich Białowieżach i rewizytach więcej zniszczono polskich pamiątek, więcej zamalowano Białych Orłów niż za Flotowa i Bismarcka, jestem pełen myśli o tym, co się ostatecznie i tutaj jeszcze kończy. Nikt, świadomy polskiej przeszłości dziejowej, nie może przejść przed tym skończonym już Gdańskiem bez głębokiego salutu dla całej tamtej przeszłości. Jak w Pradze, jak wobec Pragi. Albowiem Gdańsk jest jedynym i najpiękniejszym pomnikiem, jaki na rozdrożu narodów, na rozgraniczu mów, wzniesiono na cześć współpracy dwóch wielkich szczepów jednej europejskiej rodziny. Były Psie Pola i Grunwaldy, były pokotem leżące krzyżackie płaszcze komturów na pła-

skich rozłogach Płowiec. Była hakata i była Września. Ale była wielka kobieta dziejów Polski, taka Zyta piastowskiej dynastii, Ryksa-Rycheza, która kraj wyrwała z anarchii pogańskiej, po śmierci Mieszka II, i – córka i siostra niemieckich cesarzy – przywróciła tron Kazimierzowi Odnowicielowi, a jedność państwu. Śpi dziś zapomniana w podziemiach kolońskiego tumu. Byli niemieccy mnisi po klasztorach i niemieccy drukarze w Krakowie, i niemieccy budowniczo wież zamków wołyńskich, i ludzie niemieckiej krwi, ludzie niepożyci, budowniczo wiekopomni: Linde, Lelwel, Estreicher, Brückner. Była może walka i wraźba wiekowa, współpraca niezwykle ścisła, niezwykle płodna. W latach najcięższej niewoli mógł Sienkiewicz, bez uchybienia narodowej godności, rzucić wawrzyn hołdu owym zaciężnym żołnierzom regimentu niemieckiego, który pod Żółtymi Wodami dał się wyciąć w pień hordom Tuhaj Beja i kureniom Chmielnickiego z tej prostej racji, że aż do maja zaciągnął się w służbę Rzeczypospolitej. W przededniu zmagania narodów, w przeddzień śmiertelnych zapasów tych znad Szprewy i Renu, tych znad Wisły i Bugu, może wolno, jak umarłemu, wielkiemu Gdańskowi

złożyć ostatni hołd i tamtej, jak on zmarłej, wielkiej polsko-niemieckiej przeszłości?

I jest jeszcze w owym Gdańsku i w owej przeszłości zaulek historii wyjątkowej urody pełen i wyjątkowo mało znany. Wiemy, że w owej wojnie Kazimierza Jagiellończyka z Zakonem miasta pruskie i szlachta pruska zrzucały władzę zakonną i biegły pod królewski miecz. Wiemy, że załogi wydawały miasta, wiemy, że Gdańsk zburzył niemiecki, zakonny zamek, wiemy, że władza pruska pękała tu od wewnątrz, rwała się we wszystkich spojeniach, ale mało wiemy o tym, że przez długie dziesiątki lat miasta pruskie i szlachta pruska – Prus Królewskich, zwanych dzisiaj Pomorzem – posiadały swoje prawa i swoją mowę, i swój własny sejm krajowy, i swoje własne rządy. Język przywilejów królewskich, tych właśnie, które rozsadziły spoiwość krzyżackiej władzy, był może bardzo średniowieczny, niczym dzisiejsza koronacja w Anglii, ale miał niezwykle nowoczesną treść. Był to iście wolnościowy dynamit. W owych niemieckich miastach pomorskich, których Gdańsk był koroną, pęczył z dawna dynamizm mieszczański i laicki, racjonalistyczny i wolnościowy. Tu, w zarodku, tkwiły

pryncypia, z jakich powstają ustroje republikańskie. Tu, w tej patrycjuszowskiej kołysce, drzemała w powijakach demokracja. Przez długie dziesięciolecia życie tej pomorskiej prowincji państwa polskiego, rządzącej się własnym prawem, przez własnych ludzi, było czymś zbliżonym do kantonów szwajcarskich, do siedmiu niderlandzkich prowincji, do republikańsko-arystokratycznej Wenecji, do oligarchicznych miast włoskich. Przez nie wzmacniał się w Polsce ówczesnej element mieszczański, racjonalistyczny, pozytywny, pasując się z ryzykanctwem i niepohamowaniem szlacheckim. Właśnie tu, pod polskimi rządami, potrafił rozkwitnąć i wybujać. Popatrzcie na miasta Prus Wschodnich, na Elbląg, na pusty Malbork, na Sztum, miasta ponure, jednostajne, zakrzepłe i skarłałe, miasta przeznaczone na klasztory wojennych ludzi, na nudę prowincjonalnych garnizonów, na poligony koszarowej musztry! Z jakim trudem mogła się tam lęgnąć chłodna myśl Kanta! Z jakim naturalnym odruchem ciążył ku Polsce Heilsberg i Warmia nacjonalistycznego kanonika Kopernika! Jakżeż naturalnie był Gdańsk kolebką rodziny Schopenhauera! Jakże to zrozumiałe, że bronił się przeciw

Prusom, że emigrował stąd wszystkim, co było najbardziej wolne, najbardziej – gdańskie. Jak organicznie kojarzyła się na tym brzegu morskim Polska z wolnością. Jak płodny był ten sojusz. Jak niemożliwy do utrzymania, gdy głos wolności ustał. I jak to jednak pięknie, nad grobem Wolnego Miasta, u polsko-niemieckich rozstajów, ku chwale Polski przypomnieć.

Wiązano to miasto jakże często z wielkimi miastami Bałtyku i wielkimi portami Hanzy, z Bremą, Szczecinem, Lubeką, Hamburgiem, Rewlem, Sztokholmem. Wieki klęsk polskich zamuliły dawne ich związki, podały w zapomnienie taką wewnętrzną polską Hanzę, z Warszawą i Sandomierzem, z Brześciem i Uściługiem wołyńskim, sięgającą głęboko w trzewia rozległych ziem polskich, łączącą się aż z wielkimi szlakami wodnymi moskiewskiej Rusi przez podmokły świat Prypeci. Nim omszało tradycją i spatyniało bogactwem wieków, było naprawdę wielkim oknem dla całego świata, oknem, którym przeciągały wichry potężniejsze niż te, jakie w dni niepogody zawiewają mokrym chłodem od spleśniałych kanałów Motławy. Potem zamurowano to okno. Ziemie, które

przez nie na świat daleki patrzyły, zaczęły poziierać na świat przez inne okna, przez adriatycki Triest i czarnomorską Odessę, przez Rygę, a nawet Hamburg. Rozdrapano i rozdzielono dziedzictwo gdańskie. A gdy „dziedzictwo gdańskie” choć w części na nowo się zrosło, okno gdańskie pozostało zamurowane i martwe. Trzeba było na pustym wybrzeżu nowe sobie okno wybijać. I Gdańsk był już wtedy przeszłością tylko. Przeszłością była ta wolność mieszczańska, ni Kościołowi nie uległa, ni królom. Port gdański zawiąły piaski z wschodniopruskiej Sambii. Sam Gdańsk zawiąły inne, wschodniopruskie, jałowe piaski...

Dzień tak mi zeszedł w tym Gdańsku, gdzie krok po starych płytach wydzwania, i gdzie zegary z wież kościelnych gwarzą i gwarą, którą ściszy huk armat. A jednak historia raz jeszcze przystanąła nad Gdańskiem. Raz jeszcze wiele ziem naszej strony świata spogląda w owych tygodniach na Gdańsk. Nie tylko Polska. Polska może nawet najmniej. Patrzą na Gdańsk i Rumunia, i Jugosławia, i Grecja, patrzy Turcja, patrzy Bułgaria, zerkają ukradkiem (bo inaczej im nie

wolno) dzisiejsze Węgry i dzisiejsza Słowacja. To znaczy wszystkie kraje środkowo-wschodniej Europy, którym grozi los stania się niemieckim „*Lebensraumem*”. Gdańsk będzie dla nich sprawdzianem.

I może jest to ostatnia rola, jaką przyjdzie staremu miastu owej wielkiej Polski odegrać w historii. A przecież dawna wykreśleniu nie ulegnie nigdy. Wbrew temu, co by się wydawać mogło, czas pracuje nad komasacją Europy. Czas pracuje nad złaniem europejskich ziem i plemion, nad zburzeniem granic, którymi Europę posiekano, którymi się ją grodzi. Czas pracuje nad tym, aby zamiast tej jedności doktrynerskiej i książkowej, jaką przynosiła Europie Liga Narodów, postawić jedność wyrosłą z organicznych potrzeb tej wielkiej części świata. Może wyjdzie ona z wojny. Ale wyjdzie. Kto będzie narzędziem historii? Pod jakimi hasłami ta jedność nastąpi? Kto przeważy? Oto pytanie bez rozstrzygnięcia. Ale jeśli się je rozstrzygnie w imię wolności i kultury, w imię współpracy plemion europejskich, wtedy przyszłość odgrzebie i przypomni to wielkie dzieło, jakie tu właśnie wzniosła w w. XV współpraca polsko-niemiecka. Przeciwwstawi bogactwo kul-

turalne owych Prus Królewskich kulturalnej jałowości Prus Książęcych. Gdańsk – Królewcowi. Mieszczan – kurfirstom. I wtedy mogłoby się zdarzyć, wtedy nawet się zdarzy, że odbielą się same zamalowane na czarno orły tego miasta, pojawią się na nowo nowe pomniki polskich królów. I wspólna historia Europy, jaką w innych niż dzisiejsze szkołach uczyć się będzie, szczęśliwszym niż dzisiejsze dzieciom powie, że w owych dawnych stuleciach tu – u ujścia Wisły – znaleźli się ludzie staroświeccy, mieszczenie, szlachta, kanclerze i ławnicy, Polacy i Niemcy, Niemcy i Polacy, którzy dla dzieła jedności europejskiej byli tym właśnie, czym Farman i Bleriot czy bracia Montgolfier i mityczny Ikar stali się dla lotnictwa. Że w w. XVII, o ścianę od religijnych nawałnic wojny trzydziestoletniej, zrealizowano i utrzymano na całe stulecia współpracę dwóch – rzekomo jakże różnych – szczepów rasy europejskiej. I ten szmat dziejów Polski będzie wliczony uroczyście, wbrew nędzy dnia dzisiejszego, do wspólnych dziejów budowy Europy.

Prawdy nie z Żeromskiego

Jest mnóstwo rzeczy wielkich w tym Londynie wojennym, bombardowanym co nocy, bombardowanym co dnia, ale jest w tym wszystkim jedna jeszcze, którą zna dobrze każdy, kto wraca do domu późno, mimo bomb i mimo ciemności, nieraz błądząc po pustych ulicach, wśród warkotu motorów i strzelania armat, przypominając sobie noce madryckie, noce warszawskie: to widok stacji londyńskiej kolei podziemnej. Szereg tych stacji jest dziś zamkniętych dla ruchu, wiele stacji nocą nie działa, ale pociągi przejeżdżają przez nie, można wysiąść, przejść przez labirynt korytarzy, sal, przechodów. Tych stacji jest co najmniej paręset, tych sal, korytarzy, peronów – co najmniej parę tysięcy. To wszystko nocą jest pełne ludzi, śpiących pokotem na ziemi, przykucłych po schodach, potrącanych przez

przechodniów, bezsennie czytających jakieś powieści kryminalne, tanie wydania klasyków, brukowe gazety. Dzieje się to wszystko w zaduchu podziemi i setek pocących się ludzi, w denerwującym świetle lamp, w niewygodzie twardej posadzki, w kurzu i brudzie. Ci ludzie schodzą tak noc w noc, trwa to tygodnie, trwać będzie nie wiedzieć jak długo. Odbywa się to wszystko w milczeniu niezwykle godnym, jakby to wszystko było czymś najprostszym i najnaturalniejszym w świecie, bez słowa skargi czy żalu. Do niczego i do nikogo. W tej atmosferze londyńskich shelterów* jest nie tylko zaduch, ale jest jeszcze coś, co ludzie zamiłowani w patosie nazywają dyscypliną moralną, a ludzie nie lubiący frazesów – po prostu dobrym wychowaniem. W shelterach jest naprawdę naród gentlemanów. W shelterach panuje ład, nie zakłócający niczym i nikomu powszechnego spokoju, ludzie potrącając się przeproszają skwapliwie i z uśmiechem, w shelterach jest porządek taki, jakiego w żadnym innym kraju nigdy by nie utrzymał żaden policjant. Niewygoda, niebezpieczeństwo, ofiary – wszystko to

* *Shelter* (ang.) – tu: schron.

przyjmowane jest jako coś najzupełniej nie znaczącego i przypadkowego, właśnie tak jak zachowuje się człowiek dobrze wychowany, gdy mu ktoś nadepnie na najbardziej bolący odcisk.

Nie należałoby jednak sądzić, że ludzie z kolejkowych shelterów są to synowie landlordów i wychowankowie arystokratycznej szkoły w Eton, nawet że są to ludzie średnio zamożni czy też niebiedni i że dlatego są „dobrze wychowani”. Jest to, przeciwnie, ludność najbiedniejsza i najuboższa, jaką można odnaleźć w Londynie. I znowu nie trzeba, niestety, sądzić, że biedny mieszkaniec Londynu jest to nabab w porównaniu z biedotą mieszkańców Warszawy, czy że Whitechapel jest lepszy od Nalewek, bo leży nad Tamizą, a nie nad Wisłą. Ci ludzie z shelterów kolei podziemnej są biedni, bardzo biedni: widać to po ich ubraniach, tandecie lichej, raczej okrywającej ciało niż odziewającej je, tandecie z Bałut i Białegostoku, z naszych wytwórni tandety. Widać to po ciałach, suchotniczych, wymęczonych, niezdrowych, widać po zniszczonych za wcześnie kobietach, widać po małych biednych dzieciach, które tysiącami leżą w tych

korytarzach podziemnych, piąstkami małymi zasłaniając oczy we śnie przed światłem wielkich lamp łukowych, jarzących się nielitościwie tuż nad główkami. Mógłby tu wiele pomedytować doktor Judym. Tak, jest to przegląd nędzy, wielkiej nędzy, prawdziwej nędzy. Dawniej gnieździła się ona po ulicach, na które nie zaglądał cudzoziemiec, z dala od trawników parków, z dala od dzielnic banków, pałaców czy will. Teraz wypłoszono ją bombami niemieckimi z nor miżernych, z poddaszy czy suteryn, czy wspólnych pokojów i koczuje po wielkich korytarzach Undergroundu, zalała je wodami zaskórnymi proletariatu. Ci gentlemani to nędzarze, proletariat najbardziej autentyczny w świecie. Wypłoszono ich. Bombardują ich domy, zabijają ich, utrudniają im uzyskiwanie żywności, pracę, wszystko. Są to nędzarze. Demagog mógłby powiedzieć: Anglia nie dała im nic. A jednak w niezmaconym spokoju oni wszystko, jak rzecz najbardziej naturalną, oddają swej Anglii. Zażądano, żeby schodzili do schronów i zachowali tam spokój. Oni bez słowa schodzą i zachowują spokój. O, jakież wspaniały, jakże imponujący! O ileż wspanialszy niż Indie, niż oceany,

niż Westminster. Jakże godny wielkiego narodu.

Nie jest to ani rzecz mała, ani przejściowa. Ma ona w sobie coś więcej niż aktualność dziennikarską: jest to raczej wielkie zagadnienie polityczne. Ta postawa mas posiada głębsze oparcie. W Anglii nie istnieje żadna szkoła polityczna, która by snuła zasadę, że czyjś stosunek do państwa powinien być taki, jaki jest stosunek państwa do niego: w Anglii nie było pisarzy, którzy by wywodzili, że jeśli ktoś, człowiek czy klasa społeczna, jest obojętny na sprawy państwa lub nawet im wrogi, to znajduje on rozgrzeszenie w fakcie, że temu komuś czy też całej klasie było źle. W tej Anglii natomiast jest powszechnie przyjęta i przez wszystkich szanowana zasada, że wszyscy są tak samo zobowiązani do ofiar wobec ojczyzny, czyli, jak tu się mówi, króla, zupełnie niezależnie od tego, czy czyjś stan majątkowy jest korzystny, czy też nie, czy się komuś dzieje, czy nie dzieje, krzywda. A przecież ktoś patrzący na te sprawy nie po angielsku, ale w sposób naszemu myśleniu nieskończenie (niestety!) bliższy, mógłby powiedzieć, że gdzie jak gdzie i kto jak kto, ale tu, w Anglii, ci ludzie z kolejki podziemnej

mogliby łatwiej niż ktokolwiek inny na świecie żywić jakieś żale, rościć jakieś pretensje. Ta Anglia londyńskich nędzarzy jest przecież pierwszym imperium świata, władczynią przebogatych Indii, olbrzymiej Kanady, pustej Australii, lwej części Afryki, wielkich obszarów i niezmiernych bogactw rozsypanych na całej kuli ziemskiej. Ojczyzna tych ludzi z shelterów posiada naftę Mossulu i Transwalu, bawełnę Haidarabadu, wełnę Australii, kauczuk Czarnego Lądu, największy przemysł świata i największe na świecie rynki zbytu, przez wiele stuleci wybiła się na stanowisko nadrzędne w świecie, a oto pozostawiła setki tysięcy i miliony nędzarzy i biedaków w swym własnym sercu i tym ludziom nic nie przyszło z całej tej wspaniałości. Cóż by za używanie miał tutaj jakiś kontynentalny, wschodnioeuropejski demagog! Jak by mógł piorunować na niesprawiedliwy „podział dóbr”! Jakżeby mógł się rozwrzeszczać na temat „świata pracy”? Bo jeśli gdzie indziej, w krajach tysiąc razy biedniejszych i mniej możnych niż to wspaniałe imperium, byli biedni i nędzni i tam proklamowali się publicznie, że nie są obowiązani do służby ojczyźnie, póki są nędzni i upośledze-

ni, to cóż by należało powiedzieć o Wielkiej Brytanii?

W listach z obozów żądamy ciągle pojawienia się książek Stefana Żeromskiego, wielkiego pisarza i wielkiego sumieniem człowieka, wspaniałego stylisty, twórcy *Dumy o hetmanie* i *Sułkowskiego*, *Popiołów* i *Wiernej rzeki*, *Syzyfowych prac* i *Przedwiośnia*. Same nazwy tych dzieł to jakby przesuwanie przed oczami jakichś wspaniałych gobelinów, ilustrujących dzieje Rzeczypospolitej, wspaniałych obrazów batalistycznych, w których jest i krwawy dramat Cecory, i Saragossa napoleońska, i ponure cienie turonia, i grottgerowski rok 1863. Trzeba zaszalutować tej całej wielkości, ale potem z największym żalem trzeba powiedzieć, że są w tej wielkości rzeczy chore, rzeczy szkodliwe, rzeczy niebezpieczne. Twórczość Tołstoja jest wielka, jego dzieła są arcydziełami literatury rosyjskiej i światowej, a jednak twórczość ta działa rozkładowo na społeczeństwo rosyjskie, i jeśli Rosja półliberalna Mikołaja II nie weszła na europejskie tory rozwoju, ale stoczyła się w przepaść sowieckiego totalizmu, to pchał ją w ową przepaść wśród wielu innych rzeczy także geniusz Tołstojowski.

Inaczej, ale podobnie, ma się rzecz z Żeromskim. Rzecz jasna, nie jest to racja, by dzieł jego nie czytać, tym mniej, aby ich nie wydawać, ale jest to racja, by oddzielać szlachetne piękno pisarskie od historycznego fałszu. Musimy oddać hołd geniuszowi; możemy uznać niesłuszność jego lekcji. Co to jest lekcja Żeromskiego? To pouczanie nas, że dawna Polska upadła, bo była ugruntowana na krzywdzie ludu, gnębnego przez szlachtę; to tłumaczenie nam, że powstania nie udawały się dlatego, że lud był dla nich, jako dla imprezy „panów”, obojętny lub wrogi; to wreszcie twierdzenie, że państwo, by być bronione przez szerokie warstwy ludności, musi dbać o ich dolę i stawiać sobie za cel istnienia ulżenie tej doli, inaczej lud dla państwa będzie obojętny, i nawet nie można się temu dziwić. Czy to jest lekcja tylko Żeromskiego? Wcale nie. Jest to zbiór tez wygłaszanych w różnych czasach przez różnych myślicieli i działaczy polskich, czasem bardzo czerwonych, czasem bardzo białych. Jeśli tezy te, moim skromnym zdaniem, niebezpiecznie mylne, łączę z nazwiskiem wielkiego pisarza, to tylko dlatego, że on je dla naszego pokole-

nia siłą swego talentu najwspanialej wulgaryzował. To tylko dlatego, że przez jego wspaniałe dzieła mogą się one jeszcze i teraz sączyć do umysłowości polskiej i w tej umysłowości zaciemniać pewne prawdy, które znacznie ściślej ujmuje raczej lekcja londyńskich shelterów. Obecny okres emigracyjny to nie tylko okres walki o Polskę, to okres myślenia o Polsce, przyszłej Polsce. Byłoby źle, gdyby walcząc o Polskę popełniano błędy strategiczne, byłoby źle, gdyby myśląc o Polsce opierano się na historycznej nieprawdzie, politycznej demagogii.

Historyczną nieprawdą jest przede wszystkim to, że dawna Polska upadła dlatego, że była tyranem olbrzymich mas wiejskich, krajem pańszczyzny. Polska XVIII wieku istotnie była krajem o pańszczyźnianym ustroju rolnym i Polska ta istotnie upadła, ale te dwie rzeczy nie pozostają ze sobą w żadnym związku przyczynowym. Przede wszystkim Polska nie była jedynym krajem w Europie, który wówczas posiadał ustrój pańszczyźniany. Poza arcyzadkami i drobnymi wyjątkami posiadały go wszystkie państwa kontynentalne. Jeśli o tym kto zapomina lub nie wie, może mu to przypomnieć każdy podręcznik historii po-

wszechnej. Dalej, Polska nie była nawet krajem, w którym stosunek szlachcica do chłopów był szczególnie uciążliwy. Jaskrawym tego dowodem jest to, że podczas każdego z naszych rozbiorów mnożyły się wypadki uciekania chłopów spod Rosji czy Prus do Polski, a nie wypadki odwrotne. Wiele na ten temat utyskiwano podczas traktatów rozbiorowych, wiele wymieniano not, toteż nasi historycy, od lewicowego Lelewela do konserwatywnego Kalinki, mogli to swobodnie ustalić. Nie w dawnej Polsce, ale w Prusach, a zwłaszcza Rosji, zależność chłopów była większa, sroższa, bardziej okrutna. Nie w Polsce szlacheckiej, ale w Rosji carskiej bogactwo obszarnika liczono ilością „dusz” chłopskich, i to nie w XVIII wieku, ale aż pod drugą połowę następnego stulecia. Niemniej, mimo to wszystko, to nie Polska rozszerzyła się kosztem Rosji czy Prus, ale to tamte państwa rozebrały Polskę. Dlaczego? Dlatego, że przyczyną upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej było wiele rzeczy, ale przede wszystkim brak rządu i brak wojska. Z dwóchsettyśięcną armią, dowodzoną przez wyszkolonych oficerów, nie bawidamków, nie wytrwałych pobieraczy pensji i znakomitych znawców musztry galo-

wej, mogłaby była ówczesna Rzeczpospolita nawet bez żadnych reform włościańskich pobić tamte państwa, a w każdym razie osłabić ich apetyty zaborcze.

Historyczną nieprawdą jest dalej i to, że powstania nie udawały się dlatego, iż nie popierał ich „niechętny panom” lud. To także nie jest prawdą, jakkolwiekby to ilustrowano najpiękniej brzmiącym słowem. Powinnibyśmy już, naprawdę, na tyle wyczytać lekcję strategii, by wiedzieć, że od najmniej stu lat żadne powstanie ludowe nie wskórało nic przeciwko regularnej armii. Wiek XIX obok powstań polskich znał powstania greckie, serbskie, belgijskie, bułgarskie, węgierskie. Udawały się tylko te, które uzyskały pomoc jakichś obcych mocarstw, kończyły się fiaskiem te, którym tej pomocy odmówiono. Oto reguła, od której wiek XIX nie znał wyjątku. Jeśli nawet strupieszła Turcja radziła sobie nieźle, acz krwawo, z powstaniami ludów bałkańskich i dopiero interwencje takich potęg jak Anglia czy Rosja przeważały szalę, jeśli już i niepodległość Belgii poczęła w roku 1830 szwankować, gdy walka z ulic Brukseli przeszła na pola flandryjskie, gdzie pułki holenderskie miały przewagę, jaką ma każda regu-

larna armia – dlaczegoż tylko z Polską byłoby inaczej? Czemuż nie patrzeć na Europę? Prawda ta była zresztą jasna dla wszystkich wodzów powstańczych, i tych z 1831, i tych z 1863; dlatego właśnie tyle wysiłków daremnych zużyli na spowodowanie interwencji mocarstw. Nie. Przyczyną klęski powstań nie było to, że nie porwały za sobą ludu. Lud zresztą, zwłaszcza wiejski, nigdy i nigdzie nie jest skłonny do powstania. Przyczyną klęski powstań było to, że Polacy nie zdołali wywołać wojny innych o swe wyzwolenie, jak to powiodło się Grekom, Bułgarom czy Serbom. Tak samo, powiedzmy sobie szczerze, nie czerwone nastroje Legionów Piłsudskiego i nie dosyć problematyczna popularność, z jaką je powitano w narodzie (mimo ich bardzo czerwonych haseł), stały się w 1918 roku przyczyną wskrzeszenia Polski. Polska powstała do życia dzięki temu, że jej zaborcy w 1914 roku pobili się na jej grobie. Polskę wskrzesiło nie powstanie ludowe, ale wojna państw, którąśmy umieli genialnie wyzyskać. To niezawodnie brzmi mniej pięknie, mniej poetycznie niż wielkie słowa księcia Sułkowskiego, rzucone podestom weneckim. Mniej się może nadaje do pięknego obrazu, wiersza

czy powieści. Ale to jednak jest właśnie i jedynie prawdą, a tamto tylko szumnym, przepięknym pióropuszem frazesu.

Historia przechodzi w politykę. Błędy popełnione w ocenie przeszłości przerzucają się na dzień dzisiejszy. Mściły się, a jeśli je ponowimy, mścić się będą. Politycy polscy niepodległości proklamowali bardzo często konieczność stawiania „szklanych domów”, dziecińców, żłobków, kas chorych, osiedli robotniczych, po to by lud, gdy przyjdzie wojna, „miał czego bronić”, miał „o co walczyć”. *Przedwiośnie*, moi panowie, to cudowne, przepiękne, straszliwie złudne *Przedwiośnie!* Cóż na to odpowiedzieć? Na to można odpowiedzieć bardzo wiele rzeczy. Po pierwsze, wydaje mi się, że żłobki, kasy chorych i osiedla powinno się budować dla mas robotniczych nie dlatego, że inaczej bić się nie będą, ale dlatego, że powinno się je budować w imię miłości bliźniego – jeśli się jest chrześcijaninem, humanitaryzmu – jeśli się jest demokratą, wreszcie w imię miłości Polaków – jeśli się jest nacjonalistą. Po drugie, dlaczego imputować ludowi, że „za nic”, za „samą ojczyznę”, bić się nie będzie; tak jakby kto inny bił się za swój sklep, majątek

ziemski czy posadę; tak jakby ktoś, co posiada sklep, majątek ziemski czy posadę, na pewno nie skrewi, murowanie pójdzie do wojska! Jasne, że nie. Co za materialne stawianie sprawy przez naszych idealistów! Po trzecie... To po trzecie jest bardzo tragiczne: Czechosłowacja nie stawiała oporu, choć była krajem społecznych „szklanych domów”. Francja nie stawiała godnego siebie oporu, choć była krajem reform Bluma, choć jej masom robotniczym działało się doskonale. To „po trzecie” uzupełnia się dla nas jeszcze jednym tragicznym argumentem: oto nędzarska Polska 1939 roku okazała się jednak prawdziwym rajem dobrobytu w porównaniu z tą otchłanią nędzy, jaką jest Rosja sowiecka, jeden nasz zaborca, a istnym rajem wolności w porównaniu z tym, czym jest inny nasz zaborca – Niemcy hitlerowskie. Nie. Polska nie upadła i w 1939 roku dlatego żeby była krajem krzywdy społecznej, upośledzenia klasowego czy czegoś tam jeszcze. Polska upadła dlatego, że nie umiała czy nie mogła przeciwstawić dostatecznej ilości dział, samolotów, czołgów, siły. Niemcy i Rosja nie zwyciężyły nas ani wspaniałościami swych swobód ludowych, ani ogro-

mem dobrobytu. Zwyciężyły po prostu tym, że mogły więcej wytworzyć siły i z możliwości tej skorzystały lepiej.

Wypada się przejechać nocą po tych podziemiach londyńskich, wypada przemyśleć nasze drogi od półtora wieku. Lud bije się za ojczyznę zawsze. I nasz lud nie jest tu gorszy od angielskiego. Tylko lud musi być prowadzony, musi być ujęty w karby organizacji państwowej, która go uzbroi, powiedzie, da przykład. Przykład inny niż srom piławiecki szlachty uciekającej przed Kozakami Bohdana Chmielnickiego*, przykład inny niż lśniących limuzyn na drodze do Zaleszczyk. Przykład taki, jaki daje swej stolicy król i królowa angielscy, angielski premier, angielska „elita”, jak by to powiedziano w Warszawie przed dwoma laty, pozostający w stolicy, i nawiedzający miejsca najbardziej dotknięte przez bomby, narażający się i pracujący. Zamiast rozgrzeszać od wierności ojczyźnie tych, „którym ona była macochą”, należy postawić zasadę, że o ojczyznę walczy

* W rzeczywistości wbrew Sienkiewiczowskiej wizji pod Piławcami uciekło nie pospolite ruszenie, ale regularne wojsko.

się zawsze i o ojczyznę walczy każdy, a tylko ci, którym więcej było dane, powinni walczyć, narażać się i bić w pierwszym, najpierwszym rzędzie. Najwytrwalej. Najdzielniej.

„Wiadomości Polskie” 1940, nr 34

Puścizna czasów saskich

W zacisznym lektorium British Museum zasiada niemal stale kilkunastu Polaków, a niewielkie wózki, rozwożące książki wzdłuż pulpitów, wyładowują przed nimi dziesiątki najrozmaitszych, przeważnie rzadkich i niedostępnych dzieł.

Najczęściej są to książki o polskiej przeszłości. Różnych rzeczy szuka Polak w największej bibliotece świata, ale przede wszystkim rozgarnia przed sobą te mroki i rozsnuwa te pajęczyny, które się oplotły wokoło własnego naszego wczoraj. Wielu ludzi chce tu znaleźć przede wszystkim blaski, zapewne „ku po krzepieniu serc”, i ich praca przypomina wtedy staranne oczyszczanie jakiegoś klejnotu artystycznego czy staroświeckiej szpady, z których trzeba zetrzeć napętlę i którym trzeba przywrócić dawne połyski. Ale zapewne są i tacy, którzy zamiast pocieszenia wolą czerpać nau-

kę, i tych zaciekawia nie tylko pytanie, jak to było z tą Polską możną, wolną, bogatą i wielką, skąpaną w lipcowym jagiellońskim słońcu, wpatrzoną w renesans wawelskich krużgan- ków, zasłuchaną w łopot bojowy sztandarów spod Obertyna i w pszczelny poszum czarnole- skich lip. Są jeszcze i tacy Polacy, którzy prag- nęliby dociec, jak to się stało, że państwo tak wielkie, tak możne i tak szczęśliwe stało się nie Chrystusem, ale Hiobem narodów, nędzarzem na własnej ziemi, wygnańcem na obcych łą- kach. Są tacy, których interesują nie tylko bla- ski narodowej przeszłości, ale jeszcze i jej po- nure cienie. Nawet najhaniańskie.

Dlaczego interesują ich te mylne drogi sprzed stuleci? Dlaczego pochylają się nad ha- niańskimi praktykami epoki rozkładu? Dla- czego, zamiast wsłuchać się w *Te Deum* zyg- muntowskiego dzwonu, wsłuchują się w brzęk jurgieltowych talarów, za które potomkowie hetmanów wyprzedawali Rzeczpospolitą? Na pewno nie dlatego, że są gorszymi Polakami od tych, którzy w przeszłości chcą widzieć tyl- ko sławę. Pragną wiele spraw na nowo przemy- śleć. Polacy ci wiedzą, że wiele zmieniło się w toku stuleci, ale że pewne rzeczy pozostały niezmiennie. Nasze równiny pozostały bez-

bronnie i otwarte, tak samo jak brzegów Albionu nie przestało oblewać ochronne morze. Na wschód od naszych ziem i na zachód od nich żyją dalej ludy bitne, prężne i zaborcze. Być może nawet, że ongi lasy i bagna chroniły nasze granice lepiej niż dzisiaj, a nasi sąsiedzi nie byli jeszcze jednolici i zvarci. Położenie zatem pogorszyło się, ale zasadniczo pozostało takie jak było. A naród polski, choć pozdejmował kontusze, choć przestał podgalać łby i sprowadzać węgrzyna przez Karpaty, niewiele odszedł od swej przeszłości szlacheckiej. W burzy dziejowej zagubiliśmy korony naszych królów, spłonął w niej zamek warszawski, zagięły wielkie płótna Matejki, ale my sami pozostaliśmy tacy sami. Wyrzut „znowu jest wszystko jak było” nie jest wymysłem naszej emigracji. Powtarzano go w r. 1807, gdy w burzy napoleońskiej wyłoniło się Księstwo Warszawskie, powtarzano je i w Królestwie Kongresowym, i w powstaniu listopadowym, i po nim, i zawsze. Zmieniały się ustroje, prawa, ubiory, poczęły ginąć dwory, a wyrastać fabryki, przyszedł dylizans, a po nim kolej żelazna, jedne warstwy wyrastały ku górze, inne obsuwały się w grób, ale pewne rzeczy pozostawały trwałe i niezmiennie. Jeżeli dzisiaj

czytamy dzieje złotego wieku Jagiellonów, trudno nie stwierdzić, że tamto społeczeństwo było jednak bardzo odmienne od naszego. Jeśli za to czytamy dzieje epoki saskiej, czasów, od których staczaliśmy się w dół, to wtedy, ku największemu naszemu przerażeniu, odkrywamy wiele niepokojących pokrewieństw tamtych i naszych czasów.

Stwierdzenie to jest tak banalne, że dziś nie polemizuje z nim już nikt, ale też nikt nie stawia tutaj niewygodnych kropek nad i. Wolimy nie ustalać, na czym polega zdumiewające i niepokojące pokrewieństwo epoki naszej z epoką saską, a przede wszystkim z tym, co było jej prawdziwym początkiem, a zarazem *initium calamitatis Reipublicae*: z terroryzmem wobec myśli. Gdy piszemy o Polsce jagiellońskiej, podziwiamy przede wszystkim jej wolność. Chwalimy jej tolerancję religijną, jakże odmienną od praktyk wszelkiego rodzaju inkwizycji, dominikańskiej, kalwińskiej czy sekciarskiej. Gdy piszemy o Polsce saskiej, która zaczyna się zresztą przed Sasami, piszemy, że zamilkła w niej powoli wszelka myśl, że myśl wszelka była w niej tępióna. Przez kogo tępióna, zapytamy, skoro Polska nie miała absolutnej władzy monar-

szej, skoro król był tu pajacem i cieniem. Któż mógł w Polsce palić książki na stosie, skoro powściągnięto tu inkwizycję, kto mógł ścigać pisarzy, skoro nie działały tu biurokracje takie jak w burbońskim Madrycie i habsburskim Wiedniu? Kto mógł zakazywać wnoszenia projektów praw, skoro na tronie polskim nie zasiadał żaden Ludwik XIV? A jednak, odpowiada nam historia, książki w Polsce były palone, ich autorzy ścigani, projekty praw tępione, myśl zagłuszana. I to właśnie stało się początkiem klęsk, jak brud jest początkiem robactwa, a robactwo przynosi epidemie. A więc gdzie w Polsce, pyta młody czytelnik w British Museum, było źródło owego terroru, który jak rak żarł ciało wielkiego narodu?

I znowu nie ma historyka polskiego i nie ma pracy historycznej, która by na to pytanie miała dwie różne odpowiedzi. Istotnie, w Polsce nie było monarchy-tyrana, inkwizycji-oprawcy, biurokracji-knebla. Polska władza państwowa była cieniem. Cieniem chwiejnym i nikłym. Ale właśnie dlatego i dzięki temu Polska popadła w niewolę innych zgoła sił niż nie najgorsze jeszcze siły króla, Kościoła czy państwa. Mianowicie popadła pod jarzmo wpływowych klik, koterii

i mafii. Ambitne jednostki z garstką popleczników zależnych od nich finansowo, zwane konfederacjami, wykwitały raz po raz, z lada pretekstu, w tej czy innej stronie kraju, jak na ciele chorego pokazują się raz po raz chorobliwe nowotwory. Na sejmikach pojawiały się „partie” – pana miecznika czy pana stolnika, na sejmie zjawiały się „frakcje” – wojewody czy hetmana. Szabel, których nie dobywano na wroga, dobywano tym skorzej – na sąsiada. Najskorzej i najjednogłośniej dobywano ich jednak na takiego sąsiada, który miał na przykład odwagę powiedzieć: „Nie jesteśmy mocni, nie mamy najlepszego ustroju, musimy usunąć nasze prawa, bo są złe”. Takiego oczywiście ogłaszano infamisem i złym Polakiem. Powiadano, że wszystko plugawi. Prawa, jakie potępiał, były to elekcja *viritim* i *liberum veto*.

Sądownictwo Rzeczypospolitej Polskiej owego okresu dawno bardzo nie znało w praktyce sądów, jeśli pod nazwą sądu oznaczamy instytucje państwowe trudniące się wymiarem sprawiedliwości. Znało natomiast instytucję zajazdów. Wielkie pióro Mickiewicza przekazało nam na zawsze taki obraz. To ów Dobrzyń, dokąd emisariusz na-

poleoński zwołuje bitną szlachtę, by dobyte swych szabel przeciwko zaborcy. Ale szlachta dobrzyńska woli je dobyte przeciwko kurrom, wieprzkom, indorom i baranom swego sąsiada, sędziego Soplicy. Może nie jest przypadkiem, że w chatach Dobrzynia buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepuje się żarna, podczas gdy ze ścian dworku sędziego spogląda już Kościuszko, ten co się już nie bił na sejmikach, oraz Jasiński, ten jakobin, co marzył o wieszaniu, a padł jak bohater na szanćcach Pragi. Może nie jest przypadkiem, że w tym najechanym dworze zegar wygrywa kuranta nie na melodię Godzinek, ale rycerskie nuty Mazurka Dąbrowskiego? Może nie jest przypadkiem, że w tym napastowanym domu są książki, że leży tam *Fedon* i żywot Katona. W Dobrzyniu leżały pewno *Nowe Ateny*, sennik egipski oraz *Pistolet do zabicia grzechu śmiertelnego*. Sędzia Soplica nie jest luminarzem. Nie jest reformatorem. Książek nie pisze. Ale je czyta. Sędzia Soplica – o zgrozo! – nie pije, a gdy motłoch szlachecki spaja się, robi mu wyrzuty: „Wy szlachta pijecie jak baki”. To wszystko umiano sobie dobrze zapamiętać. Te zbrodnie kazały patriotom zaściankowego formatu zapomnieć

o Napoleonie, o burzy, która wali przez świat, o Moskalach, o wszystkim. „Hajże na Soplicę!” – tysiąc głosów wrzało. Oto jak nurt walki narodowej był włączany przez ciemne siły, urabiając głupotę szlachecką w koryto prywaty. Oto jak z rzekomo narodowych pobudek – wygnanie z Litwy Moskala – umiano korzystać umiejętnie dla celów mających ogromnie mało wspólnego z tzw. dobrem Rzeczypospolitej, o którym gardłowano, a za to ogromnie wiele – z utajonymi własnymi, małymi celami, które sprawnie miano na oku. Piękna Litwa nie tylko przechowała w swych borach do naszych czasów ostatnie żubry, nie tylko zasłynęła ze swych mateczników. Prywatne wojny Domejków i Dowejków czy Sapiehów i Paców, a w mniej dawnych czasach Mackiewiczów i Okuliczów, trwały tam do ostatniej pory. Zajazd na Soplicowo nie był też wcale w Polsce zajazdem ostatnim. Mieliśmy taki zajazd, poprzedzony nagonką prasową, polegający na wypaczeniu treści pewnej recenzji, zmontowany przez pewną wpływową i wówczas, i potem mafię, wykonany przez ludzi, którzy i wówczas, i potem pozostali znakomicie bezkarni. Był to zajazd nie na sędziego, ale – to też znamienne – na

uczonego. Było to nie w w. XVIII, ale w roku Pańskim 1939. Nie mieliśmy wtedy, jak widać, większych zmartwień. Nie było to w Rzeczypospolitej szlacheckiej, ale w nowoczesnym państwie. Sądy nie ukarały bijących, ale ukarały pobitego. [...] Nazywał się Stanisław Cywiński.

W w. XIX, nawet w w. XX, społeczeństwo polskie dźwigało się powoli z epoki saskiej. Oświata robiła swoje. Przestano więc uważać, że wszystko, co polskie, jest na pewno najlepsze, że krytykowanie urządzeń polskich musi być dowodem braku patriotyzmu. Nie była to droga w Polsce łatwa. Nikt we Francji nie spoliczkował Victora Hugo, ale w Polsce spoliczkowano Krasińskiego; nikt we Francji nie spoliczkował wielkiego pisarza Balzaka, ale w Polsce spoliczkowano Bolesława Prusa. Nikt we Francji nie proklamował zdrajcą narodu Lamartine'a, ale emigracyjne nagonki nie raz jeden, jak gorzko zaświadcza Norwid, proklamowały infamisem Adama Mickiewicza. Tylko że w w. XIX, tym wieku niewoli, ale i podniesienia z brudów haniebnego przeszłości saskiej, obmywała nas zimna struga myśli. Coraz więcej ludzi mówiło, pisało i myślało odważnie, a sfera sejmikowych naganiaczy

nie ważyła się wtedy na nowe występy. Tragiczny los Leszczyńskiego, którego *Głos wolny* był spalony na kilkudziesięciu sejmikach, wieloletnie walki Konarskiego, którego oskarżano o deprawowanie młodzieży, albowiem potępiał złotą wolność, a wreszcie los Andrzeja Zamoyskiego, który musiał złożyć dostojęstwa i zniknąć dlatego tylko, że poważył się wnieść na sejm reformistyczny – jakże łagodny! – projekt praw, swoje jednak zrobił. Drogię utorował. Słowacki mógł już w *Grobie Agamemnona* ochłostać narodową przeszłość – a wtedy jeszcze nie chronił go, rzecz jasna, pośmiertny nimb sławy, Żeromski mógł przykazać społeczeństwu twardy obowiązek szarpania ran polskich „aby nie zabił ni się bliźną podłości”. Ale też Żeromski był ostatni. Już jego powieść *Przedwiośnie* w niepodległej Polsce spotkała się z nagonką doskonale zorganizowaną. W Polsce, jak wiadomo, dobrze zorganizowane są nie wojny, ale nagonki. Wielki pisarz był przez wielkie dzienniki oskarżany ni mniej ni więcej tylko o komunizm, sprzyjanie obcemu mocarstwu, jego nazwisko łączono z dwoma oficerami, Bagińskim i Wieczorkiewiczem, którzy wysadzili składy na Cytadeli. Szczęściem u steru Rze-

czypospolitej stał człowiek nader skromny i nader łagodny, ale w pewnych sprawach wykazujący katoński charakter. Ten człowiek w swej przeszłości był kiedyś robociarzem, zecerem, i z dumą opowiadał, że omal nie dano mu do składania którejś rzeczy Żeromskiego. Przeciwno temu prezydentowi także ruszyła już zresztą fala reakcji. Miała go nawet zmieść. Dla przyszłych włodarzy Rzeczypospolitej pozostanie na zawsze wzorem skromności, miary, taktu i samodzielności. Nazywał się Stanisław Wojciechowski.

Polak, który się grzebie w księgach British Museum, nie będzie potrzebował zbyt wiele trudu, aby stwierdzić, że coś przecie odgradza zasadniczo naszą narodową przeszłość od wielu innych przeszłości. Oto w małym którym narodzie kalumnia miała siłę tak potworną. Kiedy już zmierzch zapadał nad Rzeczpospolitą, społeczeństwo nasze nienawidziło, podejrzewało i zwalczało Władysława IV za jego „konszachty” z Ukraińcami, tj., chciałem powiedzieć, z Kozakami. Wielbiło za to i nosiło na rękach jednego z najgorszych naszych królów, Michała Korybuta, który z kolei tak wysoko nosił majestat Rzeczypospolitej, że przyjął z rąk sułtana lenniczy kaftan. Ten Ha-

cha naszej historii był u nas bożyszczem sejmików, ulubieńcem zajazdów i – oczywiście – miał za sobą całą ówczesną opinię publiczną. Tak samo jak największy z Wazów miał ją w całości przeciwko sobie. Najlepsze w Polsce, a jedno z najlepszych w ówczesnej Europie szkoły, mianowicie ariańskie, pozamykano, pozamieniano na lamusy lub stajnie także na wniosek polskiej opinii publicznej. Trzeba czytać nie mdławę wypisy szkolne, ale dzieła Konopczyńskiego czy Korzona, żeby zobaczyć, jak bardzo polska „opinia publiczna” innego czasu potępiała ustami swych nadętych miernot Konstytucję trzeciego maja, i jak ogromnie wiele stronników posiadała w tej nieomyślnej opinii Targowica. Kalumnia w Polsce smaga Kołłątaja i dosięga Kościuszkę, kalumnia spotwarza księcia Józefa, kalumnia ściga pospołu Czartoryskiego i Lelewela, Mierosławskiego i Wielopolskiego, Bobrzyńskiego i Daszyńskiego. Pozostawia natomiast w spokoju Szczęsnego Potockiego i Ksawerego Branickiego, gen. Zajączka, setki miernot, tysiące spryciarzy i niezliczone mnóstwo kanalii.

Z odrodzeniem Polski tryska nowa fala sasczyzny. Ci, co pamiętają te czasy, wiedzą,

że znaczna część opinii polskiej powtarzała z najlepszą wiarą, że „Piłsudski nie chciał bronić Lwowa”, a nader „szanowni i poważni” ludzie ręczyli (jak zawsze, słowem honoru), że ukradł korony królów polskich z Włodzimierza. W chwili gdy armie Tuchaczewskiego wgniotły się w spalony Radzymin, opinia publiczna polska dawała wiary twierdzeniom, że pomiędzy Belwederem a sowieckim sztabem istnieje tajny przewód telefoniczny. Korfanty, człowiek który wrócił Polsce Śląsk, był poniewierany bezkarnie, moralnie i fizycznie, był pomawiany o chęć oderwania tego Śląska od Polski, nie pozwolono mu wrócić do kraju nawet na pogrzeb syna, a gdy wrócił w chwili gdy burza już szła na Polskę, wsadzono śmiertelnie chorego człowieka ponownie do więzienia. Najhaniebniejsza z haniebnych zbrodni, zamordowanie Gabriela Narutowicza, nie odbyło się bez opinii publicznej. Strzał, który padł do pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej w salach warszawskiej Zachęty, ani nie zrodził się sam z siebie, ani nie począł się z głowy wariata. Zrodził się z długiej, wytrwałej, mistrzowskiej, uporczywej, starannej nagonki prasowej. Nagonki tak doskonale zorganizowanej, jak tylko w Polsce organizuje się tę

rodzimą formę terroru, inkwizycji. Tylko że w r. 1922 w Polsce jeszcze było wiele sił, zdolnych do stawienia oporu nawrotowi do praktyk saskich siedemnaście lat później. Gdy przyszło do sprawy Cywińskiego, tych sił było mniej.

Człowiek, który w lektorium British Museum wczyta się w to wszystko, człowiek, który umie wycisnąć treść z czasów saskich i odnaleźć ich analogie w naszych, powie sobie niechybnie: jeśli u nas tzw. opinia publiczna była tylekroć nakręcana przez mafie, kliki, koterie, posługiwała się krzykaczami i rębajłami, a najgorsze oskarżenia rzucała na największych ludzi – cóż się działo z mniejszymi? Otóż z „mniejszymi” działo się to samo. Uczony, profesor, norwidolog, patriota Cywiński był bezbronny wobec bezprzykładnej, a raczej typowej polskiej nagonki zorganizowanej przez organ potężnej mafii naprawiaczy, tygodnik „Naród i Państwo”. Jakżeż szczuty, zagrożony, napadany, był późniejszy autor *Alarmu*, Słonimski! Jego *Rodzina* należy do najświetniejszych komedii polskich [...], ale to wszystko nie przeszkadzało nagonce czynić zeń półbolszewika, nie chroniło przed napaściami jakichś Ipohorskich. No-

waczyński czy też Dołęga-Mostowicz raz po raz „odwiedzał” glinianki, tracił oko, miał sobie przykładany rewolwer do skroni – wszystko przez przedstawicieli opinii publicznej. Kiedy Mackiewicz pisał, że jesteśmy rozbrojeni, że nie mamy dróg i czołgów, podobnie jak Abisynia, organ armii, a zapewne i opinii publicznej, „Polska Zbrojna” piętnowała ów brak patriotyzmu. Ponieważ mieliśmy jeszcze wtedy własne państwo, przeto nie poprzestaliśmy na samym tylko piętnowaniu. Przyszła Bereza. Człowiek czyta, oczy przeciera i pyta sam siebie, czy doprawdy opinia publiczna w Polsce i jej wykonawcy nie mieli już nikogo gorszego do tropienia niż Cywiński, Nowaczyński, Słonimski, Dołęga-Mostowicz albo Mackiewicz? Czy to byli naprawdę najgorsi ludzie w Polsce, skoro stosowano wobec nich gwałt fizyczny i gwałt moralny? Czy przypadkiem nie ich prześladowcy zasługiwali na bat? I bez zaglądania do British Museum Polak wie, że w tym samym czasie publicystyka polska rola się od typów płazowatych czy gadziniowych, od Pochroniów literatury i Judaszów publicystyki, i że ci właśnie byli nie tylko bezkarni, ale nagradzani, fetowani, beztroscy,

niezależnie od tego, kto rządził i kto rządzi Rzeczpospolitą. I gdy to sobie Polak spokojnie zestawi, zapyta, jaka jest różnica naszych czasów i czasów saskich, kiedy również wszelka myśl, w jakiejkolwiek dziedzinie, była tępiona i zwalczana przez kliki, a człowiek tropiony był i bezbronny wobec zajazdów, tak samo jak sędzia Soplica w swym dworze czy prof. Cywiński w swym inteligentnym mieszkaniu? I człowiek zapyta dalej, jaką wartość posiada opinia publiczna w kraju, gdzie dalej zawiązuje się konfederacje, dalej urządza się zajazdy, dalej na własną rękę odsądza się od czci i wiary i dalej, z tupetem rozpitych rębajłów, nadaje się patenty na patriotyzm lub patriotyzmu odmawia? A Polak, który zrozumie, gdzie leży sedno zła, dlaczego nie możemy wyjść z kręgu naszych klęsk, i jaki to rak trawi dalej ciało Rzeczypospolitej, musi sobie powiedzieć: „Jakiż jest sposób na to, abym rozróżnił, kiedy zabiera głos opinia publiczna, a kiedy nagonka, kiedy potępiany jest winny, a kiedy tępiony jest dobry Polak, kiedy działają głębokie pobudki, a kiedy piecze pieczeń starych porachunków partyjna prywata?”

Otóż przede wszystkim, jeśli po jednej stronie występuje człowiek, którego się zna, który dotąd nie dał żadnych dowodów do stwierdzenia, że jest gorszym Polakiem od innych, a może dał nawet przeciwne, wtedy już należy się co najmniej zastanowić. Po drugie, należy się bacznie przyjrzeć tej sforcze, która ujada, i tej drugiej, która ujadających popędza i nimi kieruje. Ta druga jest najczęściej tak zaszargana w swej przeszłości, że choćby dlatego kryje się w dalszej linii zajazdu. Na dwór Soplicy zwały się nie tylko szlagony, także i dżokeje w liberii.

Nie ma najmniejszej trudności w zdemaszkowaniu tego, co kryje się pod obłudą owego hurapatriotyzmu. Zbyt dobrze wiemy, jak silni są, jak potężnieją ci, co z kraju wyszli zalezczyckim traktem, jak wielkie są ich apetyty na władzę, jak wielka wściekłość na tych, którzy ostrym refleksem publicystyki oświecili i przypomnieli grzechy niedawnej przeszłości. Oni rozumieją dobrze, że na drodze ich powrotu stoi przede wszystkim niezależny pisarz, jakiegokolwiek politycznej maści, byle niezależny. Wiedzą, że gdyby nie tacy pisarze, oni by dawno już, przy polskim braku prawdziwej opinii publicznej, stanęli na Kapitolu

władzy nie jedną, ale obiema nogami. Oni wiedzą. Ale chodzi o to także, abyś i ty, czytelniku, wiedział. Trzeba, żeby czytelnik polski na emigracji zdał sobie sprawę, iż każda nagonka mafii na każdego niezależnego pisarza – to nawrót do czasów saskich i bereskich, to wskrzeszenie epoki gliniankowo-oszczerczej, to tępienie w społeczeństwie wszelkiej myśli, wszelkiej poważnej troski, wszelkiego przewidywania i zapobiegania przez przewidywanie. Trzeba, żeby czytelnik wiedział, iż to nie chodzi o los Cywińskiego czy Dołęgi-Mostowicza, o los publicysty Iksa czy pisarza Igreka, ale że chodzi o to, czy w Polsce będzie wolno myśleć, czy nie, i czy wolno będzie taić i przeinaczać. Czytelnik polski nie może dać sobie wmówić, że jeśli ktoś cytuje czyjeś poglądy, znaczy, że je podziela, że jeśli ktoś myśli o tym, aby Polska musiała w przyszłości walczyć na dwa fronty, to godzi się na kapitulację. To w Polsce 1939 roku jeśli ktoś mówił, że nie jesteśmy przygotowani do wojny, ludzie nikczemni krzyczeli, a głupi wierzyli, że on chce, aby Polska była nieprzygotowana do wojny. Znam we Francji wypadek, że oficera rezerwy, który w marcu 1940 r. śmiał wątpić o zdolności oporu Francji, uważano u nas za agenta pię-

tej kolumny. Ale właśnie z tym stanem rzeczy należy nareszcie skończyć. Po dwóch latach pobytu na Zachodzie czytelnik polski może zrozumieć, że tam gdzie się kończy wolność słowa, zaczyna się na nowo hulanka naganiacka mafii, zaczyna się także droga do upadku Rzeczypospolitej.

Nie, nie są to rzeczy ani drobne, ani osobiste, ani małe. Nie jest to wcale interes prywatny pisarza, sprawa tego czy innego publicysty, tej czy innej wypowiedzi. Jest to to, od czego w Polsce zaczyna się upadek. Jest to właśnie pierwsza oznaka procesu gnilnego w narodzie. Jak go powstrzymać? Jak mu zawczasu zapobiec? Na to jest jedna droga. Trzeba, by w każdym takim wypadku masa czytelników polskich, ta prawdziwa, ta nie nakręcana i nie urabiana polska opinia publiczna stanęła ostro po stronie wolności, a przeciw nagonce, po stronie samotnego człowieka, a nie mafii, po stronie prawdy, a nie insynuacji. Trzeba, żeby w naszym społeczeństwie emigracyjnym utarło się nareszcie przekonanie, że Polska ma już naprawdę dosyć obyczaju sejmiku, konfederacji, zajazdu i najazdu patriotyzmu rębajłów i mądrości politycznej Panie Kochanków. Trzeba sobie powiedzieć, że do Kraju powinni-

śmy wnieść atmosferę Oksfordu, a nie do-
brzyńskiego zaścianka, odpustu w Upicie
i akademii w Smorgoniach. Że te wszystkie po-
zostałości najhaniebniejszych czasów w Rze-
czypospolitej należy za każdym ich objawem
wykroić żelazem narodowego przejrzenia, wy-
palić aż do korzeni ogniem społecznego gnie-
wu, i to wykroić, wypalić i zniszczyć za każ-
dym razem, tak aby upiorom przeszłości
odechciało się raz na zawsze nękać nas jak
ongi, by po całej tej puściznie saskiej, po tej
całej metodzie szkalowania, po tym całym sy-
stemie zagłuszania nie pozostało w przyszłej
Polsce najpodlejszego naganiacza i najmniej-
szego śladu.

„Wiadomości Polskie” 1943, nr 8

*Zagubione pokolenia**

Dziewczynę, która nas oprowadza, można nazwać piękną. To, co nam pokazuje, jest nieznanie i urocze, to, co nam opowiada, jest ciekawe i groźne. Czasami schodzimy z nią w cień komnat, czasami wyprowadza nas na taras, wysoko ponad dachy domów, wysoko ponad wieże minaretów. Wtedy błyszczący porcelanowe niebieskie niebo, błękitnieje roztocz Kaspijskiego Morza, ciągną się na lewo płowe, pustynne pagórki. W komnatach kamień odrzwi skłębiony jest dziwaczными liniami rzeźb, które głoszą jak dawniej potęgę Allacha; na dworze dalekie pagórki płowe popstrzone są setkami niewielkich, lśniących punkcików, widocznych mimo zamaskowania: cysterny. Dziewczyna opowiada nam

* Por. *Wobec Rosji* w nr. 134 „Wiadomości Polskich”.¹
(Przyp. aut.)

¹ Zob. *Wobec Rosji*, przyp. 1.

o jednej z najstarszych religii świata: o religii czcicieli ognia, która tu, na tysiąc lat przed Chrystusem, rozwinęła swój kult, a dziś ma jeszcze wyznawców. Dziewczyna mówi nam o jednym z największych bogactw ZSRR, które tu właśnie tryska swym najobfitszym strumieniem: o nafcie. Kraj za nami jest właśnie tym krajem legendy, gdzie Prometeusz wykradł ogień bogom; kraj za nami rozpoczynający się od owych płowych wzgórz to cel najbliższy obecnego pochodu Hitlera. Władali tu Persowie, Tatarzy i Turcy; zapędzali się tu Scytowie i Grecy; zjawiali się tu Amerykanie i Anglicy; grożą teraz Niemcy. Pogoda sierpniowego nieba jest złudnym spokojem, a cisza efeskich grobowców jest udaną ciszą. Gorączkowo pracują na wzgórzu lasy naftowych szybów; dniem i nocą na północ ku Astrachaniowi i Wołdze, do Stalingradu i Moskwy płyną ogromne, głębokodenne statki cysterny z ropą.

Ale dziewczyna jest tak piękna, że my z tego wszystkiego widzimy tylko dziewczynę, słyszymy tylko dziewczynę. Dlaczego najpiękniejsze kobiety są zawsze albo na Południu, we Włoszech, na Sycylii, w Hiszpanii, w Grecji, albo gdzieś daleko na chłodnej

Północy nieruchomych fiordów Norwegii, brzoazowych lasów Wielkorusi? Ta jest właśnie kobietą Południa. Ma południową przezroczystość cery, posągową pełność ciała, senną powolność ruchów, hieratyczność świątynną. Człowiek bez trudu odgaduje doskonałość harmonii jej ciała. To spokojne, naturalne piękno odbarwione jest nieomal z wszelkiego erotyzmu; jest za piękne. Kobięcym, ludzkim i nieposągowym, czymś żywym i czymś, co pociąga, jest tylko głęboka, u nas nie spotykana, nawet we Włoszech rzadka, zgęszczona czerń jej oczu i przejmująca czerń włosów. Trzeba taką dziewczynę zobaczyć, żeby uwierzyć, że oczy i włosy kobiece potrafią być tak czarne. Dziewczyna oprowadza nas, bo to należy do jej obowiązków, po tym dawnym seraju chanów, jacy władali tu, w Baku. Ale my nie chwytny ani opowiadań o chanach, ani statystyk o nafcie.

Jest nas trzech i jak od razu w nas trzech zrodził się jeden zachwyt, tak powoli myśl każdego z nas zdążyła do jednego zapytania. Jaka jest narodowość tej dziewczyny? Dziewczyna mówi świetnie po rosyjsku, ale ta rosyjskość ma w jej ustach obce brzmienie. Gdyby teraz przemówiła do nas którymkol-

wiek ze śródziemnomorskich języków, byłoby to o wiele naturalniejsze. Dziewczyna musi – każdy z nas to samo w sobie zdecydował – należeć do któregoś z kaukaskich szczepów czy, powiedzmy raczej, narodów. Może jest Gruzinką, może Ormianką, może pochodzi z Azerbejdżanu, może z Machaczkały? Statystyka sowiecka, która rozróżnia w ZSRR sto sześćdziesiąt odrębnych narodów, zna na samym Kaukazie narodów osiemdziesiąt. Nikt z nas nie zna wszystkich osiemdziesięciu, każdy zna jednak kilka najważniejszych. I oto, o biedo, nie możemy ustalić, jaki naród mógł wydać piękną pannę, która nas oprowadza po seraju w Baku. Albowiem w całej jej urodzie zadziwia zupełny brak Azji, coś, bez czego by się tutaj przecież nie obeszło. W tej urodzie jest jeszcze jakiś charakter – jak by to powiedzieć? – władczy. Może pański. Może wolny. Nim uderzy on człowieka, który zna tylko kobiety Zachodu, bo kobiety Zachodu właśnie mają w urodzie ów rys. Ale ten kto zna Wschód, jakikolwiek Wschód, ten wie, że niewolniczość powoli urobiła urodę córek samurajów i maharadzów, tak samo jak urabiała urodę córek kulisów Hong-Kongu, pariasów czy fellahów. Ich uroda nie jest przez to

gorsza od urody naszych kobiet, nie jest także i lepsza, jest inna. Ale czasem na pograniczach, na takich rozdrożach światów rodzi się piękno, które nasycy się i tym, i tamtym. Aż wreszcie zaczynamy mówić o tym między sobą. Dziewczyna słyszy obcy dźwięk naszej mowy.

– Panowie po jakiemu mówią? – pyta z zainteresowaniem.

– My? Po polsku.

– To panowie Polacy?

– Polacy.

Senna twarz dziewczyny zastanawia się naraz kamiennym pięknem jej rysów. Po czym mówi po rosyjsku:

– Bo ja też jestem Polka. Ja już nie mówię po polsku. Ale ojciec jeszcze rozumiał. Moja familia Porankiewicz... Z Warszawy.

Legenda o pięknie Polek – legenda XIX-wieczna nie była tylko legendą Paryża, Wiednia i Genewy. Z dalekiego „przywiślańskiego” kraju Rosjanie wywiedli do siebie na Wschód swój własny mit o pięknie Polki. Polka miała tam przydomek „gordaja”. „Gordaja” znaczy dumna. Panna Porankiewicz, z Warszawy rodem, pokazuje nam teraz rzeźby nad krużgankiem sadów chańskich. Jej

czarność jest dalej śródziemnomorska, południowa i kaukaska, ale jest w tej urodzie coś, czego panna Porankiewicz nie wyniosła z Tyflisu lub Baku. Jest w tej urodzie jakaś spokojna pewność, jakieś poczucie własnej wartości, nie wiedzieć na czym opartej, a najwidoczniej siebie świadomej. Nie wiem, jakie było dzieciństwo i lata najmłodsze panny Porankiewicz. Wyobrażam ją sobie naraz w tłumnej klasie sowieckiej, w tłumie Uzbekek, Gruzinek, Ormianek, Tatarek, właśnie taką godną, właśnie taką odrębną. Wyobrażam ją sobie za lat trzydzieści i więcej, kiedy ta cała uroda spłowieje i zwiędnie, kiedy to ramię nie będzie tak pełne, a oko tak czarne. Wszystko to z niej kiedyś opadnie, wszystko to w niej kiedyś przejdzie. Nawet przejdzie i to nazwisko: Porankiewicz, daleka smuga zawleczona z jakiejś ulicy Niecałej, z jakiejś Hożej, z jakiegoś Czerniakowa. Będzie się może nazywała Iwanow, może Onijonikidze, może Tabria; a jej dzieci... Ale pozostanie w niej obca, odmienna godność. Pozostanie w niej owa polska „gordost”. Mową Puszkina i Jesienina panna Porankiewicz mówi o Warszawie, mówi o Polsce, mówi o Krakowie. Pokazuje, że wie, i oto nieprawda. Nie wie. Nic nie wie. Panna

Porankiewicz może mi wszystko powiedzieć o historii chanów Azerbejdżanu i o dynastiach Gruzji. Ukończyła przecież sowiecki instytut historyczny. Panna Porankiewicz może mi powiedzieć wiele o tym, jak rząd sowiecki rozwinął kaukaskie zagłębienie naftowe, jakie szyby uruchomił w Groznm, jakie metody pracy wprowadził w Baku. Panna Porankiewicz nic nie wie o Ceorze i nie wie nic o Gdyni. Ale w panie Porankiewicz tkwi świadomość, że jest z Warszawy. I to jest najważniejsze. I to wystarczy.

Człowiek nie na darmo stał się tutaj urzędnikiem. Nie na darmo segregował akty, papiery, sprawy. Człowiek nie na darmo pozostał dziennikarzem, który pewne rzeczy chwyta, zapamiętuje, kojarzy. I gdy rozmawiam tak z panną Porankiewicz o tej jej Warszawie, tak dla niej dalekiej, jak daleko jest Średniawa w powiecie konińskim dla pana Joe Winceka (dawniej Więcka), syna emigranta w Chicago, już wokoło pięknego *cicerone* z Baku zbierają się inne wspomnienia, inny nagromadzony materiał. Akta sprawy są naprawdę bogate. Załączników jest bez końca. Cała kartoteka. Panna Porankiewicz nie jest tu wcale jakimś egzotycznym wyjątkiem.

Panna Porankiewicz jest tylko ilustracją pewnej reguły. Powiedzmy: bardzo piękną ilustracją. Sama jest jakby znakiem, który nam daje jak z podziemi najdziwniejsza na świecie polonia: polonia rosyjska. Ileż to razy ślad tych Polaków zamigotał przed nami, jak ślad na wodzie rzeczutki znaczy istnienie kamieni w jej łóżysku. Ileż to razy dawał o sobie znać, jak cień okrętu we mgle, gdy się przy naszej burcie wynurzy niespodzianie, przejdzie, zniknie, ale przecież gdzieś w tej mgle dalej istnieje. Polacy w Rosji. Obywatele sowieccy. Nie znane, zagubione pokolenia polskiego narodu.

Skąd się wzięły? Dlaczego tyle, tyle razy zbliżają się teraz, we mgle sowieckiej, do burty naszego polskiego okrętu, przechodzą, mijają nas, zostają zastąpione coraz to nowymi. Skąd są? Jak łatwa jest odpowiedź na to pytanie. Przed tamtą wojną było w Rosji, poza ziemiami późniejszego państwa polskiego, ponad pięć milionów Polaków. Przecież polskość na Ukrainie i Białorusi nie była tylko polskością Potockich, Branickich, Sobańskich czy Lipkowskich, ale była polskością całych wsi mazurskich, całych zaścianków szlacheckich, całej administracji rolnej, po-

ważnej części miasteczek, nie mniej poważnej miast: Żytomierza, Odessy, Mińska. A tego nie było mało. Sowiety stworzyły nawet osobne autonomiczne okręgi polskie*, wydały – co prawda coraz mniej liczne – pisma polskie, utrzymywały – też z roku na rok niksujące – polskie szkoły, polskie teatry. Sowieckie oczywiście, ale językowo przynajmniej polskie. Dalej, nie trzeba zapominać, że życie polsko-rosyjskie jednak niegdyś istniało. Było ono nawet bardzo silne. Naród obłożył je anatema. Potępiał Spasowiczów**, Michałów Czajkowskich (Sadyk Pasza)***, Rzewu-

* W 1927 istniały na terenie ZSRR 164 polskie wydzielone rady wiejskie (w tym 139 na Ukrainie).

** Włodzimierz Spasowicz (1829–1906) – prawnik, polityk, publicysta, wykładowca na Uniwersytecie w Petersburgu, wydawca „Ateneum” i tygodnika „Kraj”. Zwolennik pozytywizmu i dążenia do autonomii poprzez współpracę z Rosją.

*** Michał Czajkowski (1804–1886) – pisarz, uczestnik powstania listopadowego, w 1841 z polecenia Hotelu Lambert utworzył polską delegaturę w Konstantynopolu, w 1850 wstąpił do służby tureckiej i przeszedł na islam, jako Sadyk Pasza wziął udział w wojnie krymskiej. W 1873 po uzyskaniu przebaczenia cara osiadł na Ukrainie. Zginął śmiercią samobójczą.

skich* (autor *Listopada*), którzy propagowali ekspansję Polaków w Rosji, którzy chcieli, by miejsce Niemców bałtyckich w rozwoju olbrzymiego imperium zajęli Polacy. Ale anatemą była czystą fikcją. Oficjalnie współżycia polsko-rosyjskiego nie było; w istocie było ono ogromnie intensywne. Odjęcie temu współżyciu narodowego błogosławieństwa sprawiło tylko, że nieustanna ekspansja polska w Rosji carskiej była zjawiskiem narodo-wo nie uregulowanym, organizacyjnie dzi- kim, politycznie bezplanowym. Ale była. Z ubogiej Kongresówki, z niezamożnej Litwy szły rokrocznie tysiące Polaków na służbę rosyjską. Byli to inżynierowie i lekarze, admi- nistratorzy i wojskowi, nawet kupcy, drobni urzędnicy, poszukiwacze majątku. Byli to artyści, kolejarze, rzemieślnicy, majstrowie. Ileż Polek, jak owa bohaterka *Kwiatów pol- skich* Tuwima, jak piękna Biruta – owa miłość studencka bohatera *Szyzyfowych Prac*, jak

* Henryk Rzewuski (1791–1866) – pisarz, publicysta, marszałek szlachty powiatu żytomierskiego, wydawca ugodowego „Dziennika Warszawskiego”. W l. 1850–1856 przebywał w Warszawie jako urzędnik do specjalnych po- ruczeń namiestnika I. F. Paskiewicza. Autor m.in. gawę- dziarskich *Pamiętek J. Pana Seweryna Soplicy*.

„Siteczko” Orzeszkowej, wsiąkało mniej lub więcej, przez swoje małżeństwo czy wyjazd, w daleki rosyjski świat. Pierwszy okres uprzemysłowienia Rosji, w erze pozytywizmu, iluż Polaków wessał? Ale nie tylko on: poprzednio, w erze powstaniowej, pierwsze rzesze Polaków znalazły się na Syberii, w Turkiestanie, na Uralu. Wracały stamtąd, ginęły tam, ale czasami i żyły. Nie zawsze chcieliśmy o tym wiedzieć; w okresie niewoli uważaliśmy – jakże zrozumiale! – że Polak może na Syberii jedynie cierpieć; nie chcieliśmy widzieć tego, że nieraz on tam się bogacił. Legendarne fortuny Koziół-Poklewskich, synów i wnuków zesłańca*, były to przecież jedne z największych fortun w Rosji; stanowiły zaś na pewno największą fortunę, jaką w nowoczesnych czasach zrobił Polak.

* Alfons Koziół-Poklewski (1809–1890) – przemysłowiec i działacz gospodarczy na Syberii, wzbogacił się na dostawach rządowych, następnie właściciel domów handlowych w Tiumeniu i Tobolsku, fabryk szkła i porcelany oraz licznych gorzeln, organizator żeglugi parowej na Obie i Irtyszu. Eksploatował też kopalnie złota i żelaza. Nie był zesłańcem. Jego syn Wincenty miał kopalnie na Uralu, a wnuk Alfons Aleksander był udziałowcem kopalni śląskich i radcą handlowym ambasady polskiej w Londynie.

To byli polscy Rockefellerzy. Jeśli Niemcy uważają, że wkład ich narodu w naszą cywilizację jest duży, to jest on przecież niczym w porównaniu z wkładem polskim w kraje za Uralem. To nasz inżynier budował tam drogi i koleje wytaczał, i skarby kruszców odkrywał, i ziemiami zarządzał, i przedsiębiorstwa handlowe zakładał, i szkoły wznosił. Był wszystkim. Dziś, pozornie, z tego wszystkiego pozostały tylko spróchniałe krzyże zesłańcze na cmentarzach Irkucka, Semipałatyńska, Nowosybirska. Ale kto spojrzy głębiej, ten powie, że mało który naród świata w mało którym kraju dalekim zdobył się na tak wielki wysiłek cywilizacyjny, jak zniewolona Polska na niepolskiej Syberii. Nie trzeba głęboko patrzeć: w tych krajach żywa jest jeszcze pamięć tej polskiej cywilizacji. Dwadzieścia pięć lat ostatnich wcale jej nie zatarło. Tylko że dorobek ten nie szedł na rzecz Polski. Dokonywał się bowiem wbrew oficjalnemu katechizmowi ówczesnej Polski. Ta była zdania, że na Sybirze możemy tylko cierpieć, że Sybirem nie można zawładnąć. Ukradkiem, jakby wstydzając się, owi wzbogaceni na Syberii Polacy składali, podrzucali raczej, magnacką daninę narodowi. Kasa Mianowskiego np., mając na

celu m.in. popieranie wynalazczości polskiej, powstała właśnie z fortun Polaków, stworzonych w Rosji.* Dla niejednej fundacji narodowej Kaukaz czy Sybir były tym, czym dla Anglików Birma, Hong-Kong, koncesje szanghajske: źródłem finansowej, przebogatej potęgi. Na Szkota, który ze swych ubogich gór podążał do kolonii zamorskich, patrzyło jego społeczeństwo z życzliwością i szacunkiem. Na Polaka, który szedł Rosję zdobywać, zamiast dusić się w biedzie pisarzy mazowieckich, patrzono jak na Judasza. Uważano go z góry za straconego. Nie dokonano niczego, aby w nim polskość podtrzymać. Panna Porankiewicz nie słyszała o Sienkiewiczu. Nie zna Słowackiego. Nie wiedziała, że Chopin był Polakiem. Panna Porankiewicz wie tylko, że Mickiewicz był przyjacielem Puszkina, wie, że w Warszawie Niemcy spalili zamek królów polskich, którego nie zna nawet z reprodukcji. Jedynym pisarzem polskim, którego panna Porankie-

* Kasa im. Mianowskiego powstała w 1881 z inicjatywy T. Chałubińskiego, F. Sulimirskiego i H. Sienkiewicza. Zbierane społecznie fundusze posłużyć miały do finansowania prac naukowych i stworzenia naukowego funduszu stypendialnego.

wicz poza Orzeszkową czytała, jest Wanda Wasilewska. Panna Porankiewicz mieszka w kaukaskim Baku, studiuje historię chanów. Ale panna Porankiewicz uważa siebie za Polkę.

Czy panna Porankiewicz jest Polką? Czy tysiące, setki tysięcy i więcej, dużo, dużo więcej takich jak ona w Rosji, to są Polacy? Różne są odpowiedzi. Czy mowa, którą się mówi, przesądza narodowość? Na pewno nie. Czy poczucie przynależności do jakiegoś narodu przesądza o przynależności? Także nie. Sprawy narodu są to rzeczy, które się tak łatwo rozgrodzić nie dają. To pewna, że wokoło każdego narodu, jego świadomego, niewątpliwego pnia, istnieje jakby mgławica, niewyraźna, niestała, a przecież z tym rdzeniem związana. Mgławica ta bywa większa i mniejsza; w pewnych okresach się rozszerza, w innych się kurczy. Niemcy dla celów politycznych określili ją w czasie tej wojny jako „Volksdeutsche” i stworzyli dla tej grupy kryteria bardzo płynne, bardzo szerokie. Ich polityka tutaj zmierza do wrócenia owych elementów do niemieckiej wspólnoty narodowej. Niemal każdy naród europejski (z wyjątkiem jednego) dba o to, by w Stanach

Zjednoczonych, które rosną dziś na władcę naszego globu, istniała możliwie duża i możliwie wpływowa grupa ludności amerykańskiej, poczuwającej się do swego holenderskiego, francuskiego, włoskiego czy norweskiego pochodzenia. Oto druga koncepcja. Nie zmierza ona wcale do tego, by zamerykanizowany Holender stał się z powrotem Holendrem. Stawia sobie za cel, aby ten zamerykanizowany Holender pamiętał o ojczyźnie przodków i był w potężnej Ameryce jej sympatykiem. Można być zwolennikiem tej czy innej koncepcji. Mnie odpowiada znacznie bardziej ta amerykańska. Bez koncepcji być jednak nie można – choć w Polsce zawsze było najwygodniej być bez koncepcji, no a już szczególnie gdy chodziło o sprawy rosyjskie.

Bylibyśmy zaś w wielkim, bardzo wielkim błędzie, gdybyśmy myśleli, że owa olbrzymia grupa ludzka, która się w Rosji poczuwa do pokrewieństwa z Polską, to tylko potomkowie zesłańców czy tych, co w Rosji znaleźli pracę. Jest zupełnie inaczej. Do polskości przyznaje się w Rosji każdy, kto posiada w żyłach choć trochę krwi polskiej. Przyzna się do niej często Piotr Wasiljicz

Iwanow: jako że matka jego, Choróbska, była Polką. Ludzie w Rosji mają pamięć o jednej polskiej babce, o jednym polskim dziadku. Chlubią się tym. Jest to proces odwrotny niż np. w Niemczech z babką Żydówką, o której niejeden szturmowiec wolałby zapomnieć. Matka Polka, babka Polka, dziadek z Siedlec, pradziad z zesłańców – „*c'est bon porté*”. (Coś jak babka hrabianka węgierska czy dziadek szlagon we wspomnieniach *Kraju lat dzieciennych*.)

W pociągach, sunących wolno przez ośnieżony step, niejeden, niejeden krasnoarmiejec, niejeden „zawiedujuszczij sowchozom”, niejeden inteligent sowiecki mówił mi ciepło, miękko o owej dawno zmarłej polskiej matce czy babce. Polskość dla tych ludzi kojarzy się z Zachodem, kojarzy się z kulturą. W Rosji słowo „kultura” jest wymawiane ze szczególnym patosem tęsknoty. Ale polskość była jedną sprawą. Polska była drugą. Ten świat był przez lat dwadzieścia odgradzony od wszystkiego co polskie, znikł polski inżynier, znikł polski ksiądz. Pozarastały dawne szlaki wio-

* Chodzi o antologię *Kraj lat dzieciennych*, która ukazała się w Londynie w marcu 1942 pod redakcją M. Grydzewskiego i K. Pruszyńskiego.

dące ku Polsce. Owe szlaki rozwarły się na nowo: było to tragicznego 17 września, w ponurym łoskocie czołgów. Tych konsekwencji niezawodnie władza sowiecka nie chciała. Te konsekwencje wbrew niej przysły. Wywożenie setek tysięcy ludzi z Polski nie miało na pewno na celu cucenie polskości w łonie Rosji. Tymczasem to jednak nastąpiło. W nieprzewidziany sposób. Na nieprzewidzianą skalę.

– Czy wie pan – mówił mi ktoś dobrze poinformowany (o, naprawdę dobrze!) w Moskwie – była to rzecz szczególna! Gdy ukazała się pierwsza polska książka Wandy Wasilewskiej*, zauważono dziwny proces. We Lwowie książka ta nie szła. Wystawiano ją wszędzie; nikt, dosłownie nikt nie kupił ani jednego egzemplarza. Tymczasem w Moskwie w ciągu paru dni poszło tej książki wydanej po polsku ponad 10 000 egzemplarzy.

– Czym to objaśnacie?

– Bardzo proste. Na tamtych ziemiach Polacy potępiali jednomyślnie a słusznie Wandę

* Mowa o powieści *Płomień na bagnach* (Lwów 1940), która ukazywała konflikty narodowościowe i społeczne na wsi polskiej.

Wasilewską. Nie chcieli czytać książki, która oczerniała niedawną Polskę. Ale w Moskwie nie ma Polaków z Polski. Natomiast jest pełno ludzi, o których nawet się nie wie, a którzy pochodzeniem, tak czy owak, zahaczają o Polskę. Dla nich ta niegodziwa książka Wandy Wasilewskiej była przecież książką polską. Książką dającą wypaczony obraz Polski, ale jednak książką o tej zakazanej, odgradzonej od nich Polsce. Trzeba to sobie dopowiedzieć. Moskwa jest wielkim centrum politycznym Rosji. Nie może w niej mieszkać kto chce. Mieszka ten, komu wolno. Ale też mieszka pełno ludzi, którzy przez swoją inteligencję, wykształcenie, zdolności, kulturę są w centrali owego imperium potrzebni. I otóż nawet tam, właśnie tam, są tysiące ludzi, którzy mogą przeczytać książkę po polsku i którzy chcą to zrobić. Ludziom tym nie powstałoby w głowie przez tych lat dwadzieścia pięć, aby dnia 3 maja odwiedzić ambasadę Rzeczypospolitej, zaprenumerować „Wiadomości Literackie”, sprowadzić sobie od Gebethnera i Wolfa (jak przed rokiem 1914) najnowszą powieść Choromańskiego: nie mieli ochoty zaryzykowania pięciu lat łagru ze wszelkimi perspektywami dożywności! Ale w najgłębszych

szczelinach myślenia, do których nawet w Rosji nikt nie dotrze, zachował się blady płomyczek sentymentu. Przyszedł rok 1939. Tak czy owak, dochodziła do nich wieść o Polakach, widziało się Polaków, zabłąkała się jakaś przypadkowa polska książka. Pierwsza! Potem przyszła sowiecka twórczość Wandy Wasilewskiej. We Lwowie była to książka sowiecka, ale w Moskwie była to mimo wszystko książka polska. Jej autorka pisała jednak o Polsce, jej autorka była ponadto członkiem wierzchołkowego sowietu, zasiadała na Kremlu w sali św. Andrzeja, drukowały ją „Izwestia” i „Prawda”, przyjmował ją Stalin. Czytanie Wandy Wasilewskiej nie było dowodem „nieblagonadjożnosti”. Czytano więc w Moskwie, w Świerdłowsku, w Ałma Acie i w Irkucku Wandę Wasilewską. Od bardzo dawna nie było tam książki polskiej. Książka ta mówiła pełno złych rzeczy o Polsce, które oni dawno słyszeli. Ale mówiła także i takie rzeczy, których oni nie słyszeli. Te właśnie chwytaly. Chwytał polski język, polski folklor, polski temat. *Habent sua fata libelli**, więc i tę

* *Habent sua fata libelli* (łac.) – książki mają swój los.

książkę, napisaną w zupełnie innej intencji, spotkał dziwny los: książka osiągnęła niezamierzony, a w pewnym sensie dodatni rezultat. Budzenie się sympatii polskich u ludzi polskiej krwi rozlało się jeszcze szerzej z innych przyczyn. Rozlało się po łągach, gdzie do niejednego takiego pół-Polaka przybyli Polacy ze Lwowa czy Wilna. Dosięgnęło dalekich słobód turkiestańskich, gdy polskie orzełki na swych sowieckich czapach niosła Armia Andersa. Rozlało się wszędzie, gdzie sięga radiostacja sowiecka – a radiostacja sowiecka sięga wszędzie – gdy przez radio moskiewskie płynęło orędzie premiera i hymn narodowy.*

Wszystko są to rzeczy, które leżą poza kręgiem naszych uprawnień i zadań jako polskiego państwa: ambasada stała słusznie na stanowisku, że obywatelami Rzeczypospolitej są ci, co byli jej obywatelami we wrześniu 1939 roku. Natomiast nasi kontrpartnerzy starali się niekiedy kwestionować polskie obywatelstwo na podstawie narodowości. Ale wszystko to leży w kręgu zainteresowań polskiego narodu. Wszystko to stanowi jeden

* Przemówienie radiowe Sikorskiego nadano z Moskwy 4 grudnia 1941.

z elementów propolskich w ZSRR. Element ten nie może nic zdziałać, jeśli stosunki polsko-sowieckie są złe. Może zdziałać dużo, jeśli są dobre. Będzie mógł natomiast zdziałać bardzo wiele, gdy Rosja się przekształci.

„Wiadomości Polskie” 1942, nr 44

Opowieści

Człowiek z rokokowego kościoła

Romkowi Ciemiorowi

Owa pierwsza wojenna historia miała swoje antecedenсы dosyć nieoczekiwane, bo odgradzone, zdawało się, od życia czarnymi kratami śmierci. Zaczęło się to zupełnie przypadkiem. Był sierpień czy wrzesień 1934 roku; datę tę pamiętam dobrze, bo był to właśnie rok śmierci Roehma i towarzyszy, a sam znajdowałem się w Bawarii, niedaleko od jeziora Wiessee, gdzie o świcie 30 czerwca Hitler dokonał krwawej rzezi swych towarzyszy partyjnych. Spędziłem koniec lata na włoczędze w tej właśnie okolicy, było tanio i ślicznie. Pogórze bawarskich Alp czernieje o tej porze roku świerkiem lub rudzieje od buków, w dolinach powietrze jest rześkie, a trawa o ciemnej, głębokiej zieleni. Piękne są kościółki wiejskie tych stron, ze swymi cebulami kopuł na białych, czworogrannych wie-

zach. „Trudno wyobrazić sobie kraj bardziej tchnący pokojem” – można było pomyśleć, gdy z okien autobusu widziało się góry, wieś i te łąki.

Jechałem z Oberammergau do jakiejś zupełnie innej miejscowości, ale nim do niej dojechałem, zobaczyłem na którymś postoju napis. Napis mówił, że idąc w tym kierunku jeszcze pięćset metrów, ujrzymy „najpiękniejszy kościół rokokowy na północ od Alp”. Miejscowość nosiła nazwę o brzmieniu pozornie słowiańskim, bo nazywała się Wies. Pewno wymawia się ją „Wis”. Nie miałem nigdy zaufania do rokoka jako religijnej ekspresji; styl ten wydawał mi się zawsze bardziej stosowny dla buduarów niż dla kaplic, tak samo jak trudno by chyba wyobrazić sobie garsoniery w stylu gotyckim. W Polsce kościołów rokokowych jest bardzo mało, a Włoch nie znałem. Ale właśnie myśl o pięknym kościele rokokowym zainteresowała mnie od razu, a zapewnienie, że jest to „najpiękniejszy kościół rokokowy na północ od Alp”, jeszcze ciekawość tę wzmogło. Pomyślałem, że – cokolwiek by to było – warto zrobić pięćset metrów dla zobaczenia najpiękniejszego kościoła rokokowego po tej

stronie Alp, zrezygnowałem z dalszej jazdy, wysiadłem z autobusu i podczas gdy on jechał dalej drogą asfaltową ku Landsberg am Lech, ja piąłem się gorzej brukowaną drogą ku opactwu w Wies.

Był to dość imponujący kompleks budynków, zespolony w jedną białą całość, a cienista aleja, w którą wtoczyła się droga, zasłaniała perspektywę. Podprowadziła mnie tak do kościoła, że wprost niemal spod drzew znalazłem się w jego progu, a znalazłszy się musiałem napisowi na drodze przyznać w pełni rację, uznać, że owych pięciuset metrów nie zrobiłem tego dnia na darmo, i przeprosić koronie kapryśny styl rokokowy za niedocenienie jego wartości. Było to prawdziwe cudo i zupełnie inne od wszystkich kościołów. Nigdy nie widziałem stylu, który by tak doskonale wyrażał jakąś jasną, wesołą niemal pogodę ducha, jak styl, w którym zbudowano kościół w Wies. Proszę sobie wyobrazić wnętrze białe zupełnie, ogromnie białe, połyskujące tylko lekką pozłotą niektórych gzymsów. I do tego wnętrza owalne. Kościół nie walił nawami jak kolumnami wojska w stronę wielkiego ołtarza. Rozbiegał się we wszystkie strony swą architekturą przedziwnie lekką, a potem zbiegał się

z powrotem na drugim końcu. To samo było w górze. Łuki gotyckie strzelają wysoko, romańskie sklepiają się silnie, renesans zakreśla piękne, odmierzone jak krok rzymski średnice, barok gnie się w ciężkich zwojach jak fałdy brokatu, a rokoko kościoła w Wies pulsowało liniami chwiejnymi, pogiętymi, które żyły i gięły się nad naszymi głowami nieustannym falowaniem. Strop kościelny był pokryty malowidłem o barwach pastelowych – jakieś niebo pełne aniołów, obłoków i świętych schylało się wprost z przestworzy na głowy klęczących. Byłem naprawdę olśniony tym całym niezwykłym pięknem, które teraz tak mi trudno opisać, albowiem rokoko jest u nas naprawdę mało znane i nasze kościoły w niczym nie przypominają kościoła opackiego w Wies.

Obchodziłem też jego wnętrze powoli, wokoło, wzdłuż tej całej elipsy, nie tyle z nabożeństwem nawet, co jakby z ostrożnością, aby tej całej architektury, ulepionej z obłoków i pianki, ruchem nieopatrznym nie skazić. Kiedy już minąłem wielki ołtarz, natrafiłem naraz na coś, co w tej pogodzie i harmonii było jakby zgrzytem, jakby słowami hebrajskiego przekleństwa wypisanymi tajemną ręką na murach sal Babilonu, jakby jakimś *memento*

mori, wypowiedzianym w świecie pełnym lipca i słońca. Zamiast białego muru była w tym miejscu szeroka, czarna krata, kuta grubo w żelazie i zatrzymująca na sobie mrok, który czerniał po drugiej jej stronie. Jak wiadomo, w wielu klasztorach istnieją takie właśnie kraty i mnisi czy mniszki po tamtej jej stronie słuchają, niewidoczni z kościoła, nabożeństw w kościele. Była to właśnie taka krata. Po mojej, to jest kościelnej jej stronie, paliło się parę wotywnych świec i leżało chyba kilkadziesiąt kartek. Pamiętam, wyczytałem na jednej z nich: „Młode małżeństwo prosi o modlitwy dla wytrwania w swych postanowieniach”. Niektóre były zamknięte jak szkolne ściągaczki. Co było na innych – nie pamiętam. Domyśliłem się, że w Bawarii jest widocznie zwyczaj podrzucania niejako tą drogą zakonnikom próśb o modlitwy i że widocznie nie wszyscy odwiedzają kościół w Wies wyłączanie dla celów krajoznawczych. Ale nie wszystkie kartki były tylko takie jak opisane. Większość, ogromną większość, stanowiły tego rodzaju obrazki, jakie i u nas drukuje się po śmierci bliskiej osoby i rozsyła potem znajomym. Obrazki takie, zawsze w czarnej obwódce, zawierają zazwyczaj jakieś zdjęcie zmarłe-

go, jego nazwisko, datę śmierci, jakiś werset nabożny i prośbę o modlitwę. Otóż dziesiątki i dziesiątki – nie, setki takich czarnych obrazków leżały pod czarnymi kratami, które oddzielały kościół od klasztoru w Wies, i prawie, prawie wszystkie przedstawiały z jakimś natrętnym uporem młodych, młodych ludzi w mundurach z tamtej wojny. W tym pogodnym kościele była to naprawdę jakaś dolina Jozafata, gdzie naraz tłoczyli się oni wszyscy, których prochy gniły gdzieś dawno na cmentarzach wojennych Verdun czy po poleskich piaskach, i prosili, zaklinali o modlitwy, o pamięć ze strony ludzi, którzy odgradzili się od świata ową czarną kratą. – Począłem przeglądać obrazki. Tyle lat minęło, zdawałoby się, od wojny, a oni wszyscy trwali tu i czekali w pogodzie rokokowego kościoła, w żałobie swych czarnych obwódek i owej przed nimi kraty! Mieli te same żołnierskie mundury, wtedy, w 1934, zapomniane już dawno. Datami ich śmierci były daty odległe: rok 1916, 1917, 1918. Pamiętam, że najwięcej było z roku 1918 i najwięcej było młodych, młodzieńskich twarzy. Obok nazw takich jak Verdun, jak Vittorio Veneto, jak Paashaendale, jak Amiens, były też i inne, dziwnie swojsko brzmiące:

Luck, Oschmiana, Styr, Mogilew, Lodz. Wymienione były i pułki, przeważnie bawarskie. Przypomniałem sobie wtedy zasłyszaną skądś historię, nie wiem, czy prawdziwą, że pułki bawarskiej piechoty w czasie tamtej wojny miały bagnety z zębami jak piły. Była to pewno nieprawda, ale wtedy to sobie przypomniałem. Niemniej, choćby nie wiem co by mi przyszło na myśl na wspomnienie pułków bawarskich, nie mogłem się oprzeć temu wstrząsającemu wrażeniu, z jakim czytałem teraz kolejno i przeglądałem jeden po drugim, leżące tuż przede mną dziesiątkami, setkami, owe obrazki. Jakby cmentarz wojenny, ale stłoczony na jednym miejscu i przemawiający do nas nie tylko nazwiskami nieznanych ludzi, ale twarzami przede wszystkim, właśnie tymi twarzami, z których wyzierała tragiczna, zmarnowana, sponiewierana młodość. I Verdun nie dźwięczało mi już heroicznie, a Oszmiana w swej wadliwej pisowni nie szumiała swojsko ani Vittorio Veneto nie dźwięczało włosko. Wszystko to cuchnęło wtedy tak samo cmentarnie.

W parę lat później, już na francuskiej prowincji, wobec tylu krzyży i pomników w każdej mieścinie, wyliczających cały haracz krwi, jaki wycisnęła wojna, przypominało mi

się nieraz owo Wies i uświadamiała ciężka ofiara, jaką kraje Zachodu zapłaciły już wtedy. Cała literatura pacyfistyczna i antywojenna, jaką wydały Niemcy Weimarowi: Renn, Remarque, stała za mną owego popołudnia w rokokowym kościele w Wies. Prawdopodobnie niejeden z nas otarł się o nią w owej umarłej dziś epoce, ale nawet gdyby się nie był otarł, musiałyby drgnąć uczuciem zbliżonym do grozy na widok owego milczącego świadectwa wydanego wojnie. Była to nie tylko krata modlitw, ale jeszcze krata oskarżonych: tylko że oni byli tu ofiarami i oni mieliby prawo pozywać. W pewnym momencie zatrzymałem się dłużej przy innej zupełnie kartce. Fotografia tu była dużo większa, dużo większa, i to może przyciągnęło moją uwagę. Podniosłem obrazek. Widniała na nim niezdarna, koślawa nawet, fotograficzna odbitka z jakiegoś zdjęcia, zrobionego pewno w przypadkowej budzie jarmarcznej. Cała niedołość takiej fotografijki biła z tego zdjęcia. Ale cała ta nieudolność była tu jakby po to, aby podkreślić, że nic na nim nie jest ujęte ani nic dodane, że właśnie wszystko jest prawdą. Na zdjęciu stał wysoki, smukły chłopak, niemalże jeszcze młodszy od wszyst-

kich innych. Typowy chłopak bawarski, za wcześnie wyrosnięty, ciemnowłosy, ciemnooki, o ciemnych, pięknych brwiach, nosie nieco zadartym, głębokim, zadumanym spojrzeniu. Ledwo przechodził w mężczyznę. Był w mundurze niemieckiego frajtra – i mundur ten był znowu, jak dla kontrastu, komiśny, niezgrabny, był ciężki i sztywny, i niewygodny, i źle noszony, i zupełnie się nie kojarzący z człowiekiem, na którego go widziano. Tak samo jak nie godziły się ze sobą owa ciepła, parująca młodość i śmierć chłodna, która ową młodość chwyciła ongi za gardło. Kiedy po raz pierwszy wziąłem ten biedny obrazek do ręki, przypomniały mi się kiście liliowe bzu rozkwitłego przed czasem i zmrożonego w tym rozkwitnięciu jakimś późnym nawrotem przymrozków. Chłopak miał – pamiętam – jedną rękę zatknętą jakoś za pas wojskowy – (taki, w którego klamrze wije się gotycki napis *Gott mit uns*) – ale też jakby dla dodania sobie jakiejś rozpaczliwie brakującej pewności siebie, napis mówił o nim wszystko, co bym pragnął tylko wiedzieć, jeślibym to wiedzieć pragnął i jeśli mogłoby to mieć jakieś dla mnie znaczenie. Okazało się, że nazywał się Kurt Laube, że

był z Wies, że służył w 219. pułku piechoty bawarskiej, że padł w maju 1918 roku na froncie zachodnim. Dziś nie pamiętam ani miejsca, ani dokładnej daty śmierci, ale po powrocie do Polski może mógłbym jeszcze powiedzieć. Jeśli moje papiery norweskie przechowują jeszcze dobrzy Francuzi z C... w Bretanii, to mógłbym to powiedzieć także. Czy miałem jakieś przeczucie przyszłości? Czy uległem atakowi kleptomanii? Czy odezwało się we mnie jakieś świadome własnej wstydlivosti uczucie? Dość, że w pół godziny później, gdy spieszyłem w dół, na powrotny autobus z Landsberg am Lech, miałem w portfelu moim schowany ostrożnie ów niewielki obrazek, z którego patrzył na świat, jak wiosną 1918 roku, nie znany mi żołnierz niemiecki, dzieciuch nieledwie, w swym mundurze, który do niego nie pasował tak samo, jak wiekowi jego nie przystawała śmierć. Jakże był ogromnie chłopięcy, jakże pełen gorzkiego uroku!

Jakie były moje myśli, gdy naraz postanowiłem zabrać ów obrazek sprzed kraty w rokokowym kościele bawarskim? Pamiętam, że myślałem przelotnie o tym, aby go złożyć gdzieś w jakimś polskim kościele: pamiętam,

że szukałem w myśli kogoś, co by u nas mógł się za obcego modlić. Ale były to takie tchórzliwe okłamywania samego siebie. Dwa razy brałem ten obcy obrazek do ręki, dwa razy odkładałem go z powrotem, ale nadaremnie. Jakiś uparty wewnętrzny mus, niewyrozumowany imperatyw psychiczny kazał mi wziąć z tego bawarskiego kościoła ową pamiątkę po dawno zmarłym, nie znanym mi nigdy niemieckim żołnierzu. Nie mogłem jej nie wziąć. Nie mogłem. A przecież miałem wielu bliskich, którzy polegli walcząc z Niemcami w wojnie. Ale śmierć na wojnie nie wytwarza nienawiści. Wytwarza ją śmierć inna. Być może, że wziąłem ów obrazek, jak zrywa się kwiaty w obcym kraju, jak żołnierz wlecze za sobą nieużyteczny zdobyczy hełm. Dosyć, że wziąłem. Miałem u siebie pamiątki z Hiszpanii, z Grecji, z Rosji, z Wilna i z Wołynia, z Danii i Palestyny. Miałem rzeczy nawiezione ze wszystkich krajów, o które zawadziło moje życie, łakome i niespokojne. Wyniosłem z owej włości bawarskiej ów czarny obrazek, z którego patrzył zawsze smutno zdumiałymi oczyma młodziutki Kurt Laube, *gefreiter* bawarskiego pułku piechoty. Może nawet mam go i dotąd.

To zależy od tego, jaki był los moich książek, zbieranych z takim mozołem w latach młodych, trudnych i głodnych. Kiedy zimą francuską 1939 na 1940 rok myślałem o nich – a wiedziałem, że Niemcy poddali je dokładnemu przeszukiwaniu – zastanawiałem się czasem, jakie wrażenie wywołało w nich odkrycie w jednej z takich książek owego wojennego obrazka. Oczywiście, ani na moment nie pomyślałem wtedy, jak nie pomyślałem i w Wies, że nie jest to jeszcze dla mnie zupełnie zakończona historia.

*

Nowe, drugie z kolei stanowisko, na jakie przesunięto nasz pluton, było już poprzedzone złą sławą, o której mieliśmy się niebawem dość dobitnie przekonać, jak była słuszna. Teren był tak samo pofalowany, tak samo oznaczony niskimi krzaczkami i tak samo leżały na nim jeszcze siwe płaty śniegu, jak na poprzednim. Ale widziało się stąd jedynie skąpy skrawek fiordu. Port narwicki znikał zupełnie za wygarbem górskim, spoza którego wyzierało już tylko samo miasto. Narwik wydawał się stąd dalszy jakiś, bardziej niedo-

stępny. Ale nie było czasu o tym myśleć, bo pozycja wcale nie nadawała się do kontemplacji. Z dawna uważano ją za najgorszą na całym tym odcinku. Była tak zła, że musieliśmy czekać na mgłę, aby zluzować tamtych. Całe czternaście godzin w górach, bez ciepłego pokarmu.

Kiedyśmy ją już zajęli i kiedy mgła zaczęła się rozpraszać, zobaczyliśmy przed sobą najbardziej nużący teren, jaki można było sobie wystawić na tych norweskich upłazach. Nikt tam nie umiał wskazać, gdzie są placówki niemieckie, ale były blisko. Wszystko rozpadało się w jakichś zaroślakach. Na tym niewyraźnym tle sterczała tylko samotnie, pomiędzy nami a Niemcami, grupa trzech świerków czy sosen. Ich gęsta plama przezierała nawet przez mgłę. Nie było dalej niż dwieście pięćdziesiąt metrów. Może i tyle nie. Ale poza tym wszystkim gięło się tam, ginęło w krzakach i trawach, w płowiźnie wyrudziałej pod śniegiem. Było nieruchome i czujne. Po godzinie mieliśmy już jednego trupa. Czujka, wyrzucona nieco przed naszą pozycję, odwróciła się od nieprzyjaciela i zapytała o coś, czy też chciała coś powiedzieć. Żołnierz podniósł widocznie za bardzo głowę. Dostał w samą szyję

i zbryzgało mu cały mundur. Leżał przy nas dwa dni, bo mgła nie nadeszła, a bez mgły baliśmy się ściągnąć go w dół.

O wszystkich opowiadaniach i przestro-gach zapomina żołnierz po minucie. Ale trupa kolegi nie zapomina się tak szybko. Zwła-szcza gdy jeszcze leży tak przy nas, z twarzą zakrytą płaszczem. Jakby spał. Nikt się już nie wychylał i nigdy nie pracowano tyle peryskopami co wtedy. A mieliśmy tylko dwa na pluton. Wyzierały swymi metalowymi rurami, ale nie dostrzegły niczego. A trupa dalej nie ściągnięto, bo właśnie kiedy z doliny, z kuchni, nieśli nam na drągach obiad na pełny stan, postrzelono dwóch. Ledwo tylko wyszli ku nam z lasu na puste. Jeden był lekko ranny, ale drugi jakoś się źle kurował. Odwiedziłem go potem w Bealangen, gdyśmy już wiedzieli wszystko. Dopiero o drugiej w nocy, kiedy nawet ta północna norweska noc jest bardziej do nocy podobna, jeden podpełzł od nas ze sznurem i potem windowaliśmy na pozycję te porzucone przez rannych termofory. Były cholernie ciężkie i zaczepiały się o każdy wykrot. Jeden się otworzył i wszystko było zamrożone na kość, ale drugi był gorący. Usta sobie bractwo popiekło.

Następnego dnia odpełził sobie na bok kapral Chudzik z jedenastej drużyny. Był z Nowego Sącza i chwalił się, że zna góry i że za tamtym wykrotem nikt go nie wypatrzy. Wypatrzyli, ledwo tylko spodnie spuścił, i ustrzelili. Dostał trzy kule, wszystkie w pierś i brzuch, zakręcił się tylko i zaskrzepł.

W plutonie szedł pomruk:

– Jedzenia już nie dopuszczają, a teraz jeszcze i na stronę nie można. Niechby tak Katanów tu dali, niechby zobaczyli!

Ale zawziętość poczęła podnosić się także, a ile razy kto popatrzył na te trupy, z których każdy swoje godziny przy nas przeleżał, to ją sobie jeszcze bardziej zaostrzał. Było jasne, że ktoś podkrada się gdzieś pod nasze linie i potem stamtąd, zaczaiwszy się, wali. Kapral Gruda, ten z Hiszpanii, opowiadał coś niecoś o takich strzelcach wyborowych, których posyła się tak właśnie, i że z tym mieli dużo biedy w Guadarramie i w Casa del Campo. I nawet porucznik słuchał go uważnie, bo choć nie lubił Grudy za pyskatość i brak fasonu, to jak dochodziło do frontu, z nikim się tak nie liczył.

Ale wieczorem wystarczyło, aby Józek Stanisław z mojej drużyny się wychylił, tylko by stanowisko trawą opatrzyć; dostał w plecy

jak nic. Nigdy tam nie padał strzał daremny. Te dwa w Józkowe plecy daremne nie były. Męczył się długo i próżno. Jedna kula musiała mu poharatać coś w stosie pacierzowym, bo sparaliżowany był zupełnie. Cały czas płakał. A gdy mu się usta wyprostowały po skonanu, miał je całe pogryzione do krwi.

Nim jeszcze skończył, już sytuacja była zupełnie nie do wytrzymania. Porucznik posłał meldunek o tym wszystkim, a sztab odpowiedział, żeby nadesłał wnioski i że nas zmienią nie wcześniej jak za tydzień. Było źle. W trzech dniach straciliśmy pięciu, jakby ich zdmuchnął ktoś niewidzialny. I nic. Jedni zaczęli pyskować coraz głośniej, drudzy zacięli się jeszcze bardziej. Chudzik przyjaciół nie miał, chyba takich, co mu tam jeszcze po śmierci wygarnęli z kieszeni co było. Ale Józek Stanisław był lubiany przez wszystkich. Przez Grudę chyba najbardziej. I wtedy właśnie Gruda zameldował się na czujkę i poszedł z peryskopem. Chłopcy mieli do Grudy zaufanie. Pomyśleli, że teraz coś będzie. Lepiej się poczuli także i dlatego, że poczęła nadchodzić mgła, górską, mokra, jak wata. Wtedy ślepią trzeba było wytężyć w to białe, ale tamci też widzieć ani strzelać nie mogli.

A Gruda naraz, żeby go posłać na patrol.

Porucznik się nie godził. Raz, że regulaminowo jednego na patrol posyłać nie wolno, po drugie, że już marnować ludzi nie chciał. Tam w dole, w sztabie, pewno mu nie będą wdzięczni za tych kilku. Ale wreszcie przystał. Gruda miał zejść sam i na swoją rękę „przepatrzeć teren”. Gruda wysłuchał tego wszystkiego z obojętną grzecznością. Wiedziałem i porucznik wiedział, i wszyscy wiedzieli, że on i tak zrobi po swojemu i że to po swojemu będzie najlepsze.

I poszedł.

– Już ja wam tego sk... syna dostanę – powiedział na odchodnym.

I wtedy właśnie przyszła nam po raz pierwszy myśl, że tam jest tylko jeden określony wróg. Jeden człowiek. Zaczają się gdzieś i śmierć nam posyła swymi kulami. Porucznik wprawdzie mówił dużo o słynnym ogniu pośrednim cekaemów, o jakimś niemieckim punkcie obserwacyjnym na górze nad Narwikiem, o doskonałych szklach, aleśmy coraz mniej wierzyli w to wszystko. Już bardziej uwierzylibyśmy wkrótce w czary. Gdyby tak zeszło jeszcze kilka dni i padło jeszcze paru, wierzylibyśmy w nie chyba na

pewno. W tych górach samotnych tę niewidzialną, szybką w swym ukąszeniu śmierć musiało nasyłać Złe.

Gruda miał wrócić po godzinie. Wrócił po trzech. Zbliżało się już chyba południe i już mgła miała się przerzedzić. Jako pierwsza tego oznaka przebiło się wyraźniej smutne polarne słońce, potem zamajaczył, jak czarny żagiel, cień owych świerkowych gałęzi. Potem z mgły poczęło wyzierać wszystko, powoli, ale coraz wyraziściej. A Gruda jakby się spieszył. Nawet nie opuścił się w dół do porucznika, tylko zaraz: – Panie podchorąży, podciągniemy my te maszynki, tamtą o, i tę? – Było coś takiego w tym pytaniu, że jakbym ja nie podciągnął, to by chłopcy i tak podciągnęli. I był jakiś nerwowy, radosny pośpiech.

– Tak, tak – mówił Gruda – tak, o, tak...

Pomyślałem, że w ten sposób wysunięte, będą przecież widoczne od razu już za kilkanaście minut, gdy mgła odejdzie zupełnie. Ale Gruda nastawiał już mój erkaem, jakby nie ufając, że ja zrobię to dobrze. I znowu czuło się, że tym razem coś się odmienia na pozycji.

Leżeliśmy teraz przywarci, on do tamtego, ja – w niskiej trawie. (Pomyślałem na mo-

ment, że tak właśnie leżał Józek Stanisław i że lepiej już w głowę od razu niż w kręgosłup.)

Aż głosem do ziemi, jak warknięciem, poderwał Gruda:

– Panie podchorąży, a teraz długą serią, długą, najdłuższą... prosto w te świerczki, w te świerczynki... w górze, w górze. Tam on się utaił, za tą mgłą.

Na drzewie.

Mgnienie olśnienia nagłego, niespodziewanego przeszło przez mózg. Naprawdę olśnienie. Nawykliśmy do tego, że przeciwnik leży, że czołga się, wtula w ziemię. Tego nas uczono. Drzew nie braliśmy pod uwagę. Czarna płachta świerków czerniała się przed nami obojętna, nie dostrzegana. A właśnie...

Obie serie rozświergotały się naraz i od samego tego huk zrobiło się nam wszystkim radośnie. Ten huk był potrzebny. I w tej chwili doznałem tego samego uczucia, jakiego doznaje myśliwy w poleskiej porannej mgłę, kiedy z drzewa przed nim zrywa się, szumiąc głucho łopotem, jakiś ospały, a spłoszony ptak. Tylko ptak się nie zerwał. Wielki czarny kształt odrywał się od czerni świerczyny i spadał poprzez gałęzie w dół. Erkaemy trzęsły się rechotem swych serii. Kiedy kształt

obsunął się w niź już szybciej, kiedy ugiął się w upadku o ziemię, nabrał naraz wyrazistości. Był człowiekiem.

Gdzieś, z nie wykrytych, wtulonych w mech pozycji niemieckich rozdzwoniło się ujadanie tamtych maszynek, ale było poniewczesne. Myśmy nawet odciągnęli nasze. Nie raczyliśmy odpowiadać. Pozycję całą w owe mroźne dosyć rano rozprężyć poczęła rozkoszna, radosna ulga. Wszyscy cisnęli się do peryskopów, aby go widzieć. Tam, pod drzewem. Przez szkła widzieliśmy go dokładnie. Musiał konać dosyć długo, bo grzbiet jego podnosił się i opadał. Jakby się ranny krztusił. Aż ostatecznie opadł. Koło południa. I zeszywniał. Właśnie wtedy, kiedy Gruda opowiadał, jak to „przycupnąwszy se we mgle” zobaczył Niemca; jak podkradał się, korzystając z mgły, pod drzewo. Nie mógł wtedy strzelić, nie ruszył się i dopiero kiedy zrzedła, wrócił do nas. Dzień w ogóle był mglisty i kiedy po południu znowu zaczęło się mglić, porucznik wysłał dwu ludzi, aby obszukali zabitego i wzięli, co przy nim było. Ochotników tym razem nie brakło. Wrócili dosyć prędko. Porucznik pisał meldunek o wszystkim do sztabu, goniec miał zaraz zanieść. Mnie kazał „podyktować dane”. (Sam

po niemiecku nie czytał.) Na pniu leżały dokumenty Niemca. Portfel, książeczka wojskowa, pistolet automatyczny, lornetka zeissowska. Był o dwieście pięćdziesiąt metrów od pozycji: jakżeby nie miał w nas bić jak do kaczek!

Porucznik pisał, a ja wziąłem właśnie do ręki wojskową książeczkę Niemca. Wszystkie wojskowe książeczki są jakieś do siebie podobne. Ta była pisana gotykiem; dawno już nie czytałem gotyku, więc szło mi to trudniej. Porucznik tymczasem czytał pisząc i... urywał:

– „Z załączonej książeczki wojskowej Nr...”

Podąłem mu numer.

– „Wynika, że był to...”

– „Starszy strzelec” – przetłumaczyłem.

– „Nazwiskiem...” – ciągnął dalej porucznik.

I naraz zatrzymało mnie to nazwisko.

– Co, nie może pan odczytać? – pytał porucznik.

– Nie, mogę – odpowiedziałem – owszem. Nazwiskiem Kurt Laube. L, A, U, B, E – L jak...

Nie, nie wiedziałem – L, jak co... Ale porucznik pytał dalej. Pytał jak w ewidencji.

– Urodzony?

A ja odpowiedziałem jak w ewidencji. Zupełnie jak w ewidencji. Tyle razy miało się z tym do czynienia.

– Urodzony w Wies, dnia 17 septembra 1917 roku. Wies pisze się W, I, E, S.

– Wies? – przeczytał sobie porucznik. – To może ze Śląska?

– Nie, panie poruczniku – odpowiedziałem znowu – to w Bawarii. Taka niewielka miejscina w południowej Bawarii.

– Skąd pan to wie? – zaciekawił się zaraz porucznik. – Jeżeli niewielka miejscina? W Bawarii? A to brzmi tak po polsku. Pan zawsze wszystko wie...

Odpowiedziałem jakimś niezwykłym sobie głosem, ale chyba przekonywająco:

– Wiem, bo kiedyś tam byłem: tam jest bardzo piękny rokokowy kościół. Najpiękniejszy rokokowy kościół na północ od Alp...

– Niech pan podaje dalej – przerwał porucznik – tu goniec czeka, do sztabu musi podać meldunek jak najprędzej. Po wojnie sobie pogadamy o rokokowych kościołach.

Podawałem dalej rzeczy zupełnie nieważne. Raz jeszcze drgnąłem trochę. Zabity miał „Eisernes Kreuz” piątej klasy za „Feldzug in Polen”, nadany 1 października 1939 roku.

Aktem datowanym z Dubiecka. Stało wyraźnie: Dubiecko. Nawet pisownia była polska. Przez „c”.

Porucznik poszedł pokazać gońcowi, którędy ma wracać, gdyby nie było za powrotem mgły, ja zostałem w ziemiance. Raczej norze, wygrzebanej w ziemi i oszalowanej gałęziami. Otworzyłem jeszcze portfel i przeglądałem papiery. Miał ich niespodziewanie sporo: żołnierz wysłany tak jak on powinien mieć ich tyle. Jakieś listy kobiece z Deutsch-Przemyśl, jakieś listy po niemiecku. – Pismo kobiece. – Poświadczenie jakiegoś dyplomu. – Nieważne.

– Co pan tak tam szuka? – zapytał porucznik.

– Nic... – przyznałem się – nic. Czy nie ma on fotografii? Takiej, jak to po śmierci się robi. Z obrazkiem żałobnym. Z tamtej wojny.

Tym razem znowu porucznik musiał pomyśleć, że szukam nie wiem czego. Ale był to człowiek rzeczowy, więc rzekł tylko:

– Tam była jeszcze ta fotografia kobieca, i ta pocztówka kolorowa. Kościół. Pewno ten, o którym pan mówił.

Rzuciłem się na obie. Fotografia była rzeczywiście kobieca, nic mi nie mówiąca. Ale z kolorowej pocztówki z kilkoma słowami

pozdrowień patrzyło na mnie białe, pogodne wewnątrz rokokowego kościoła w Wies. Tak jasne i lekkie, i świetliste, i niezmacone, jakby nic się nie stało i nie zmieniło na świecie. Jakbym ja nie znał w nim takiej kraty, całej czarnej i z mrokiem za sobą, u której tłoczą się niewielkie obrazki w żałobnych obwódkach, i wśród których brak jednego. Zabrałem go ongiś, bardzo dawno, nie wiedząc ani wtedy, ani teraz, czemu to zrobiłem – i po co.

„Trzyście opowieści”, Warszawa 1946

Spadochronowy witraż

Na malarza Janek miał idealne warunki. Ojciec dożywał lat starych jako wysłużony organista w Ołyce, w samej kolegiacie ołyckiej, w tej Ołyce słynnej, radziwiłowskiej. Nie byliście nigdy w Ołyce? No to zapewne nie wiecie, że senna Ołyka to liche, brudne i żydowskie miasteczko na Wołyniu, ze stacją kolejową o sześć kilometrów z boku, ale za to z zamkiem ogromnym, wspaniałym, większym niż w samym Nieświeżu, wcale nie mniejszym od królewskiego w Warszawie. Obok zamku stoi jeszcze okazalsza barokowa kolegiata, z tłustymi aniołami na każdym gzymsie, biskupami na kamiennych nagrobkach i aż z dwiema ambonami w środku. Ksiądz może wybierać, którą woli. Tę po prawej czy tę po lewej stronie. Zwykle wybierali tę po lewej, nad tą po prawej bowiem sufit zaciekał.

Wspaniała kolegiata jako też przynależności do niej, infułat, kanonicy, organiści i po mniejsza czeladź, podlegali z dawna podwójnej opiece kościelnej i świeckiej. Kościelną był biskup z Łucka, świecką był książę. Książę w Ołyce to to samo, co Radziwiłł ordynat na Ołyce. Trzynasty z rodu.

Otóż zarówno władza kościelna jak świecka poczuwały się do obowiązku dalszego wspierania malarskich studiów jednego z synów kolegiackiego organisty. Biskup wysupłał ze swojej kasy, książę wypełnił czek – i Janek pojechał na Beaux Arts. Biskup i książę – to wygląda bardzo pięknie, ale w przeliczeniu na złote to było jednak dość mało. W dodatku jakoś po wyjeździe Janka wyszło na wierzch, że zmachał bachora córce komendanta posterunku w Ołyce. W Ołyce ludzie są wsiowi, nawet na posterunku, toteż dziewczka chodziła z brzuchem, ludzie gadali, a komendant posterunku omal starego organisty do Berezy nie zesłał. Na wiadomość o tym wyczynie protegowanego biskup, który i tak niezbyt odróżniał wyjazd do Paryża od wycieczki do Sodomy, wstrzymał dalsze zasiłki. Łagodne perswazje, że najwybitniejsi malarze religijni włoscy też płodzili

dzieci dziewczynom malowanym potem jako Madonny, niewiele pomogły. Janek w Paryżu wyszedł spod opieki Kościoła.

Spod opieki księżęcej omal nie wyszedł także, albowiem właśnie wybuchła wojna w Hiszpanii i niebawem na pocztę w Ołyce zaczęły przychodzić listy już nie ze znaczkami starej Republiki Francuskiej, ale młodej hiszpańskiej. Zrobił się wielki raban. Kazania były teraz co niedziela o tej całej Hiszpanii, a kaznodzieje napomykali przy tej okazji i o owej parszywej ołyckiej owieczce, co i tam zalazła. Komendant posterunku piorunował, a ojciec marnotrawnego syna aż się rozchorował. Może dlatego, że miał reumatyzm i 78 lat, ale może ze wstydu. Wprawdzie Żydzi ołyccy, zwłaszcza młodzi, zaczęli naraz okazywać moc sympatii kolegiackiemu organiście, ale to go zbytnio nie pocieszało. Listy od Janka przychodziły zresztą rzadko, a potem nie przychodziły wcale. Dało to znowu pole do wielu i rozlicznych komentarzy.

– Dosięła go kara Boża! – osądzili księża.

– Ma bolszewik za moją krzywdę! – ucieszył się komendant.

– Bohater walki z faszyzmem! – wzdychały żydowskie wyrostki.

Najsceptyczniej ocenił to wszystko z wysokości swej Ołyki Radziwiłł:

– Ten głuptas zawsze coś niepotrzebnego nabroi.

Stosunek księcia do wojny domowej w Hiszpanii był znacznie mniej uczuciowy niż reszty ołyckiej opinii publicznej. Nie zmienił się też, kiedy przyszła wiadomość, że Janek jest w szpitalu.

– Szkoda! – rozczarował się niemile komendant.

– Może go to oduczy! – przypuszczali księża.

– *Intieriesno byłoby uznać pod Madritom ili Guadarramoj?* – dyskutowali lokalni zwolennicy sprawy republikańskiej.

Kolejny list wyjaśnił te wątpliwości. Ani pod Madrytem, ani pod Guadarramą. Po prostu auto wiozące Janka i kilkunastu jego kolegów zderzyło się z innym na szosie do Walencji. Byli zabici i ranni.

– Pewno się upili – dociekali księża.

– Oto co znaczy nie przestrzegać przepisów drogowych – orzekł posterunek.

– To nie żadne bohaterstwo – rozczarowali się sympatycy Passionarii.

I składka, już-już rozpoczęta na rzecz pierwszej ofiary złożonej przez Ołykę na ba-

rykadach hiszpańskich, jakoś roztopiła się w marcowej szarudze. Powoli Ołyka, zarówno klerykalna jak i rewolucyjna, znalazła inne, bardziej podniecające tematy do dyskusji. Tylko dwóch ludzi wiodło dalej swoją politykę w stosunku do Janka. Komendant posterunku i książe ordynat. Każdy zresztą inną.

Pierwszy postarał się o to, by odnośne organa Rzeczypospolitej Polskiej zgodnie z wydanym właśnie dekretem pozbawiły obywatelstwa – itd., itd.

Drugi, w sposób dość prosty, acz nieoczekiwany dla opinii publicznej w Ołyce, posłał jednorazowo sto złotych na koszty ukończonej już zresztą kuracji.

– Czy on aby przynajmniej zdążył tam widzieć Prado? – zatroszczył się przy tym.

Prawda! Najwspanialsze muzeum hiszpańskiego malarstwa, pełne Velasquezów, Murillów, Goyów, El Greców, jest właśnie w Madrycie. Fakt ten uszedł jakoś uwadze pozostałych ołyczan, ale drzemał w baedekerowskiej pamięci księcia-ordynata. Tak, byłoby to pewnym malarskim usprawiedliwieniem tej wyprawy hiszpańskiej, nie leżącej wcale w planie studiów. Przynajmniej w tym planie, jaki przed rokiem poddany został

zgodnej aprobacie obu władz ołyckich: biskupiej i książęcej.

Właśnie wtedy mniej więcej poznałem go w Paryżu. Czuł się już prawie zupełnie dobrze po tamtym wypadku; złamaną ręką była lewa. Odzywało mu się w niej, tylko kiedy wsiadał do autobusu. Ale też autobusami nie jeździł. Mieszkał daleko od normalnych centrów malarskich, w „hotelu”, który wprawdzie nie posiadał windy, ale miał za to siedem pięter. Po drodze pod to niebo na każdym piętrze unosiły się coraz to nowe zapachy kuchennych warzeń, a z pokoiów wyzierały coraz to nowe i bardziej rozmamłane dziwki. Policja zjawiała się tu często, ale też rzadko kiedy opuszczała ten dom z pustymi rękoma. Biskup, gdyby widział paryskie pomieszczenie eks-protegowanego, pewno by mu z miejsca cofnął zasiłek, nawet wtedy gdyby tego nie był zrobił już wcześniej.

Strychy domu były umiejętnie poprzerabiane bądź na suszarnie bielizny, bądź na pracownie malarskie. Ponieważ było to lato, było tam jak w cieplarni. Natomiast samo wnętrze tego strychu rozpogodziłoby nawet księdza biskupa, albowiem ochotnik z brygad międzynarodowych w Hiszpanii poświęcił

się całkowicie malarstwu religijnemu. Parę wulgarnych aktów stanowiło skromny wyjątek. Wszystkim były witraże. Nie tylko pomysły do witraży malowane sobie spokojnie na jakichś kartonach, nie: same witraże. W kącie było pełno sztab ołowianych, wyginanych w posłuszne kształty, i pomiędzy te wygięcia wsuwał szklane, barwione szybki, takie jak na wszystkich witrażach w Chartres, w Reims i gdzie tam jeszcze. Dziwki i witraże. Istotnie. W różnych odstępach mojego paryskiego pobytu pamiętałem, jak miał za „asystentkę” – ciemnoskórą, chudą Annamitkę, nalaną Hiszpankę, Polkę z dobrego domu i rosyjską Żydówkę. Z wyjątkiem Annamitki były to wszystko dość ordynarne dziewczęta, takie które w opinii ogółu są zdecydowanie brzydkie, ale innym mogą się podobać. Trzymał je dosyć krótko i w chwilach wolnych od zajęć natury gospodarczej czy seksualnej służyły mu za popychla przy witrażach, na których pełno było Panów Bogów, aniołów, świętych dziewic i młodzianków.

Bardzo było trudno rozgryźć, dlaczego uwodziciel z Ołyki, ochotnik spod Guadarramy i dziwkarz paryski rozlubował się właśnie w tym wąskim rodzaju sztuki religijnej. Bo

witraż poza witrażem religijnym dla niego nie istniał wcale. Można by rzec, że w życiu istniały dlań jedynie szmiry, a w sztuce jedynie święci. Z ułamków witraży i fragmentów, szkiców i kartonów wyzierały twarze o wyrazie zbolałym lub uduchowionym, roześmiane widzeniem lub skurczone męką. Podobno w Paryżu obudził już nawet pewne zainteresowanie, nielicznych oczywiście kół, toteż nasi malarze, z którymi żył mało, odnosili się doń z zazdrością. Ktoś nawet powiedział mi wtedy:

– To jest malarz niewątpliwie utalentowany, ale ten jego talent uległ deformacji. Podobno jego stary był zakrystianem czy czymś takim? Toteż teraz w życiu prywatnym jest z niego tylko rozpustnik, a w sztuce tylko bigot. Uraz.

Może psychoanalityk mógłby nam powiedzieć, ile w tym było prawdy: zapewne wiele. Jego stosunek do kobiet miał niezawodnie cechy jakiegoś rozbuchania, ekshibicjonizmu i zepsucia, które wyglądały na skutek długich uprzednich zapraw wychowawczych w wręcz przeciwnym kierunku. To że jednocześnie pewien typ malarstwa religijnego był jedyną niemal formą, w jakiej wyrażała się jego sztuka, było też zastanawiające. Witraż, pociąg-

nąwszy go ku sobie, wprowadził go w średniowiecze. Jedyne książki, jakie czytał, były to albo kolejowe szmiry, albo rozprawy o średniowiecznej sztuce, tej właśnie, gdzie witraż najbujniej zakwitł. W Chartres przesiadywał po kilka tygodni. Latem 1938 dostał się jakoś do Anglii i tu na „auto-stop” zawędrował do Yorku. Obie katedry, francuska i angielska, posiadają, jak wiadomo, najwspanialsze średniowieczne witraże, i Jan całymi dniami zapamiętywał każdy ich szczegół, nim odjechał.

Potem miał pracownię większą, urządzoną w jakimś opuszczonym kościele, i wtedy przeszedł na chemię. Doszedł bowiem do wniosku, że powinien sam, jak średniowieczni malarze, odlewać swe szkła, zaprawiać je odpowiednimi barwnikami, stosować połączenia i kontrasty. Nowoczesna technika, wedle której malarz oddaje po prostu całą techniczną część pracy wyrobnikom w zakładach szklarskich, oburzała go; twórcy wielkich witraży średniowiecznych sami nieraz zabarwiali każdą cząstkę swych wspaniałych *vitraux*. Tylko przez nawrót do tych praktyk może nastąpić odrodzenie tej sztuki. Toteż nowa pracownia przypominała jeszcze i alchemię. Jakieś kwasy, słoje, roztwory, sole

żrące, śniedzie, dziwne tygle i piece zajmowały coraz więcej miejsca. Dziewczyny, które w dalszym ciągu, dla nie wiedzieć jakich racji szły do tej pracowni jak na lep, miały teraz nowe dodatkowe zajęcie. Skarżyły się, że plami to suknie i wyżera ręce. Ale robiły.

Okazało się jednak, że żadną alchemią nie wyciągnie już ze szkła tych barw, które wyciągali dawno zmarli i zapomniani mistrzowie witraży normandzkich. Jak? Dlaczego? Innemu wystarczałoby stwierdzenie, że jest właśnie tak, a nie inaczej. Drugi pocieszyłby się wyjaśnieniem, że wiele zrobił największy alchemik – Czas, i że to parę wieków słoty, słońca, wilgoci, działania powietrza nadało podziwianym witrażom ich obecny koloryt. Ale Jan był nieufny. Zbyt wiele słyszał o tajemnicach, jakie ze sobą zabierali do grobu budowniczowie katedr gotyckich i sklepień romańskich. Zbyt często historyk sztuki natrafia na zawile tajemnice przyrządzania średniowiecznych farb i nie mniej zawile wytapiania złota z ołowiu. Gdzie pozostał ślad tych tajemnic? Gdzie go szukać? Chyba tylko w legendach. I w ten sposób od witraży przeszedłszy do alchemii, od chemii przeszedł do

legendy. Może tam odnajdzie zatracone średniowieczne przepisy? Znowu szukał dziejów każdego ze znanych, ze słynnych witraży. Ale teraz obchodziło go tylko, kto je robił. A zwłaszcza – jak? O budowniczych kościołów i katedr krąży zawsze wiele legend: okazuje się, że o twórcach witraży nie mniej. On znał je chyba wszystkie. Pamiętam, zima 1939, kiedy na Paryż spadała ze śniegiem wczesna noc i pierwszy wojenny *black-out*, wyjaśniał zwijając swą pracownię:

– Wiesz, jak jest na przykład z krwią? A krew w witrażu – sam cymes. Z krwią jest tak. W Hiszpanii był malarz witraży, Katalończyk, Ruiz de la Peñarroya. Same jego witraże nie są nawet najlepsze jeszcze, ale to, co na nich najlepsze, to krew. Otóż jest legenda, że Ruiz de la Peñarroya malował swe witraże pozostawiając miejsca zupełnie białe tam, gdzie miała przyjść krew. Pytano go: „Don Ruiz, czemu nie malujesz tu krwi?” Don Ruiz mówił: „Namalowałem tu krew. Ale ona wystąpi dopiero później.” Księża się niecierpliwi i pytali: „Don Ruiz, już minął rok, a witraż jest biały!” Ale Don Ruiz mówił: „Ojcowie, zaczekajcie.” A że była wojna przeciwko Maurom, więc Don Ruiz wymalo-

wawszy swe witraże wziął płaszcz z krzyżem i miecz, i poszedł, aby zginąć. I tego samego dnia, kiedy Don Ruiz zginął, na witrażach białych wystąpiła czerwona krew...

– Piękna legenda – powiedziałem.

Ale Jan się obraził:

– To nie jest wcale legenda.

– Jak to, nie jest legenda?

– Ja myślę, że to było tak.

– Jak to: było?

– Jak, tego nie wiem. Ale to wiem, że nikt dzisiaj naprawdę nie zna tajemnicy witraży, choć przecie chemia postąpiła znacznie naprzód od jakiegoś XIII wieku. I wiem, że nie wszystko jeszcze wiemy z rzeczy, które się dzieją. I jeśli może istnieć w Neapolu cud z krwią świętego Januarego, która rokrocznie burzy się w ampułce, gdzie zakrzepła przed tysiącem lat, ...i na witrażach Ruiza jest najprawdziwsza krew.

– Ale czy poza tym słyszałeś kiedyś o czymś takim?

Nie, Jan nie słyszał. To właśnie było przyczyną jego zwątpień. Ani w Anglii, ani we Francji, ani w Nadrenii, w Lombardii, w Prowansji, nigdzie nie było śladów podobnej historii. Jan szukał bardzo pilnie, ale nie zna-

laż nigdzie. I teraz przekonywał nie tylko siebie, ale i mnie:

– Tak. Może nie było. Ale jeśli nie było, to mogłoby się zdarzyć...

Właśnie zamykaliśmy na wszystkie spusty ostatnie paryskie atelier Jana. Był już, jak my wszyscy, w mundurze.

*

Po kampanii francuskiej wy dostał się z Wogezów późno bardzo, brodząc przez lasy i lasy, zachodząc do wsi, gdzie poza szampa-nem nie było prawie niczego, a za to coraz częściej zjawiali się Niemcy. Potem był długo w Tuluzie i jeszcze dłużej w Carpiagne, potem omal nie ugrzązł w Mirandzie, siedział w Huesca i późno wylądował w Szkocji. Po-tem ja wyjechałem do Rosji i rozminęliśmy się. Kiedy wróciłem, już go tutaj nie było. Wiedziałem, co i jak. Cała ta emigracja sta-wała się coraz bardziej takim okrętem, który już przez morza idzie w pełnym blackoucie, bez świateł żadnych i sterników, przewalając się tylko z boku na bok. Okrętem, z którego coraz to ktoś inny w coraz to inny sposób od-pryska w czarną głąb. Byli tacy, co powędro-

wali do Ameryki i słuch powoli o nich ginął, byli tacy, co przeszli na pracę u Anglików. Jeszcze inni pożenili się, mieli dzieci i odchodzili także. I tacy, co ciułali pieniądze na potem. A wreszcie byli tacy, którzy jeszcze inną drogę znaleźli, powrotną do kraju. Tę „najkrótszą”. On był w takiej jednej szóstce czy ósemce, czy czwórce. Pewnego dnia wyszedł z oddziału na jakiś kurs. Potem na lewej pierśsi nosił niewielką odznakę. Spadochroniarzy. Potem nie nosił już munduru. A potem znikł.

Teraz dopiero, gdy byłem w Szkocji, natrafiłem na ludzi, co go znali. Było to stare małżeństwo szkockie, bezdziejne zupełnie, katolickie. Stąd mieli do nas sympatie. Ich dom wiejski jest w pobliżu pewnego szkockiego miasta, które wszyscy znamy bardzo dobrze z owych lat pierwszych, lepszych niż te obecne. Jest to duży dom, pełen kominków, książek i pustych pokojów. Jan spędzał tu całe tygodnie po jakiejś chorobie, a potem przygotowując jakieś prace. Coś się w nim widać zmieniło, bo za dziewczynami się nie uganiał. Natomiast dalej malował witraże. W ich domu jest kaplica i w kaplicy tej, zimnej i szarej, jest właśnie witraż Jana. Jest to bardzo piękny witraż.

– Nikt by nie powiedział, że ma zaledwie dwa lata – podkreślał pan domu. – Ten chłopak miał naprawdę jakiś talent do wzywania się *in the old past*. Czyż to nie jest naprawdę średniowieczne?

Witraż był istotnie piękny, ale zarazem i straszny. Kaplica była mała, za mała na taki witraż, znajdował się on za blisko nas, nachodził nas całym swoim ogromem, wprost przygniatał. To nie było coś dalekiego i wysokiego. Ale nie... Jeszcze było coś więcej. Na witrażu, cały wygięty w męce, jakiejś realistycznej, hiszpańskiej, zakrzepł Andrzej Bobola w swym jezuickim habicie, z wąskim sierpem aureoli nad głową, z rękami, po których grubo ściekała żywa, czerwona krew.

Wtedy coś mi się przypomniało.

– *This blood, look, this blood... How has he done it?*

– *Very realistic, indeed** – przytaknął z zadowoleniem gospodarz. – Nieprawdaż? A wie pan, były z tym kłopoty. On tu sam te szkła kolorował i farbą zapuszczał, i tylko te, gdzie ta krew, pozostały zupełnie przezroczy-

* (ang.) Ta krew, niech pan spojrzy, ta krew... Jak on to zrobił? Rzeczywiście, bardzo realistyczne.

ste. Białe. Wszystkich to uderzało. Generał go strofował, nasi znajomi pytali. Mówiono, że przecież bardzo łatwo można było posłać do Glasgow. On się uparł i mówił, że krew będzie. Pan wie, jaki on był uparty. Jak tak się uwziął, swoje powtarzał i uśmiechał się takim dziwnym uśmiechem... A czasem tak się złościł, iż baliśmy się, że witraż potłucze.

– I... co powiedział?

– Co powiedział? *Kathleen* – *what did he say?* Ach, tak, że on już tego nie zobaczy, bo jego już wtedy tu nie będzie? Tak właśnie. To było bardzo dawno temu: chyba rok. Prawie. Jeszcze był u nas kiedyś, o, w takie popołudnie, jak pan, też z autobusu, nic nie mówił, ale się zegnał. Był tu w kaplicy i modlił się przed tym swoim witrażem, więc zrozumieliśmy, że to pewno już. I był bardzo spokojny. I jeszcze powiedział – prawda, *Kathleen*, na odjezdnym samym – żebyśmy się nie niepokoiли o te puste miejsca na witrażu. Że się zabarwią. Na pewno. I widzi pan? Ale długo się nie zabarwiały wcale. Aż któregoś popołudnia, w marcu chyba, była odwilż i ciepło. Wyszliśmy z *Kathleen* na spacer aż do mostku i ona uzbierała pełno krokusów, które właśnie wyszły spod śniegu. Było ich tyle, że

starczyło na bukiety w jadalnym i w *sitting-roomie*, i zanieśliśmy je też do kaplicy. I właśnie wtedy kiedyśmy je układali w miskach na ołtarzu, moja żona powiedziała naraż: – „Popatrz: witraż!”

Popatrzyłem. Polski święty na nim był teraz cały we krwi. Jak się to stało? Może trzeba było czekać wiosny, pierwszego ciepła i wilgoci, żeby barwniki na szkle odezwały się? Pewno są w tym jakieś tajemnice chemiczne. Nie wiem. Nie znam się ani na chemii, ani na witrażach. Ale on się znał, jeśli tak mówił, jeśli był aż tak bardzo pewny swego.

„Trzyście opowieści” – Warszawa 1946

Paliki

Sierżant Pilecki był pierwszym żołnierzem polskim, który dostał się we Francji do paki – i pierwszym żołnierzem polskim odznaczonym z rozkazu *Résistance*. A jak się to stało, opowiem.

Sierżant Józef Pilecki był starym zawodowym podoficerem Wojska Polskiego, ani gorszym, ani lepszym od kilkunastu tysięcy takich samych właśnie jak on. Z roku na rok i z jesieni szkolił zawsze w ten sam sposób tak zwany manszaft rekrucki, grubo ciosanych, powolnych chłopaków wiejskich o śpiewnej mowie zza Buga; krępych i szybkich warszawiaków, do objaczki skorych; smętnych Żydków z Mławy i Góry Kalwarii oraz wszelki element dziewiętnastolatkowy, jakim obradzała w owe czasy polska ziemia. Zarządzał alarmy i pobudki, uczył sztuki składania munduru „w kostkę”, sadzał do pa-

ki i ćwiczył „żabki” – słowem czynił to wszystko, co mu kazano czynić, i od czego, jak zapewniały władze, zależy, jak dwa a dwa cztery, wygranie przyszłej wojny.

Okazało się jednak, że wygranie przyszłej wojny nie zależało ani od umiejętności wyliczania wszystkich cudacznych nazw, jakimi regulamin opatrzył poszczególne części karabinu typu Mauser, ani od szybkości składania munduru „w kostkę”, ani od ilości wyćwiczonych przysiadów. Sierżant Józef Pilecki sam nie wiedząc kiedy i jak, nie widząc Niemca na lekarstwo, pchany z postoju na postój niewidzialnymi, niezrozumiałymi rozkazami, znalazł się po parunastu dniach gdzieś w malowniczych jarach Podola, a potem w ten sam sposób wypchnięty został, nadal nie wiedząc jak, poprzez szlabany graniczne. Falanga generałów, pułkowników i majorów sfrunęła gdzieś dalej, a on osiadł naraz za drutami – co prawda niezbyt srogimi – obozu o szeleszczącej i cudacznej rumuńskiej nazwie.

Teraz dopiero miał nieco więcej czasu na zadawanie sobie pytania: jak to być mogło? jak to się stało? Uczono go przecież – i on potem uczył innych – że wojny wygrywa ta armia, której żołnierz może najwięcej ujść

dziennie piechotnym marszem, i że dobry żołnierz to ten, co najpoprawniej salutuje oficera, że czołgi niemieckie są z dykty i nie przejdą po polskich drogach; no – a w drugim dniu wojny angielsko-francuski desant zajmie Królewiec. Po czym po trzech tygodniach lądowano w Rumunii.

Mechanizm sierżanckiej mózgownicy był jednak przez kilkanaście lat służby podoficerskiej nastawiony na wszystko: na kombinacje, na markierowanie, na puc – tylko nie na samodzielne myślenie. I zapewne nie ruszyłby z miejsca i w tej rumuńskiej Targowiszte, gdyby nie to, że naraz, całkiem niespodzianie, otworzyła mu się droga do Francji. Wypad do Bukaresztu był jedyną trudnością. Stamtąd ekspresem symplońskim, poprzez rudziejące pałdziernikiem winnice Lombardii i śnieg wysoki Szwajcarii, zadumany sierżant Pilecki przepłynął bezboleśnie do Francji i wylądował w sercu Paryża, o sto metrów od Sekwany, a mniej niż dziesięć kroków od Luwru. W pięknym hotelu urzędowali już po dawnemu dobrze mu znani półbogowie armii. Wiernego sierżanta powitali łaskawie:

– No i widzicie, sierżancie, wojnęśmy przegrali, ale z siodła nas nie wytrącono i już

nas nikt nie wytrąci. Pójdziemy w górę i wy z nami, bo nam ludzi pewnych potrzeba!

Sierżant Pilecki nie pytał, co znaczą te słowa o „siodle” i co znaczą owe o „ludziach pewnych”, gdyż kilkanaście lat służby nauczyło go sztuki niezadawania pytań przełożonym. Począł jeszcze kilka dni w dalekich koszarach Bessières. Do Paryża mało zaglądał – bo po co? I wtedy właśnie zarysował się jego niechętny stosunek do Francji. Palcem nie ruszyli we wrześniu; nie ruszają się i teraz i wszystko im – widać – w głowie, tylko nie wojaczka. A bogate to, bogate – wysnuwały się zdumione refleksje z podróży. Wino tylko piją – dodawał niechętnie. Warszawy pół spalonej, a u nich na ulicach dziwki w jedwabiach, pachnące perfumami na sto kroków. Jedna w drugą nie gada, ale śpiewa po francusku... Człowiek się czuje jak mucha w mazi – myślał. Na jakiejś wystawie, w lustrze, zobaczył naraz sam siebie. Nie miał jeszcze munduru, tylko to cywilne, „pozbierane” ubranie, w jakie zaopatrzone go w Bukareszcie. Cudaczny krawat wypinał się niesfornie na ogorzałym, krótkim karku. Z radością lub przynajmniej z ulgą dowiedział się z wieczora w kancelarii Bessières, że jest przydzielony do obozu rekrutacyjnego w Bretanii.

– Phi... Toż kurne chaty u nich, tyle że kamienne! A brud, a gnojówka od progu, prosięta z dziećmi. I to Francja?

Takie były jego odkrycia w pierwsze dni po przyjeździe. Był już w mundurze, dali go do formującej się kompanii, czuł się lepiej. Kompania stała o parę kilometrów od centralnego wojskowego obozu, we wsi, której urzędnicy mieszkalni uznał za tak wątpliwą nowoczesności. Do obozu trzeba było stale jeździć, a to po umundurowanie, po dozbrojenie, żywność, dla ewidencji. Obóz położony „na wydmuchu” także nie zaimponował mu.

– W Rembertowie niby też piachy, ale sosny przynajmniej jakie... czy w Dorohusku... albo na Pohulance. Żeby to budynki jak w Ławicy!... Gdzie im do Dęblina!

To co wzbierało musiało więc wybuchnąć, i stało się to nawet bardzo szybko. Oto nie doformowana kompania przemaszerowała do obozu na swe pierwsze strzelanie. Sierżant z kapralem Płońskim i z jednym „na ochotnika” przemaszerowali do baraku H-217, gdzie w myśl informacji ogłoszonych we wczorajszym rozkazie dziennym intendentura francuska musiała dostarczyć tak zwanych przyborów strzeleckich – tarcz, celów i podobnego sprzętu.

Stawienie się w obozie było wyznaczone na ósmą rano – trzy na ósmą kompania hukając na senne opłotki bretońskie swe sakramenckie: „A czyżeż to imię rozbrzmiewa dziś sławą?” – wkraczała bramą wejściową. Francuzi byli uwiadomieni, niemniej barak H-217 był zamknięty na amen.

Wybiła ósma, przeszło pięć minut, dziesięć, piętnaście. Tam i sam snuli się jacyś Polacy, Francuzi. Sierżant stał u zamkniętych bram baraku niemy od służbowego oburzenia, stałby tak i pół godziny, i więcej, byle hańba spóźnienia urosła jeszcze bardziej. Ale trzeci jego towarzysz – ów „na ochotnika” (zdaje się, był to górnik z północnej Francji, padł potem pod Roulers) – zagadnął któregoś z przechodzących Francuzów: *L'adjudant?* – Tamten powiedział: O tej godzinie na pewno jest w messie podoficerskiej. – I dodał tonem usprawiedliwiającym i nader ludzkim: *Il y boit son vin!*

– Pije swoje wino – przetłumaczył Baćmaga – a tu cała kompania czeka! – I kropnął się na własną rękę do owej messy, skąd po chwili, co prawda niezbyt długiej, wyszedł z krępyim, czarnym, bujnie owłosionym podoficerem, rangi znanej w armii francuskiej jako *adjudant*.

– Karakon – określił go sobie sierżant.

Wino podawane w kantynach podoficer-
skich armii francuskiej owej jesieni 1939 r.
nie musiało posiadać walorów wzmacniają-
cych energię, bo i teraz Karakon nie okazał
nadmiaru pośpiechu. Mruknął coś do Pola-
ków, po czym znikł za sąsiednim barakiem
i dopiero po dobrych pięciu minutach przy-
drałował z jakimś ospowatym pomocnikiem.
Mocowanie się z kłódkami i ryglami składu
potrwało też swoje, aż wreszcie otworzyły się
magazynowe czeluście wiejąc powitalną
stęchlizną. Baćmaga służył za tłumacza.
Francuz miał zresztą rozkaz, a w tym rozka-
zie była wyraźnie „godzina ósma”, czym jed-
nakowoż i nadal nie zdawał się przejmować.
Pogmerał w jednym kącie, w drugim – wre-
szcie wyniósł z trzeciego kilka wysokich na
metr siedemdziesiąt palików.

– Raz, dwa, trzy, cztery – policzył uroczyś-
cie i podsunął gruby zeszyt – podpiszcie się tu.

– To jest sprzęt strzelecki? – zdumiał się
sierżant.

Baćmaga posłużył za tłumacza. Karakon
oświadczył, że tak.

– Tarcze z papieru samiście sobie powinni
porobić i na tym umieścić, my dajemy tylko

te kołki. Dla was i to dobre, kwitujcie i wy-
noście się – podsunął zeszyt sierżantowi.

Baćmaga dyplomatycznie nie przetłuma-
czył ani „dla was dobre i to”, ani „wynoście
się”, zwłaszcza że to ostatnie było powiedzia-
ne znacznie, ale to znacznie dosadniej. Ale
sierżant wyczuł ten nastrój i dopowiedział so-
bie te pominięcia. Przez chwilę stał bezradny.

– Że jak? – zapytał.

Karakon, któremu spieszno było do kanty-
ny, rozzłościł się.

– Tu niech podpisze, tu – wskazywał
z pasją jakąś rubrykę. – Że wzię! A co wy
myślicie? Darmo wam to dajemy? Niczego
darmo tu nie dostaniecie. Za to wszystko
wasz rząd będzie płacił naszemu po wojnie!
Płaci! Płaci!

Sierżant zakręcił się w miejscu.

– Wracamy do kompanii! Nic nie kwituję,
sami sobie lepsze zrobimy – zdecydował. –
W tył zwrot!

– Panie sierżancie, co mam mu ano powie-
dzieć? – pośredniczył dyplomatyczny Bać-
maga. Karakon bowiem ujrawszy polski od-
wrót okazał niepokój. Ostatecznie miał
rozkaz wydania owych palików; ci odchodzą
bez nich; może pójda na skargę?

Ale interwencja przyniosła niestety najbardziej opłakane wyniki.

– Powiedz mu – huknął sierżant Pilecki – niech mnie pocałuje w d..., a rząd Polski za to g... płacić im nie będzie!

Gdyby Karakon nie rozumiał ani słowa po polsku, to z samego tonu i głosu zrozumiałby, że odpowiedź polska nie miała w sobie nic szczególnie ponętnego. Ale traf chciał, że Karakon był rodem z Korsyki i jak wielu z rodaków Napoleona służył ongi we francuskiej policji. Ta ostatnia miała dużo do czynienia z cudzoziemską imigracją robotniczą – Włochami, Czechami, Polakami, Hiszpanami, Serbami, często niespokojnym elementem. Stąd, mówiąc językiem oficjalnym, dla policji francuskiej zaistniała potrzeba zaznajomienia się z zasobem wyzwisk i obelg, jakimi owi cudzoziemscy robotnicy mogliby w razie zatargu dopuścić się przestępstwa tzw. obrazy władzy. Rzecz prosta, że jędrna mowa polska uzyskała w owym policyjnym słowniku jedno z poważniejszych miejsc, a Karakon miał już może z nią do czynienia, bo wybuchnął:

– Ty mnie d..., ty mnie g... – ryczał po francusku, wykrzykując triumfalnie (no i zdu-

miewająco poprawnie) rzeczowe polskie słowa. – Ty mnie d..., ty mnie g... – powtarzał, żeby przeciwnik nie miał żadnych złudzeń, że w tym wypadku on, Karakon, nie ma najmniejszej potrzeby uciekania się do przekładu Baćmagi.

Wszystko to działo się już nie w stęchłych czterech ścianach baraku H-217, ale na zewnątrz, a kamienne schody wyjścia tworzyły dla skeczu „Przyjaźń polsko-francuska” znakomitą, wzniesioną wysoką scenę. Głos rozchodził się tu szeroko – godzina była blisko dziewiąta rano – toteż w obszer- nym obozie audytorium było zapewnione. Było ono nawet nadspodziewanie świetne, o czym zresztą nie wiedzieli ani sierżant Pi- lecki, ani Karakon. Oto ubiegłego dnia po- ciągiem pociągami pociągami pociągami Paryż-Brest zjechała cała mieszana ekipa wojskowa polsko-francuska właśnie dla spraw związanych z tworzeniem nowej armii. W Rennes odczepiono ich wagon, w Guer zjedli śniadanie – i właś- nie dowiezieni autami do obozu postanowili przejść się po nim, jakby w trafnym prze- czuciu, iż taki spacer da im odpowiedni wgląd w warunki polsko-francuskiego współżycia.

Francuscy członkowie misji nie wydali się zbyt przejęci zajściem. Polscy za to zawrzeli w gorliwości.

– Mąciociel odwiecznej przyjaźni polsko-francuskiej zostanie przykładowie ukarany! – zadecydował generał Wszędo-Właziewicz chcąc wyrokiem nadrobić własne zaległości. Jeszcze pół roku temu mawiał przecież, że najlepszym żołnierzem w Europie jest żołnierz niemiecki, a Francja to zgniłe łajno.

I tak sierżant Pilecki otrzymał cztery tygodnie ścisłego aresztu, zredukowanego potem za wstawienie się Francuzów i „przez wzgląd na dotychczasowy nienaganny stan służby” do dwóch. Mógł w ciągu nich rozmyślać gruntownie nad tym, do jak smutnych wyników prowadzi nadmierna a niepowołana dbałość o wojenne zadłużenie Skarbu Państwa.

*

W jakiś czas potem sierżant Pilecki wraz z kilkunastu tysiącami jemu podobnych miał poznać z kolei innego alianta Rzpltej, aczkolwiek już nie od strony jego więzień. Być może, że nie okazywał wtedy owej przesadnej dbałości o przyszłe długi wojenne swego rzą-

du, być może także, że sprzęt dostarczany przez władze Jego Królewskiej Mości był lepszej jakości od tego, jaki ongi wydawał Karakon. Z tym sprzętem zapoznawał się długo, bardzo długo, i smutne wspomnienia francuskie zdołały wywietrzeć mu już ze łba, kiedy o świcie pewnego lipcowego poranka, latem 1944, lądował wraz z całą polską dywizją pancerną na zrytych, wydeptanych, zawalonych ludźmi i żelazem plażach normandzkich Avromanches.

Rozpoczęły się walki pod Caen, a potem pod Falaise. Dwóch polskich pułkowników padło na czele swych pułków; husarsko i szwoleżersko pojęta szarża czołgów gołym polem za Caen skończyła się rzezią i wśród pól pszenicznych płonęły jak słupy ogniste – poszlachtowane polskie czołgi. Rozeszła się wieść, że noszenie monokla przynosi nie-szczęście, toteż pewien kawaleryjski pułkownik, który takowy dotąd nosił, schował go teraz do kieszeni, a pewien wachmistrz, ongi z Legii Cudzoziemskiej, który nie nosił go nigdy, teraz go nałożył. Nasz sierżant znalazł się w zgrupowaniu, które, wysłane pod Chambois, trafiło dzięki swemu dowódcy pod Champeaux – i w samo serce Niemców.

Ale koniec końców to Polacy zamknęli worek, w który wspólnymi alianckimi siłami wtłoczono niemieckie dywizje drałujące z zachodu do Vaterlandu, i na ich karkach ruszono naprzód.

Bywa tak, że o jednych głupich paręset metrów frontu tłuką się tygodniami dywizje, a bywa potem i tak, że cały front pruje się naraz i drze sam, od końca do końca. Tak się właśnie owej jesieni 1944 pruć zaczął we Francji. Z łoskotem czołgów, zgrzytem gąsienic, dudnieniem ciężkich dział, walono drogami i drózkami Normandii, byle do Belgii, byle nad Ren. Opór był stawiany, ale pryskał. Zaraz po każdym takim pryśnięciu zza chałup, zza domów, z ogrodów, z sadów i rowów wyłaziły sinozielone szkopy, jak raki szerokim zaczerpnięte sakiem. Szło to teraz niepewnie, jakby chwiejąc się na nogach, ugięte w kolanach, z gołymi głowami, rozglądając się lękliwie. Grube, czarne czołgi czekały na nich dysząc motorami. Prędezej! prędezej!

Było jasne sierpniowe popołudnie, na szosie za Roche-sur-Yon. Trzy czołgi sierżanta Pileckiego właśnie otworzyły ogień na sad. Posypały się czerwone jabłka – a spod jabłoni powstawało z pół kopy blondasów. Stali roz-

glądając się. Zza domów wsi, za plecami czołgów, poczęli wyzierać Francuzi. Wyrostki.

Sierżant Pilecki wychylił się z czołgu i dał znak ręką. Niemcy zrozumieli. Z podniesionymi rękami poczęli iść gęstą trawą sadu do szosy. Za czołgami z domów powychodzili Francuzi.

– Prędzej – zahuczał sierżant. – *Schnell, schnell!* – wołał. – *Komm, komm!*

Niemcy poruszali się rażniej. Pewniej już doszli do szosy. Dochodząc przeskakiwali rów i stawali w szeregu. Czołgi odruchowo pozniżały wyloty biz.

– Panie sierżancie? – zagadnął radiotelegrafista.

– A co takiego?

– Tu jest Francuz jeden, z *Résistance*. On chce do dowódcy... do pana sierżanta.

– To spytaj go, czego on chce – zbył go sierżant Pilecki. I naraz – może że to było pierwsze teraz spotkanie z Francuzami? – przypomniał mu się Karakon.

– On mówi, żeby uważać, bo tu wszędzie są jeszcze Niemcy, po lasach, ogrodach... w zbożu, gdzie nie zebrane, siedzą. On mówi, żeby uważać, bo wy, mówi, walicie naprzód, a na waszych tyłach...

Jakby na potwierdzenie bzyknęły skądś strzały.

– A czemuż oni, owa ich *Résistance* nie wali nic? Który to z nich – no? Czemu siedzą tylko za chałupą? No?

– Broni nie mamy – rzekł Francuz po angielsku. – *No arms* – powtórzył. – *No guns*.

– *No guns?* – spytał sierżant Pilecki. – *No arms?* Chcecie *guns*, chcecie *arms*?

I poderwało go.

– Ratajski! – zawołał do radiotelegrafisty. – Ratajski! Co jest, do cholery? Gdzie te szkopy podziały swoją broń? Czemu przyszły bez broni? Niech idą z powrotem, takie syny, i żeby mi się bez broni nie pokazywały! *Waffen* – przypomniał sobie nagle. – *Mauseren? Wo sind Mauseren? Bringen! Sofort! Zurück! Weg!*

Ostra, poznańska niemczyzna Ratajskiego nadawała tej komendzie cechy zgoła naturalne. Niemcy, speszeni, jeden przez drugiego, jakby dla zabawy jakiejś, poczęli przesadzać rzadki żywopłot, który odgradzał drogę od sadu. Po czym rozchodzili się brodząc w gęstej trawie, wśród białych pni jabłoni. Goniło za nimi niemieckie ujadanie Ratajskiego, nie wiedzieć czemu, dla fantazji widocznie, przeplatane i polskim przekładem:

– Każdy jeden aby mi ze swoim giwerem *sofort* cumaszerował! Porzundek, że zaś aby, *Ordung. No, schnell, schnell!*

Z drogi Polacy i Francuzi gapili się na dziwne widowisko. Niemcy, przeprowadzani hukaniem Ratajskiego, brnęli w trawach sadu nachyleni, jakby w grzybobraniu jakim. Co chwila poniek który schylał się, podnosił coś i zawracał ku drodze. Szedł wtedy śpiesznie, aż przesadziwszy żywopłot i rów stawał niepewny na skraju asfaltu.

– *Hier* – wołał wtedy Ratajski – *hier!* – i wskazywał miejsce na szosie tuż przed czołgiem sierżanta Pileckiego.

– *Hier* – powtarzał tamten. Wówczas Niemiec zniżał się, kładł coś i odchodził. Francuzi postawali na palcach. Poszedł po tłumie szmer:

– *Des armes!*

Coraz więcej Niemców wracało z sadu. Coraz więcej broni gromadziło się przed czołgiem, tworząc niemały stos. Oczy Francuzów patrzyły pożądliwie. Wreszcie ostatni Niemiec złożył ostatni pistolet automatyczny i ustawił się składnie w szeregu.

– Licz – rzekł Pilecki.

Ale Ratajski już był zliczył i nie było

z tym żadnych kłopotów. Tedy sierżant Pilecki obrócił się do tłumu. A już wyległa była cała wieś.

– Kto tu jest z ramienia *Résistance*? Ratajski, tłumacz!

– *C'est moi* – wysunął się jakiś młodzik.

Sierżant Pilecki popatrzył z góry wieży czołgowej (ach, z jakże wysoka patrzy się wtedy na świat!) na szczupłego, dość wysokiego Francuza, dziwnie po słowiańsku płowowłosego, jasnego. Ten zrobił na nim dobre wrażenie. Niemniej sierżant zapytał jeszcze:

– A mera tu nie ma?

– *Maire! Monsieur le maire! On vous cherche, Monsieur le maire!** – zapiszczała ludność.

– *C'est moi!*** – zadeklarował na poły dostojnie, a na poły niepewnie gruby, ciemno ubrany jegomość, który już-już rozwarł tłuste, karpie wargi celem dłuższego przemówienia.

– A proboszcz? – przerwał mu sierżant.

Okazało się, że proboszcza nie było, ale parę ofiarnych dewotek pognało w stronę ko-

* (franc.) – Merze! Panie merze! Szukają pana!

** (franc.) – To ja!

ścioła. Tymczasem zachrobotąło radio na pułkowej sieci. Sierżant podał szyfrem miejsce, gdzie stanął pluton, ilość jeńców, szczegóły terenowe. Po chwili radio odchrobotąło podobnym szyfrem.

– Halo! halo! Paweł cztery, czy mnie słyszycie? W lewo od was Jany zatrzymane. Stać w miejscu, czekać dalszych rozkazów. Nie wysuwać się poza Kobylę.

– Dobra – zdecydował sierżant. Wiedział, że nie ruszą przed pół godziną.

Na drodze, w spiecu sierpniowej, pot oliwił się na czerwonych, opalonych i odsłoniętych czołach Niemców. Czarny tłum francuski rechotał z zadowolenia. Coraz to który pomykał do domu, by wrócić z koszami owoców, butelkami wina, osełkami masła, jajkami owiniętymi w barwne chusty. Normandia była bogatym krajem.

– Ech! żeby my to tak w Polsce – ktoś westchnął w drugim czołgu.

Tymczasem przydrałował proboszcz, szczupły, siwy, zaschły, w wytartej na glanc sutannie. Już z drogi podniósł rękę do błogosławieństwa. Ale sierżant zatrzymał ją tak jak przedtem otwierające się już do oracji karpie wargi mera.

– Niech ci trzej przyjdą tutaj – dał znak ręką.

Za sprawą łamanej francuszczyzny Ratajskiego mer, ksiądz i członek *Résistance* podszli do czołgu dowódcy. Stopami dotykali sto-su broni.

– Teraz, Ratajski, tłumacz im, ale wolno, aby skapowali, co aby powiem, a nie opuść nic, bo wszystko ważne jak w rozkazie.

W słońcu sierpnia, opodał normandzkich jabłoni i grusz, tłum francuski i jeńcy niemieccy nasłuchiwali.

– Ta broń – sierżant wyciągnął rękę w dół przed siebie – została zdobyta na Niemcach.

Urwał – i zatrzymał się na chwilę. W ciszy wyczekiwania, jaka nastąpiła, rozszalały się świerszcze po rowach.

– *Ces armes* – dukał Ratajski – *ont été prises aux Allemands...*

Sierżant odczekał nową chwilę, widocznie niepewny, czy Ratajski zdołał przełożyć wszystko. Pot na ogorzałych czołach Niemców załśnił jeszcze tłuszciej; erkaemy świerszczów podjęły w trawie swe długie serie.

– Została zdobyta – głos sierżanta zawa-
hał się i podniósł się – przez nas, polskich
żołnierzy.

Milczenie nie zdążyło zapaść, a świerszcz się rozćwierkać, kiedy już grzmiał pewniejszy siebie dyszkant Ratajskiego:

– *Elles ont été conquises* (tak, owo *conquises* wyglądało znacznie eleganciej) *par nous, soldats polonais*.

Usłyszawszy *polonais*, sierżant dorozumiał się, że Ratajski dotarł już do końca tłumaczenia, wpadł więc wprost w jego słowa:

– ...broń ta stanowi zatem, jako zdobycz wojenna, własność polską, własność Państwa Polskiego, własność polskiego Skarbu...

Francuzi zakręcili się niespokojnie.

– Jednakowoż – ciągnął powoli sierżant wyprostowany w wieży czołgu jak na trybunie – jesteśmy gotowi przekazać ją kierownikom Ruchu Oporu w tutejszej miejscowości, a to pod dwoma warunkami...

Szyje wyprężyły się zainteresowaniem.

– Oba te warunki – muszą być przyjęte, potwierdzone na piśmie i poręczone przez przedstawiciela Ruchu Oporu, dalej przez miejscowego mera, wreszcie przez proboszcza...

Proboszcz pokiwał tu głową, jakby z góry odpuszczając jakieś pomniejsze grzechy. Mer jednakowoż skrzywił się w wątpliwość.

ciach. Nigdy przecież nie miano się dowiedzieć, jakiego były rodzaju, bo w tej chwili sierżant wtrącił szybko i ostro, że w razie odmowy nie zobaczą ani giweru, i odpowiedź ta w jędrnym tłumaczeniu Ratajskiego tak poruszyła tłum, że mer nader pośpiesznie wyraził swą niezwykłą, acz nagłą gotowość do zaręczenia wszystkiego, co by od niego żądano.

– *Les conditions?* – niecierpliwił się młodzik z Ruchu Oporu.

– *...sont les suivantes* – tłumaczył za sierżantem Ratajski. – *Ces armes ne serviront que contre l'envahisseur étranger...*

Młodzik z Ruchu Oporu dość poniewolnie przytwierdził zgodę, natomiast mer przyjął warunek z widocznym entuzjazmem.

– ...drugim warunkiem jest, iż broń ta zaliczona będzie na poczet długu wojennego Francji wobec Państwa Polskiego...

Tu mer i proboszcz zdali się chwilę rozmyślać, ale szybko zgoda młodzika pociągnęła i ich.

– Akt żeby mi był spisany, i to prędko, zaraz – zagrzemiał na zakończenie sierżant Pilecki.

– *On y va!* – zakrzyknął mer, rad, że zacznie urzędorzyć.

I w trójkę z proboszczem i człowiekiem z *Résistance* podrażowali ku urzędowi gminnemu.

W tempie przynoszącym niewątpliwie chlubę biurokracji francuskiej przynieśli żądany akt. Ratajski odczytał go, sierżant wysłuchał z uznaniem, a gdy tamci podpisywali kolejno, opierając się o blachy czołgu jak o pulpit, upomniał się jeszcze:

– Sporządźcie mi kilka takich aktów... z pięć... z dziesięć... kopii. Ale bez wymieniań miejscowości ani nazwisk... Okienko na wyliczenie uzbrojenia... Formularze... Rozumiecie?

Mer okazał raz jeszcze jeden wysokie uzdolnienia biurokracji francuskiej. Tymczasem jeden po drugim pistolety automatyczne, karabiny, rewolwery oficerskie przechodziły, wyliczane kolejno, z żołnierskich rąk polskich w ludowe francuskie. Słońce już się zniżało za grusze na skraju, gdzieś z lewa jakaś seria cekaemów rozśpiewała się ujadaniem, świerszcze witały tryumfalną kapelą dozbrajanie Francji. Stali jeszcze chwilę, aż zadźwięczało radio i czołgi zgrzytając potoczyły się naprzód.

*

Była o to, ale już w Belgii czy Holandii, wielka kwestia wniesiona przez wysokie i najwyższe sztaby brytyjskie, że Polacy broń zabraną Niemcom, a więc wojenną i prawną zdobycz, a własność Jego Królewskiej i Brytyjskiej Mości, rozdawali francuskiemu motłochowi, czym niewątpliwie wyrządzili uszczerbek brytyjskiemu (i tak już nadszarpniętemu mocno) skarbowi...

– Jak to – zakrzyknęli jednak Polacy – a kto zdobył tę broń, wy – Anglicy, czy my – Polacy?!

Sprawa tak postawiona wlokła się po biurach i urzędach przez długie miesiące, z szukaniem winnych, co nie byli winni. Ale sam przedmiot sporu, zdobyta broń – już rozplynęła się była we Francji i w tym czasie przeważnie gdzieś nad Renem lub Mozą garbowała skórę niemiecką. Przecież koniec końców przyszło wreszcie jedynie życzenie i upomnienie wystosowane pod adresem polskiego sierżanta Pileckiego, aby jednak pamiętał, iż prawo międzynarodowe zakazuje rozdawania zdobyczej broni ludności tubylczej, aby zatem w przyszłości itd. Polski sierżant Pilecki przyjął ów akt do wiadomości,

a nawet obiecał solennie dostosować się do zawartych w nim żądań. Było to może dlań o tyle łatwe, że w chwili gdy mu ów akt doręczono, znajdował się już ze swym oddziałem od pięciu dni na terytorium... niemieckim.

Dzieje samodzielnej akcji polskiego sierżanta dotarły jednak i do francuskiego sztabu, budząc tam zresztą odmienne od brytyjskich refleksje. Pisanina trwała tam też dosyć długo, tak że dopiero na wiosnę, pod koniec kwietnia 1945 roku, coś właśnie koło Wielkiej Nocy, sierżant Pilecki został wezwany służbowo do znenawidzonego dotąd Paryża.

Ów Paryż był całkiem inny niż wtedy w roku 1939. Może dlatego, że wtedy była jesień, a teraz wiosna, a może dlatego, że wtedy był przedmrok klęski, a obecnie przedświt zwycięstwa. Ludzie byli gorzej, znacznie gorzej odziani, jeść nie było co, twarze jakieś wychudłe i blask niezdrowy w oczach, ale teraz ten Paryż wydał się polskiemu sierżantowi jakiś znacznie bardziej sympatyczny. Widział go zresztą wyjątkowo dobrze. Stał bowiem wysoko pod samym Łukiem Tryumfalnym, u stóp rzeźby z wiarusami napoleońskimi, w jednym szeregu z kilkunastoma Polakami z dywizji pancernej,

udekorowanymi teraz francuskimi odznaczeniami za kampanię normandzką. Pierwszy w rzędzie stał jego generał, zaraz dalej stał major Michał Gutowski, nieco dalej daremnie usiłował wciągnąć k'sobie brzuch najgrubszy adiutant Armii Polskiej, porucznik Jan Tarnowski. Słowa ostrej, rwącej komy, łoskot przyciąganych karabinów – poleciały olbrzymim placem tak składnie, że nawet sierżant Pilecki nie mógł tu Francuzom niczego zarzucić. Dźwięki obu hymnów buchnęły ze srebra orkiestr w to kwietniowe, rześkie powietrze, niczym dwie łopoczące skrzydłami, nadziejne eskadry gołębi.

Były tak gołębnymi, że sierżant Pilecki, całym nieprzepisowo, podniósł nawet głowę. A gdy ją podniósł, zagapił się na Paryż. Było na co. Ulice, szumiące zielenią bardzo świeżych pąków, podbiegały pod wzgórze Gwiazdy i Łuku, Luwr daleko ginał w najczudniejszej błękitnej mgle, wiatr bił świeżą młodością, zimną jak kąpiel nocna. Niebieskie, mazowieckie oczy sierżanta pobiegły po wysokim, tuż nad nim żlebie Łuku Tryumfalnego. Pięły się po nim i nad nim jakieś litery, nazwy, nazwiska. Czekał, aż barwna wstążeczka spocznie mu na *battle-dressie*, sier-

żant chwycił wzrokiem i czytał owe litery... Jedne brzmiały mu obco... Valmy... Jemappes... Duroc... Davout... Masséna... Ale inne wydały się jakby znajome jakieś: ...Ney... Saragossa... Austerlitz... Potem naraz stały się bardziej znajome... Aż zabiło mu serce. Czytał teraz, wyraźnie całkiem, na murze francuskiego Łuku... Pułtusk... Zaionczek... Dombrowski... Poniatowski... Somosierra... Potem ktoś przed nim stanął i zagadał w owej niezrozumiałej a pięknej mowie, ktoś go całował w oba policzki wygolone na rumianą gładkość, błyskały jakieś magnezje kinowców i warczały jakieś filmowe aparaty. I wszystko to naraz pomieszało mu się w głowie w jeden francuski *cocktail*. Był więc ten Łuk i sierpień normandzki, zła bretońska jesień i dwa Paryże; i naraz czarne wąsy Karakona, i zatęchły barak H-217, i cztery nie wiedzieć skąd wypadłe paliki, paliki, paliki. Pełno palików! – Paliki – powtórzył sam do siebie. – Paliki! – olśniło go – bez nich nie byłbym tutaj!

I kiedy zadzwieczał raz jeden jeszcze polski hymn narodowy, sierżantowi wydało się naraz, że wcale nie zagrała go postawiona tam niżej orkiestra. Oderwał się on chyba od

owych ścian wysokich nad nim, od owego muru sławy, na którym obok nazw i nazwisk francuskich, hiszpańskich, włoskich, arabskich, niemieckich, winkrustowały się krwią dawną swojskie i polskie. Albo takie, które od polskiej tam krwi, kiedyś przelanej, polskimi się potem stały. – Hymn wzniósł się nad miasto, popłynął zwycięsko i wolno środkiem Pól Elizejskich, wkroczył korną modlitwą w ciemń Notre Dâme, owiał Wyspę św. Ludwika i ciemny Hotel Lambert, aż zagubił się w małych uliczkach za Sekwaną, na Taranne, na rue de la Seine, du Dragon, gdzie wlokły się kiedyś skłócone lata emigranckiej biedy.

I po raz pierwszy sierżant Pilecki pomyślał wtedy sobie, że ten cały Paryż jest jednak bardzo piękny – i polski.

„Karabela z Meschedu” – Warszawa 1948

Sprawa Smagacza

Franek Smagacz nie był z naszej jedenastej komblessackiej kompanii, ale był z tej samej podchorążówki, tej pierwszej francuskiej, z Coëtquidan i Guer. Nie umiałbym powiedzieć, czy był z czwartej kompanii czy siódmej, czy może ósmej, to pewna, że w okresie zimy z 1939 na 1940 niczym się szerzej nie wslawił poza rejonem owej kompanii. Zobaczyliśmy go po raz pierwszy owego kwietniowego popołudnia, kiedy przed baraki Coëtquidanu zajęchały ciężarówki, aby podostawiać do okolicznych pułków świeży podchorążacki wypiek. Zjawili się wtedy podchorążowie z innych kompanii, znani nam lub nieznani, z wozów sierżanci wywoływali nazwiska, aż huczało na tym bretońskim wzniesieniu:

– Podchorąży Ciemior – brygada podhalańska!

– Podchorąży Trocki – brygada pancerna!

- Podchorąży Mycielski – druga dywizja!
- Podchorąży Rosenberg – brygada podhalańska!

Pamiętam jak dziś, że podchorąży Rosenberg zagapił się i sierżant musiał rozpaczliwie tubalnym głosem drzeć się raz jeszcze:

- Podchorąży Rosenberg!

A gdy niewielki, czarny Rosenberg wreszcie odhuknął swe „jestem!”, sierżant popatrzył nań z wyrzutem, niechęcią i odrazą. Nie rokował najwidoczniej większych korzyści brygadzie podhalańskiej z faktu przebywania w jej gronie podchorążego Rosenberga. Nie miał racji. Rosenberg doskonale grał w brydża.

Gdzieś po Rosenbergu przyszła kolej na Józia Ziołę; obcałowaliśmy się czule, po polsku, albowiem Józiu Zioło szedł aż do drugiej dywizji. Ja jeszcze czekałem swej kolejki, kiedy sierżant zahuczał:

- Podchorąży Smagacz!

Z szeregu wystąpił niewysoki, młodziutki, jasnowłosy i jasnooki chłopaczek. Najwidoczniej nie bardzo wiedział, co dalej robić. Sierżant wskazał mu ręką wóz. Po chwili podchorąży Smagacz znikł w jego czeluści.

My z Chmielowcem i Ciemiorem z naszej kompanii oraz jeszcze paroma innymi znaleź-

liśmy się po chwili w tym samym wozie. Nie był to wóz wojskowy, ale zarekwirowana przez wojsko niewielka ciężarówka, buda blachą naokoło obita. Chmielowiec zapytał mnie jeszcze, co znaczy napis na budzie, a gdy mu przetłumaczyłem, pokręcił głową. Ciemior zrobił jakiś dowcip. Wóz, którym udawaliśmy się do naszych pierwszych oddziałów liniowych, należał, jak o tym świadczyły wymalowane po obu stronach najwyraźniej chełpliwe napisy, do *Société Anonyme des Abbatoires de Ceunis*, czyli inaczej mówiąc, do rzeźni miejskiej w Ceunis.

Ale właśnie wóz rzeźni miejskiej w Ceunis ruszył z miejsca wraz ze swym ludzkim ładunkiem, zachwiał się na rozmokłej drodze, zadudnił na moście i poszybował w dół drogą ku Guer. W tyle za nami znikwały baraki Coëtquidanu, pocięte żywopłotami kuse polećka bretońskie, zieleniejące świeżą runią owej brzemiennej wiosny i parujące pod niebo w słońcu. Wpadliśmy w szare uliczki Guer, potem wjechaliśmy w jakieś nieznane, niezapamiętane pola, i coś się za nami zamykało powoli a nieodwołalnie. Tedy milczeliśmy i my cośmy się znali, i ci podchorążowie z innych kompanii, znani nam tylko z twarzy

albo w ogóle nieznani. I wtedy właśnie nastąpił pierwszy wyczyn podchorążego Smagacza. Oto jakiś kolega niebacznie oparł swą stopę o krawędź Smagaczowej, jak widać, walizki. Smagacz bowiem rzucił się, jakby siadł na żmiję.

– Te... cożeś to, coże?! Twoja walizka? *Ou qu'tu fourres tes sales pieds?*

Powiedziane to było w pół po ludowemu, w pół po francusku, a wszystko z niezwykłym podnieceniem. Smagacz zazdrosny był o swą własność. Własnością tą była, licha zresztą, stara, zniszczona, cywilna walizka. Każą mu ją wyrzucić w oddziale, gdy tylko się z tym zjawi – pomyśleliśmy zaraz. Ale to była tylko refleksja, bo tymczasem Smagacz kończył:

– Te... łoczyść, coś zapaskudził, łoczyść!

Ów bez większych sporów począł pucować skażony skraj walizki rękawem własnego munduru. Myśmy spojrzeli po sobie spojrzeniem, które mówiło: no, w tamtej kompanii to stosunki koleżeńskie były jakieś dziwaczne.

Smagacz dostrzegł tę wymianę uśmiechów i zamilkł. Siedział nastroszony i niechętny przez całe trzy godziny jazdy pokrętnymi bretońskimi drożynami wiodącymi ku miejscu

postoju brygady. Gdy wóz, zarekwirowany rzeźni miejskiej w Ceunis, zahamował wreszcie przed frontonem osiemnastowiecznego francuskiego *château*, gdzie po żwirze alei przechadzał się tam i sam wartownik z krótkim nowym karabinem i w długiej podhalańskiej opończy, Smagacz wyskoczył pierwszy, odszedł bez słowa pożegnania. Tak, dziwne były maniery w tej jego kompanii.

Potem czekaliśmy, potem meldowaliśmy się generałowi, potem czekaliśmy znowu, potem porozdzielano nas jeszcze. Część odsalutowawszy wsiadła do wozów przeznaczonych dla pierwszej, część – dla drugiej półbrygady. Do naszego wozu wsiadł Franek Smagacz. Nadal nie mówił nic. Po półgodzinie byliśmy na miejscu. Tu przydzielano nas raz jeszcze, kogo do pierwszego, kogo do drugiego batalionu, kogo do pepanców. Mnie przydzielono do sztabu batalionu. Ale starania rozpoczęte tego wieczoru doprowadziły nazajutrz do pełnego zwycięstwa i odszedłem do drugiej kompanii, do linii. W drugiej kompanii był Romek Ciemior, o czym wiedziałem i dlatego tam poszedłem, ale był także i Franek Smagacz. Powitał mnie mętym spojrzeniem i przeszedł obojętnie.

– Czemuż ten się jeszcze boczy? – zapytałem Romka.

– On się nie boczy, to nie to – tłumaczył Romek – jemu tu będzie ciężko.

I opowiedział, co było. A było tak. Do drugiej kompanii zostali przydzieleni, jeśli dobrze dziś pamiętam, Smagacz, Ciemior i Rosenberg. Ciemior i Rosenberg jakoś pierwsi zameldowali się kapitanowi, czarnemu, krępemu oficerowi, typowemu polskiemu liniowcowi. Smagacz gdzieś się był zapodział, co, oczywiście, uwadze kapitana nie uszło i przychylnie nastroić nie mogło. Byłby to jednak jeszcze zniósł – wiadomo, Francja i jej zgubny wpływ – gdyby nie to, co nastąpiło potem. Kapitan stał pod murkiem i odbywał odprawę dowódców drużyn, gdy naraz podszedł do niego wolnym krokiem Smagacz i wyciągnąwszy przyjaźnie łapę przedstawił się w ten oto sposób:

– To wyście som kapitan Stańczyk? Smagacz jestem!

Kapitan, rzecz jasna, podskoczył, po czym wydał z siebie ryk żubrzemu podobny. To tak podchorążego Smagacza uczono meldować się? To tak jest w wojsku polskim? To ma się nazywać zameldowanie przydziału? Co sobie

podchorąży Smagacz myśli?! W pobliskim merostwie drżały małe szybki – myte chyba jeszcze za Merowingów – od tego kapitańskiego ryku. Pobladły, drżący, wystraszony podchorąży Smagacz nie rozumiał. Jego niebieskie oczy bladły zastraszeniem. Nie, nie rozumiał. Myślał jak najlepiej, ale nie rozumiał. Zresztą skończyło się na tym ryku. A także na tym, że drużynę przydzielono Smagaczowi w dwa dni później. No i na tym, że miał od początku złą opinię. Kapitan, rozprawiając o zawsze mu miłym temacie zgnilizny francuskiej, cytował teraz stale jaskrawy przykład francuskiego wychowania – Franka Smagacza. Bowiem Smagacz był synem polskiego farmera czy robotnika, czy górnika z Francji. Wychowany we Francji.

Może nie poznałbym bliżej podchorążego Smagacza, gdyby nie to, że z Rosenbergiem i Ciemiorem dano nas do jednej kabiny okrętowej na „Chenonceau”, płynącym do Norwegii. Wprawdzie my dwaj z Ciemiorem nie sypialiśmy w niej – głoszone przez nas samych w Coëtquidanie koncepcje „nowej armii” każały nam spać czy, jak się mówiło, „śmierdzieć” przy drużynie. Stąd co wieczór po wymyciu się opuszczaliśmy białą kabinę

i schodzili w głąb okrętowych czeluści, by ułożyć się przy naszym manszafcie, co zresztą na nim nie robiło zbyt wstrząsającego wrażenia. Po prostu było im ciasniej. Uważali też, że widocznie nam biedakom nie przydzielono kabin. Co wieczór przychodził za to do naszej kajuty niemrawy, niegolony i pogodny Karol. Jako goniec motocyklowy w randze starszego strzelca, nie miał pod sobą żadnego manszaftu – więc gramolił się na jedno z opuszczonych łóżek. Bardzo mu się nasze pryncypia podobały i zachwalał je głośno:

– Ot, to to, podchorążowie Ciemior i Pruszyński to rozumiem, nowa armia, z drużyną, zawsze razem. O, gdybyście, panowie Rosenberg i Smagacz, poszli za tym przykładem, byłbym sam w kajucie... Jak generał...

Smagacz i Rosenberg milczeli jednak i nie wykazywali żadnych skłonności do bliższego zespolenia się ze swymi drużynami. Ale po południu leżeliśmy często razem i wtedy Smagacz, jakby sobie coś przypominając, zaczął opowiadać. Smagaczowe opowiadania były nieskładne, urywane, zacinały się i wlokły jak guma wyciągana z jakowychś czeluści, coraz dłuższym i dłuższym tokiem. Przez krągłe oko kabiny zaglądało niebo, coraz bledsze

i coraz bardziej północne, wiatr pędził zimno coraz ostrzejsze, jakieś wołania dochodziły z pokładu. Franek opowiadał ni stąd, ni zowąd, nieproszony, swym językiem półfrancuskim, półludowym, jakieś historie dziwne. Były to bardzo dziwne opowiadania. O domu, o rodzinie, o szkole, o innych chłopach, o Polsce. Jedno tylko pamiętam. Romek Ciemior pytał go, kiedy wyjechał z Polski i czy Polskę pamięta. Franek odpowiedział i powiedział zarazem, co z Polski pamięta. Był rodem z jakiejś małopolskiej wsi pod jakąś Wiśniową i kiedyś zimą posłano go, żeby pobiegł do tej Wiśniowej kupić zapalek u Żyda. Było to parę kilometrów, był mróz i Franek nie miał trzewików. To wszystko stwierdzał Franek, ot, jako ciekawostkę, bez żadnego komentarzowego sosu i światopoglądowej oprawy. – A że mróz był – powiedział – więcem tak zmorzył, więcem tak zmorzył. Tozem biegł, tozem biegł. – Franek leżał na łóżku, oczy wlepione w ten krągły wykrawek bladego nieba, który zaglądał oknem do kajuty francuskiego statku, i myśmy leżeli na swoich łóżkach z oczyma wlepionymi w ten krąg blady i w jakieś światy jeszcze bledsze swym oddaleniem. To opowiadanie o biegu jakimś, w zimę i śnieg, kopnymi drożynami

wiejskimi na bosaka, do jakiejś Wiśniowej po zapalki, było tym jedynym wykrawkiem wspomnienia, którym Frankowi Smagaczowi wtłoczyła się w pamięć Polska. Poczuliśmy jakieś cieplejsze uczucia dla Franka.

Dwa tygodnie podróży norweskiej przeszły na ogół spokojnie i podchorąży Smagacz nie naraził się już kapitanowi. Unikał zresztą niezwykle starannie wszelkiego z nim i innymi oficerami kontaktu: był wyraźnie zastraszony. Z nami właściwie nie szukał go także. Dużo natomiast przesiadywał ze swoją drużyną – też z Francji – ale tu nie umiał utrzymać tzw. autorytetu. Grał z nimi przydługo w karty. Gra w karty z żołnierzami nie leżała w regulaminowych pojęciach kapitana; nie była też ona w naszym pojęciu drogą do kontaktu z podkomendnymi. Franek otrzymał znowu jakąś naganę, tym razem od swego porucznika. Był to pokaźny, postawny oficer, przystojny, o pociągłej twarzy, bardzo kawalerski. Nosił wspaniałe polskie buty i znał na pamięć przepowiednię: „Gdy czarny orzeł znak krzyża splugawi, skrzydła rozwinie złowieszcze”, i z niej czerpał swój wojenny optymizm oraz całość swej wiedzy politycznej. Żałowaliśmy, że Franek nie jest u które-

gokolwiek innego dowódcy plutonu, bo do tego to już pasował najmniej. Gdybyż był u Tkacza; albo u Lewickiego, „małego rycerza”; albo z nami u Szaszkiewicza. Przystojny Wyganowski był najgorszy dla Franka przy najlepszej może woli.

Potem lądowaliśmy w Harstad, na wyspach Lofotach, potem mieliśmy marsze, przerzucania barkami przez fiordy, pierwszą akcję, drugą, pierwsze trupy. Były wsie norweskie, rozwlekłe jak paciorki kolorowe nanizane wokół roztoczy ciemnego fiordu, dziewczki w tych wsiach smukłe jak brzozy, brzozy zaś jak te dziewczki norweskie, tłuste mleko simentale-
rów, ciepłe domy i wąskie dróżki, na których, jako że był maj późny, rozmakał ostatni śnieg. I wreszcie po jeszcze jednym marszu wyrzuciliśmy nasze plutony w góry, uczepiliśmy się wąskiej krawędzi skał nad fiordem, skąd był ponoć widok czyli „wgląd” na szeroką dolinę w dole, którą wiła się kolej do Szwecji i nad jeziorem siedzieli Niemcy. Tylko nasz pluton został w dole nad fiordem przy dowództwie kompanii. Tamte polazły na grań. Żywność tyrano im pod wierchy.

Wtedy właśnie przyszła nowa i wielka awantura z Frankiem Smagaczem. Nie byłem

jej świadkiem i dowiedziałem się o niej znacznie później, kiedy zaogniła się jeszcze bardziej, ostatecznie. Stało się mianowicie tak: w nocy, rozstawiona na wierchu i na przedpolu, drużyna Smagacza rozpałała sobie najspokojniej w świecie wielkie ognisko. Widne było ono z daleka; wyobraźcie sobie, że pewnej nocy ktoś sobie taki ogień zakurzy na Kasprowym. Meldowano do sztabu: krążownicy angielskie omal nie sprząły tego punktu artylerią. Po czym okazało się, że Smagacz, zważywszy iż była noc, zimno, a do tego wygrzebano w jakiejś chacie ziemniaki, polecił podkomendnym rozpałać najspokojniej ogień. Podwładni nie kazali się prosić; kosówki było pełno i niebawem piękne ognisko na szczytach zaznaczyło dosyć wyraźnie miejsce polskiej placówki. Wyganowski, który sam mógł się spodziewać dobrej wciury, zrugął Smagacza od ostatnich, aż huk szedł po halach w dole. Odebrał mu dowództwo drużyny i odesłał, by zameldował się kapitanowi. Smagacz zszedł w dół. Miejscem postoju kapitana była duża zagroda, gdzieśmy poprzedniego dnia złapali dwóch jeńców. Jej żółto malowane ściany odbijały się od zagajnika: stodoła i obora wyznaczały

obejście. Nietrudno tam było trafić. Al Smagacz do tego punktu nigdy nie doszedł. W dwie godziny po tym wydarzeniu nadleciał goniec na motocyklu z meldunkiem; kapitan zarządził zbiórkę i w pół godziny potem byliśmy już w pochodzie powrotnym drogą zdobytą uprzedniego dnia. Mijaliśmy idących na nasze miejsce strzelców alpejskich w czarnych beretach. Barki, które ich przywiozły, zawiodły nas teraz przez fiord na nowe pozycje, jeszcze bliższe Narwiku. Gdy lądowaliśmy nad ranem, kapitan zrobił przegląd kompanii. Brakowało Franka Smagacza.

– Niemcy go ukatrupili – powiadali pesymiści.

– Zadziała się gdzieś ta lebiega – komentowali przyjaciele.

– No i mamy dezertera: oto wychowanie francuskie! – osądził kapitan, który o Francji miał to samo zdanie co większość oficerów zawodowych naszej armii na Zachodzie.

W parę godzin później przyszły jednak wydarzenia, które zupełnie przesłoniły zaginięcie Franka. Objęliśmy odcinek i leżeliśmy z głowami zwieszonymi nad domkami Ankenesu, brzozami Nyborga, fiordem narwickim, portem i znieruchomiałym w dole miastem.

Potem przeszliśmy do akcji i mieliśmy kilkunastu zabitych i rannych. Na drużynę liczącą dwunastu miałem sam pięciu rannych. Potem był generał i dekorował, kapelan i spowiadał, kantyniarka z podniosłymi słowy i paru biskoptami, a potem już dzień w dzień walka, trupy, ranni, trupy, walka. Spaliśmy każdą wolną chwilę, przeważnie nie w nocy, jedliśmy co i jak się dało, częściej zdobyczne zapasy niemieckie niż nie dostawione nasze, potem było wielkie natarcie na Ankenes i posiekanie kompanii Zamoyskiego, i uchwycenie przez Lewickiego Nyborga, zajęcie przez Hitlera Belgii i śmierć Szeliskiego, i przerwanie linii Maginota, i uzupełnienia, i pogrzeb w Haakvik, i odmarsz na statki. Odjazdowi towarzyszyły głuchoe wybuchy: to leciały w powietrze urządzenia nadpalonego portu, granitowe tunele kolei do Szwecji i tor ku Kirunie. Potem było znów morze i znowu blade niebo zaglądające do okien naszej kajuty. Leżeliśmy w niej godzinami, znowu w czterech. Znowu był ze mną Ciemior. Ale miejsce rannego podchorążego Rosenberga zajął jakiś Czech z Legii Cudzoziemskiej, a miejsce Franka Smagacza Józek Natanson. Myśmy już zapomnieli z kretelem o Smagaczu.

Stanęliśmy znowu na redzie w Glasgow, gapiliśmy się na lotniskowiec, poglądali na zielone czerwcem stoki wzgórz szkockich i myśleli, jak by to było pięknie polądować sobie tam na chwilę. Nie wiedzieliśmy, że jeszcze będziemy ich mieli do licha i trochę, a niektórzy na zawsze zaznają gościny szarych szkockich cmentarzy. Naraz od jednego ze statków oderwała się motorówka. Pykając i kołysząc się, i rozpruwając spokojne morze ściegiem fal, podjechała aż pod nasz „Sobieski”. W towarzystwie dwóch marynarzy i dwóch angielskich żołnierzy wyszedł na pokład – Franek Smagacz! Znowu nie byłem świadkiem tej końcowej sceny. Powiadomił mnie o tym Józek. Po chwili Ciemior znał już całą historię Smagacza.

Historia była miejscami niejasna, ale w zasadzie dosyć prosta. Smagacz pobłądził w górach i do miejsca postoju kompanii doszedł po jej odmarszu. Nie wiedział, dokąd poszła. Zresztą gdyby i wiedział, nie mógł wpław przebyć fiordu. Z przystani szedł stateczek do Harstad, miejsca naszego pierwszego lądowania. Smagacz podążył do Harstad jak pies, który straciwszy ślad zawraca za własnym tropem. Tam już nie było Polaków, ale

byli Anglicy, Francuzi. Ci przygarnęli Smagacza. Upewnili go, że wojna nie wymaga koniecznie jego bezpośredniego współdziałania, czy to że ma na to jeszcze dość czasu, czy też że żandarmeria sama się po niego zgłosi. Smagacz tedy, jak zeznawał, czekał w porcie. Czekał parę dni, tydzień, drugi tydzień. Na ochotnika pracował w kuchni. Przywykł. Francuzi przywykli do niego. Dopiero gdy przyszedł rozkaz załadowania się na statek, z powrotem do Francji, obecność Smagacza wpadła w oczy żandarmerii francuskiej. Przybywszy do Glasgow zaraportowano statkom polskim i w rezultacie tego raportu dwóch żandarmów pod bagnietami odstawiło podchorążego Smagacza. W areszcie okrętowym siedział właśnie od paru godzin za pospolite opilstwo strzelec Kotas. Bardzo sobie chwalił owo miejsce odosobnienia i opuszczał je niechętnie, ale pułkownik polecił, aby dezerterski siedział samotnie aż do chwili sądu.

To wszystko przyniósł Ciemior. Nie było najmniejszych wątpliwości, że sprawa Smagacza – teraz była to już „sprawa Smagacza” – przedstawia się niedobrze. Jakżeż się zresztą miała przedstawiać inaczej i w jakiej armii na świecie przedstawiałaby się lepiej? Chyba

w wojsku dowodzonym przez generała Antoniego Słonimskiego, feldmarszałka Wittlina czy generalissimusa Remarque'a. Nami jednak dowodził pułkownik Dec i kapitan Stańczyk, a gdyby dowodził ktokolwiek inny, nie byłoby inaczej. Miałem wtedy nieco wzięcia u moich dowódców, poszedłem do nich w tej sprawie. Pułkownik był w świetnym humorze – właśnie wieczorny komunikat donosił, że aliantów dalej biją jak w kaczy kuper. „A co, a co, śmieli się z nas po wrześniu, teraz mają w czerwcu lepszy wrzesień!” Kapitan wychylił właśnie trzecią stopkę koniaku dowodząc w myśl własnego aforyzmu, że dwie pierwsze smakują jak rozgryziona pluskwa. Dopiero trzecia coś warta. Spróbowałem poruszyć sprawę Smagacza. Dowódcy podjęli ją z radością:

– Smagacz będzie rozstrzelany jutro – oświadczył pułkownik. – Kiedy tylko dobijemy do brzegu. Publicznie! Dezercja! To świetne dla *morale* wojska. Podchorąży rozstrzelany – dobrze dla *morale* żołnierza. Że jak podchorąży, to tak samo. Dobrze, że z Francji. Będą mieli szkołę na przyszłość! Jak tylko wylądujemy, mały sądzik i po wszystkim. Dla przykładu! Dla przykładu!

Obaj skoczyli, gdy podniosłem łagodne obiekcje, ale wdali się w łaskawą i rzeczową dyskusję. Byli górami w argumentacji. Jeśli Smagacz się nawet i zagubił, to cóż, u licha, robił dwa tygodnie – nie, trzy tygodnie – w Harstad? Nie miał czasu dobrnąć do swoich? Śmieszne gadanie. A dlaczego oberwał sobie szlify podchorążego, co? (Ten szczegół, nieznany mi jeszcze, był istotnie obciążający).

Odpowiadałem, jak mogłem. Nie znam szczegółu ze szlifami: wyjaśnię. Gdyby Smagacz chciał zdezerterować, czy nie wystarczyło mu przejść po prostu do Niemców albo zostać w Harstad, w każdym razie nie ładować się na statek. Oto były główne punkty obrony. Były słabe, wiedziałem o tym. Smagacz mógł bać się niewoli niemieckiej, jak bał się wojska. Mógł myśleć, że przemyci się jakoś do Francji i tam zginie w tłoku. Dość, że odszedł od swego oddziału po zawieszeniu w funkcjach, że było to na froncie, że oddziału swego nie odszukiwał, że zdarł odznaki. Wszystko to podpadało prawnie pod kategorię dezercji, tak samo jak kategoria dezercji prowadziła prostą drogą przed pluton egzekucyjny. Co mogłem zrobić?

Nawet kapelan – nie ten nasz, dobry (był na innym statku) – ale generalny brygady, obiecał mi jedynie zajęcie się duszą Smagacza, a nie przedłużeniem jego ziemskiego żywota. Uzyskałem tylko możliwość porozumienia się z oskarżonym. Wartownicy wpuścili mnie do Franka. Przywitał się ze mną, wystraszony i serdeczny. Chciało mu się jeść. Jadł ze smakiem, wcinał. Zobaczyłem, że nie orientuje się w sytuacji.

Odruchowo przeszedłem na „ty”. On się nie zdziwił wcale.

– Franek – pytałem – coś ty narobił? Gdzieś był?

Niebieskie, niewinne oczy patrzyły znad grubej pajdy wżeranego chleba.

– W Harstad. Z taborami. *Avec les Français.*

Wiedziałem to wszystko. Ale chciałem wiedzieć coś innego.

– Franek – pytałem – dlaczegoś nie poszedł do kapitana, kiedy cię Wyganowski tam wysłał? Dlaczego?

W półcieniu aresztu oczy Franka były niezwykle błękitne. Były dziecięco niebieskie.

– Poszedłem – trząśł głową. – Alemek za-
błądził.

Oczy wytrzeszczały się niebieską, dziecięcą szczerością. Tak zawsze patrzy dziecko, kiedy wytrwale kłamie.

– Franek – powiedziałem – nieprawda. Nieprawda. (I naraz przypomniawszy sobie, że do żołnierzy z Francji najlepiej trafiało się mówiąc po francusku, począłem mówić w tym języku. *Tu mens. C'est pas vrai.* Wiesz, że to nieprawda. Z góry do tej farmy, gdzie stał kapitan, była prosta droga. Po prostu w dół, potem droga. Ty nie mogłeś nie trafić. Coś robił? Nie poszedłeś do kapitana!

Teraz Smagacz nie patrzył mi w oczy. Utkwił je gdzieś w gwintach spajających żelazne belkowania okrętowe. Niepewnie odpowiedział:

– Naprawdę poszedłem... Ja naprawdę poszedłem... *Mais... je l'ai fait très lentement.* Bardzo powoli...

Rozumiałem.

– Zatrzymywałeś się po drodze?

– Tak.

– Siadałeś?

Kiwnął głową, że siadał.

– Przecie nie byłeś zmęczony. Staliście całą noc. Czemuś stawał?

Nie odwracając głowy, powiedział:

- Bojolem się. Straszniem się bojoł.
- Kogo? Czego?
- Pono kopitono. Un taki straszny. Krzyczy.

Teraz rozumiałem. To co było u Franka, to był rodzaj nerwowego szoku. Nerwowego szoku połączonego z pewnym przytępieniem inteligencji. Nie. Na pewno Franek nie był orłem. Kto widział tak się prezentować kapitanowi wtedy, po przydziale? Rozpalać ognisko na linii? Tak. Z inteligencją u Franka było kiepsko. Ale poza tym był zastraszony. Ten stuk obcasów i hukanie komend, te krzyki, rozkazy wydawane podniesionym głosem, ten niezrozumiały ceremoniał, postawa porucznika, kapitan, to wszystko było dla Franka nowym, przerażającym i obcym światem. Bał się go, straszliwie się go bał. Przyszła ta nowa awantura z ogniskiem i Franek schodził w dół, ku kapitańskiej farmie, widnej z dala. Schodził w głębokim przerażeniu. Bał się. Przypomniał mi się ów dzień, niedaleki, Frankowego zaginięcia; bardzo był jasny i słoneczny, nawet koszule pozdejmowaliśmy i Franek właśnie wtedy musiał schodzić w dół po stoku, może nas nawet widział na polanie. Musiał iść wolno, coraz wolniej, sia-

dać, przystawać, medytować. Pograżał się zapewne w takich medytacjach jak wtedy w kajucie na „Chenonceau”. Dziecinnie, głupio opóźniał srogi moment stawienia się przed huczący kapitański majestat. Może zobaczył wreszcie, że odchodzą, i mimowiednie nie starał się dogonić. Tak. Franek nie zdezerterował przed walką, akcją czy Niemcami. Dziecinnie bał się swoich dowódców.

– Czemuś odpruł naszywki podchorążego?

– Jo? Jo nicego nie odpruwalek!

– Ale ich nie masz?

– Bo na mojo kurto rozlały Francuzy zupę, to mi dały drugom...

To było wyjaśnienie, ale obawiałem się, że nie trafi do przekonania żadnego wojskowego sądu.

– I wsiadłeś na statek?

– Jak inne wsiadały, tożem wsiod.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Na dworze nastawać musiał wieczór, bo w areszcie stawało się całkiem ciemno. Zajrzałem przez otwór w drzwiach. Domy w Greenock rozpalały się słabymi światełkami.

– Franek – powiedziałem – a wiesz, że to ciężkie przestępstwo?

Ruszył bezradnie ramionami. Zapatrzył się w ścianę tuż przed nim. Po czym:

– Jo wim. No to co, że bende siedzioł? Siedzioł nie jest tak źle. I dwa tygudnie mo-gem posiedzieć!

– Franek, ale to nie dwa tygodnie!

– To i trzy, i śtyry posiedze! Coże to. Ci-cho, jeść przynoszum, tylo że samemu trocha – urwał i popatrzył na mnie – ale bedziesz do mnie zaglundał. Choć raz w dzień. Raz i dwa? Bedziesz?

Teraz ja zapatrzyłem się w ścianę.

– Franek – rzekłem znowu – to nie siedze-nie. Czy rozumiesz, co zrobiłeś? Dezercja! *Désertion! Tu es un déserteur: Selon la loi militaire tu es un déserteur!*

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się:

– *Voyons, voyons, sans blague!*

– *Mais c'est pas une blague!* – krzychałem i stwierdziłem naraz z ulgą, że łatwiej mi jest mówić mu to wszystko po francusku. Jego poprawna francuszczyzna nie krępowała mnie tak jak owa bezradna, chłopskoemi-grancka polskość. – To zupełnie poważne. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak poważ-ne! Opuściłeś oddział na froncie...

Zerwał się w oburzeniu:

– Nie jo! Nie jo! Une poszli!

Wzruszyłem ramionami. Siekałem teraz:

– ...nie dołączyłeś! Gdzieś się pętał trzy tygodnie? Dostawili cię żandarmi! Franek, Franek, to wszystko jest gruba rzecz! *C'est pas une blague, une désertion...*

– *C'est pas une désertion qu'j'te dis! C'est pas une désertion! C'est pas!*

– Franek, zrozum, nikt z nas nie chce tobie nic złego zrobić. Ale, pamiętaj, kapitan. Pułkownik! *Les règles sont les règles!*

– *J'connais les règles! Suis pas un déserteur! F... moi l'camp! Ah, ça voyons donc, f... moi l'camp!*

Wyszedłem i w czterech, jeszcze z Józkiem Natansonem i Rostworowskim, odbyliśmy długą naradę. Przez okienko w drzwiach mogliśmy widzieć, co robi Franek. Zjadł z apetytem kolację, leżał na pryczy, nucił coś sobie. Nie bardzo było wiadome, czy moje słowa dotarły do jego świadomości i jak głęboko. Umyśliliśmy, że nie będę do niego chodził. Zdaliśmy to na kapelana. Był to fatalny pomysł, właściwie mogliśmy się tego spodziewać. Wylał go szybciej niż mnie. Siedział teraz nadęty, nieufny. Nawet Ciemior nie miał doń dostępu.

Wieczorny komunikat radiowy mówił o rozpaczliwych a nieudanych próbach załatania wyrwy pod Abbeville i jeszcze gdzieś w Wogezach, i jeszcze. Ale w niemieckim komunikacie było, że czołgi niemieckie ominęły Rennes, a inne spływają doliną Rodanu. I wiedzieliśmy, nauczeni doświadczeniem ostatnich tygodni, że jutrzejszy francuski komunikat już będzie mówił o próbach obrony Rennes i o zaciętych walkach w dolinie górnego Rodanu. I wiedzieliśmy jeszcze, że tej obrony nie będzie wcale, a te zaciekle walki będą istnieć tylko w słowach wieczornego komunikatu.

W wydarzeniach dwóch następnych dni zapomniano zupełnie o Smagaczu. Pułkownik słuchał radia i mówił: „Nie, a nie mówiłem, ot mi Francja”; kapitan słuchał radia i opowiadał, jak to było we wrześniu. Onie mieli, bezradni żołnierze snuli się po pokładzie. Była piękna pogoda i statek niósł nas z wolna ku brzegom naszych przeznaczeń. Wojna wtaczała się w głąb Francji z każdą godziną i dniem – my zbliżaliśmy się ku jej brzegom równie nieuchronnym pochodem. Nareszcie, 14 czerwca, byliśmy w Brest, zeganym przez nas w kwietniu. To samo molo, to samo miasto pnące się kamienicami ku

górze. W dokach rozbierano na szmelc rdzawy kadłub pancernika „Waldeck-Rousseau” i imię jednego z najklasyczeńszych premierów Republiki Francuskiej oddzierali właśnie robotnicy wielkimi obcęgami. Nie wiem, czemu robiło się smutno, bo nigdy nie miałem sympatii do Waldeck-Rousseau. Statek przybił do mola, przycumowano go, zaczęliśmy wysiadać. Oficerowie byli jacyś nerwowi. Wysiadłem jeden z pierwszych. Zaszedłem do portowej kafejki „Pod Diabłem Morskim”. Była prawie pusta. Plakat przekreślony trójbarwną wstęgą nawoływał Francję pod broń, przypominał naraz, w jednym zdaniu, Joannę d’Arc, Vercingetorixa, Komitet Ocalenia Publicznego i rok 1914. *Trop pompeux pour les Français* – zauważył ktoś smutno. Pytałem o ostatnie nowiny. – Nie było tego w radio w południe – mówiła bufetowa – ale dziś rano t a m c i weszli do Paryża. *Oui, monsieur, c’est ainsi. On est joliment fichu, hein?*

Przezorny pułkownik Chłusewicz, jeden jedyny w całej brygadzie, połapał się w sytuacji. Tak na swym statku marudził, zwlekał, nie rozumiał Francuzów, tak długo zarządzał zbiórki, sprawdzał obecność, polecał szukać

jakiegoś zagubionego chlebaka, jakiejś zostawionej (pewno w Narwiku) maski gazowej, aż dopiął swego strategicznego celu. Nie wysiadł ze swym wojskiem, zanocował na statku, zmarudził i następny dzień, a po tym następnym dniu już było po wszystkim, bo kapitanat portu przestał dawać rozkazy, a na statek wwalili się Kanadyjczycy, hurmem, wobec *armistice'u* wyrywający do Anglii. Oddziały Chłusewicza były zatem jedyną częścią brygady, która dopłynęła w spokoju do angielskich brzegów. Chłusewicz na Francuzów nie klął, ale też ich nie posłuchał; inni dowódcy Francuzów klęli, ale słuchali ich jak psy trąby. Niewiele brakowało, a w rozgardiaszu wysiadania zapomniano by o Smagaczu. Myśmy nawet myśleli, czy to nie lepiej. Ale każdej chwili mogli nadlecieć Niemcy i zrębać port z powietrza, a w nim „Sobieskiego”, a w areszcie „Sobieskiego” – Smagacza. Uprzedził nas w tym zresztą szef kompanii: przypomniał kapitanowi. Ten się zachnął; tylko jeszcze tego Smagacza było trzeba w ten sądny dzień upadku Paryża! – Oddać go żandarmom! – zadekretował. Szef przypomniał posłusznie, że żandarmi są na innym statku. – Wypuścić go, do cholery,

niech dołączy do drużyny, ale bez karabinu. Drużynowy odpowiada za niego głową! I żeby mi się nie pętał przed oczyma! – To zresztą było też życzeniem podchorążego Smagacza.

Wozy zabrały nas na Brest, na jakieś pola porośnięte gęstą, czerwcową trawą, jakże miłą i swoją po dniach okrętowego pokładu i tamtych, na śniegach, granitach i mchach Norwegii. Na drugi dzień zaczął się jakiś marsz, nie wiadomo kędy i po co. Potem pociąg, potem znowu marsz. Szliśmy rzędem, jeden za drugim, przy rowach, słońce prażyło coraz silniej, wiadomości były rzadkie, niejasne i bardzo złe. Nastroje jeszcze gorsze. Samoloty niemieckie przelatywały nad nami nisko, nisko, ale nie ruszały nas. Kapitan szedł ponury, ochrypli. A jeszcze na domiar złego zawadzał mu ten Smagacz. Szedł, prawda, przy drużynie; nawet nie próbował uciekać. Szli inni, szedł on. Mógł skoczyć do byle rowu, za byle żywopłot – Bóg widzi, ile ich było! Nie skoczył. Szedł. Za to jego drużyna dygotała ze złości. Oto Smagacz szedł bez karabinu. W czerwcu, w marszu, to było wiele. W dodatku karabin Smagacza niósł po kolei jeden z jego byłych podwładnych. Ten, co niósł,

nie był tym zgoła zachwycony i klął w głos, a przy każdej zmianie tragarza wybuchały głośne kłótnie. W kłęsce dyscyplina się rozluźnia. Okazywało się to dobitnie z racji tego Smagaczowego karabinu. Cóż zaś było robić? Taki był rozkaz samego kapitana.

Po południu wylegiwaliśmy się przed marszem nocnym. Przy odmarszu kapitan powziął decyzję:

– Oddać Smagaczowi karabin! Ale bez ładunków!

Odtąd Smagacz szedł z karabinem, tyle tylko że na końcu, nie na początku drużyny. Szedł milczący, wytrzymały, spokojny. Inni klęli, pomstowali, złościли się. Franek Smagacz szedł po chłopsku cierpliwy i zamilkły. Szliśmy całą noc aż do rana, gdzieś do jedynastej. Dano nam postój w jakiejś farmie. Inne baony były w pobliżu. Kwatera generalska była w zamku Combours, gdzie młodość swą spędził Chateaubriand. Dobra nasza – myślałem; tłumaczyłem tuż przed wojną Maurois o Chateaubriandzie; było tam wiele o Combours; zobaczę to miejsce. Farmer miał rower i zdawało się, że marzenie o Combours się spełni. Spełniło się jednak co innego. W pół godziny po przyjsciu na postój poderwano

nas znowu do marszu. Kapitan otrzymał rozkazy ze sztabu i był jakiś nerwowy. Przeszliśmy parę kilometrów w spokoju, znowu zaczęło prażyć słońce. Chłopi we wsi chowali się do domów na nasz widok. – Myślą, że to już Niemcy – odgadł ktoś w szeregu. Potem skręciliśmy na inną drogę. Musieli tędy przechodzić bardzo niedawno Francuzi, bo w rowach leżały porzucone karabiny, plecaki, chlebaki, hełmy; plecaki były jeszcze opchane zawartością, nikt nie zdążył ich wypatroszyć. Doszliśmy tak do skrzyżowania, gdy nadjechał goniec motocyklowy. – Z tamtego kierunku też idą już Niemcy – powiedział.

Miasteczko Saint-Dominique de Bretagne, do któregośmy doszli, było wyludnione i nieme. Ale gdy nasza kolumna weszła na rynek, zaroilo się od mundurów, bo każdy z oddziałów rozchodził się w miejscu. Nim do nas doszły rozkazy, widzieliśmy już, co jest. Jesteśmy osaczeni; mamy przedzierać się niewielkimi grupkami czy w pojedynkę; z obu stron wzięły nas w swe kleszcze kolumny zmotoryzowane, prące co sił ze wschodu na zachód, by jak najszybciej uchwycić atlantyczne porty Bretanii. Myśmy byli wzięci w nożyce takich dwóch kolumn. Ale one nie kwa-

piły się do likwidacji jakichś luźnych oddziałów piechoty i dopiero po paru godzinach mogły się tym zająć. Ze sztabu dobiegł nas tedy rozkaz demobilizacyjny – kto chce, idzie do domu, kto chce, walczy dalej. Potem ktoś na rynku Saint-Dominique zdobył jakąś ciężarówkę i pakowano się do niej bezładnie, potem nadjechała niebacznie inna ciężarówka i nie mniej bezładnie pakowali się do niej inni. Potem wyszli z kafejki jacyś opici winem maruderzy francuscy, zwąchali się z naszymi żołnierzami i razem poszli pić. Potem nasi z Francji zaczęli pytać, czy można już iść do domów na własną rękę. I z rynku z powrotem ku drogom wyciekały bure strumienie żołnierskie, ale już nie w ordynku jak przedtem, tylko pojedynczymi kroplami, soplami, zaciekami. W pojedynkę i grupami. Był rozkaz, by kierować się na południe, ale oni szli wszędzie. Dowódcy patrzyli na to bezradni.

Po jakiejś chwili przy kapitanie zostało nas może z piętnastu. Mój porucznik, my z Ciemiorem, kucharz, sierżant-szef, jeden z kancelarii, chłopcy z mojej drużyny – niewiele ponadto. Rynek wysączał się już z Polusów. Stawał się tak samo grobowo milczący i czekający w słoneczne południe czerwcowe

jak przed naszym wejściem. W nas samych stawała się jakaś pustka. Nie było Francji, nie było już wojny, nie było już i naszej podhalańskiej, narwickiej brygady, był tylko ten nieubłagany, iście wrześnieowy czerwiec i te puste drogi Francji, i te wymarłe oczekiwaniem mieściny bretońskie.

Kapitan postanowił iść na południe, w kierunku Nantes. Poszliśmy jakąś drogą polną na przełaj. Była krótsza i szczęśliwsza, bo spotkaliśmy cywilną ciężarówkę i ta podwiozła nas przez las jakieś trzy czy cztery kilometry do szosy. Poszliśmy nią teraz i szliśmy może ze dwie godziny. Ale byliśmy zmęczeni poprzednim marszem, ci z kancelarii byli starszawi i nie do chodu, toteż koło trzeciej kapitan zarządził postój. Odeszliśmy nieco w bok od drogi i usiedliśmy. Koło nas co kilka minut przepływała masa żołnierska. Byli wśród niej Francuzi, nasi, mundury khaki i błękitne, nasi z drugiej półbrygady i z pierwszej, jacyś gończy sztabowi, jacyś, których trudno było rozpoznać, bo nie mieli ni odznak, ni czapek nawet. Jedni wlekli nogami, zmęczeni, drudzy mieli rozchełstane mundury u szyi, spocone, czerwone twarze, może od słońca, może od wina. Milczeli, wołali, śpiewali, klęli – był to jakiś

tragiczny festyn. Mignęły się nam naraz znajome jakby twarze. „Oo, patrzajcie, to nasz kapitan! Panie kapitanie, a kiedy zbiórka? Ho ho, nie ma już zbiórek! *Fini!*” – Kapitan ruszył się ku nim, ale już owe twarze zlały się z innymi, już szli inni, nieznani, może z pierwszej, a może z trzeciej kompanii, a może nawet wcale nie nasi. Siedliśmy znowu w milczeniu. Porucznik zauważył coś tylko o Francji, kapitan dołożył swoje, myśmy milczeli. Stawało się mniej gorąco i myśleliśmy, że pod wieczór dobrze będzie nam ruszyć i że przez noc – był księżyc – zajdzie się daleko. Może za Plélan. Może aż za Rouvres. Tymczasem fala ludzka płynęła dalej szosą, dalej szły krzyki. – Porzucili wszystko, ani jeden nie ma karabinu, ech, ta Francja! – zauważył porucznik. Odruchowo poszliśmy oczyma po drodze. Tak, porucznik miał rację. Karabiny tych ludzi dawno już utkwily gdzieś w rowie. Nie! – zatrzymał się nagle wzrok – nie wszyscy! Razem z Ciemiorem zauważyliśmy naraz idącego skrajem drogi żołnierza. Musiał być z brygady i miał na pasie karabin. Szedł samotnie. Poznaliśmy naraz podchorążego Smagacza.

– O, to ten Smagacz – powiedział bez respektu jeden z kancelarii.

– Smagacz, Smagacz! – poczęto wołać.

Franek Smagacz odwrócił się od drogi, dostrzegł nas i oczy zadrgały mu niepokojem. Czego jeszcze od niego chcą? Stał niezdecydowany. Kapitan nie mówił nic, patrzył się tylko. Milczenie przerwał nagle Ciemior, wołając szybko, jakby sobie coś naraz przypomniał:

– Panie kapitanie! Najlepszy moment! Ostatnia chwila! Rozstrzelać Smagacza! Dla przykładu! Dla przykładu! Świetne dla *moral*e żołnierza! Dla przykładu!

Kapitan nie powiedział nic, jakby nie słyszał ani słowa Ciemiora, ani nagłego rechotu podkomendnych. Siedział chmurny i zły. Ale Smagacza zdjął naraz nowy skurcz strachu. Skręcił w miejscu, przeszedł na drugą, dalszą od nas stronę drogi, wmieszał się jakby z ulgą w tłum maruderów francuskich. Posłyszeliśmy głosy wzywające go, by rzucił karabin, żeby robił *comme les autres*. A potem widzieliśmy jeszcze jasne, bardzo jasne, takie niefrancuskie, włosy Franka, jego głowę – i lufę karabinu sterczącą mu dalej zza pleców. I tak nam znikł po chwili w tłumie, w krzykach i kurzu na tej drodze czerwcowej, bretońskiej.

Wiatraki z Ranley

Pamiętam bardzo dokładnie mój pierwszy wieczór w Ranley, choć było to późną jesienią 1940 r., choć wtedy był deszcz i zmierzch i przygaszone światła naszego auta były bezsilne wobec ciemności na drodze, tak samo jak ruchoma strzałka na szybie z wysiłkiem oczyszczała szkło przed nami z deszczu, który czasem gęstniał w mokry śnieg. Wyjechali po mnie na dworzec do Lincoln, pociąg był się spóźnił – wojna – i jechaliśmy długą, prostą drogą, podobno jeszcze rzymską, o śliskim od deszczu asfalcie. Sierżant, który mnie wiozł, był rozmowny i opowiadał tyle, że po kilku kilometrach wiedziałem już wszystko. – Jest to bardzo podła stacja RAF-u, mówił – nie ma porównania z takim Newton Abbot, nie mówiąc już o Hemswell. Baraki były stawiane na olaboga, są mokre i zaciekają. Oficerskie są o dobre pół mili od messy;

najbliższy pub jest o dwie mile i nigdy nie ma w nim whisky: najbliższe miasteczko – jeśli to miasteczkiem nazwać można – jest o mil pięć. Dywizjon marnie popadł, nie ma co mówić, i to jeszcze tak znakomity dywizjon, i powinno się to poruszyć w prasie, oczywiście angielskiej, albo lepiej od razu w parlamencie. Sierżant miał ogromną wiarę w parlament brytyjski i uważał, że może on nawet zmienić niekorzystne warunki lotniska.

Wyliczanie wad lotniska bombowego Ranley trwało znacznie dłużej niż jazda tamże, i w trakcie swych wywodów sierżant skręcił w boczną drogę, gdzie najpierw zagrzytał żwir, a potem zachlupotało błoto. Zrobiło się jeszcze ciemniej, bo rosły tu drzewa, i choć o tej porze roku miały już pewno mało liści, wystarczyło ich, aby przesłonić widok. Dopiero po chwili świat się znowu odsłonił i było przed nami długie proste pole, zupełnie podobne do lotniska. Ale chyba nie mogło być lotniskiem. Wprost przed nami, na samym środku pola, wyrastały dwa olbrzymie, czarne kształty, jak wieże ścięte w połowie, niepokojące, ogromne. Takich rzeczy nie ma na lotnisku i to nie mogło być lotnisko. Ale nie – właśnie to było lotni-

sko, objaśnił mnie sierżant i wyładowywał ostatek swej złości:

– Widział pan coś takiego? Widział pan to? Wiatraki! Jak Boga kocham, wiatraki. Czy jest jedno lotnisko na świecie, gdzie na środku stałoby coś takiego, jak świnia w środku chlewa. Na środku lotniska! W dywizjonie bombowym! Widzi pan! Tylko w tym Ranley jest możliwe coś takiego. Żeby kafejka, żeby kościół. Nie. Wiatraki. Nie zburzyli, uszanowali: zabytek. To ten stary sknera Hoggar taki uparty. I na co mu te wiatraki? A może się stać...

Podjechał pod drzwi messy tak blisko, że omal nie wpadł na ścianę. Jeszcze grzmiał, wprowadzając mnie do środka, jeszcze grzmiał, otrzepując swój i mój płaszcz z deszczu. Ale już byłem wewnątrz, w środku, podawałem komuś rękę, padały czyjeś nazwiska. Była długa, biała sala jadalna z wąskim stołem pośrodku i za stołem siedzieli już wszyscy, bo nie mogli czekać z dinnerem. Dwadzieścia siedem młodych twarzy, trzy starsze, jedna angielska. Byłem w messie oficerskiej dywizjonu trzysta... mniejsza o dokładną liczbę. Dywizjon ten nie lubi, gdy się wspomina ową historię.

Tak się stało, że rozmowa wieczorem przy piwie i kominku zeszła znowu na Ranley, na Lincoln, a wreszcie na wiatraki. Ale w mesie oficerskiej mówiono o nich inaczej, niż mówił sierżant w aucie. Była to *a funny story*, jak mówili, bardzo, bardzo zabawna. Już sam ten stary Hoggar. Zagroził, że zastrzeli każdego, kto mu spróbuje rozebrać jego wiatraki! W XX wieku! W Anglii! Jaki wspaniały upór! No i zwyciężył. Nie rozebrali. Co prawda, dywizjon pomógł. Oświadczyli, że nic im te wiatraki nie przeszkadzają. Przeciwnie. Jeśli zaleci tu jakiś szwab – a to się zdarza – nie pomyśli nigdy, żeby tu, z dwoma wiatrakami jak dwa byki na środku pola, mogło się znajdować lotnisko – z Wellingtonami jeszcze. Jest to naturalny kamuflaż, oświadczyli Polacy, najlepszy, jaki może być. To podobno przeważało szalę. – A wie pan, co zrobił stary Hoggar? Zaprosił z wdzięczności dowódcę dywizjonu... na piwo do pubu. Gospodarz pubu omal się nie wyrócił ze zdziwienia. Albowiem najstarsi ludzie w całym Lincolnshire nie słyszeli nigdy, by William F. Hoggar postawił komuś piwo w ciągu swego całego długiego życia. Ale wiatraki, bądź co bądź, warte są pajnty bitteru.

Messa była zimna jak diabli i nawet król Jerzy marzył w górze na swym portrecie (tylko nie dawał poznać po sobie: był do tego pewno przyzwyczajony), a generał Sikorski był nachmurzony jeszcze bardziej niż na innych swych portretach w polskich urzędach, świetlicach czy messach. Tylko na kominku na moją jako gościa intencję dorzucono więcej węgla, więc tu było cieplej, i wszyscy się skupili, i opowiadali jeden przez drugiego, jak to w messach bywa, o starym właścicielu wiatraków. Po dwudziestu minutach mogłem z urywków opowiadań zrekonstruować sobie całe dzieje i ważność Williama F. Hoggara Esq., a nie były one wcale takie pospolite.

Stary Hoggar był bogaczem, farmerem-bogaczem. W ciągu pracowitego i skąpego żywota poskupywał kilka okolicznych farm. Były to czasy, kiedy ziemia w Anglii, a особливо w tych stronach, była za bezcen. Stare, wspaniałe rezydencje wysprzedawały się jedna za drugą, zamieniały w hotele i kluby lub stały pustką. Synowie starych rodzin farmerskich szukali szczęścia wszędzie, od filmu począwszy, byle nie w rolnictwie. Wolano lokować oszczędności w przedsiębiorstwach

szanghajskich czy kantońskich niż w rodzinnej trzodzie z Yorkshire czy Devonu. Ale William F. Hoggar przetrwał i doczekał się. Teraz na starość patrzy, jak jego farmy idą w górę, jak ponad dwieście morgów zabrano mu na lotniska – a RAF źle nie płaci. Za wiatraki też by dostał *his money*, ale nie chce.

Narzucało się pytanie, dlaczego Hoggar nie chce. Tu zdania były podzielone. Mniejszość podejrzewała tu jakąś dalekowzroczną kalkulację starego farmera; może Anglia wracając do rolnictwa, będzie jeszcze mełła swe zboże na żarnach, nieruchomych od czasów królowej Wiktorii? Hoggar-mędrzec przewidział i to. Ale większość nie dawała się przekonać, najmniej zaś już wierzyła w genialność spekulacji Hoggara. Ich zdaniem Hoggar nie był żadnym geniuszem finansowym w ogóle. Był tylko upartym, konserwatywnym, chorym na głód ziemi chłopem. To że posiadał auto, traktor, konto bankowe i więcej pieniędzy na tym koncie niż wszyscy ziemianie trzech polskich województw, nie znaczyło nic. Hoggar pozostał chłopem, to jest człowiekiem, dla którego miarą wszelkich wartości jest posiadana ziemia. Ale wiatraki? Tajemnicę wiatraków wyjaśniał naj-

logiczniej lekarz dywizjonu. Jego zdaniem sprawa wyglądała tak: wiatraki były wianem, jakie jeszcze matka czy babka Hoggara wniosła do tego rodu. One wzmogły w swoim czasie dochody płynące z samej ziemi. Dynastia Hoggarów, wsparta odtąd o nowe źródło dochodu, mogła wznieść się ponad rzeszę okolicznego farmerstwa, rozepchnąć łokciami osłabłą *gentry* i panować. Potem, kiedy przyszedł kres na wiatraki, fortuna była zrobia. Stary Hoggar już nie meł, skrzydła nie furczały w powietrzu ani nie kręciły się żarna. Nikt z worami nie jeździł do wiatraków i nikt obsypany białym śniegiem mąki z innymi worami z nich nie wyjeżdżał. Ale z drugiego końca lotniska, z zabudowań swej farmy, z głębi swego fotela mógł Hoggar widzieć oba filary swej fortuny. Dziś stała na innych podstawach, ale Hoggar pamiętał.

Za oknem messy rozsiadła się już była na dobre noc, gasły węgle na kominku, urwała się rozmowa i ubywało siedzących. Cały wieczór zabrał nam Hoggar. I te jego wiatraki.

Kiedy przyszło już wyjść z messy i przejść – klnąc – przez to całe lotnisko, pogrążone w mroku, deszczu, zimnie, listopadzie i mgle,

spojrzałem odruchowo w ich stronę. Było ciemno, ale na tle nieba i nad nami prawie – rysowały się dwa potężne, olbrzymie kształty. Były nieruchome, ale sprawiały wrażenie jakichś istot żyjących a groźnych, które wkroczyły na to płaskie pole lotniska, czekając na kogoś czy na coś. Niskie baraki, szerokie, dalekie hangary, nawet drzewa dojazdowej alei – wszystko to wyglądało jakby żyjące w cieniu tych wielkich, nieruchomych kształtów.

W messie sierżanckiej mówiono o tych wiatrakach także i owego wieczoru, i w inne podobne temu wieczory, ale o tym miałem się dowiedzieć dopiero znacznie później. Ludzie w messie sierżanckiej mieli umysłowość znacznie bardziej zbliżoną do natury, może jeszcze bardziej podatną na tęsknoty za dalekim krajem, a na pewno znacznie skorszą do przesądów i wierzeń. Jak się miałem dowiedzieć, w messie sierżanckiej wszyscy uważali wiatraki za istoty żywe i możliwe – zwłaszcza żywe i możliwe w takie jak ten wieczory. Jest w Polsce wiele wierzeń i zabobonów związanych ze starymi młynami i z nieczynnymi wiatrakami, a lotnicy bywają zabobonni. Cóż więc dziwnego, że wokoło wiatraków osnuwały się dziwne opowieści?

Nazajutrz, pamiętam, była niedziela i wiadome było, że nie będzie lotów, i w messie było jeszcze puściej i nudniej, niż zwykle bywa w messach, a dzień był – w odróżnieniu od poprzedniego – piękny. Jeden z tych bladych, pogodnych i zimnych dni jesiennych, które, zwłaszcza na północy Anglii w Lancashire, a jeszcze bardziej w Yorkshire, są takie piękne, ale po których zaraz potem przychodzi prawdziwa zima, pełna zimnych deszczów, lepkiego błota i białej mgły. Horyzont był jasny i wyrazisty i ogarniało się całą dolinę w lewo od rzymskiej drogi, i z farm tam w dole wstawały leniwe dymy, prosto pod niebo, bo nie było wiatru. Przeszliśmy całe lotnisko i pola, skąd zebrano właśnie bu-raki cukrowe, i inne, gdzie pały się owce, i doszliśmy do lip, spoza których czerwieniała cegła sporej farmy. Była to właśnie duża farma, nie żaden *castle* czy nawet *manor*, ale była to farma, która już z daleka sprawiała zamożne wrażenie. Były w niej – nie wiem już czemu – dwa domy mieszkalne, osobne, dostawione do siebie pod kątem prostym; duża, staroświecka stajnia i kamienna brama wejściowa zamykały podwórze. Za stajnią była jeszcze obora i chlewnia, i zabudowanie

dla owiec, i jeszcze inne zabudowania, nowsze od tych wkoło dziedzińca i dość brzydkie. Oba domy mieszkalne były za to stare, skromne i właśnie piękne. Musiała to być jeszcze georgiańska farma i – jestem pewny – że w takiej właśnie farmie panowie Steele i Addison widzieli swego Sir Rogera de Coverley.

Drugi dom wzniesiono może, gdy rodzina farmera przed więcej niż stu laty była szczególnie liczna. Wskazywała na to okoliczność, że składał się on z kilku mieszkalnych pokoi, wyraźnie przeznaczonych na sypialnie. Większość z nich stała pustką, meble rozsychały się, a okna były stale zasłonięte firankami w wypłowiałe piwonie. Ale w trzech z nich mieszkali właśnie: angielski oficer łącznikowy, lekarz i wreszcie sam dowódca dywizjonu. Poprzedniego dnia wieczorem nie było go w messie, bo był na jakiejś odprawie w Hemswell, potem pewno pili i wrócił późno. Rano przyjechał po mnie swym starym, wyremontowanym Austinem, oprowadził mnie po lotnisku, opowiedział dokładnie i po raz wtóry wszystko, co już opowiedzieli inni, a po lunchu zawiózł do siebie – to jest na farmę Hoggarów.

Jasne jest, że tylko dla bardzo powierzchownego obserwatora polscy lotnicy stanowią jednolity, wyrównany typ, który dużo pije, jeszcze więcej lata za dziewczynami, bardzo głośno gada o swej ojczyźnie i dla którego śmierć jest właściwie rodzajem przyjemności najwyższej. Tak sądzą tylko bardzo a bardzo powierzchowni obserwatorzy, ci właśnie, co nie wiedzieć czemu uważają, że życie ludzkie posiada zmienną wartość, inną, nieskończenie wyższą dla ludzi urodzonych nad powolną rzeką Trent albo nad wartką Severn, nieporównanie niższą dla ludzi urodzonych tylko nad zawiłym brzegiem Garonny, surowym niemieckiego Renu, nieśmiałym cichej polskiej Pilicy – nie mówiąc już o dalekich ludziach znad Kamy, Jenisieju lub Oki czy tych znad Loangwa, Mandleshwar czy Hung-shui. Typów polskich lotników w tej wojnie było zapewne akurat tyle, ilu było polskich lotników w ogóle – a Bóg jeden wie, w ile dziesiątków tysięcy ich ilość szła! A jednak byłby jeden podział do przeprowadzenia: na starych lotników z Polski i nowych, już z Anglii. Nie mam tu na myśli tylko takich ludzi, co swe wykształcenie lotnicze i odznaki pilotów zdobyli na Wyspach

Brytyjskich, i tych co je zdobyli jeszcze w Polsce. Byłby to zbyt powierzchowny podział. Gdy mówię: starzy lotnicy z Polski, mam na myśli takich, którzy już w Polsce na długo przed wojną byli świetnymi lotnikami, posiadali rekordy międzynarodowe, przechodzili – lub przeszli – do klasy seniorów. Tam w Polsce mieli już j e d n o lotnicze życie za sobą; to tutaj było tylko ich drugim. Mogli być jeszcze młodzi wiekiem, podczas gdy ci, co w Anglii przeszli do lotnictwa, nierzadko młodymi nie byli. Ale ci z Anglii przeżywali swe pierwsze życie lotnicze, tamci jednak – swe drugie.

Wing-commandor należał do starej gwardii polskiego lotnictwa i jego trudne nazwisko było znane już przed wojną w międzynarodowym świecie lotniczym, pospołu z nazwiskami Żwirki, Orlińskiego, Bajana, Czar-kowskiego, choć oczywiście znacznie więcej w Niemczech, Włoszech i Rosji, gdzie lotnictwem interesowano się żywo, niż w krajach, które dojrzewały przez długich lat dwadzieścia do moralności Monachium. Dzięki temu znałem go dość dobrze, nim go teraz poznałem osobiście – a nawet z tego, co o nim wiedziałem, był to ciekawy typ ludzki. Po pierw-

sze, był góralem. Pochodził z polskiego Highlandu, gdzie łatwiej rodzi się owies niż pszenica, gdzie łatwiej o owce niż o krowy, gdzie więcej jest skał niż ziemi, a nieba niż wody. Wszystko jest tam odmienne niż na równinie, jaką jest reszta Polski, i nawet drewniane kościołki podobniejsze są do kirch drewnianych na północy Szwecji niż do białych kościołów w dół od Krakowa. W tej części Polski nigdy nie było szlachty – i nigdy nie było chłopów. Są tam góralskie rody tak stare jak rody baskijskie w Pirenejach, jak klany szkockie w Highlandzie i kaukaskie wokół Erywania. Tak samo trzymają się pokrewieństwami, tak samo granice hał, gdzie pasą swe trzody latem, są ustalone od stuleci, tak samo miarą bogactwa jest ilość owiec i baranów. Są to ludzie hardzi, wysocy, szczupli, o budowie suchej, o twarzach kościstych i ściągniętych. Mówią mało, milczą dużo, rozważają długo, postanawiają szybko. Jest to odmienny, bardzo odmienny gatunek ludzki – i *wing-commandor* dywizjonu trzysta i coś był człowiekiem naprawdę ich krwi.

Wiedziałem nawet, jak to się stało, że z góralskiego syna stał się lotnikiem i dośłużył się, krótko przed wojną, polskiego

stopnia podpułkownika. Oto jeden z jego starszych braci – było ich coś z dziesięciu w rodzinie: ojciec, gdy mu pierwsza żona umarła przy szóstym czy siódmym połogu, wstąpił w drugie związki małżeńskie i był w nich nie mniej płodny niż w pierwszych – otóż jeden ze starszych synów poszedł do szkół do Krakowa – i prosto ze szkół, gdy przysłała wojna 1914 roku, uciekł od Liwiusza i Tacyta do legionu Piłsudskiego. Nie miał już nigdy wrócić ani do trygonometrii, ani do Tacyta, ani do żadnych studiów w ogóle. Dwukrotnie ranny, trzykrotnie uwięziony i raz skazany na śmierć, zrobił po wojnie w niepodległej Polsce karierę wojskową nieco podobną – choć proporcjonalnie mniejszą – do karier niejednego z napoleońskich marszałków, synów kowali, kramarzy czy chłopców stajennych. Był generałem, dowódcą okręgu wojskowego, nie mądrzejszym, pewno, i nie głupszym, może tylko skromniejszym niż inni. Żył oszczędnie, nawet skąpo, urlopy spędzał w rodzinnej wsi, gdzie zbudował sobie duży dom. Podobno skupywał grunty w Zakopanem – polskim Chamonix. Miał chłopski i góralski instynkt rodzinny: pościągał za sobą do Warszawy

i polokował, w miarę jak dorastali i gdzie się tylko dało, swych młodszych braci, których tak licznie dorobił mu jego płodny ojciec. Nie czynił różnicy pomiędzy rodzonymi a przyrodnymi. *Wing-commandor* był jednym z nich. Był zarazem najlepszą lokatą rodziny. Jego brat, generał, znikł gdzieś w rozpadzie Polski. Lotnik wyszedł teraz na plan pierwszy.

Ze swą małomównością, wzrostem, ostrymi, suchymi rysami, posiwiałymi już dosyć skroniami i sławą jeszcze z Polski, *wing-commandor* górował nad dywizjonem bardziej, niż to zwykle miało miejsce. Stosunek do niego był taki jak do kapitana okrętu, i to do kapitana, który jest bardzo kapitanem i na bardzo sławnym okręcie. Dywizjon na zewnątrz chlubił się *wing-commandorem*, na wewnątrz go się bał. *Wing-commandor* – jak zwykle na święto i od gości – miał obejście grzeczne i gościnne, ale bardzo pańskie, kiedy tak szedł ze mną przez pole – zostawiwszy auto – do farmy. Przeszedłszy dziedziniec zagadał do psa, który mu się przyłąsił, popatrzył na krowy w oborze, na uchylone drzwi stajni. Gospodarstwo obojętne dla ogółu lotników – ludzi maszyny – nie było dla niego obce. Na dole, w prawo od wejścia, była *lounge*. Na kominku

płonął ogień, ale z drzewa. Zasiedliśmy w fotelach tylko we dwójkę. O czwartej mieli się zejść – taki miał obyczaj – oficerowie dywizjonu, którzy nie wyjeżdżali na niedzielę. Ale do czwartej była przeszło godzina. Wing-commandor wyjrzał przez okno. – „Ma pan Mr. Hoggara” – powiedział.

Odwrociłem się. Okna *lounge*'y były osadzone nisko w ścianie – a może grunt dziedzińca podniósł się z biegiem lat? – tak że widziałem doskonale. Podwórzem szedł przygarbiony, stary, świetnie zachowany – jak to z Anglikami, zwłaszcza na wsi, bywa – jegomość. Słuchał czegoś, co mu widać opowiadał jakiś parobek czy włodarz, ale widać było, że mu nie dowierza, że kontroluje. Ze swego fotela *wing-commandor* patrzył na dziedzińca jakoś rozumiejąco uśmiechnięty; zgadywałem, że mu się ten stary w tym swoim gospodarzeniu podoba. Może taki właśnie wykrawek Anglii był jego wiejskiemu sercu bardziej zrozumiałą. Wyleciał na chwilę z pokoju i słyszałem go, jak wołał od progu: „*Good afternoon, Mr. Hoggar. Is everything all right? D'you remember, for tea time?*” Przez okno widziałem, jak Hoggar uśmiechał się i coś odpowiadał, ale głosu nie dosłyszałem.

Właśnie w chwili gdy *wing-commandor* wrócił, drzwi od głównego domu otworzyły się i wyszła z nich dziewczyna, która mogła być tylko córką starego Hoggara. Była ubrana jak zawsze panny na wsi, to znaczy dość źle. Miała czarną spódnicę jakby z donaszaną żałobą, a na to narzuconą – bo było zimno – jakąś samodziałową, brązową kurtkę. Mogła mieć lat osiemnaście najwyżej, a może i to nie, i o coś się znowu sprzeczali z ojcem. Panna musiała mieć energię swego papy. Nie była, po miejsku mówiąc, ładna. Miała dość grube nogi, wyraźnie silne uda; za całą urodę miała: niewątpliwie ładne, bladojasne włosy i naprawdę wspaniałą, hożą i świeżą cerę. Była mocna w sobie. Silna, wiejska dziewczka. Kiedy już stali w drzwiach tamtego domu, powiał naraz silny wiatr, zamiótł podwórze liśćmi, odegnał na bok poły kurtki i oblepił czarnym sukniem spódnicy z niezwykłą wyrazistością obfite, mimo młodego wieku, krągłości kobiecej bioder. Mimo woli popatrzyłem na *wing-commandora*. Jego wzrok patrzył teraz intensywnie na dziewczynę, na tę jej mocną budowę, na jej potężne biodra, ale patrzył jakimś wzrokiem nieosobowym, obiektywnym tylko i znawczym.

Mógłby właściwie patrzeć tak samo na dorodną klacz czy krowę Mr. Hoggara. Istotnie. „O, to nazywam dziewczyna, kobieta, proszę; to ja rozumiem” – mówił z aprobatą. I potem naraz, nie wiem dlaczego, w tonach jakichś ciepłych i niespodzianych u niego, zaczął mówić o swoim młodszym, innym bracie. Był to Jan. Nie, nie mogłem go znać. Kiedy wojna zaczęła się, miał on dopiero dwadzieścia lat. Ale był już, za śladem brata, w lotnictwie. Potem internowano go w Rosji. Dwa lata popracował w karnych obozach przy wyrębie lasów, pod Archangielskiem. Ale odnalazł się i *wing-commandor* ma zapewnienie, że w jednej z pierwszych partii przyjedzie z Rosji. Sowiety rezygnują z polskich lotników; Anglicy bardzo ich chcą.

Hoggarowie przyszli na *party*, gdy jeszcze nie było nikogo; a nawet gdy powoli zaczęli się schodzić ci wszyscy z dywizjonu, co nie mieli nic innego do roboty, rozmawiałem głównie z *wing-commandorem*, z Hoggarem i jego córką. Było coś podobnego w starym farmerze, który wyszedł na lokalnego bogacza, i w synu góralskim, który stał się asem lotniczym, noszącym na mundurze obok polskich odznaczeń prążkowaną, bladofioletową

wstążkę D. S. O. (*and bar*). Ta sama powaga, ta sama twardość na co dzień, ta sama jakaś zapobiegliwość i utajone, wewnętrzne ciepło. Zauważyłem, że *wing-commandor* zna kłopoty gospodarcze farmera nie mniej dobrze niż tajniki własnego dywizjonu i że Hoggar zwierza mu się chętnie i obszernie. *Wing-commandor* rozmawiał i z Miss Hoggar. „Nazywa się Ruth”, powiedział. I zaraz dodał: „Szkoda, że to takie niepolskie imię!” Ale pomimo tego, że niewątpliwie odpowiadała mu jako kobieta, i pomimo tego, że sam nie miał więcej niż jakie czterdzieści lat, nie asystował jej wcale. Jego sposób bycia był raczej opiekuńczy. Wychodziło to na jaw, ile razy któryś z oficerów, którzy powoli się schodzili, zaczynał bawić Miss Ruth, a zwłaszcza gdy odchodził z nią na bok lub gdy mogło się wydawać, że panna jest rada z rozmowy. Trzy razy tak właśnie było, i za każdym razem *wing-commandor* przerywał *tête à tête* w sposób niegrzeczny nawet w stosunku szefa z podwładnymi, a już na pewno – gospodarza wobec gości. Przy swych pańskich manierach miał widocznie dość mało towarzyskiego wyrobienia, aby podobne operacje przeprowadzić zręcznie; a może zbyt wiele

w to wkładał uczuć, by móc to gładko przeprowadzić. Wszyscy, nawet stary Hoggar, dostrzegali te manewry. I, rzecz dziwna, Mr. Hoggar przyjmował je z zadowolonym i rozumiejącym uśmiechem. Patrzył się na to niemal z taką wewnętrzną radością, jak przedtem *wing-commandor* na tegoż Hoggara obchodzącego, nawet w niedzielne popołudnie, swe gospodarstwo. Właśnie tak. Pomyślałem, że pewno cieszy go myśl, iż jego jedyne jagnię znalazło sobie tak bacznego psa owczarka, trzymającego w należyтым postrachu owo stado młodych polskich wilków w mundurach królewskich sił zbrojnych.

Wyszedłem z *party* około szóstej, bo miałem wieczorem pociąg do Szkocji. Odwiedziono mnie autem, w którym prócz mnie siedziało siedmiu lotników z dywizjonu. Mieli dość tej *party*, a jeszcze bardziej *wing-commandora*. Po co ich zaprasza? Potem robi sceny zazdrości o tę małą Ruth. Czy ją kto zje? Zjadano lepsze! Chce ją mieć dla siebie, no to z Bogiem, niechby miał nareszcie niedziele i wieczory zajęte. Może by mu mniej uderzało na stary mózg. Z Bogiem! Ale jeśli sam z tej studni nie pije i innych do siebie zaprasza, niechżeż zrozumie, że po prostu sama

przyzwoitość... Od rozmowy jeszcze żadna w ciążę nie zaszła...

W ciemnym i natłoczonym aucie, wśród ludzi mówiących jeden przez drugiego, jedynie lekarz dywizjonu zachowywał spokój. Uśmiechał się. On wiedział. Pośpieszył z wyjaśnieniem. To jest jasne. I ta przyjaźń *wing-commandora* z Hoggarem. I ten jego szacunek dla tego dusigrosza. I to, że przez polskich *ferry-pilotów* stary (tak nazywano *wing-commandora*) sprowadza ciągiem temu kutwie – a to najlepsze tytonie amerykańskie do fajek, a to najlepsze whisky szkockie (które teraz, jak każdy wie, jedynie w Ameryce można dostać) i nie wiedzieć co jeszcze, bo wiadomo, jaki jest skryty. Sam Hoggar nie wie i pewno by za głowę się złapał, no i złapie się, ale nieprędko jeszcze. „Niech no Janek przyjedzie z Rosji”, kończył zgryźliwie i poufale, jak o szefach mówią za plecami podwładni, jak mówią lokaje w kredensie o swych panach. „Dopiero wtedy przejrzy”. Niektórzy potakiwali, inni pozostali sceptyczni. Co tam przypisywać staremu tak obmyślane i dalekosiężne plany? Po prostu jeden sknera kocha drugiego sknerę, stary ogier nie lubi, jak młode rwą się do klaczy,

a góralowi wychowanemu w koszarach brak ogłady, to proste. Ja nie zabierałem głosu. Pomyślałem tylko, że posiadam aż dwie poszlaki przemawiające za tezą doktora. Pamiętam, jakiego rodzaju wrażenie robiła na *wing-commandorze* Ruth; jak patrząc na nią, zaczął naraz mówić o bracie, i pamiętałem westchnienie, jakie mu się wyrwało, że nie nosi imienia podobnego do imion noszonych przez polskie dziewczęta. Może to nie były dowody: na pewno były to poszlaki.

Wygadywanie na dowódców jest normalnym zjawiskiem w każdym wojskowym oddziale i załoga auta wołała dalej wyliczać złe strony *wing-commandora* niż zastanawiać się na temat Ruth, która nie obchodziła ich wcale, lub Jana, który jest gdzieś tam w Rosji. Natomiast znowu przejeżdżaliśmy koło wiatraków. Powiedziałem, że było ciemnawo, ale jednak nie było tak ciemno jak wczoraj, i ich masywy rysowały się całkiem wyraźnie. Tak, to były okazałe wiatraki, holenderskiego typu, murowane, solidne, tak solidne jak wszystko u Hoggarów: i farma, i konto bankowe, i poglądy, i sknerstwo starego, i budowa młodej panny. Ich wielkie, znieruchomiłe skrzydła były teraz nad nami jak łapy wyciągnięte

w powietrze. Nie tylko na mnie zrobiły to właśnie wrażenie. „A w sprawie wiatraków – powiedział ktoś – co to za jakiś upór, aby sta-
nąć po stronie jakiegoś kułaka, a nie po stro-
nie interesów dywizjonu? Gdyby nie nasz
stary, dawno by nie było tych gratów na środ-
ku drogi”. „Nie rozumiesz – bronił inny – na-
tury polskiej: po pierwsze, nie chciał, aby
w całej okolicy mówiono, że na żądanie
Polaków zburzono dwa najstarsze wiatraki
w hrabstwie, i chciał powiedzieć Anglikom:
– Polak ląduje i między wiatrakami”. Ale
doktor się upierał: „Nie, to jeszcze nie to.
Wiatraki należą do Ruth, po matce czy tam
babce. Gdyby je zburzono teraz czy rok te-
mu, pieniądze za nie miałyby papa do ręki; za
rok, jeśli je zburzą, Ruth będzie pełnoletnia
i sama je weźmie. Jakby coś z papą nie po-
szło, ma swoje. He, *wing-commandor* już to
tak dobrze obmyślił jak lot na Bremę”. Głos
doktora przechodził w podziw. Nie wiem,
czemu w tej chwili zaciekawiło mnie naraz,
skąd on sam pochodzi. „Z Nowego Targu” –
odpowiedział i jakby rozumiejąc moją cieka-
wość dodał: „Rozumie pan więc, że ja ich
znam, tych górali. Mój ojciec był w Nowym
Targu lekarzem, jeden mój stryj – adwoka-

tem, drugi – księdzem. Góry od nas o krok. I ojciec, i stryj ksiądz, i stryj adwokat klientelę mieli góralską. Sam pamiętam ojca naszego *wing-commandora* i jego drugą żonę, matkę tego Janka z Rosji. Była to śliczna góralka, młodsza od męża chyba o lat dwa-dzieścia. Toteż tam, panie, były historie! I stryj, i ojciec różnie mówili, ale najczęściej ksiądz. Mniejsze grzesznice posyłał czasem z pielgrzymką do Kalwarii Zebrzydowskiej, tę jedną do samej Częstochowy posłał. Wiedział już za co. O, ja ich dobrze znam, górali. Z nim też było niejedno: ojciec go z domu wylał. A tego brata z Rosji to on kocha, jak ludzie z dolin rodzzonego syna nie kochają”.

Ale byliśmy już na głównej drodze i zaczynały się domy Lincolnu.

*

Nie byłem już w Ranley nigdy potem, choć byłem na innych lotniskach w okolicy bo wszędzie, jak koło Newark, jak koło Londynu i jak w wielu innych okolicach angielskich, stały dywizjony polskie. Nie dowiedziałem się też nigdy, czy warunki poprawiły się tam, czy nie. Mgliście wiedziałem tylko.

że dywizjon stoi tam wciąż jeszcze, że zmienili Wellingtony na Lancastery, że mieli wiele strat, że dostali kilka nowych D. F. C., a do tego parę nowych *bars*. Wiedziałem, że *wing-commandor* awansował na *group-captain*; parokrotnie chciano go przenieść do Londynu na wysokie stanowisko, zdaje się w Air Ministry, ale on bronił się zawsze i nader skutecznie. Awans należy do nielicznych niebezpieczeństw, przed którymi zawsze można się obronić. Różnie tłumaczono jego odmowy. Twierdzono najczęściej, że stary lotnik chce być blisko boju, a ma wstręt do papierów i biur; mówiono także, że to dlatego, iż przyjechał jego brat z Rosji. Wielu w owym roku przyjeżdżało braci z Rosji, a nawet trochę żon, i w tym nie było nic dziwnego. Ale *group-captain* musiał się chyba bardzo ze swego cieszyć, skoro o tym aż w Londynie mówiono. W numerze jakiegoś lotniczego polskiego pisma, zamieszczającego przeważnie podobizny wysoko postawionych osób, znalazłem kiedyś fotografię dwóch braci. Brat z Rosji wyglądał jak syn *group-captaina*. Był przystojny, bardzo szczupły, czarny, miał rysy podobne do brata, ale ożywione i jasne. Wyglądał *very handsome*. *Group-captain* prost-

wał się przy nim z nieukrywaną dumą. Był z niego na pewno dumniejszy niż ze swego złota na czapce czy ze swego *D.S.O. and bar.* Nie, nie miałem najmniejszej wątpliwości co do tego, która z paru podawanych przyczyn jest prawdziwym powodem trzymającym *group-captain*a z dala od Londynu.

Byłem sam poza Anglią dwukrotnie i dosyć długo, i raz, kiedy leżałem w szpitalu, przyszedł do mnie gruby plik pism polskich. Nowością w nich były liczne bardzo, niewielkie klepsydry z nazwiskami poległych. Nigdy nie mieliśmy ich w prasie naszej tu tyle, nawet za dni *Battle of Britain*, ale było to właśnie po Falaise, po powstaniu warszawskim i po Arnheim, bodaj w tym samym czasie, gdy Churchill tak nalegał na Mikołajczyka, by przyjął warunki rosyjskie. Szukałem nazwisk znajomych. Nagle znalazłem jeszcze jedno. Imię było mi obce: Jan, ale nazwisko jednoczyło mi się tak samo z Tatrami jak nazwisko MacDuff, MacDonald, MacCornick kojarzy się nam ze Szkocją, a jakieś O'Bryan czy O'Hara przywodzi na myśl zieloną Irlandię. Jan? Porucznik? Nie, nie znałem skojarzonych z tym właśnie nazwiskiem imion i stopni wojskowych. Znałem inne. Na dole.

jako zawiadamiający, podpisany był „Brat”. Teraz byłem pewny. Na chwilę przypomniałem sobie tamtą fotografię z pisma, gdzie stali obok siebie, w takich samych mundurach RAF-u, jeden uśmiechnięty młodością, drugi dumą. Potem przypomniałem sobie, nie wiem czemu, *group-captaina*, tak jak go widziałem wtedy, jako *wing-commandora* jeszcze, kiedy siedząc w fotelu przy kominku patrzył tym swoim wzrokiem na silną budowę Ruth Hoggar. Żałuję zawsze najbardziej tych, którzy zostali. Czułem, jaki to musiał być cios dla tego człowieka.

Z kolei rzuciłem się na pisma lotnicze, szukając, czy nie będzie tam czegoś więcej. Było, ale nie mówiło wiele. Był długi, napisany napuszoną (i fatalną) polszczyzną życiorys zmarłego, ale z powodzi konwencjonalnych frazesów – (rokował, świecił, przodował, stał na posterunku, bywał przykładem, prawdziwym Polakiem, jednym z tych, którzy..., nie załamał się, dotrwał) – mogłem dowiedzieć się z trudem tylko tego, że się urodził, że był lotnikiem, że był w Rosji i że zginął. To wszystko wiedziałem już przedtem. Jedno mnie uderzyło. Powiedziane było, że zginął, ale jako miejsce śmierci wymienione

było, że w Ranley. Nieszczęśliwy wypadek? Nie napisano by wtedy „śmiercią lotnika”. Gubiłem się w domysłach. Nigdy jeszcze nie uświadomiłem sobie tak dosadnie, jak trudno się czegoś dowiedzieć z polskiej gazety.

Przeglądałem jednak dalsze numery pisma w nadziei, że znajdę może coś jeszcze. Zresztą, to tak ciężko w szpitalu. Rzeczywiście znalazłem. Była wiadomość o odejściu w stan spoczynku *group-captain*. Znowu była mowa o jego licznych (i tu nieprecyzowanych) zasługach, o jego *D. F. C. and bar*, o jego przedwojennej służbie i o „ciężkiej stracie, pod brzemieniem której tracimy go”, itd. Było nawet jego zdjęcie, ale widocznie z jakichś innych czasów, bo *group-captain*, uwidoczniiony na nim, stał uśmiechnięty najweselej na świecie. Pewno zdjęcia dokonano przy okazji jakiejś dekoracji, no i bezmyślnie dano je powtórnie teraz. Ach, ten mimowolny a makabryczny humor naszych redaktorów czasu wojny!

To były, jak rzekłem, stare gazety, ale jakoś po paru dniach nadeszły całkiem nowe i w nich mała wzmianka, która ratowała honor redaktorów owego pisma. Donosiła ona, wprawdzie krótko, ale za to treściwie, o ślubie

w dniu 14 stycznia, w kościele parafialnym w Newstead Lincs, *group-captaina* ... z panną Ruth Hoggar. Ruth Hoggar. „Ślub odbył się w najściślejszym gronie najbliższych przyjaciół *group-captaina* i rodziny Hoggar”. Nie było nic więcej, ale to było dosyć.

Nie mogłem zrozumieć niczego, nie zgadzało mi się nic z tym wszystkim. Ktoś mógł pomyśleć: „Zjadł pieczeń, którą długo dopiekał.” Ktoś mógł powiedzieć: „Nie brat – pomyślał – to ja.” Ktoś, co nie wiedział, mógłby nawet powiedzieć: „Jeden więcej ślub polski, i kropka.” Ale ja wiedziałem, że z tym jest zupełnie inaczej. I rzeczywiście, było z tym jeszcze inaczej, niż ja sam przypuszczałem.

*

Było to już po wyjściu moim ze szpitala. Zaproszono mnie na odczyt do jednego z dywizjonów pod Lincoln. Ponownie zwiedziłem te same strony. Przyjechałem do Lincoln o dzień wcześniej. Wziąłem wieczorem pokój w hotelu i wyszedłem na miasto. Zaraz na ulicy zaczepił mnie jakiś sierżant polski z RAF-u.

– Pan mnie nie poznaje, panie Pruszyński?
A ja pana świetnie pamiętam! Nie pamięta

pan! To było dawno, trzy lata temu. Ranley? Ja pana wiozłem do Ranley i potem pan był u nas.

– Ach, tak, pamiętam: wiatraki.

(Dlaczego z całego tego obrazu wyłoniły mi się nagle właśnie wiatraki?)

– Wiatraki? – zaśmiał się sierżant dziwnie – to pan pamięta? Oj, przysłużyły się nam te wiatraki! A nie mówiłem? Ja pierwszy! Pan pamięta? Panu także mówiłem! Ech, a pułkownik!... Szkoda gadać. Zajdzie pan ze mną na piwo. Ja tu się umówiłem w jednym barze z doktorem. On wyjeżdża. W ogóle z Anglii. Pan nie wie? I jak było z tym małym? Ja panu wszystko opowiem.

Bar był długi i prawie pusty. Zamówiłem zaraz dwa piwa i dwa *double*. Siedzieliśmy w samej głębi. Sierżant pił i opowiadał. Dopiero teraz dowiedziałem się wszystkiego – a raczej wszystkiego tego, co wiedział i widział sierżant.

Sierżant mówił długo, opisowo i zawile, jak *group-captain* kochał tego swego brata z Rosji, jak go woził, jak mu sprawiał mundur w Londynie, czapki najlepsze i wszystko, jak zachodził do niego wieczorami, jak umieścił go pod swym okiem. – Młody był

niczego sobie – powiadał – tyle że na harmonii, co ją przywiózł z Rosji, za wiele grał i do dziewczyn był zaś za bardzo sposobny. *Group-captain* to martwiło – mówił. – Ale go też wyswatał szybko z taką jedną tu Angielką, Miss Hoggar. Pan ją może pamięta, panie Pruszyński? Jej ojciec – to bogacz tu taki, od tych wiatraków właśnie... Kto by powiedział, że teraz sam...

– A Hoggar jakże na to?

– Hoggar? Mało go krew nie zalała na śmierć! Pan wie, jaki on skłonny? Czerwony taki na karku. Mało go nie zalała! To jedyna jego, ta dziewczyna, odkąd syna morze zabrało; i tyle majątku uciulanego! Ho, a kochał on przedtem pułkownika i lubili się starzy, i ani się spostrzegł, kiedy mu ten młody dziewczynę zbajtłował. Godzić się nie chciał. Z pułkownikiem się mijali, nie witając z tej złości. Sam pułkownik, jak angielskim *group-captain* został, to w Hemswell siedział, ale tu, do brata dojeżdżał. Jak i w ten wieczór, co to...

– Kiedy zginął Jan.

– A no tak, kiedy zginął Jan. Było już powiedziane, że mają się pobrać. Stary się nie godził, ale co? Nie była to dziocha pełnolet-

nia? Własnych pieniędzy nie miała? Choćby i te wiatraki: też na jej imię były. Tak że się pobrać mieli i nawet pilno im było do tego ślubu. A młody kończył swoją kolejkę lotów. Nawet ci, co niechętni pułkownikowi, mówili...

Zawahał się. Poszedłem po nowe *double*. – Ludzie zawsze pyskują, a potem żałują – rozkręcałem.

– A właśnie. A to wcale nie była prawda. Janek był i nad Bremą, i nad Hamburgiem, i nad Mediolanem, latał na minowania, niby to, mówią, łatwe, i na wielkie loty, niby to, mówią, trudne; ale to, to tak jest, jak już kogo losy urzekły – ściszył głos. – I tak było właśnie.

I zaczął mówić, wyrzucając z siebie jak kawały całe opowieści:

– O piątej wylecieli na minowanie, jeszcze za dnia, mieli być przed jedenastą. Wtedy nad wyspami holenderskimi wznowiono obronę, czy co! I dwie nasze maszyny dostały. Trzecia dostała maszyna Janka, ale słabo, i oni to zbagatelizowali. Zresztą dopiero potem zaczęło im po kolei nawalać jedno po drugim. Bywa i tak. Gdyby wiedzieli, wcześniej lądowałiby gdzie na południu i w dzień wrócili do nas. Ale pułkownik tego kiedyś

bardzo nie lubił i weszło w zwyczaj, by nie lądować na cudzym śmieciu. Lecieli więc prosto na lotnisko. Tymczasem zapadła mgła. Postawię panu ja!

Wychylił pierwszy i mówił:

– Ale była to zaś angielska mgła. Takiej nie przewidział żaden komunikat; coś tam mówiły, ale nie o takiej! Pan wie? Ciemne mleko. Jeszcze nie zapadła całkiem, przyleciał z Hemswell swym autem *group-captain*. Nieomal wozu w tej ciemności nie strzaskał. O, on czuł. Poszedł z miejsca do radia, tam gdzie łapali ich wracających, stał i słuchał, i sam gadał. Zrozumieliśmy, że taka noc i mgła, i coś stać się może, i że *group-captain* jest taki, jakby wiedział. Stałem z drugimi za drzwiami. W cieniu, to nas nie widział, i słuchaliśmy wszystkiego. „Halo, Wanda, halo, czy nas słyszycie...” „Podajcie wasze”. „Halo, Wanda, czy wszystko jest *okey*?”. Radio chrobotło, *group-captain* słuchał, myśmy słuchali, co ci tu mówią do nich. Icheśmy z samolotu nie mogli przecie. Na słuchawki. Ale rozumieliśmy z twarzy *group-captaina* i z tego co mówił. „Halo, Janek, czy mnie słyszysz? – już nie mówił „Wanda” na maszynę, ale wprost do brata – Janek, czy mnie sły-

szysz, tu widoczność zero, wróćcie na południe”. „Wrócić na południe. Lądować w Wrenhill, w Drecking, w Lanster. Lądować w Farnborough, w Avon, w Croy” – sypał nerwowo lotniskami na pamięć. „Na mój rozkaz. Co? Zbiorniki? Paliwo? Podaj stan.”

Wolałem, aby mówił, aby krzyczał, bo gdy ucichał – zdawało się: taka straszna cisza, że słychać było, jak idą wskazówki dużego zegara, i nawet tykot mojej cebuli w kieszeni, a radioci aż się pokładli nad tym swoim stołem. Przez chwilę była cisza. Myślałem, czy nie każe skakać? Ale on zawsze kazał lądować, jak się da, więc wiedziałem, że nie może i teraz inaczej – dlatego tylko że to brat – kazać. Naraz radioci spojrzeli na niego. To tamci mieli schodzić do lądowania. „Jak wysokościomierz? Jak – upewnia się – wysokościomierz? Podwozie!” Prowadził ich teraz słowami, sam, odsunawszy tamtych z radia, słowo po słowie, uważnie, spokojnie, jakby niańka uczyła chodzić dziecko. Samolot szedł już zupełnie nisko i coraz głośniej zbliżał się do lotniska. Już, już, już... O szyby obijał się coraz bliższy huk motorów. Jeszcze chwila, jeszcze. Nad skrajem lotniska w nisko narosłym okapie chmury przewinał się

ciemny kształt. „Przymykaj teraz i siadaj – powiedział do mikrofonu. Naraz coś pode-
rwało go do góry, coś rzuciło nim o mikro-
fon: „Wiatraki – ryknął – wia...” Nie, nie do-
kończył słowa. Wybuch był taki, że szyby
mało nie wyleciały i barak się zatrzęsł jak od
bomby. I huk był, jakby się sześciopiętrowa
kamienica zwała na ziemię. I tylko wierzch
jednego z tych wiatraków choler ucięło brze-
giem skrzydła! I było dość. A potem naraz
zrobiło się tak cicho, tak strasznie cicho, jak
przedtem było głośno, i tylko skrzyp ten było
z powrotem słyhać, jak to tam nocą, wiatra-
ków. I jakiś był taki straszny, choć nam zwy-
czajny, że się aż przeżegnał, jak od ducha.
Ale zaraz ogień było widać: zbiorniki.

I to wtedy jego brat zginął w Ranley.

Był zmęczony swą opowieścią, ale już
sam, ciszej tylko, mówił dalej:

– Tak by mi było żal tego młodego, jak ty-
lu innych, co z tego lotniska startowali, a nie
lądowali już więcej. Wojna, się mówi. Ale
starego mi żal! Nie żal, jak człowiek tak gi-
nie, że i ciało trudno poznać, czyje ono było,
ale żal, kiedy człowiek żywy na naszych
oczach własnych staje się – ot, niespełna...
Wtedy żal!...

– To *group-captain*?...

Sierżant podniósł smutno zdziwione oczy, po czym spytał, to ja nie wiem? – Tak. Z początku to był żal, wiadomo: źle. Ale potem stało się gorzej. Wieczorami zaczął jeździć od siebie do Ranley. Ale nie do messy. Stawiał wóz na drodze – mogliby ukraść – i szedł popod wiatraki. Najpierw to sobie tam tylko chodził, godzinę, dwie. Potem zaczął gadać. Z Jankiem tak gadał. Ale mówił do niego: „synu, synku, syneczku”... Strasznie było, panie. Powiadam panu: i żal. A potem to zaczęło się z doktorem. To już gorzej. Coś do niego czuł. Naparł się, że go weźmie ze sobą na samolot. Taki szkolny. Magister. Ale coś było, że doktor nie chciał. On w złość. Potem podobno pod oknami doktora chodził. Ale to w Hemswell. Dobrze nie wiem. I doktor tak strachu nabrał, że postanowił wyjechać, byle najdalej. Nadarzyła się sposobność.

– Czołem panu doktorowi!

Doktor też był jakiś postarzały, nieswój, inny. Poszedł do lady umawiać dla nas jakiś *cold supper*. Sierżant się wymówił. Nie, nie może już zostać. Ale gdy doktor stał przy ladzie, zagadnąłem go jeszcze:

– A przecież się ożenił?...

– Takie to i małżeństwo! Śmiali się ludzie, że stary Hoggar młodemu dziewczyny odmawiał, a za starego ją wydał. I wydał. Po co mu to było, *group-captainowi*, potrzebne? Może myślał, że go to podtrzyma. Nic go to nie podtrzymało. Powiadał też komuś ksiądz, że powiedział, że palcem tej Hoggarówny nie tknie, ale przecież ją tknął, bo dziecko, słyszę, ma. Do miasta była pojechała rodić. Mieszkają na farmie starego Hoggara, ale coś z nim na chłodno; tyle że dzieciaka sknera lubi. A wieczorami, osobliwie kiedy mgła i deszcz, *group-captain* na lotnisko ucieka i pod wiatrakami chodzi. Jeszcze go kiedy maszyną najadą.

Wzdrygnął się i zabrał do żegnania. Zostaliśmy sami z doktorem. Doktor był także inny. Wyglądał spłoszony. Unikał moich oczu. Spieszył się. Postanowiłem pytać wręcz:

– Co to za dziecko, to dziecko Ruth Hoggar? Syn? Córka?

– Syn.

– Pamięta pan, kiedy przyszedł na świat?

Doktor zachnął się.

– Nie. Skąd mam pamiętać? To nie moja sprawa. Mnie przy tym nie było. Ja o niczym nie wiem.

– Wolnego, panie doktorze, wolnego. Pan o niczym nie wie... Pan jest z Nowego Targu. Pański ojciec, lekarz, znał matkę – nie, bądźmy ściśli, to ważne: macochę *wing-commandora*. Pański stryj, ksiądz, ją spowiadał. I kiedyś jej takie surowe pokuty zadawał. Pan zna *group-captaina*. Pan, oczywiście, nie wie o niczym... Czy pan także nie wie i o tym, dlaczego *group-captain* tak wcześniej opuścił dom ojca?

– Ależ panie...

– A czy nie wie pan i tego, o czym nawet ten sierżant wie, że *group-captain* przyzywa brata, mówiąc: „synu, synusiu mój, syneczku”? – Powtórzyłem starając się mówić, jak mógł mówić *group-captain*. – „Jeśli doktor to słyszał – myślałem – jeśli choć raz to słyszał, to teraz, przy jego nerwach...”

Doktor nie wytrzymał. Wprost – wołał:

– Panie! Daj mi pan spokój! Ja nie chcę, nie chcę wiedzieć! O n i c z y m wiedzieć!...

– O niczym? Czy także i o tym, kto jest ojcem dziecka Ruth? I czemu stary Hoggar jednak zgodził się na ślub. A może pojedzie pan ze mną, ot teraz, nocą, posłuchać pod tamte wiatraki? Jest mgła i deszcz, i noc... Może tam ktoś chodzi i gada... Może się czegoś dowiemy?

Nie przeczułem ani na chwilę, jaki te słowa będą miały miażdżący efekt. Doktor opuścił ręce. Cofnął się w krzesło. Nie słuchał mnie i nie słyszał. Jego oczy, zmętniałe nagle przerażeniem, utkwione były gdzieś przed siebie, w kierunku lady.

– Panie – rzekł – jeśli pan wie... jeśli pan wie... to po co pan pyta... Milcz pan! Żeby ON się nie dowiedział, że pan też wie. Wszystko. Oo! Jeszcze zobaczy pana ze mną!

– Zobaczy? Gdzie?

Ale mimowiednie popatrzyłem w ślad za błękitnymi oczyma doktora, jako rzekłem, ku ladzie. I naraz – to mnie ściał strach. W pubie od paru chwil zapewne przybył nowy, niespodziany gość, jak zjawa wyczarowana zakłęciami rozmów. Oparta o ladę, odwrócona więc do nas plecami, stała postać w ciemnoniebieskim mundurze. Karczmarz z uniżeniem podawał mu kieliszek, on podniósł rękę i zobaczyłem wtedy na rękawie cztery paski. Pijący odwrócił z lekka głowę, nie tak nawet, abym mógł widzieć jego profil, ale dość, by zabłysło na daszku czapki sute złoto *group-captaina*. Był to on i nie on zarazem, była to zjawa. W pewnej chwili poczułem, że odwraca głowę, jakby czuł na sobie cudze spojrze-

nie, i instynktownie pochyliłem moją głowę z ulgą wewnętrzną, że nie jestem w mundurze i pewno mnie nie pozna. Jednocześnie spostrzegłem, że doktor znikł bez śladu, właśnie tak jak znika zmora czy zjawa – i jakby się już był zdołał nauczyć tak właśnie znikać.

„Trzyście opowieści” – Warszawa 1946

Strzecharz

Nasza drużyna była miejska, robotniczo-inteligencka. Robotnicy byli zresztą z Francji, zdołali się zatem otrząsać z wielkimi sprawami tego świata na pewno nie gorzej od doktorów i magistrów. Ale Ludwik Strzecharz nie był ani robotnikiem, ani inteligentem. Tak, to prawda, ukończył parę lat gimnazjum i jakiś wcale poważny kurs. Posiadał swoiście dystyngowany sposób bycia – powściągliwy, spokojny. Ale jego rumiane policzki, żytnie włosy, pewna ociężałość, moc – wszystko to za pierwszym wejrzeniem mówiło: wieś. I mówiło prawdę.

Nie można mu było niczego zarzucić, ale już po tygodniu kapitan orzekł:

– Strzecharz nie pasuje mi do kompanii! I choć w jego pojęciu „kompania” (to jest my) nijak nie pasowała do tego, czym powin-

no być i było (do 1939 roku) wojsko polskie, słowa te stanowiły bardzo surowy osąd.

Sierżant-szef, nieodstępny kapitanowi, pokiwał żałośnie głową:

– Ja to już od pierwszego dnia...

Po owym wyroku Strzecharz stał się ponury, bardziej milczący i ociężały. Chwile wolne przepędzał leżąc na wznak w izbie, na swej pryczy, z kułakiem pod głową. Niebieskie jego oczy były utkwione w bieli francuskiego pułapu. Kiedy schodziły zeń, były obce i obojętne. Myśmy, to jest reszta drużyny, spędzali wolne chwile w kafejkach, omawiając tam obszernie przyczyny klęski, wady aliantów, błędy przełożonych, proroctwa przyszłości, właściwości znajomych dziewczyn i własne zalety. Wieczorami na sali rozmowy wlokły się jeszcze do późna – i wtedy obcość Strzecharza uwypuklała się tym wyraźniej. Żadna ze spraw poruszanych nie interesowała go na moment.

– Ćwok z prowincji – orzekł wreszcie Różewicz, który sam pochodził aż z Czortkowa.

Podobało się nam to słowo i Strzecharz był odtąd „Ćwokiem”, rzecz szczególna, poza oczy.

Tak wlokło się to aż do pewnego nudnego popołudnia, kiedy z nieznanymi bliżej, ale nikogo nie interesujących racji mieliśmy nie spodzianie czas „wolny od zajęć”, z zastrzeżeniem wszelako „pozostawiania na kwaterach”. Ziolo cerował skarpetkę, Łomaz pisał do narzeczonej, Romek czytał, inni z Kwietniewskim grali w skata, kiedy naraz wszedł sierżant-szef z pomocnikiem kancelaryjnym, który był w randze kaprała, nosił okulary i znany był pod przezwiskiem „mysikrólika”.

– Baacz!...

Sierżant-szef nie lubił tych podrywań. Podejrzewał po trosze, że z niego kpimy, albowiem była to Francja i te wszystkie dryle jakoś „nie wychodziły” w tamtym, innym klimacie. Powiedział, że on nie chce, broń Boże, przeszkadzać, że po ćwiczeniach, rozumie się, że on sam, jeszcze w Biedrusku, w 1922... (Już te owe lata w Biedrusku były tematem jego ulubionych, niewyczerpanych opowieści.) To tylko hm... ewidencja. Na to słowo mysikrólik, stojący dotąd za szefem, wysunął się naprzód, wydobył spod pachy jakieś papiery i rozłożył je na długim stole, przy którym jedliśmy zwykle lub pisali. Sierżant-szef chrząknął, usiadł, dobył pióra,

jeszcze raz chrząknął, poprawił okulary i odczytał:

– Ciemior Roman, strzelec... – zawód?

– Miłosny! – odchrząknął gromko Ciemior Roman. Był z Łyczakowa, miał humor i 19 lat.

Sierżant-szef usztywnił się, wypalił jakieś kazanie, coś o kulturze. (Nie wiem, czemu oni wszyscy zaczynali zawsze od kultury). Odtąd siedział już nastroszony, nieufny. Pytał oficjalnie, sztywno. Paru innych wysiliło się po Ciemiorze na dalsze dowcipy. Sierżant-szef ze swej strony usiłował nam poprawić zawód. O coś się tam drożył z Kwietniewskim i spierał z Różewiczem (tego ostatniego nie lubił i chciał mu zawód obniżyć). Pamiętam, gdy doszło do mnie, nie huknął, ale zamruczał:

– Kapral Pruszyński – (byłem już kapralem) i sam dodał, również mru czando, i to jakimś pełnym wybaczenia mru czando: – Literat.

Mnie poderwało.

– Nie, nie literat, panie szefie, dziennikarz!

Szef uniósł białe, cienkie brewki. Skrzywił się.

– Dziennikarz? Pan jest przecie pisarz...

– Dziennikarz!

– Jakże to? Sam pułkownik mówił...

– To z grzeczności, tak tylko... Dziennikarz...

Szef westchnął:

– Ha, jak pan sam... Niech będzie... – I już gryzmołąc dodał: – Myślałem, że tak byłoby jakoś ładniej...

I kończył żmudną kaligrafię owego mniej ładnego słowa.

– To już wszystko – rzekł. – Aha, nie. Jeszcze ten... Strzecharz, Strzecharz? Zawód w cywilu?

Duży chłopak siedział na ławie pod oknem, obcy i milczący, jak zawsze. Teraz utkwiał w szefie swe szerokie, niebieskie oczy i powiedział:

– Strzecharz.

Szef, który z nami wszystkimi i baciarem pyskaczem Ciemiorem, i doktorem Łomazem, i ze mną czuł się niepewnie, tu na tym wiejskim chłopaku, nie wiedzieć jak popadłym w tę kompanię, nabrał naraz aurytety.

– Ja się was o zawód pytam, nie o nazwisko. Nie wiecie, co to zawód? Co wy w tej

kompanii robicie? Ja w ogóle nie wiem, jak was tu dali! Zawód? Nie wiecie, co to zawód? No? Cóż to takiego zawód?

– Zajęcie w cywilu.

Szefa zatknęła odpowiedź. Słowo „zajęcie” brzmiało jakoś obco w uszach Strzecharza. Gdyby Łomaz. Albo Kwietniewski. Ale Strzecharz! Sierżant-szef poszedł dalej, choć to chyba nie należało do ewidencji.

– A co to takiego „zajęcie”?

Strzecharz wolno, jak to on, odrzekł:

– To, co człowiek stale robi, czym się trudni, z czego żyje. Pan szef nie wiedział?

– Ja was pytam, jaki mieliście zawód – pisał szef, który wolał się już wycofać z tej walki.

– To ja powiedziałem: strzecharz. Nazwisko: Strzecharz; zawód: strzecharz. Tak to wpisać.

Sierżant-szef poczerwieniał. Zawsze czerwieniał od górnej części uszu i teraz te górne części kraśniały jak nos pijaka. A Strzecharz był dalej doskonale spokojny. Awantura była w powietrzu.

Przerwał ją Zawadzki.

– Aha, oczywiście, no jasne. I z zawodu zrobiło się nazwisko... To twój ojciec, Strze-

charz, już musiał być strzecharzem z zawodu. Może dziad?

Po raz pierwszy od czasu pobytu w kompanii głos Strzecharza zabrzmiał aż dziwnie.

– I ojciec, i dziad, i pradziad, i jakiś tam jeszcze. Z rodu tak...

– Na gminę strzechy szyli – interesował się Zawadzki. (Koniecznie chciał pokazać, jak się na tym niby zna.)

– My nie na gminy, my na powiaty, ot – odcedził niby to obojętnie Strzecharz. – Na Lubelskie chodzili, na Wołyń cały. Moja rodzina pod Hrubieszowem, duża wieś.

Sierzant-szef już coś tam nagryzmolił i na odchodnym puścił ostatni pocisk.

– Wołyń? Pewno! Tam nie tylko strzechy, tam i kurnych chat wsie całe! Tam, gdyśmy raz z Biedruska...

I już był za drzwiami, a Strzecharz, który pyskatym nie był, nie zdołał mu odwarknąć w odpowiedzi. Nam ją za to przywalił.

– Wołyń! Kurne chaty! Pan to z czego, jaki! U niego kultura, ot, durna blacha, co w słońcu świeci! Ooo... strzecha mu już śmierdzi! Jakby był mądry, to wiedziałby, że obyczaj... Dawniej nie taki chłop krył słomą. I więcej miał w karmanie jak taki, co to dzisiaj, ech.

To „ech” poleciało na izbę bretońską głębokim, pełnym wydźwiękiem.

– Oczywiście. Piękna słomiana strzecha naprawdę znacznie lepiej siedzi w krajobrazie – przytwierdziłem.

Ale Strzecharza to tylko bardziej wściekło.

– Tak masz? To czemu wy, literaty, malarze, słowem nie piali, jak te urzędy, starosty jedne, żeby ich tam, po starodawnemu, jak ojce, zakazywali kryć? Dachy szyc zakazywali? Blachy tylko, a blachy! Gdzie wy wtedy, a?

I zaraz tak sam z siebie rozgadał się za wszystkie czasy. Przeszedł czas wolny, wieczór zapadł, zbiórka znienacka przerwała tylko na chwilę owe opowiadanie Strzecharza, a on gadał i gadał, monologował, sam sobie zadając pytania, sam na nie odpowiadając. A przed nami zarysowało się w tym zapadającym mroku francuskim utkane z tęsknot, żalów i wspomnień coś, co było jak

– śpiew łabędzia ginącego zawodu,
jak

– rapsod mohikanów,

– saga chłopskiego rodu.

Okazało się, że ongi, dawnymi czasy, „kładzenie” albo „szycie”, albo „krycie” dachów,

dokonywane, oczywista, wyłącznie słomą, było sztuką i to niepoślednią. Nawet dworki bywały tak kryte – ale to dawno, bardzo dawno, bardzo dawno. Sztuka tego „krycia”, „szycia” czy „kładzenia”, nie była wtedy prostą, ot, jak ostatnio. Była to ceniona *ars*, posiadająca swe sekrety techniczne, ba, swą obrzędowość, liturgię, zabobony. Tak jak ongiś byli na wsi, obok pospolitych garncarzy – garncarzemistrzowie, garncarze-artyści, tak bywali cenienni i znani na daleką okolicę strzecharze-kunsztciarze. A jacy! Wrywano ich sobie, w posły posyłano do nich, powiadano o dziełach: „o, to był jeszcze ten”, lub „gdy stawiali chatę, to ów i ów przyjechał kryć”. Było przysłowie „nie dureń mu chatę krył”. I w owym czasie wyrosła tak w pewnej wsi hrubieszowskiej rodzina, której nazwisko poszło od zawodu: Strzecharze. Proszono ich na Wołyń i na Lubelszczyznę, kryli na Michała chaty katolikom, na Praskowie prawosławnym, władali z dziada pradziada strzechami i po tej, i po tamtej stronie Bugu. Ba! Pradziad Strzecharza, Grzegorz, chodził aż za Humań uczyć tamtejszych strzecharzy chaty po starodawnemu kryć.

Taki był! Prosili! Posyłali (Strzecharz mówił o tym pradziadzie „wielki Grzegorz”).

Tak pewno o nim zapisała klechda rodzinna. Mówił „wielki Grzegorz” tak naturalnie, jak mówi się w szkole „Zygmunt Stary” albo „Karol Wielki”. I nam się to udzieliło samo, a nikt się nawet nie dziwił.)

Niestety, ze Strzecharzowego opowiadania wynikało, że nastął potem zmierzch zawodu, zwyczaju i dynastii. Żelazne garnki wyparły garncarstwo, tanie perkaliki – piękne, haftowane koszule własnego, domowego płótna, strzecharze mieli ten sam los. Cywilizacja miasta rąbała odwieczny las. Ze strzechami było może najgorzej. Nikt, ostatecznie, nie uznał glinianych garnków za niebezpieczne dla życia, koszul konopnych za szkodliwe dla zdrowia. Ze strzechami było inaczej. Zestawiono to na równi z kurnymi chatami, uznano za synonim nędzy i zacofania, rzucono kalumnię o pożarach. Że niby chata słomą kryta łatwiej się zapali! Kłamstwo! Potwarz. Chata zajmie się przecie od komina, który – nawet durnie w mieście wiedzą – że jest z kamienia czy cegły. A blacha rozżarzona jak się wtedy pali! Trzeba widzieć! Ho, ho... Przecież, przeciwnie, w takiej słomianej strzesze zbiera się wilgoć i deszcze, mech zarasta. Właśnie broni przed ogniem! Tak. Nie mówiąc już, że strze-

cha – wiadomo – najzdrowsza. Latem chłód daje, zimą ciepło trzyma. Choroby też, jak wiadomo, z izby wyciąga...

Cała ta argumentacja pozyskiwała nas, ale najwidoczniej niewiele działała w ubiegłych dziesięcioleciach. Krycie słomą kończyło się. Kiedy – Strzecharz nie mógł tego wybaczyć – nawet ustawy państwowe poczynąły zakazywać krycia słomą, a wprowadzać obowiązkowo cynkówkę, panowanie strzech zaczęło się kończyć. Coraz więcej wsi połykiwało w Polsce prowokacyjnym srebrem blaszanych dachów lub czerwienią dachówek. Na domiar złego przyszły szare, fabryczne, cementowe dachówki. One – jak nowa straszliwa broń – dokonały ostatecznego spustoszenia. Blacha cynkowa nie była zbyt groźna, póki była kosztowna. Prymitywnie robiona dachówka także nie była tania. Ale szara, cementowa, produkowana seryjnie – była tania. Na widnokręgu ziem wschodniej Rzeczypospolitej zasięg strzech zaczynał się kurczyć i maleć. Dotkliwie i szybko. Kunszt starodawny zanikał, tak jak zanikały samodzielzały, hafty, malowane garnki. Jak zanikają czy zanikły żubry, łosie czy rysie. Jak giną pewne formy pod naporem nowych. I oto

nasz Strzecharz żył w okresie, kiedy podstawa dumy, sławy i zamożności jego rodu schodziła w mrok.

Zawadzki postanowił coś rzec, ot tak, na pociechę.

– Istotnie szkoda. To wielka bzdura z tym zwalczaniem strzech. Od pożarów – niechby były straże pożarne...

– Ja też im mówię – przygadał Strzecharz.

– W krajach, gdzie ceni się kulturę ludową, postąpiono inaczej – począł Zawadzki. – W Danii i Szwecji, gdzie byłem, nieraz się widzi dachy kryte słomą...

– Doprawdy?

– Sam widziałem. I to nie chaty. Domy na wsi. Domy. Wille takie... Bardzo ładnie, oryginalnie... W Anglii, podobno, także.

I zaczął opowiadać jakieś szczegóły, które nas nie ciekawiły. Zawadzki był pedant, miał głos powolny, nudny. Encyklopedia.

Zresztą jużśmy się kładli. Pamiętam, jak z mojej pryczy słyszałem jeszcze, jak Strzecharz pytał, by lepiej zapamiętać:

– Więc, gdzie mówiłeś? W Danii i w tej...?

– W Danii i w Anglii.

– W Danii i w Anglii – powtórzył Strzecharz. – W Danii i w Anglii. Choć, powiadasz,

tam kultura jest w tej Danii? Kultura swoją a... obyczaj swoją drogą. Muszę ja pojechać do tej Danii albo do tej Anglii. Po wojnie...

– Do Danii będzie ci bliżej – mówił, sennie już Zawadzki. – Statki chodzą z Gdyni. Można z wycieczką.

Tymczasem miało się okazać w niecałe pół roku później, że znacznie bliżej jest do Anglii. Kiedy i ja się tam odnalazłem, kiedy rozpoczęło się szukanie dawnych znajomych, któryś powiedział:

– Wiesz, z naszej kompanii tu jest jeszcze ten Strzecharz. Ale on, powiadam ci, karierę robi...

– Nie? A to jak?

– Zwyczajnie. Strzechy Anglikom kładzie. Już siedem im pokrył. Forsę zbija... Biją się o niego.

Krótko opowiedziana historia była prosta. Po upadku Francji Strzecharz przybył do Anglii jednym z pierwszych transportów. Oddział, w którym był, umieszczono w okolicy, gdzie było wiele pięknych angielskich *cottage*'ów wiejskich, malowniczo krytych słomą. Zawadzki nie zełgał ani słowa. Tak było, jak opowiadał. Anglicy patrzą z sentymentem na swe obrosłe mchem i zielem ko-

piate *thatched roofs*. Stare, jeszcze z XVIII wieku, lepianki w Hartfordshire, w Dewonie, Kornwalii (co prawda, lepianki z pięterkami) są tam ochraniaane, bielone, odnawiane, fotografowane. No, a kogo stać na ten luksus, ten budując dom na wsi sprawi sobie zawsze taką strzechę za dach.

Co prawda, są one potem pokryte cieniutką, niewidoczną z daleka, stalową siatką, żeby nie daj Boże ogień... No i powyginane cudacznie, malowniczo, z fantazją... Tu okap opada, ówdzie poprzez koły słomy okienko poddaszowe się przebiło... U nas zdzierano by mchy porastające na dachu. Tam sadzi się umyślnie specjalne zioła, kwiaty... I taka omszona, osuszona, zielami porastająca strzecha chroni dom, gdzie i radio, i garaż, i elektryczność, i gaz, i cztery łazienki...

Pluton Strzecharza sąsiadował z domem emerytowanego pułkownika z wojsk kolonialnych, który powitał gościnnie Polaków.

– Trzeba mu się wywdzięczyć – powiadano.

– Wiem jak – rzekł Strzecharz.

I, jako że była jesień, przygotował osobiście słomę do krycia dachu, *thatched roof**

* *Thatched roof* (ang.) – strzecha, dach.

już się w niejednym miejscu rozsunał i popsuł. Wymagał naprawy. Cóż, mówił pułkownik, kiedy majstrów, strzecharzy, wprawnych w remoncie, trzeba sprowadzać aż z południa Anglii. Zawód nigdy nie był zbyt liczny, ostatnio co młodszy gdzieś w wojsku pozostali, biorą teraz po 100 funtów.

Jak każdy szanujący się rodak Kiplinga, pułkownik cierpiał na wszelkie reumatyzmy i mało się już ruszał. Jakież było jego zdziwienie, gdy wyszedłszy zastał naraz swój dach jak najakuratniej poprawiony. A angielskie strzechy są piękne. Opadają okapami, obczepiają mansardowe okna, trudna sztuka.

– Kto to? – rzekł, zdumiał się.

– Ja – rzekł Strzecharz. – U nas w Polsce tak zawsze...

– *But you are a genius* – krzyknął pułkownik. – Przecież tu z pół kopy moich znajomych tylko marzy o tym, by pokryć dachy swych domów w tak piękny, staroświecki sposób! I mają pieniądze. Zaraz im pana polecę. Pan zrobi pieniądze z takim fachem, mój chłopcze. Takich ludzi potrzebuje nasza stara Anglia.

– No i co? – spytałem opowiadającego.

– No i teraz jeździ i jeździ. Forsę zbija.

A jak go szanują, proszą, podziwiają, goszczą, Sikorskiego samego tak nie goszczą.

I zamyślił się na chwilę.

– Wiesz, kto tu jeszcze jest z naszej kompanii? Ta nabożna łamaga, sierżant-szef i ten drugi, mysikrólik, no wiesz.

– Ach tak? A cóż oni robią?

– Ano niewiele, bo to takie już lebiegi... Przy „leśnych dziadkach”. Czasem ten Strzecharz się nad nimi lituje i bierze ich, żeby mu tam w czym pomagali. Ale złości się, że mu słomy, powiada, przyzwoicie zestawić nie potrafią. Ech!

„Nowiny Literackie” 1948, nr 25

Ziętarowe skarby

Podporucznik Adam Włodarczyk dogonił pułk dopiero na czternastym kilometrze przed Wilhelmshafen, już w maju, właśnie w chwili kiedy kończyła się wojna. Jechał ze szpitalnego ośrodka w Montrose, pod Aberdeen, z mieszanymi uczuciami. Co do końca owej wojny – nie miał już dawniej złudzeń; teraz nie żywił ich już nikt. Od czasu kiedy jesienią, piękną jesienią angielską, samolot szpitalny, biało malowany, przeniósł go ostrożnie i bezpiecznie gdzieś z belgijskiego pogranicza na łożo w Lichfield Military Hospital, miał czas porozmyślać nad tym wszystkim dostatecznie długo. Otrzymywał zresztą codziennie londyński „Dziennik Polski” i „Dziennik Żołnierza” i czytał je od deski do deski. Już się ani nie irytował, ani nie złościł na układne, unizone tony wobec „naszego wielkiego alianta” ani na korespondencje

o tym, jak dobrze jest rannym w szpitalach, ani nawet na korespondencje frontowe, podpisane przez paru „korespondentów wojennych”, których nikt nigdy nie oglądał na żadnym froncie. Przede wszystkim czytał nekrologi. W tym właśnie okresie szpały „Dziennika Polskiego” stały się łudząco podobne do przedwojennych łamów „Kurierza Warszawskiego”. Zapełniły się bowiem klepsydrami. Klepsydry przynosiły coraz to nowe nazwiska polskie i coraz to nowe nazwy miejscowości obce, najpierw o brzmieniu francuskim, potem dziwnym, flamandzkim, potem jeszcze dziwniejszym, holenderskim. Przy nazwiskach było najczęściej „ppor.”, „por.”, „podch.”, ale trafiali się majorzy i kapitanowie, bodaj że kiedyś mignął się nawet jakiś „płk”. Sierzanci pojawiali się rzadko, plutonowi jeszcze rzadziej, ale nie oznaczało to wcale, że droga od brzegów normandzkich po Niemcy północne nie mościła się podoficerskimi i żołnierskimi mogiłami. Na łamach „Kurierza Warszawskiego” też ostatecznie pojawiali się głównie dyrektorzy, prezesi, hrabiny, mecenasi, radcy, co nie znaczyło bynajmniej, by śmiertelność w Polsce przedwojennej zawzięła się szczególnie na ów wy-

kwit ludzkości. Czasem listy z pułku, pisane urywkowo na nieprawdopodobnych skrawkach papieru, nieraz zdobycznego, niemieckiego, uzupełniały te luki. „Mieliśmy nowe straty... U Kłodzińskiego poszedł Świerz, wiesz, ten plutonowy, i Kozuba, radiotelegrafista, bardzo był dobry radiotelegrafista, i potem Lelek, taki strzelec przedni, pewno go pamiętasz, ten co wtedy miał tę awanturę w Scarborough”. Czasami zdarzały się dni, kiedy „Dziennik Polski” nie przynosił żadnego znajomego nekrologu albo niewiele, ale takich dni było coraz mniej. Leżąc na białej pościeli w tej białej sali z widokiem na pofalowane wzgórze Shropshire’u, Adam Włodarczyk wczytywał się w tę codzienną klepsydrową defiladę. Był sam z byłej Galicji i Lodomerii, ale miał krewnych w Warszawie, wuja, emerytowanego prokurenta Banku Handlowego i członka zarządu szpitala św. Rocha, warszawiaka zatem pełnej krwi, który dzień rozpoczynał przy herbacie od lektury kuriero-warszawskich nekrologów. Przesiadując w Warszawie Adam Włodarczyk mieszkał u tego wuja i pamiętał, jak nie mógł zrozumieć tego podniecenia, zainteresowania i ciekawości, jakie wywoływały

w byłym prokurencie i aktualnym członku zarządu świętego Rocha owe monotonne napisy w czarnej obwódce. Tłumaczył to wreszcie tym, że wuj ma, bądź co bądź, swoich sześćdziesiąt osiem lat i takie zainteresowania są być może równie owemu wiekowi właściwe jak innemu mecze footballowe, jeszcze innemu znaczki pocztowe, a paru innym dziewczyny. Teraz, dożywszy zaledwie lat trzydziestu i siedmiu osiągnął ów stan wujowski. Zrozumiał, ile wspaniałej treści kryją w sobie klepsydry. Każda z nich czy niemal każda była w tych warunkach całą nowelą, rozrastała się do powieści; w swej całości stanowiły one ciąg jakiejś olbrzymiej literackiej sagi, jakiejś historii Forsytów czy jakiegoś *Przeminęło z wiatrem*, ale jakże swojskiego, niedalekiego! Obramione czarnymi obwódkami miejsce w gazecie stawało się okienkiem, jakie ze szpitala w Lichfield wychodziło naraz nie na tracące swą zieleni pola ozime Shropshire'u, ale na życie, życie czyjeś, swoje własne i ich wszystkich.

Codzienna lektura klepsydr w polskim dzienniku z Londynu nie miała, co najdziwniejsze, akcentów żałobnych. Włodarczyk sam z biedą uszedł śmierci. „Właściwie, jak

on z tego wyszedł?” – kręcili głowami kole-dzy, oglądając rozprute pancerze i pogięte flaki czołgu. „Jak pan z tym żyje?” – dziwiły się błękitne oczy angielskiego chirurga. Adam Włodarczyk zrozumiał, iż żyjąc uczynił pewne *faux pas*, a gdzie jak gdzie, ale w Wielkiej Brytanii nie powinno popełniać się *faux pas*. *Faux pas* było, że wyszedł z warunków, w których lepsi odeń żołnierze pułku przenieśli się z ewidencji w stan zmarłych. *Faux pas* było i wobec szpitala wojskowego oraz medycyny; czynił sobą wyjątek w jej King's Regulation. Wreszcie uczynił i *faux pas* wobec całości wojska, swych kolegów, towarzyszy owych czterech szkockich lat nudy, oczekiwania, tępoty wojskowej i deszczowych jesieni, wiosen i zim. Wobec żywych jak wobec umarłych. Żywi tam wpierają się tymczasem, mila po mili i farma po farmie, w jakieś wsie Brabantu i laski północnej Belgii, mokną w mgłach holenderskich kanałów, grzęzną co ranka w zimnym, oślizłym błoc-ku, odchodzą, kiedy on, Adam, leży sobie na białych prześcieradłach, czekając na lekarza, siostrę, opatrunek, obiad i *cup of tea*. On co przeżył z nimi tyle, nie przeżyje końcowego eposu wojny. Wobec zmarłych był także nie

w porządku. Oto swą raną wszedł był na ich drożynę, a teraz skręcił i cofa się. Nie pójdzie za nimi. Zły kompan. Dogoni ich dopiero kiedyś, za jakieś lata, może za wiele lat. Teraz nie jest zmarłym jak oni i nie jest także, nie jest tak naprawdę żywym jak inni.

A wreszcie, Adam Włodarczyk za wiele natrzył się, czy nasłyszał o śmierci najbliższych od początku owej inwazji Francji, aby nimi się zbytnio przejmować. Czy nawet przejmować w ogóle. Właściwie, w tym białym szpitalu rozmyślał nieraz nad tym, wprost z nudów, że nie przejmowałby się i własną. Zapewne, tam na froncie myślał (czy raczej czuł) inaczej, ale i wtedy był to przede wszystkim lęk przed bólem, najbardziej zaś lęk przed kalectwem. Paniczny, zwierzęcy lęk. Z lęku przed śmiercią jako taką pozostało niewiele. Najbardziej skłuwiała serce myśl, że tam w kraju jest matka. Ale i na to będzie pociecha; może się staruszka nie dowie, może nim się dowie, sama umrze? Poza tym widmo śmierci było niezmiernie mgliste. Konkretnie oznaczało mu ono wykreślenie z pułkowej ewidencji, rozdział osobistych maneli, krótkie łyzy Sheili Golmore. Myślał sennie i zupełnie obojętnie, że wtedy dadzą mu pośmiertnie Virtuti, order

nadawany z reguły oficerom sztabowym nie biorącym udziału w walce, oficerom liniowym, którzy polegli, a w wyjątkowych zupełnie wypadkach czasem i zwykłym, ale też poległym żołnierzom. Włodarczyk był w zasadzie człowiekiem wierzącym. Na uniwersytecie należał do katolickiej organizacji „Odrodzenie”; co prawda do tej części „Odrodzenia”, która na francuską modłę kumała się ongi z marksistami. Przez całą kampanię wrześnie w modlił się gorliwie. Potem nie modlił się już, potem przeszedł Karpaty, był w węgierskim obozie, we Francji, w pierwszej dywizji. Do Szkocji dostał się przez Casablankę. Jego religijność przetarła się w podróżach tych czy wojnie. W szpitalu polowym pozwoił się obłogosławić kolejno przez licznych przedstawicieli szeregu alianckich wyznań. Potem, już w Anglii, przystąpił do sakramentów. Ale spełniał to wszystko właśnie z tym samym uczuciem, z jakim wypełniał od paru lat swój udział w tej wojnie po anglosaskiej jej stronie. Z uczuciem przeświadczenia, że skoro już jest tym, czym jest, to jest katolikiem, i tam gdzie jest, to jest żołnierzem po angielskiej stronie, winien pełnić swe obowiązki katolickie i żołnierskie, a jednocześnie z jakimś smutnym brakiem

przekonania, by samo spełnianie obowiązków katolickich wiele mu na tamtym świecie pomóc mogło, zaś spełnianie powinności żołnierskiej przybliżało wyzwolenie Polski. W rezultacie śmierć jako moment stanięcia przed majestatem Sądu wyblakła mu niezwykle w barwach. Po trosze może uważał, że komplet jego młodozwierzęcych grzechów niezbyt przerazi Stwórcę w okresie o ileż straszniejszego łamania Jego Praw. Tak tedy owe śmierci wyczytywane stale na szpaltach „Dziennika Polskiego”, litania ofiar, którymi płacono teraz rachunek za czteroletni pobyt na Wyspach Brytyjskich, nie były dla porucznika Włodarczyka lekturą smutną czy przygnębiającą. A za to każde nazwisko wywoływało naraz wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia. To był cały świat już odeszły, który naraz powracał falami i wypełniał białą salę czymś innym niż wołaniem o basen. Gdyby naraz łamy „Dziennika” opróżniły się z tych czarnych obwódek i przynosiły tylko szare nudziarstwo swych wstępniaków, o ileż leżenie w Lichfield byłoby bardziej nękającym zajęciem! Teraz dopiero Adam Włodarczyk docenił w pełni zainteresowanie, z jakim jego warszawski emerytowany wuj otwierał codziennie nekrologowe kolumny „Kurier”.

Przybywszy do szpitala ranny nie może się pogodzić z myślą, że w nim jest, i pragnie tylko wyjść zeń najprędzej. Siostry i lekarze uśmiechają się wtedy, albowiem wiedzą, że tak mówi każdy chory na początku, a potem już się przyzwyczai, jak kaleka do protezy, i wcale się tak wreszcie nie będzie kwapił z odejściem. Tak było i z Włodarczykiem. Wzwychnął się w to nowe życie. Długotrwałość jego szpitalnego pobytu – od połowy września do połowy kwietnia – przyczyniła się do tego znacznie. Ponieważ były to przeważnie szpitale angielskie, odrywała go ona także od rodaków. Przestał tkwić w dobrowolnym, umownym polskim getcie. Zaczął forsownie czytać, po angielsku rzecz jasna, i to odrywało go także. Wielkanoc spędził z Sheilą w Hartland, takim cyplu zachodnio-północnym Devonu, reklamującym się z dumą, iż jest tym zakątkiem Anglii, który jest najbardziej oddalony od linii kolejowych. Było zimno, wietrznie i deszczowo, chodzili po wysokich skałach, nad morzem o przydymionej barwie, wdychali zapach wygnitych traw. Mewy krzyczały piskliwie wokoło swych skalnych gniazd i nowe pokolenia królicze uciekały pędem do nor. Między nim

i Sheilą rozsnuwało się już to, co było, i był to raczej smutny pobyt. Nie mówili, że ostatni, ale wiedzieli o tym oboje aż nadto dobrze.

W ogóle rozsnuwało się tak wszystko owej poszpitalnej wiosny. Nie tylko w życiu Adama Włodarczyka. Rozsnuwała się jak tkanina dawniej zdziergana ściśle, a dziś rozchodząca się w rękę, sama wojna. Amerykanie bez trudu przeszli groźny, germański Ren. Biura londyńskie emigracji stawały się coraz bardziej widmowymi instytucjami. Przyjaźnie poszczególne kończyły się i ludzie przez cztery lata sobie bliscy nie mieli sobie naraz nic do zawierzenia. Miłość z Sheilą uległa więc tym samym prawom, co wszystko wokół. Po krótkim wyczekiwaniu w Montrose porucznik Włodarczyk pojechał etapem do portu Tilbury pod Londynem, potem załadowali ich wszystkich na statek. Na statku było stosunkowo mało poszpitalnych ozdrowieńców, za to wielu starszawych, dobrze odhodowanych panów, o krwistych zdrowiem policzkach, odpowiedzialnych brzuskach, obfitym bagażu, a nierzadko pięknie siwych, aż białych wąsach. *Battle-dress*, który znakomicie uwydatnia szczupłość, wzrost wysoki i zgrabność, był tu nie-

ubłaganie szyderczy i bezlitosny, podkreślając, jakby na złość, kłocowatość kadłubów i połciowatość zadów. Ozdrowieńcy szpitalni mieli w porównaniu z tym odpasionym stadem twarze zielonoblade i oczy o suchotniczym połysku. Oni, którzy utorowali tamtym drogę, patrzyli niechętnie na najnowszy wypusk umundurzonej urzędniczej hałustry, mającej w myśl zapowiedzi dziennikarskich, re-edukować Germanię.

Od Ostendy, pustej, postrzelanej i secesyjnej, wspomniawszy wierszyk Boya o Esiku i porozglądawszy się – nadaremnie – za jakowąś tłustą langustą, Włodarczyk pospieszał jak mógł, by pułk dogonić na czas, nim jeszcze wojna się skończy. Przeżył w wojsku jej początek – było to gdzieś na owej górze przed Jordanowem – przeżyje teraz jej koniec. Koniec nie był łatwy. Dywizja dopadła okopane w płaskim terenie pułki Marine Infanterie, doskonałe pułki niemieckie, zachowane do tej pory. Nie wystrzępiono ich wcześniej, może w nadziei, że będą potrzebne w pierwszej grupie uderzeniowej inwazji na Anglię. Ale inwazja na Anglię nie przyszła, i w ostatniej chwili, kiedy wszystko prusło się i darło, drogę anglo-kanadyjsko-pol-

skiego pochodu zarzucono tymi świętymi, nowymi oddziałami. Oczywiście, Polaków spotkał spowszedniały im już dosyć zaszczyt rozrzucenia owej zapory. Walki były czterodniowe, zażarte, bardzo zażarte, choć było jasne dla wszystkich, że to są już walki ostatnie i że zwycięstwo rozstrzyga się nie tu, w smutnej i płaskiej Fryzji, ale gdzieś w górach Turynгии i na ulicach Berlina, że przeto można by tu zaczekać. Pułk poniósł swoje ostatnie straty, parę załóg czołgowych. Poległ kolega Włodarczyka, porucznik K... Był to młody, bardzo przystojny chłopak, ten porucznik K... Włodarczyk go widział jeszcze niedawno, w przejeździe, w Londynie. Miał się żenić i wracał do pułku z pośpiechem, aby zdążyć na koniec wojny. I zdążył. W dwie godziny po rozwaleniu jego cromwella przyszło oczekiwane już od dwóch dni „*cease fire*”.

Na drugi dzień po tym zawieszeniu broni Adama wysłano po jakiś transport lotniczy ozdrowieńców wracających do pułku, a którzy już od dwóch tygodni ugrzęźli w obozie etapowym pod Riesbach-Gosch i stąd stali błagalne prośby do pułku, by się o nich wspomniano. Była to przyjemna przejażdżka. Wielki ciężarowy *troup carrier* walił drogami nie-

mieckimi, a siedząc w wysokiej szoferce amerykańskiej Włodarczyk napawał się widokiem. A patrzeć było na co. Wąskie drogi Fryzji były porozwalane od lotniczych bomb, puszcanych, jak widać, „ciurkiem” – tak to określał kierowca Mikoś – przez jakieś *mosquity* czy inne alianckie maszyny. Porozrywane cielska mostów grzęzły w wodzie i szlamie mętnych, melancholijnych rzeczulek. Przez zielone rozchwieje dębowych lasów wóz zjechał do Münsteru – kupy ceglanych gruzów, potem do Osnabrück, drugiej, rozlanej na tle pól, gruzowej plamy. Pod wieczór musnęli Nadrenię, Bochum i Wesel, pontonami zadudnili na Renie, obolałym i bezwolnym. Murzyńscy saperzy porozdzielali się do połowy i chłodzili na wietrze swe mięsiste, czarne piersiska. Na horyzoncie zmierzchającego dnia Włodarczyk wypatrywał, czy nie dojrzy owych „*Koelna dymnyje granaty*” z Aleksandra Błoka – i doznał dziwnego skurczu serca, gdy objechali już w mroku pełnym niewielką nadreńską miejscinę o heinowskiej nazwie Kevlaar. Mijali liczne wozy angielskie, amerykańskie, francuskie, polskie, mignął nawet wóz cywilny, w którym zazłociły się niespodzianie epolety rosyjskiego oficera, i Włodar-

czyk zastanawiał się, czy ktokolwiek z tych zdobywców przypomina sobie w owej chwili na raz Heinego i Błoka. Zapewne nikt.

Piękny był i dzień następny, gdy o świcie, a raczej przed świtaniem opuszczali las pod Gosch z ładunkiem powracających ozdrowieńców. Wygląd dróg niemieckich zmienił się znacznie w ciągu owych dwudziestu czterech godzin. Były pełne. Pełne przede wszystkim Niemców. Drogami waliły, co prawda, wozy alianckie, ale na drogach tych był teraz tłum ludzki, którego wczoraj nie było niemal. Cóż to za tłum! Smagli, w dziwnych czapkach, w wyczyszczonych starannie, wyświechtanych do cna mundurach, jacyś oficerowie jugosłowiańscy; jacyś, jeszcze czarniejsi, czerwonogębni Francuzi w beretach; szerokie mięsiste twarze rosyjskie, słowiańskie, mongolskie; jacyś Norwedzy; Kroaci; Holendrzy; Tatarzy; Czesi. Cała niewolnicza Europa, spędzona tu Niemcom na parobkowanie, wyciekała ze swych dziur jak cuchnący, rozbolały ropień. Jedno, co w ich nędzy nie było szare, to błyski oczu, jasne, radosne, te same dla obywateli jakiejś krymskiej autonomicznej republiki, co dla farmerów znad Loary o wodach zielonych, Litwinów znad

czarnowodnej Niewiaży, rzeki pogańskiej, Holendrów z omszałej Bredy, kamieniarzy z Sycylii i Tarrapentu. Adamowi przeszło wtedy przez myśl, że jednak jest coś, co skuwą w jedno ludy rozliczne tego kontynentu, stare czy młode, ubogie czy bogate, katolickie, protestanckie czy inne, a tym czymś jest stary, do znudzenia ogłoszony przez poetów, do irytacji nie doceniony przez mężów stanu głód wolności. W tę masę pariasów Europy mieszał się coraz silniejszymi strumykami inny tłum. Niemiecki. Tak, to byli Niemcy, Niemcy przeistoczeni w Polaków z września 1939, w Belgów z maja 1940, Francuzów z czerwca 1940, Jugosłowian z wiosny 1941, Ukraińców, Białorusinów i jeszcze raz Polaków z lata 1941, Rosjan z jesieni i zimy 1941. Byli nie myci, wygłodzeni, brudni, nieprawdopodobnie odziani, ciągnęli za sobą lub pchali przed sobą wózki, taczki, podwódkę, dźwigali toboły i plecaki, skamleli o podwózkę. Wysokie auta barwy khaki tylko dodawały wtedy gazu – i już porzucały tych, a mijały innych, tak samo brudnych, objuczonych, skamlących. Wreszcie byli żołnierze niemieccy. Po raz pierwszy od stuleci chyba nikt ich w tym kraju nie dostrzegął. Snuli się gru-

pami, czasem oddziałami nawet, najczęściej w pojedynkę. Zwykle byli bez czapek i długie, jasne włosy ich czupryn rozgarniał niesfornie wiatr. Nie mieli broni. Byli pokonaną armią. „Pan porucznik nie widział naszych w październiku '39 roku pod Siedlcami. Albo pod Modlinem; całkiem to idzie gorzej” – nie mógł nie wtrącić Mikoś, i Adam odczuł ulgę, bo właśnie zsyntetyzował sobie to samo, tylko że wierszem:

*Ze schyloną głową powoli
Idzie żołnierz z niemieckiej niewoli,
Jego pułk rozbito pod Rawą,
A on bił się, a on bił się krwawo...*

Ale wstydził się wewnętrznie tego, że do pobitych Niemców odważa się przykładać z Broniewskiego strofy.

Wieczorem tegoż dnia było w pułku pożegnanie oddającego dywizję generała Maczka, zakończone po odejściu generała olbrzymim lampo- i szkłobiciem, z gościnnym udziałem jednego ze sztabowych „gierojów” i z „katzenjammerem” nazajutrz. Nazajutrz przybył na lotnisko pełniący obowiązki naczelnego wodza generał Anders i pułk wysłał poczet sztandarowy. Adama wysłano z pocztem. Lotnisko było w lasach fryzyjskich, la-

sach z ciemnej, smutnej sosny, wykrojone w ich sercu. Miało długie, ciemne budynki, więziennie ponure i jeszcze bardziej uponurzone sępimi orłami germańskimi, Ich swastyki jeszcze nie były odbite. Olbrzymi Anders wyszedł z samolotu chmurny i posępny, żołnierze mieli jakieś pogrzebowe twarze i tylko hymn narodowy z trąb ułańskich wyrwał się naraz nad tą cmentarnością jak młody, jasnobarwny ptak. Pijatyka pod batutą „sztabsgieroja”, a potem to lotnisko – jakoś przygnębiły, nie wiedzieć zresztą czemu, Adama. Ostatecznie, nigdy w wojsku nie braknie galówek, a w popijawach jest zawsze coś niesmacznego. Ale tym razem to było nieco tak jak gdzieś w sierpniu, kiedy słońce jest jeszcze na niebie i niby to jest lato i pogoda, a już nie wiedzieć skąd zjawiają się pierwsze żółte liście w alei, w której czekamy na dziewczynę. Tak było właśnie.

Trzy dni potem pułk ruszył na nowe, stałe tym razem, leże. Miejsce obecnego zakwaterowania, trójkąt wciśnięty w Morze Północne i oparty o Wilhelmshafen, zarezerwowano, jak głosiły napisy, na „Concentration Area of the former Wehrmacht”. Dywizja Maczka wraz z brygadą spadochronową miały objąć ziemie

poniżej, wokół Meppen, Lingen i Pappenburg, wokoło torfiastej rzeki Ems. Adam z powrotem po siedmiu z górą miesiącach znalazł się w czołgu. Z wysokości wieży cromwella widział cały pochód. Drogi w tej części Fryzji nie były już leśne, ale położone wśród łąk i pól, obsadzone drzewami. Mijało się niewielkie miasteczka, schludne, jeśli nie potrzaskane gruzem. Tym razem na drogach było pełno Polaków. Zdążyli już sobie przypiąć biało-czerwone barwy. Z kurzu wznoszonego przechodem czołgów, ku tym ludziom w dole, pieszym, niżej zepchniętym maszynami na skraj dróg, padały naraz, przebijając huk motorów, polskie niespodziewane słowa. W czołgach wszyscy instynktownie nałożyli berety, tak aby srebrny polski wojskowy orzełek lśnił wyraźnie na czerni beretu i żeby ci Polacy u skraju szosy, w łąchmanach, po poniewierce owych lat mogli te orły widzieć. Pochód nieraz musiał zwalniać – i wtedy z czołgów dawano tamtym konserwy, chleb, papierosy i co było pod ręką, wszystko, co żołnierz miał sobie wydzielone na okres przemarszu. Ale tamci poza papierosami nie brali zwykle niczego; prosili tylko o orzełki. Tego znowuż dać żołnierze nie mogli, chyba że przewidliwsi mieli gdzieś za-

pasowy jakiś, ale też prosili za to o inny polski znak, o którym tyle słyszało się w ciągu tamtych szkockich zim. O fioletową literę „P” w trójkącie żółtym. I upinano sobie ów znak hańby, a teraz zaszczytu najwyższego, na ramieniu, obok znaku pancernego dywizji albo na koszuli, z przodu, wyraźnie, jak order nowy a najwyższy. I Adamowi z powrotem było dobrze. Pomyślał sobie jeszcze, że jednak warto, o, warto dożyć tej chwili i widzieć z czołgowej wieży, jak lud polski, choć nie na ziemi polskiej, polskich żołnierzy wita.

Dopiero wjeżdżając w bramę rozległego dziedzińca czołgiem, znów opadł w tych nastrojach. Dziedziniec był to rozległy plac, z czterech stron obramiony wielkimi, kolosalnymi, rzec można było, zabudowaniami gospodarskimi z czerwonej cegły, z wysokimi na piętra dachami. W środku na trawniku dźwigał się maszt obdarty z chorągwi; dalej za budynkami widać było niewielkie seryjne domki. Adam wiedział, że jest to miejsce na skrzyżowaniu dróg przeznaczone na pułkowy postój, ale nie zatroskał się z rana o więcej wiadomości. Wygląd tego osiedla był tak dziwny, że Adam rzekł sobie: „Wygląda to na jakiś amerykański kołchoz w niemieckim

stylu, czy co”. Było to bowiem niewątpliwie wielkie gospodarstwo rolne – może na tysiąc hektarów, może na dwa – ale nie widać było ani śladu jakiegoś pałacu, zamku, dworu chociażby, parku, czegoś dla przyjemności i urody. Po prostu mastodonty zabudowań gospodarczych, dwa domki dla administratora, kilkanaście czworaczných. Okazało się, że domysł nie był taki nietrafny. Gigantyczna i nowoczesna farma była po prostu dziwnym socjalnym eksperymentem. Oto w pobliżu kilka lat temu, jeszcze przed Hitlerem, ni mniej, ni więcej, tylko Zakłady Kruppa zakupiły obszar paru tysięcy hektarów na poligon. Część tego stanowiły lasy i piaski, ale na tych drugich siedziały dwie nędzne fryzyskie wioszczyny, brudne i zacofane. Przez nie wiedzieć czyj pomysł postanowiono nie dawać im pieniędzy wykupu do ręki, ale stworzyć w sąsiedztwie wielkie gospodarstwo spółdzielcze o dość skomplikowanej metodzie, kojarzącej właściwości gospodarki zbiorowej z nawykami prywatnej własności. Adam Włodarczyk nigdy nie zdołał się dowiedzieć, jak ów twór funkcjonował. Z dawnego personelu pozostali w domkach tylko ludzie, którzy niewiele mogli go objaśnić.

Krowy, bydło, wieprze, wszystko to znikło jeszcze z przechodem Kanadyjczyków. Popasali tu, prawda, tylko trzy dni, ale byli to *brave boys*; nie przepuścili, jak wieść niosła, ani krowie, ani dziewczynie, ani gęsi. Tylko olbrzymie hale krowiarni, trochę nowoczesnych, ale poniszczonych urządzeń i wielkość skali tego wszystkiego świadczyły, że gospodarstwo było zbudowane z nakładem i rozmachem.

Na owej to „krzyżówce” stał tedy pułk, każdym dniem oddalając się od tego, co było jego życiem: od wojny. Było nader trudno odwyknąć, ale odwykało się nieuchronnie. W tych samych porach dnia schodzili się nieodmiennie ci sami ludzie, rozmawiając o tych samych sprawach i w ten sam zawsze sposób. Kiedyś okazało się, że lekkie czołgi stuarty, poustawiane na dziedzińcu, grzęzną w piasku. Okolica była piaszczysta i z pobliskiego, niedokopanego kanału zawiewało piachem na dziedziniec. Dowódca powiedział wtedy, że „my tak samo grzęzniemy jak one”, i to krótkie zdanie ujmowało całą prawdę. Paru młodszych oficerów wybierało się na studia do Anglii: z obozów jeńców pojeżdżali się inni, starsi, na przeszkolenie. Dziwi-

li się niepomieranie, że oficerowie obywają się bez ordynansów, i z trudem przyswajali sobie tajniki walki czołgowej. W pobliżu, w miasteczku Harem, obsadzonym przez Polaków i nazwanym Maczkowem, nakryto, w ciągu paru pierwszych tygodni, 17 nielegalnych pędzarni bimbrowa, a ludzie uświadomieni twierdzili, że ofiarą czujności władz padły tylko mniej poważne zakłady i produkcja bimbrowa nie ulegnie niższe. Dalej za Maczkowem, na rozległych torfowiskach przyholenderskich, w miejscu dawnych obozów koncentracyjnych, rozlokowało się kilka tysięcy kobiet z warszawskiego powstania. Stąd były jazdy, odczyty, tańcówki, zaręczyny, zerwania i tragedie, nocne rodaków rozmowy, niewczesne żale, potępieńcze swary, bimber, pończoszki, cynizm i żal, gorzki, polski, emigrancki i ludzki żal. I tylko gruby rotmistrz Salwa na porzuconym kruppowskim poligonie prowadził z uporem ostre strzelanie.

W tym właśnie okresie poczęli sobie przypominać Adama Włodarczyka, Adama Włodarczyka z dawnej, przedpotopowej akademickiej działalności, najprzeróżniejsi ludzie wylani w ten zakątek Niemiec falą ostatnią

wojny. Przyjeżdżali do niego z Hamburga, z Oldenburga, z Sehlen. Podróżowanie, wbrew rozpaczliwym staraniom Military Government, nie przedstawiało dla nich żadnych trudności. Włodarczyk zakwaterował się w jednym z czworakowych domków „krzyżówki”, przy drodze, dość daleko od sztabu. Miał za to dwa pokoje. Kolejno gościli w nich razem lub osobno najprzedziwniejsi ludzie. Po nocach, w świetle łojówek – elektrownia w Meppen była jeszcze nieczynna – w dymie papierosów, zapijając przydziałowe i nieprzydziałowe alkohole, gadali, gadali, gadali. Głównie mówili oni. Włodarczyk słuchał. Poprzednio, w ciągu lat emigracji, wysłuchiwał nieraz opowieści o tym, jak jest czy jak było w Polsce pod okupacją. Zjeżdżali tacy czy inni emisariusze. Były takie czy inne relacje. Kraj był bohaterski i straszny, i wzniosły, i mądry, i dzielny, i tragiczny, i wszystko inne. Czasem musnął te opowiadania jakiś blady rumieniec humoru. Nigdy prawdopodobieństwo. Przybysze z kraju mentalnie wdziewali postoły patosu i szaty pielgrzymie, cierniowe wieńce Oświęcimia zasuwali na skronie, po czym pospieszali nabierać na te laury polityków z londyńskich

ministerstw i uróżowane ciupcie z tychże biur. Wszystko to było zapewne i prawdą, ale wszystko to było jakieś nieprzekonywające, nierealne, jak ciecz przesączona przez jakiś filtr, który odjął jej autentyk. Teraz nocami na kwaterze porucznika z dywizji Maczka szły opowiadania nieskładne, niezamierzone, brudne treścią i formą, nie opowiadane, lecz wyrzucane z siebie w jakimś wysiłku z płuc, jak krwawa plwocina przez gruźlika, i z oparów tych opowieści wstawał z wolna, jak tuman mgieł o świtaniu zimnym, pierwszy, niewidmowo realny obraz kraju. – Tak, tak właśnie musiało tam być wtedy, mówił do siebie leżąc na wznak, z kulakiem pod głową, porucznik Włodarczyk. I taka właśnie prawda, surowa, nie przetrawiona, staplana i krwią, i odchodami, i błotem, śmierdząca jak więzień z lagru, heroiczna, tchórzowska, cyniczna, święta i pijana, poczyniała go niespodzianie ciągnąć, pochłaniać. Przez pokój porucznika z dywizji pancерnej przewijali się ludzie, którzy wyszli stamtąd i opowiadali mu, jak tam było i jest okropnie, i jak na Zachodzie jest pięknie, i jacy Anglicy są cudowni, a Amerykanie wspaniali, a porucznik z dywizji Maczka uśmiechał się tylko, rad, że

ciemność pokoju kryje im ów jego uśmiech, dzwonek alarmowy nowych złudzeń.

Rankiem zaczynał się dzień. Szły ospale ćwiczenia; pory obiadowe odmierzały dzień starannie, jak tyczki grzędy. Kiedy było ciepło, jechali trakiem do rzeki, nad Ems; kiedy był deszcz, jechali do Meppen, miejsca postoju sztabu dywizji. W Meppen urzędował klub oficerski i było tanie whisky, był nowy dowódca dywizji, jakiś zadumany, uprzejmy i jakby smutny, do plutonu opieki nad żołnierzem przyjęto nowe dziewczęta i otworzono kino i cztery kantyny. Małgorzatka była miłym, choć z narowami, dziewczęciem. Zaczęły się deszcze i mówiono o wojnie, ale bez przekonania. W Berlinie władze angielskie zniosły zakaz fraternizacji i angielscy oficerowie z Meppen zaczęli przychodzić do klubu oficerskiego z uwieszonymi u ramion, odchowyanymi cudnie niemieckimi dziwkami. Żołnierze żyli jak mogli.

Wieczorem w pokoju, a raczej pokojach porucznika Włodarczyka zmieniali się stopniowo lokatorzy i opowiadania. Ale jedni zastępowali drugich i na miejsce jednych opowiadań, przebrzmiałych, przychodziły inne. Nakładały się tak jedne na drugich jak farby

na obrazie gruntowanym powoli. Obraz gruntował się istotnie i coraz bardziej.

*

Pełnienie obowiązków Oficera Opieki pułku zlecono porucznikowi Włodarczykowi raczej niechętnie, niebawem po przyjeździe. Oficer Opieki – był to dziwaczny, jak sama nazwa, twór. Twór stanowił kombinację polskiego oficera oświatowego z brytyjskim tak zwanym *Welfare* (co dawało się od biedy tłumaczyć na dobrobyt, dobro, opieka) *Officer*. Polegało ono na zakładaniu kantyn i świetlic, uzupełnianiu biblioteki, sprowadzaniu pism, kina, filmów, teatru żołnierskiego czy YMCI, udzielaniu prosiącym porad w zawitych a niezupełnie oficjalnych sprawach. Uciekano od tego zajęcia jak od zarazy. Ale Włodarczyk miał z dawnych, przedwojennych lat swoje społecznikarskie zacięcie. W warunkach, w jakich się teraz znalazł, była to w dodatku praca realna, tym bardziej zaś cenna, że wydrenowująca – przynajmniej o ile się to dało – nudę okupacyjnego, powojennego zastoju w głuchym, wiejskim zakątku. Żołnierze, znający go sprzed inwazji i z tygodni

francuskich, przychodzili do niego dosyć chętnie i ich uwagi, zwierzenia, pytania, komentarze otwierały Włodarczykowi przechody do tych podziemi żołnierskiego myślenia, które pozostają zazwyczaj zamknięte na zawsze dla normalnego oficera. „Robię konkurencję księdzu” – mawiał do kapelana Włodarczyk. „Istotnie, same czarne owce do ciebie przychodzą do konfesjonału” – odciął się *padre*. Tak też i było. Dawna opinia „bolszewika”, jaką sobie zdobył Włodarczyk, pomagała i w tym. Jakże pozorna i nieufundowana! Po prostu od Francji wygadywał na dryl, na oficerską butę, na kawaleryjskie zapaszki, na bzdurę; w Szkocji zaraz po przyjeździe śmiał twierdzić na jakimś zebraniu, że przed wojną w Polsce ani „nie było tak źle, jak chcą jedni, ani tak dobrze, jakby chcieli drudzy”. Potem przyszło to jego stanowisko co do Rosji i paktu; potem to, co mówił po Katyniu; potem draka ze Skibińskim, donos, tamten sąd. W owych czasach i miejscu nader łatwo zdobywało się opinię „bolszewika”. Opinia ta potem już się wlokła.

To, że porucznik, lekko ranny, na dzień przed Falaise wrócił ze szpitala do pułku po to, by po dniach ośmiu, już lepiej macnięty,

wrócić z powrotem do tego samego (i paru innych kolejno) szpitala z pogranicza Belgii, miało wpływ zbawienny na tę opinię. Jesień, zima i wiosna przysypały ją zapomnieniem. Przynajmniej aureola czerwieni, osnuta wokół porucznika, znacznie wypłowiła. Sam bieg wojny ostudził niejedne gniewy. Nie wszystko szło tak, jak to zapowiadali ongi mędracy w Dwójce ćwiczeni, a nawet szło zupełnie inaczej. Kto wie; może doprawdy rację mieli inni? Poza tym wszystkim pułk miał własną, odrębną atmosferę i sądził ludzi wedle własnych, jemu tylko właściwych kryteriów. Kryteria te były jakoś łaskawe dla Włodarczyka. Wybaczące. To, że był ranny, w tym pułku przesłaniałoby zawsze wiele spraw; nawet nie taką jak jego czerwień i nawet nie taki jak jego intelektualizm. Pułk miał zresztą równie wysokie mniemanie o ważności strategii, jak niskie o dziedzinie zwanej popularnie oświatową czy, jak teraz, opieki nad żołnierzem. Tylko duszpasterstwo miało pod tym względem – ze wszystkimi, rzecz jasna, honorami – jeszcze słabszą lokatę. Z tym łączyła się wiara w potęgę pułku. „Mówili mi w sztabie, że Włodarczyk nam pułk zbuntuje, jeśli damy go na oświatowe-

go” – opowiadał po jakiejś wizycie w Meppen dowódca pułku. – „A ja im na to: nawet jakby mi Stienkę Razina przysłano na oświatowego, to i tak pułk zostanie pułkiem” – relacjonował dalej. I już z pierwszych słów wiadano, że postawił na swoim, albowiem ilekroć zaczynał zdanie słowami: „mówiono mi w sztabie dywizji”, oznaczało to mniej więcej tyle samo co jakieś „ot, co za bzdura”.

Włodarczyk odczuł to pozytywnie z wielu wymienionych racji. Praca była w tych warunkach jedną z nielicznych naprawdę nie dla pucu; dawała mu wgląd w te sprawy, zazwyczaj ukryte dla ludzi napiętnowanych oficerską gwiazdką; wreszcie była daniem po nosie osobistym, tam w Meppen, wrogom. Przez pierwsze tygodnie chciał pokazać, co on, właśnie on, zrobi z owej nieważnej, nie cenionej funkcji. Kolejno pootwierano dwie kantyny, nasprowadzano książek, zakupiono sprzęt sportowy. Dwa sceniczne zespoły grały dla pułku, co tydzień był film w wielkiej krowiarni farmy. Obchód pierwszej rocznicy Powstania Warszawskiego wypadł znakomicie, dancingi sobotnie funkcjonowały sprawnie, kursy doksztalcające zaczęły się bardzo przyzwoicie. Tak, to wszystko było czymś.

Tak, wszystko to zdrenowywało nudę zastoju, jak rów melioracyjny odciąga wody zamakającej łąki. Ale porucznik rozumiał, że wszelkie jego wysiłki w tej dziedzinie nie dokonają wiele, nie zapobiegną temu, co nastaje, i że nuda zastoju jest silniejsza. I praca jego tutaj wydawać się poczęła jałowa, próżna i czcza. Zwłaszcza po każdej z owych wieczornych i nocnych rozmów z ludźmi, którzy z kraju wyszli i dla których jego kwatera była jednym z etapowych postojów.

To pierwsze powojenne lato było jakieś dziwne. Szły naraz nagle, silne deszcze i Ems wylewała szeroko; burze – i na zwałonej na drodze sośnie rozbił się wóz intendenty; upały, niespodziewane tutaj, parne noce; to znowu ziąb. Wąsaty strzelec, który sprzątał u księdza, powiadał, że to Hitler z za grobu się gniewa, a u Niemców rozeszła się gadka, że gdzieś w głębi Szwarzwaldu, niedostępnej dla okupantów, dokonywane są tajne próby z niemiecką bronią atomową i że pierwszego września Londyn będzie nią doprowadzony do stanu Hiroszimy. Ale pierwszy września przeszedł i przepowiednia nie spełniła się, jak nie spełniły się uprzednio inne, innych narodów przepowiednie. Potem odeszło kilku

młodszych oficerów na studia, potem był ślub adiutanta pułku z Holenderką poznaną w Bredzie. I czas się włókł, nuda rosła, zastój pogłębiał.

W tym właśnie miej więcej okresie porucznik Włodarczyk nabył naraz niespodzianej, sobie tylko uświadamianej pewności, że dla kogo jak dla kogo, ale dla niego nadejdzie niebawem kres owego zastoju. Dla niego właśnie, a nie dla innych. Dla innych też nadejdzie, ale później. To poczucie, na niczym, jako się rzekło, nie oparte, pozwalało mu zachować spokój. Nuda jest znacznie mniej groźna, jeśli nie zapowiada się na bezkresny etap. Tak było z nim właśnie. Było i więcej. Wyczuł wyraźnie, że dla niego to już jest koniec. Oto dojeżdża do zakrętu drogi, którą jechał przez tych kilka lat, ten zakręt jest już przed nim. Nie wiedzieć, co jest i co będzie za tym zakrętem; nie widzieć, jak się to stanie, że będzie ten zakręt; ale będzie – to najważniejsze. Ubiegłej zimy (jeszcze owej szpitalnej, angielskiej) myślał wiele i męcząco o tym, co jemu przyjdzie robić, pod jakim osiaść niebem? Teraz nie myślał o niczym takim. Czuł dużą ulgę, że nie musi o tym myśleć. Życie angielskie, do którego

się był wzwyczał, stawało się z powrotem niezrozumiałe, nierealne jakieś i obce. Owo życie polskie, drapieżne, niespodziane, odrażające i pociągające zarazem, nabierało smaku rzeczywistości. Tak, to było życie. To jest życie.

Byłoby mylnie mniemać, że w Oficerze Opieki ukrytowała się już jakaś wola, jakaś decyzja powrotu. Tak nie było. Ukrytowało się przekonanie, że życie jest właśnie w Polsce, nie gdzie indziej, lecz w Polsce, wcale zresztą nie dlatego, że tam jest ten czy inny rząd. Personalny skład tego rządu czy nawet jego polityczne oblicze nie pasjonowały w żaden sposób Włodarczyka. Nie wie; dowie się kiedyś; teraz tak kłamią tu o tym; czy to jest ważne? Drugim przekonaniem, jakie ustaliło się w duszy Oficera Opieki, było to, że jego pobyt tu ma już policzone dni i że znajdzie się on tam. Jak to nastąpi, nie wiedział. Kiedy? Przypuszczał, że niedługo. To jedno wiedział, że to się stanie. Nie że on coś w tym kierunku zrobi; nawet nie uplanowywał niczego. Wierzył mętnie, a raczej wiedział, że stanie się coś, na zewnątrz niego i poza nim, co sprawi, że znajdzie się tam. Nawet nie zbierała go już ciekawość, w jaki

nastąpi to sposób. Po co? Dowie się; przecież to na pewno nastąpi.

Owa pewność i przekonanie pomagały mu teraz znakomicie w codziennym życiu. Mógł znosić łatwiej tę beznadziejność, mając poczucie jej krótkotrwałości. Znosił ją też bez trudu. W tym co inni znosili teraz tak ciężko, on jeden począł naraz odnajdywać pewien urok. Oto wiedział, że to, na co teraz patrzy, to, co się wokół niego dzieje, w czym on sam jeszcze jest, to coś, co się już kończy i czego już w ogóle nie będzie więcej. W tym, na co teraz jeszcze patrzył, było wiele rzeczy, których kiedyś nienawidził lub zwalczał. Ale teraz nie potrafił już nienawidzić; darowywał, bo nie widział już potrzeby zwalczania. Gasimy pożar domu, ale nie lejemy wody na dopalające się resztki krokwi. Żegnał to wszystko, jakim ono było, odchodziło i marło. Wsłuchiwał się w wieczorne pogwarki w kasynach szwadronowych i dowództwa, gadania przewlekłe o czasach, które przeszły, miejscach, gdzie się stało, sporach, które ktoś z kimś miał, i ludziach, których już nie ma. Wysłuchiwał namiętnych dowodzeń, jak to było właściwie na przeprawie pod Jort i jak było wtedy pod Vogelfort. Nawet opowiadań

o operacjach guldenowo-frankowych słuchał z zajęciem. Tak, bo to wszystko było życiem pułku, jak tamte, inne opowiadania, podływające wieczorami owego lata, były życiem Polski. Nic w tym nie było nieważne, niesmaczne czy błahe. To, że tyle ludzi w tych warunkach dało swe życie, i to, że to wszystko dobiegało już swego końca, nadawało tej całej opowieści patos klechdy i majestat legendy. To już było. Tego nie będzie więcej.

Co miesiąc, w dniu odpowiadającym jego pułkowej cyfrze, pułk obchodził swoje „imieniny”. O piątej w kasynie dowództwa zbierano się na picie, pogwary, pieśni. Wśród pieśni śpiewanych był rodzaj pułkowego hymnu, którego żaden purysta nie oznaczyłby tą nazwą. Melodia raziłaby ludzi o nabrzmiałym narodowym poczuciu. Była to melodia niemieckiej żołnierskiej piosenki, najlepsza może melodia tej wojny, zachwycona przez Australijczyków w Libii, przez Brytyszów pod El-Alamein, przez Polusów w Normandii. Słowa do niej były domorośle, samorodne jak bimbler, ułożył je stary pułkowy oficer, wielki żołnierz. Toteż żadna zwrotka nie nadawała się do odśpiewania jej ciotkom. Od czasu do czasu, a raczej od okazji do okazji, dora-

stały tam nowe zwrotki, czasem gubione potem, czasem przyszyte na dobre. Niewielkie pokoiki kasyna w administracyjnym domku farmy nabrzmiewały w takie wieczory krzykiem, śmiechem, odorem wódki, brzękiem talerzy i sztućców, śpiewem. Śpiewem zwłaszcza. Za oknami schodziła zła, niemiecka noc, niechętna i nieufna, za oknami i za tą nocą był świat obcy i przystawała za nimi jeszcze bardziej obca i zła Przyszłość, i ta zła i obca Przyszłość miała nadejść już niebawem, nadejść tak nieuchronnie, jak po nocy nadchodzi zimny świt. A tu było światło i oni, i ich śpiew, i ich wspomnienia, jakby mary jakieś wstawały i nabierały ciała na ów wieczór. Tak ómy zlatują się do światła w wieczór bezgwiezdny i letni.

Włodarczyk przystawał z kieliszkiem w drzwiach łączących oba pokoje, w których działa się pijatyka. Stał i patrzył. Kiedyś nie lubił tych rzeczy, nie rozumiał ich, odtrącał. Dzisiaj je pojął. Trzeba było takich wieczorów, aby ożywało to, co było, a przecież to, co było, było dla tych ludzi istotne; o, o ileż istotniejsze niż to, co jest, a zwłaszcza niż to, co będzie! Ludzie ci uszli mogli, którymi popłacili ich towarzysze; ale śmierć brała ich

inaczej. Stało się, że to, co było, było dla nich tym ważnym, istotnym, godnym, i do tego wracali gdy mogli, i tym wracaniem byli szczęśliwi jak narkotykiem. Włodarczyk cieszył się teraz, że długi okres szpitalny oddalił go od pułku, że owego narkotyku wspólnych wspomnień miał mniej niż inni; tyle, by czuć w głowie rausz, nie dosyć, by zwalić się w życiu z nóg. Stawał i patrzył. Był świadomym chochołem owego Wesela, które odprawiało się oto w jakichś izbach niemieckich, a było stypą po latach sześciu emigracji wojennej, rozwleczonej od fiordów Narwiku i winnic Francji po płowy piach Tobruku i widmowy szczyt Monte Cassino. Po tych, którym Bóg dał łaskę śmierci żołnierskiej.

*

Pewnego razu zaszedł do Adama Włodarczyka adiutant pułku i zapytał, czyby nie pojechał na urlop? Adam uznał to za głupi kawał; kto kiedy komu proponował urlopy? Kawał jednakowoż nie był wcale taki głupi. Oto przypadała na pułk kontyngentowa ilość urlopów, nie było zaś kandydatów do ich wykorzystania. To znaczy, jeden chciałby, ale

już był trzy tygodnie temu, inny za nic teraz nie może, jeszcze trzeci może, ale nie teraz. W ten sposób kolejka sama przesunęła się naraz do Włodarczyka. Adam pomyślał. Było jeszcze pięknie w Anglii, pojedzie do Devonu albo do Pickering, tak, lepiej do Pickering. Powiedział, że zgoda, że dobrze. Adiutant odpowiedział, że w takim razie we wtorek o szóstej rano. Na Arnheim i Nimwegen. Z Nimwegen koleją do Calais. Trzeba wziąć zaświadczenie ze „służby pieniężnej”. Broni brać nie wolno.

Włodarczyk doszedł do obiadu, po obiedzie zabrał się do pakowania, poszedł odebrać nowy mundur od krawca, zajrzał na izbę chorych. Wiadomość o jego odjeździe już się zdążyła rozejść i nawet z niespodziewanymi komentarzami. „To pan porucznik już do nas nie wraca?” – zagadnął sanitariusz. „Ale pan porucznik jeszcze od nas nie na dobre?” – pytał kierowca majora. Ktoś przyniósł mu list „do Polski”. Włodarczyk zrozumiał. Może na tle owych starych legend o jego „bolszewizmie”, może spokojnego, życzliwego stosunku do spraw kraju, może na innym jeszcze wyrosło przekonanie, że urlop porucznika jest tylko pozorny, że ozna-

cza odjazd do Polski. Kapelan zagadnął go: „Ale wracasz?” i oczy jego nie wierzyły uśmiechowi Adama. On sam zdał sobie sprawę, że zaprzeczenia są daremne. Nikt w naszych czasach zaprzeczeniom nie wierzy. Potem pojechał do Meppen i stwierdził, że wersję o jego ostatecznym wyjeździe lansowali z równą gorliwością i jego wrogowie, i jego przyjaciele. Było to dziwne.

Po powrocie z Meppen zastał kartkę od tegoż sanitariusza. Kartka mówiła o tym, że „jak panu porucznikowi wiadomo, chorąży Ziętar jest w szpitalu kanadyjskim pod Lingen i dowiedział się, że pan porucznik jedzie na urlop, i prosił, żeby pana porucznika bardzo prosić, żeby pan porucznik do niego zajechał w bardzo ważnej sprawie”. Oficer Opieki odrzucił kartkę; jeszcze czego! Do Lingen było dwadzieścia mil. Czego może od niego chcieć chorąży Ziętar? Jeśli jest naprawdę tak źle, jak mówiono, to najlepiej niech weźmie księdza. – Porucznik pakował się, kiedy przyszedł plutonowy Nowicki, kumpel Ziętara. „Druga po Ziętarze moczygęba w szwadronie” – jak mówił dowódca. Plutonowy Nowicki był nowym gońcem Ziętara. Porucznikowi przypomniało się, że Zię-

tar był stary wyga. Jak tylko czegoś chciał, w tej chwili uruchamiał nieskończoną moc sprężyn, pośredników, kontaktów. – Gdzie ja będę do niego się tłukł – odpowiedział „drugiej po Ziętarze moczygębie”. Wreszcie uległ. – No dobrze, rzekł; pojedę, jeśli tylko będę miał czas przed odjazdem. Rozumiecie, urlop mi spadł tak nagle, a tu jeszcze te podania na studia, ta świetlica YMCI...

Mówiąc to czuł oczywiście, że nie pojedzie. Nawet obawiał się, że wyszło to bardzo wyraźnie. Plutonowy Nowicki wziął to jednak za tak zwaną (nie bardzo wiedzieć czemu) dobrą monetę, odsalutował, wyszedł. Porucznik pakował się nadal. Miał zły, niewojskowy zwyczaj wożenia nie wiadomo na co przydatnych rzeczy, poza tym chciał zabrać jakieś suweniry dla przyjaciół angielskich. Pakując się myślał o tym Ziętarze. Nie lubił go. Ziętar był seniorem podoficerów pułku, „drugą po sztandarze jego relikwią”, jak kiedyś ktoś miał powiedzieć. Był typowym podoficerem polskim starego typu. Pies na rekrutów, król panujący. Służbista, zaciekle stupaja. Posiadał właściwą wielu oficerom zawodowym, a jeszcze częściej u zawodowych podoficerów, niechęć do inteligentów, do inteligencji w szeregach,

wreszcie do tego, co z tym się łączyło, książek, pism itd. Włodarczyk miał z nim scysje – jeśli porucznik może mieć scysje z chorążym – o kursy doksztalcające, i ze szwadronu, którym rządził kancelaryjnie Ziętar, było zawsze najtrudniej uzyskać zwolnienia dla strzelców na jakąś kulturalną pracę. Złote myśli chorążego Ziętara krążyły po pułku. „Cała lektura żołnierza to regulamin służby czynnej”. „Im mniej się na wojnie wie, tym więcej się rozumie”. Od Ziętara wiało na sto kroków niechęcią do tego wszystkiego, co nieuchronnie wślizgiwało się do wojska polskiego na Zachodzie. „Po angielsku trzeba umieć tyle, by znać instrukcje walki czołgowej i zamówić drinka”. „Były dwa dobre wojska na świecie, polskie i niemieckie” – pouczał. „Za dużo tych gazet, za dużo tych gazet na świecie; i oni chcą wygrać wojnę” – ubolewał na widok wystawy w kiosku kolejowym w Edynburgu. Był zwolennikiem celibatu wojskowego i nie ukrywał swej opinii nawet gdy któryś z oficerów wstępował w związki małżeńskie. „Et, związał się z d...” – zbywał lapidarnie. Podczas postojów szkockiego mawiał, że „całe to wojsko więcej spermy przelewa niż krwi”. Tych, co w Polsce pozostawili młode żony albo narzeczone, po-

spieszał pocieszać. „Nic się nie bój, tam już lepsi twój grunt orzą i twoją dziwkę obłożą”. O klęsce wrześniowej miał też ustalone zdanie. „Wszyscy dziś wiemy – mawiał – dlaczegośmy tę wojnę przegrali. Wszystkiemu wino wojsko. Zamiast wziąć naród w kupę, za mordę, ostro trzymać, to oni rozpaskudzili to. Pozwolili rządzić jakimś doktorom, inżynierom, jinteligentom. No i mogło co z tego wyjść?” Kiedyś, wygłaszając na wieczornej zbiórce szwadronu część swych maksym, oznajmił: „Czytałem dziś w jednej takiej londyńskiej szmacie polskiej, że wszystkiemu była winna Bereza. I była winna, ale nie to, że była taka jedna Bereza, ale że nie było ich sto”. W pułku chorąży Ziętar był urzędowym laudatorem *temporis acti*, dawno i niedawno minionego czasu. Włodarczyk, nawet gdy milczał, był tu rzecznikiem czasów nowych i wpływów obcych.

Ziętar i Włodarczyk starannie omijali się wzajem. Porucznik uważał za niewłaściwe wdawać się w jakiś otwarty bój z takim przeciwnikiem. Pułk był instytucją tradycyjną. Poniektórzy z Ziętara się śmiali, poniektórzy, żołnierze zwłaszcza, go nie cierpieli, ale nikt nie zapominał, że Ziętar był w pułku od same-

go jego początku, przesłużył lat dwadzieścia trzy, przetrwał wszystkich dowódców, pamiętał poświęcenie sztandaru, dwie wojny. Stał niejako ponad prawem, i Włodarczyk, *homo novus* w pułku, obcy jego atmosferze, rozumiał ów *handicap*. Ziętara trzymał na wodzy formalny respekt w stosunku do oficera; wewnętrznie może uznawał w duszy odwagę bojową Włodarczyka. W każdym razie jeśli jeszcze we Francji, przed wymarszem na front, wobec armii wypełnionej inteligentami, lubił mawiać: „Chcę wiedzieć, jak mi to będzie w portki swe doktorskie nawalać, jak Niemca na milę zobaczy”, to teraz na ten temat milczał. Zbyt dużo owej zasranej inteligencji ziemie obce już gryzło; zbyt wielu za to zawodowych gierojów przetrwało wszelkie Cassina. W stosunkach wzajemnych Włodarczyk był zawsze chłodno uprzejmy, Ziętara nieodmiennie chłodno służbisty. Obaj byli wspaniale formalni. „Dzień dobry, panie chorąży” – zawsze pierwszy witał Włodarczyk. „Czołem panu porucznikowi” – pospiesznie odpowiadał Ziętara. Przez miesiące całe – teraz lata – rozmijali się tak jak dwie wrogie, salutujące się potencje.

Od czasu powrotu do pułku i pobytu szpitalnego porucznika zaszła w Ziętarze jedna

tylko zmiana. Oto chorąży się rozpił. Wprawdzie i przedtem miał, jako się rzekło, ustaloną opinię moczymordy. „Żołnierz rozstaje się z karabinem i bierze butelkę; rozstaje się z butelką i wraca do karabinu” – mawiał. „A dziewczyna, panie chorąży?” – zagadywał jeden z podoficerskich adeptów. „Dziwka?” – zapytywał chorąży i rozstrzygał szybko, przyznając na te sprawy, w innym, zupełnie niepowtarzalnym określeniu, tyle czasu, co na inne czynności fizjologiczne. Dawniej chorąży wprawdzie sam pił i jakby na złość wszelakim Włodarczykom i innej zasranej inteligencji podnosił picie do roli jakiejś kardynalnej żołnierskiej cnoty; ale to było inaczej. „Bierzcie przykład z Ziętara – powiedział kiedyś dowódca – zawsze pod gazem, często zalany, nigdy awantury nie robi”. Tak, Ziętar pił. Pił pewno w Polsce jeszcze. Potem pił na Węgrzech, pił we Francji, pił w Szkocji, pił znowu we Francji. Ale zmoęła go dopiero Holandia. Nie to, że robił awantury po pijanemu; nie to, że był nieprzytomny – choć i to bywało, że leżał, z wzrokiem mętym, w płaszcz owinięty, na swej kwaterze, wykorzystując swą nietykalność chodzącej relikwii. Po prostu, wódka rozbierała go teraz i rozkładała. Był nią nasiąkły jak

gąbka. Fizycznie wystąpiły wszelkie klasyczne objawy metodycznie i wytrwale stosowanego pijaństwa. Gruby kinol Ziętara nabrał już nie krasnej, ale fioletowej barwy; pod oczyma opuściły się dwa skórne wory; oczy wybałuszyły się i przekrwiły; w głosie było coś niepewnego. Nawet z umiłowanym przez starego chorążego stawaniem sprężystości na baczność i samym podnoszeniem ręki do czapki było już źle: trzęsło mu się wszystko. „Może grać tego wiarusa w *Warszawiance*” – ktoś osądził. Kapelan żałował, że nie może go wziąć pod obróbkę przy którymś z kazań, które nieodmiennie, choć i bez większego skutku, poświęcał grzechowi opilstwa. Ziętar, relikwia pułku, mógł być chodzącym przykładem zgubnego wpływu alkoholu. „Umrze z pijaństwa” – prorokował niejeden. „Będzie z nim jak z kapralem Sojką” – mówili inni. Kapral Sojka, dobry kierowca, który poniósł śmierć w czasie operacji pod Falaise, tym się bowiem upamiętnił, że zginął nie od kuli ani od pocisku, ani od nebelwerferów, ani nie wyskoczył na minie. Po prostu w jednej z wyzwolonych farm napił się zbyt wiele sfermentowanego cidre’u, w drugiej zaś jakiegoś źle destylowanego calvadosu. Dostał torsji żołądkowych,

zmarł w sanitarce i pochowany został na cmentarzu w Caen. Swoim porządkiem otrzymał Krzyż Walecznych pośmiertnie, jako że ze sztabu kazano podać listę poległych, nie mówiąc w jakim celu, po czym wszystkim dano na odchodne „waleczniaka”. Fakt ten wielce ucieszył pozostałych pijaków. Ordery otrzymywano za nader różne rzeczy. Nieomylnie otrzymywał je ordynans pułkownika, z reguły jego adiutant i kucharz; partnerzy brydżowi bywali także należycie uwzględniani. Za śmierć z pijaństwa na polu chwały jeszcze jednak nikt dotąd odznaczenia nie dostał. Mylili się zatem ci, co twierdzili, że w wojsku nic się nie zmienia.

Tymczasem fatalne wróżby co do końca Ziętara, rzucane zupełnie na wiatr, poczynają się sprawdzać. Ziętar podupadał coraz bardziej. Zwlekał się ze swego barłogu około południa, kładł się zaraz po obiedzie. Potem podnosił się jeszcze około wieczoru, obchodził niepewnym krokiem szwadron, mrucał coś tam do siebie, wracał do swej izby nad kancelarią i tam wprawdzie długo nie spał, ale już nie wychodził więcej. Obowiązki przejęli za niego Nowicki i Wójcik – zresztą już z dawna z pełnieniem tych obowiązków

było dość różnie. Potem z chorążym było coraz gorzej. Wreszcie sam wezwał doktora. Doktor, młody Żyd, kręcił głową. Chciał skierować zaraz chorego do szpitala. Ziętar nie chciał. W dwa dni później miał jakiś atak nerkowy. Atak przeszedł, ale w trzy tygodnie później powieziono i tak Ziętara do szpitala w Lingen. „Na to mi zeszło” – mówił, wynoszony na wóz, „w ich angielskim szpitalu kończyć”. Nikt w pułku jednak nie wierzył, żeby Ziętar miał kończyć. Od wódki, powtarzano, wbrew losowi Sojki, nikt jeszcze nie umarł, a niejeden się urodził. Ze zdziwieniem przyjęto wiadomość, było to w zeszyły czwartek, że z Ziętarem jest naprawdę źle. I nie uwierzono w to jakoś. „Anglicy zawsze straszą” – komentował rotmistrz.

Rano przy śniadaniu czekała na porucznika kartka, telefonogram z Meppen. Porucznik musiał jechać do plutonu dywizyjnego opieki zaraz po śniadaniu. Kiedy siadał do jeepa, zamachano do niego z kancelarii. Był telefon ze szwadronu. Rotmistrz pytał, co będzie z Ziętarem; że podobno obiecałeś pojechać. Włodarczyk się znarowił. Ma jeszcze to i to, i tamto; teraz znowu odwołują go do Meppen; ma jeszcze swoje sprawy, prywatne.

Od czegoż, ostatecznie, kapelan? Przez słuchawkę chrobotąło: „ech, kapelan, rozumiesz, człowiek zaraz śmierć widzi, zresztą był już u niego, ale w tym cała rzecz, że Ziętar o ciebie właśnie prosi”. – Zrozum, ja z nim nigdy bardziej; wręcz przeciwnie. – Ale głos przez telefon nie rozumiał. – Co robić, jak właśnie o ciebie pyta, moi chłopcy tam jeżdżą, jeden nocował u niego, wiesz, przy jego angielskim on sobie tam słabo w szpitalu daje radę. Jakoś mu na tobie zależy; powinieneś być dumny, wiesz, co to Ziętar w pułku. – I istotnie, Włodarczyk na tyle był oficerem pułku, że poczuł ciepły napływ dumy. Oczywiście, nie wyznał jej. Powiedział tylko, że zobaczy. Postara się.

W Meppen było, rzecz prosta, tysiąc rozlicznych spraw, pożegnanie Małgorzatki i tym podobne kłopoty. Jadł w kasynie, gdy odwołano go do telefonu. Dzwoniła *matron* ze szpitala w Lingen. Z trudem wymawiając nazwisko polskie, zawiadamiała, jak bardzo jest *happy*, że nareszcie złapała porucznika. Oni w szpitalu w Lingen mają chorego, który jest bardzo, bardzo źle i prosi gwałtem porucznika Włodarczyka. „Wydaje się”, mówiła, „że mu na panu bardzo zależy; wie pan,

jak to z chorymi jest”. „*I see*”, mówił Włodarczyk i kapitulował wewnątrz. Gdy *matron* spytała go rzeczowo, o której mają się go spodziewać, powiedział – „*about five*”. – „*Thank you very much, Mister Wodartshik; I will try to be there*” – skrzypiał telefon.

Tegoż popołudnia spadł deszcz i przyszły po nim ciężkie, nisko opadłe chmury i jadąc po wydłużonej szosie na Lingen Włodarczyk mógł stwierdzić, że zaczęła się naprawdę jesień. Może wskutek tych chmur, a może niezależnie od nich, dzień wydał się jakiś krótszy, a zmrok wcześniejszy. Rok, jak żywot chorążego Ziętara, szedł ku końcowi. Było też jakby zimniej. Z zapowiedzianego „*about five*” zrobiło się pół do szóstej i może dlatego *matron* nie czekała w szpitalu. Po krótkich formalnościach Włodarczyk stanął przed obliczem Sister Pearson. W odróżnieniu od tyłu innych znanych mu sióstr szpitalnych, Sister Pearson była surową, chudą postacią, w której odgadywało się kościstość. Spojrzała ona na polskiego oficera okiem pełnym nagany; ach, więc chodzi o tego podoficera spod siedemnastki? Nie prosząc siadać przewertowała jakieś książki, wyjęła jakąś kartkę, porównywała z księgą. Włodarczyk miał zre-

szta wrażenie, że sprawdza tak formalnie, dla pozorów, ale że wie o wszystkim najdokładniej. Sister Pearson kiwała suchą głową z coraz większą naganą.

– Tak, on jest bardzo źle, bardzo źle – mówiła tonem pozornie zgnębionym, ale w którym, może uprzedzony od wstępu, Włodarczyk zdawał się wykrywać jakąś tajoną radość. – Nie sądzę, żeby mógł z tym długo. Tak, tak. Nie mogło być inaczej...

– Co to właściwie jest? – przeciął te wywody Włodarczyk.

– Co to właściwie jest – podjęła z miejsca Sister Pearson. – Wszystko. Nerki! Wątroba! Narządy trawienne! Serce! No, po prostu wszystko. A wszystko pijaństwo! Pijaństwo! Stary pijak! Wstrętny, stary pijak! Nie rozumiem, jak można się tak rozpić! Jak zwierzę! Dojść do takiego stanu! Ohyda! *Shame!* I nawet się nie wstydzi! Nie widziałam nic podobnego jak żyję!

– Nie widziała pani pijaków? Z jakich stron Anglii pani pochodzi? – zapytał Włodarczyk i myślał: na pewno miała ojca, brata, może narzeczonego lub męża opoja. Nie, skorygował w myśli; ani narzeczonego, ani męża, ani innej rzeczy, która jego jest. – Ale

pytanie odniosło swój skutek; siostra już, już miała na ustach odpowiedź, gdy zacięła się w sam czas. Pochodziła z dzielnicy pobliskiej londyńskich doków, gdzie pijaństwo święciło nie mniej piękne sukcesy niż w kawalerskim pułku. Zakręciła się z pasją i robiąc energicznie ramionami szła korytarzem. Włodarczyk za nią. Minęli jedne, drugie, trzecie drzwi; zakręt korytarza; smród laboratoryjny; nowy zakręt. Na drzwiach wprost przed nimi była cyfra „17”. Uchyłili drzwi.

Włodarczyk zaraz poznał na czwartym łóżku po lewej chorążego; wielka, zwałami mięsa porośla głowa czerwieniała ciemno na tle poduszki: „*Here he is*” – powiedziała Sister Pearson z wyraźną, oburzoną odrazą. Ziętar obrzucił ją wzrokiem dostojnie obojętnym. Uniósł się z trudem znad poduszki. Nie był bardzo zmieniony, tylko przekrwienie oczu wystąpiło jak gdyby silniej: gały oczne wybałuszyły się też, jakby je kto ze środka, od mózgu, wyciskał, lub jak dwa wielkie wrzody, wyciec gotowe. – No, pan porucznik jest – powiedział – ja już drugi dzień chciałem. Nimem się dowiedział, że pan porucznik jedzie do Polski, już...”

Włodarczyk ruszył niecierpliwie ręką. Nie, nie jedzie do Polski; skąd te wszystkie gadania? Przekrwione, wybałuszone gały nie wierzyły. Przeszedł zatem na ostrożniejszą wersję. – Póki pułk jest pułkiem i jest wojsko – mówił – nie wracam jeszcze; co innego, jak już będzie ta demobilizacja. Zobaczymy. – Ręka na kołdrze zgięła się zniecierpliwieniem. – Pan porucznik wie, jak już Anglicy co robią – jak tę wojnę – żeby aby jak najdłużej trwała. Co za demobilizacja? Wojny nie ma; nie ma wojska. – Jak to wojny nie ma, wojska nie ma? – podchwytywał ubawiony porucznik. (Rozładowało mu to ów szpital i nastrój.) Od kiedyż to, że wojny nie ma, to i wojska nie ma? Jakoś panu chorążemu się na cywilne poglądy zebrało? – Ręka na kołdrze drgnęła znowu. Musiał chwycić go jakiś nagły ból, tam w środku, gdzie pod białym kocem ze znakiem Can. Mil. Hosp. rysowało się wzdęcie brzuszyska. Ciałem naraz skręciło w bok prawy, do porucznika. Głowa poruszała się ciężkim rytmem wysiłku, usta zwarły. – Może siostrę wam? – Zgięta do poduszki twarz zaprzeczyła ruchem. Ruch ramion mówił: „co tam ta cała siostra!”. Po chwili ból odchodził. Chorąży znowu leżał na

wznak: – Co mam mówić, pan porucznik wie dobrze. Wojsko jest i po wojnie, ale gdy się jest w Polsce. A to co? A to co niby, panie poruczniku? Wojsko? Nie widzi pan porucznik, jak to się w ręce rozłazi?

Musiał być czas na *cup of tea*, bo właśnie wjechał wózek i posługacz zaczął obnosić dymiące kubki. Zapachniało puszkową herbatą. To znowu przerwało mówienie Ziętara. Mieszali herbatę w kubkach i porucznik myślał o tym, co powiedział Ziętara, o tym rozłączeniu się wojska, że było prawdą, i że u wszystkich to się tak jakoś w mózgu zarysowywało, ale nikt się z tym drugiemu nie wywnętrzał, choć wiedział, że i tamten tak myśli, a dopiero teraz, tutaj, właśnie Ziętara. Żeby kto inny. I tak wyraziście. Od kiedy się to w nim tak zaczęło, że teraz wychodzi z niego w tak ustalej formie? Nigdy by o to nie zapytał, ale nie musiał pytać, bo chorąży odsunął kubek i mówił:

– Pan porucznik myśli, że sobie chorąży Ziętara nie miarkuje, nie widzi, już tak nic nie rozumie... Niby że pijus, moczymorda... Niby że karty i służba... A co pan porucznik myśli? Podoficer, że go na psa tresowano lat dwadzieścia, rozumu już swego że nie ma?

Że nie pyskuje jak byle, przepraszam najmocniej pana porucznika, szczeniak z podchorążówki, to nie ma? Iiii... Pamiętam ja, jak kiedyś pan porucznik mówił, w kasynie, że trzeba – jak to pan wtedy mówił, aha – wniknąć w psychikę, tak pan porucznik mówił, w psychikę żołnierza, znaczy się tej owczarni. Ja wtedy przyszedłem ze stanem służby, siedziałem w tej dawnej kancelarii, słyszałem, czemu nie miałem słyszeć. I takem sobie myślał: o psychikę żołnierza to się troszczysz, to ci ciekawe; wiedzieć, wniknąć, mówisz. A psychika podoficera – że powiem! Ta twoja psychika u podoficera! To pies; tego już nie ma; o tym to i nie wiesz, że jest. O nich mówisz, że owce; a kto ci te owce w wieczór i z rana zgania? Pies! Pies podoficerski! Człowiekaście, ludzi, na psów sobie wyhodowali, i zadowoleni, kontenci – lub gardzicie. Co najwyżej – że prosty strzelec ma duszę. A plutonowy, wachmistrz, sierżant, to już nie. Żeście go sobie na owczarka urobili, takiego, co ujada i zębami chwyta, to on już w tym środku swoim nie myśli, nie kombinuje, ciemniak?

Opadł. Przez chwilę tylko wargi poruszały mu się rybio, łakomie. Dopiero po długiej

sekundzie począł sapać silnie, świszcząc. Z tego świstu, obróciwszy oczy na porucznika, jeszcze krwistsze niż przedtem, aż niebieskość znikła w tej siatce żyłek, dorzucił:

– O to tomem miał żal do pana porucznika. I mam!

Włodarczyka zatknęło to wszystko, takie było nie-Ziętarowe właśnie. Wygrzebywał się teraz z zaskoczenia:

– Panie chorąży! Kiedyż to ja pana czy kogo innego w pułku nie miałem za człowieka? To niby ja już byłem ten najgorszy?

– A pewno.

– Ten najgorszy?

– A jak pan porucznik chce? Właśnie dlatego, że pan porucznik był ten niby inny, to pan porucznik był właściwie ten najgorszy. Inny to przynajmniej ani nie pomyślał, co tam w tym żołnierzu siedzi. Buty oczyszczone, honory oddaje, zamek karabinu nie pordzewiał, co więcej trzeba? A pan porucznik – to ten inteligent. Psychika żołnierza! Szary człowiek! Podejście do człowieka! Co, ja może nie wiem, jak pan to gada! Byle młody gówniarz to u pana człowiek. Książki takiemu podsuwa, za obejście chodzi. Że czasem taki to tylko panu porucznikowi lezie, to tego nie widzi.

A Ziętar czy tam inny Nowicki albo Kubiak, plutonowy, to już tylko ogary gończe...

– Panie chorąży, jakie ogary, jakie tam psy? Co pan mówi takie głodne kawałki? Przychodził do mnie ktoś po książki i gadanie; dawałem mu. Do pana tobym się (uśmiechnął się) z książką i bał podejść...

– Bo pan porucznik widzi tylko to, co człowiek mówi. Człowiek się z książki i wszelakiej tej kultury-literatury naśmiewa, to pan myśli, że jej nie potrzeba mu kiedy? A jemu, takiemu najwięcej potrzeba. Nie powie, nie przyzna. Hardy. To jak taki parobas, przy gnoju postarzały, na salony, na posadzki wyjdzie, to myśli pan porucznik, żeby sobie na nich nie potańcował? Ale w sobie dusi; bo mu na nich niezgrabno; nieuczony; a tego nieuczzenia wstyd. Jego trzeba – kiedy nikt nie widzi. On się sam siebie zaprze. Zgrubiało mu wszystko i wewnątrz, i na zewnątrz, a potem gdzieś w życiu trafia mu się takie, panie, jakieś, co to z daleka mu przychodzi, zagadujące, uczone, jak te posadzki takie. My by do was chcieli jakoś móc. I człowiekowi żal, że na takiego prostaka wyrósł, wcześniej inności nie spotkał, nie natrafił. I jak tak człowiek potem na szpitalu angielskim kończy, to mu tego żal, o, jak żal...

Włodarczyk poczynął rozumieć. To nie były żale osobiste do niego czy pretensje. To była spowiedź. Włodarczyk wiedział, że spowiedź nie jest jedynie wyliczeniem tego, co Kościół określa jako grzech i za co każe wyrazić żal. Spowiedź jest czymś o wiele większym jeszcze czy szerszym; wcale nie jest wyłącznie religijnym pojęciem. W człowieku gromadzą się czasem sprawy, kompleksy, urazy i trzeba to móc wypluć, i wtedy kiedy człowiek jest już u końca, gromadzi się tego pewno więcej – pomyślał. Słuchał więc tylko dalej. Na sali poczynąło się zmierzchać, ale światła jeszcze nie zapalano. Włodarczyk pomyślał, że taka pora nazywała się kiedyś w Polsce za lat jego matki szarą godziną i że wtedy mgłą zachodzą rysy twarzy i zacierają się wyraz oczu, i lepiej jest wtedy mówić, łatwiej. *It's more easy* – pomyślał, nie wiedzieć czemu, po angielsku.

– Panu porucznikowi łatwo to mówić: gnojki, nie rozumieją Francji. Im tylko dryl w głowie. – Ja pamiętam, pan porucznik tak mówił. – Co to się na pana porucznika ten Skibiński ciskał. A jakby tak pan porucznik rekrutem, lat siedemnaście, do wojska poszedł, pod sierżanta Langa z Wehrmachtu, i ten by dryl kijem

w pana wpędzał, nimeś się pan czytać nauczył. Sameś potem taki wyrastał. Pan porucznik wiedział to kiedy, co to jest taki rekrut ze Zagojczan, jasielski powiat, dwadzieścia trzy kilometry do kolei, jak jemu siedemnaście років? I jak go potem wezmą i takich dwadzieścia lat sprasuje go między placem ćwiczeń i latrynami, latrynami i barakiem? Jeden pułkownik się zmienia i drugiego wygryzą, nowa orkiestra przyjdzie, krój poruczyków będzie inny, podchorąży, któregoś szczeniakiem pamiętał, już rotmistrzem wraca, a ty jeden, człowieku, orzesz sobą wiosną, orzesz latem, orzesz jesienią, rok okrągły. A potem ciebie takie coś jak ta wojna wyrzuci i widzisz, że jest jeszcze i drugi świat, i tam idzie wszystko, nie stoi, nie zatecha. I taki szczeniak jasielski, jak ty sam nim byłeś, ale temu dwadzieścia років, oczy na to przeciera, patrzy i już go chyta, już do tego rodzinnego gnoju nie wróci, o nie, już na człowieka, nie na psa wyrośnie. I ty sam to widzisz, ale wiesz, że z ciebie, stary, już nic nie będzie, tym psem takim, na jakiego cię chowali, zdechniesz. Dla ciebie to już tego wszystkiego nie ma! Późno! To z tego żalu, że dla ciebie późno, a innym nie późno, tak się w tobie uskwierzy, zgrubieje.

Warczysz. Zęby na to, co nie dla ciebie, szczerzysz. Czym tamci lepsi, że mają wyróść, na coś ty nie wyrósł? Czym?

Chorąży zakrztusił się kaszlem, który nie był kaszlem, ale jakąś męką do brzucha schodzącą, zalewającą krwią siną nalaność twarzy i indycze obwiśliny podgardla. Przez chwilę znowu przegiął się ku poduszce, wtulał ją sobie pod usta, skręcony na wznak. Włodarczyk naraz pomyślał, że choremu krew się rzuciła do gardła i że z tej głowy, skręconej twarzą w poduszkę, wyleje się naraz jak z przechylonego kałamarza ciemna, czerwona plama. Ale po chwili ciało pod kołdrą odkręciło się.

– Już dobrze, dobrze – chrząkał chorąży – lepiej. To tak nachodzi. Dziś jeszcze dobry był dzień; nie wiem tylko, jak noc. Niech pan porucznik nie zważa na to tylko, co mówię; ja wiem wszystko, co mówię, pan porucznik widzi. Pan porucznik teraz rozumie, jak to ze mną było?

– Rozumiem.

– Panie poruczniku. To teraz jedno jeszcze. Z tym Ościkiem to nie była moja wina. On naprawdę przez tę dziewczynę z Lochkilmore. Nie to, że przeze mnie. Nie.

Poprzez sieć krwawych żył, żyłek i żyłeczek, zlewających się nieomal w jakąś czerwoną koronkę czy mgłę, przebijało się niebieskie spojrzenie podoficera. Porucznik jak przez inną mgłę, pamięci tym razem, przebił się ku czasowi niedawnemu, paru lat ledwo, a zapomnianemu jakiegoś samobójstwa, nie w pułku zresztą, ale w oddziale, który przez czas jakiś miał za instruktora Ziętara.

– Wiem, Ziętar. Wierzę wam. Nie myślałem nigdy.

– Nie myślał pan porucznik nigdy, że przeze mnie?

– Nie, nigdy. Ja później przyszedłem do pułku. Zresztą... ja wiem najlepiej, jak u nas łatwo co na kogo mówią...

Ziętar rozumiał. Odpoczywał. Moment był taki, kiedy spowiedź jest z piersi wypluta i spowiednik pyta, czy więcej grzechów nie pamiętasz. Ale Włodarczyk nie miał spowiedniczej władzy i nie pytał. Pomilczawszy zaś Ziętar zaczął:

– To niby już wszystko. Tylko to ostatnie.
– Rozejrzał się. – Aha. Panie poruczniku, niech pan porucznik poprosi dla mnie o parawan. I o... basen.

„Basen” było powiedziane z jakimś głupawo-sprytnym uśmieszkiem. Chory nigdy nie robi dowcipów na temat basenu: to rzeczy w szpitalu ważne, egzystencjalne. Z siostrą porucznik przysunął parawan. Basen się zjawiał. Włodarczyk wycofywał się za parawan, gdy chorąży go zatrzymał. – Nie, to nie to, co pan porucznik myśli. Niech pan porucznik zostanie. – Włodarczyk został. Usiadł z powrotem przy łóżku. Ziętar, podniesiony nieco, uśmiechał się dalej dziwacznie. Co jemu jest, zaczął się dziwić Włodarczyk. Uśmiech Ziętara miał teraz jakieś pobłażanie i dumę. Dziecko czające się z podstępem:

– Niech pan porucznik da swój chlebak...

Włodarczyk miał go przy sobie, pełen, rzecz jasna, jakichś papierosów z plutonu opieki, listów z Niederlangen, książek, które mu dano do odwiezienia. Chlebak brytyjski jest otchłanią przepastną. Ziętar zbadał, ile miejsca w nim jest, odgarnął papiery i książki. Uśmiechnął się znowu i rzekł:

– Pan porucznik pojedzie do Polski...

Włodarczyk nie potwierdzał, nie zaprzeczał. Teraz nie było mu to powiedziane jako zarzut ani jako podstęp; i mówił człowiek, który odchodził. Z tamtego nieomal brzegu.

I Włodarczyk był zmęczony tymi zaprzeczeniami dwóch dni, nie reagował na dalsze, tak jak po pewnym czasie nie reaguje się na dalsze bicie. Ale może Ziętar nie myślał o jakimś natychmiastowym wyjeździe, bo dodał:

– to wtedy, jak pan porucznik wyjedzie, to pan porucznik ode mnie zabierze do Polski coś...

Lewą ręką przez prawe ramię począł sięgać pod poduszkę. Porucznik przypomniał sobie, że mówiono o bezwładzie prawego ramienia i w ogóle prawej strony ciała; przez myśl mu przeszło, że może winien był o to zapytać. Ale tymczasem spod poduszki wysunął się kształt obszyty grubym płótnem. Sznurek łączył go z ręką Ziętara. (Nikt by nie mógł, gdyby chciał, wyciągnąć mu tego spod głowy.) Kształt przesunął się na łóżko, leżał teraz przed Ziętarem i ten począł wysuwać go z obszycia. Była to zielona, metalowa skrzynka, z gatunku wojskowych kancelaryjnych, służących w wojsku do przechowywania kas pułkowych, batalionowych czy jakich. Nim kluczami Ziętar począł otwierać skomplikowany zamek, porucznik już wiedział. Przez myśl przeszło mu takie samo ciepłe uczucie dumy jak wtedy, gdy rotmistrz

mu mówił o zaszczycie, że o niego, Włodarczyka właśnie, tak się upomina żywa relikwia pułku. On jeden nareszcie ujrzy naprawdę tak zwane „skarby Ziętara”.

„Skarby Ziętara” należały do cyklu legend o chorążym. Oto w kancelarii, gdzie sypiał, a potem w tym jego pokoju na górze, a przedtem na wozie, w Szkocji jeszcze, we Francji ponoć, chorąży Ziętara posiadał zawsze tajemniczą, żelazną skrzynię. Była dwoma łańcuchami przykuta do łóżka, zamknięta na parę kłódek. Nazywano ją „Ziętarrowym skarbem”. Chorąży przechowywał ją starannie i jeśli tylko wyjeżdżał z pułku, na urlop czy służbowo, skrzynię ładowano z nim, ku złości noszących, a uciecze gawiedzi. Skrzynia szła za nim wszędzie. Nikt nie mógł się poszczycić, że kiedykolwiek do niej zajrzał; najstarsi żołnierze pułku nie pamiętali, kiedy pojawiła się po raz pierwszy. Chorąży na temat skrzyni nie lubił ani pytań, ani dowcipów. Mnożyło to tylko jedne i drugie. Wreszcie znudzono się tym. „Zostawcie już Ziętara i jego skrzynię” – mówił kiedyś jeden z dowódców pułku. „Co on tam ma? Na pewno fotografie jakieś pułkowe, jakieś stare proporczyki czy co to tam; pułkową graciarnię; dobrze, że ktoś to przechowuje”.

Ale byli i tacy, co twierdzili, że w wielkiej skrzyni Ziętara jest druga, mniejsza, a w niej jeszcze mniejsza, a w tej trzeciej znowu mniejsza, jak w takich drewnianych jajach dla dzieci, gdzie w każdym jest jeszcze jedno, i znowu jedno, i znowu. Porucznikowi przeszło to teraz przez myśl; tak, to musiało być to najmniejsze jajo, ostatnia skrzynka. Samo serce Ziętarowego skarbu. Ziętarowy skarb. I naraz Włodarczyk cofnął się do tych czasów dalekich, kiedy czytał w książkach dla dzieci o skarbach, zamkniętych czy ukrytych, tajonych skarbach, których sekret ktoś komuś na łożu śmierci zdradza. Stare historie dziecinne, tu, po latach, stawały się naraz żywe. Klucz zakręcił się tymczasem w ręku Ziętara, jakaś sprężyna odskoczyła, blaszane, wewnętrzne wieko uniosło się. W stalowym wnętrzu zamigotały zielono dolarowe i błękitnawe funtowe papierki. Było istotnie tak jak w historiach z książek dziecinnych.

Porucznik uświadomił sobie, po co potrzebny był ów parawan.

Ziętar był zajęty liczeniem. Wykładał kolejno paczkę po paczce na koc szpitalny.

– Pan porucznik przeliczy... To same dwudziestki... Czterdzieści osiem dwudziestek...

960 dolarów... Tu stówki... Osiem... 1760 dolarów... Niech pan porucznik tu odkłada, o tu. Tera funty...

Włodarczyk odruchowo czynił to, co mu kazał chorąży. Tamten teraz był ważny. Wziął z kolei funty:

– To są jedynki – objaśniał chorąży – niech pan porucznik przeliczy. Będzie tego sto dwadzieścia sześć sztuk... Te tam białe to piątki... Dych nie ma. Pan porucznik będzie miał z nimi trochę kłopotu... Trzeba będzie wymienić, bo na kontynencie mało chodzą. Ale same późne numery. Rok 1942, 1943 najpóźniej... Nie powinni robić trudności. No dobra. Teraz *postal order*...

Ziętar sam przeliczył, z większą niż Włodarczyk wprawą, czerwone przekazy pocztowe. Porucznik patrzył, jak przechodziły przez grube, krótkie palce podoficera, niby perły różańca. Myślał teraz o Ziętarowym skarbie. Tyle ten zdołał nabrać! Przez myśl przeszło mu jeszcze zapytanie: jak? No tak, wyliczał sobie, pensja chorążego jest niezła, ma kasyno darmowe, kocioł, mieszkania nie płaci ani umundurowania, nie ma potrąceń. Lepiej takiemu niż podporucznikowi. Ziętar, jak tylu innych zawodowych starszych pod-

oficerów, należał do skąpiarzy, ciułaczy. Żołnierz-ciułacz, mówiło się, miast żołnierz-tułacz. Grał w karty, ale wygrywał, ogrywał; pił, ale na cudze konta. Czy robił jakie kombinacje finansowe? Tego Włodarczyk nie mógł sobie przypomnieć. Ale tymczasem Ziętar odłożył przeliczone *postal order*y i sięgnął palcami w głąb skrzynki. Wysupłał z niej ukryte głębiej dwa długie, kiskowate woreczki z parcianego płótna. Wyglądały jak serdelkowe kielbaski. Palcami, które drgały i obślizgiwały się, rozsypywał zakończenie pierwszej. Wreszcie rozsupał. Wtedy ujął drugi, nierozsupłany koniec w prawą rękę i podniósł go do góry. Lewą nadstawił zebrząco zgiętą pod rozsupałny koniec. Z cichym metalicznym brzękiem poczęły wysypywać się jak ziarna – niewielkie złote pieniążki. „Krażki”... przypomniał sobie żargonowe określenie Włodarczyk. Ciekawie wziął jeden i obejrzał. Ziętar uśmiechnął się.

– Pan porucznik tym nie zwyczajny?... Suwereny... Na koniu to święty Jerzy... Nazywają ich czasem „jurki”. Będzie tego trzydzieści trzy sztuki. No, niech ta pan porucznik odsypie i zawiąże, bo mnie do tego ręka nie bardzo...

Mętnie, mgliście zasupłując z powrotem trzos Włodarczyk zakreślał sobie, ile tego mogło być w tym Ziętarowym skarbie? Nie pamiętał już, ile było tych dolarów i funtów; nie wiedział, ile jest funt na dolary czy odwrotnie; słyszał kiedyś, że złote funty stale idą w górę. Okres zimowej gorączki złota, wymian giełdowych i transakcji brukselskich przetrwał w szpitalu w Anglii, więc ominęły go nawet rozmowy. Co najwyżej, echa jakoweś późne. W umyśle rośla mu tylko jakaś góra złota, wyładowywana tu, za tym szpitalnym parawanem. Siostra podeszła właśnie i spytała nieosobowo zza białej ścianki parawanowej: „*Has he finished?*” i obaj odpowiedzieli „*No*”, „*not yet*” – ale Włodarczyk jakimś odruchem zasunął chlebak na leżące na kocu pieniądze. Zawstydził się potem ruchu: ach, więc ukrywał. Mimowiednie stał się współnikiem czegoś, co nie było – odczuł to – legalne. Tymczasem z drugiej parcianej kiełbaski wysupływały się ostrożnie inne krążki, jakby grubsze, z bardziej połyskliwego złota. Było w nich coś podobnego do greckich monet z muzeów, ale były prócz tego znaki USA.

– Siedemnaście – oznajmiał jakby smutno Ziętar, po czym pocieszał: – same dwudziestki.

Żelazna skrzynka leżała wypróżniona. Chorąży, jakby zmęczony, opadł. Przez krótką chwilę trwało milczenie, aż słychać było, jak dwaj grający w drugim kącie w jakieś warcaby czy szachy, a może halnę, mówili: „*Down, it's my move!*” i czyjeś pantofle zaczęły po podłodze. Potem Ziętar począł ordynować:

– Funty, te papierki, trzeba będzie wymienić na dolary. Wszystkie. W Londynie. Byle nie w „Białym Orle”. Tam niesolidne chłopaki. Lepiej już w Czerwonym Krzyżu... Taki jest tam jeden major czy kapitan. Mieć pan porucznik powinien na Polskę same dolary, w nie za małych, ale i nie za dużych kawałkach. Dwudziestki najlepsze. Nigdy nie wiadomo, które odcinki lepiej idą. Raz duże, to znowu małe... Tak już jest – zgodził się niechętnie z losem. – Złote funty może pan porucznik zachować. Jakby można było taniej zamienić dolary papierowe na złote, ale dolary także, byłoby lepiej... Ale to już za wielka kombinacja na pana porucznika... Mieniał pan porucznik kiedy na lewo?

– Raz – zaczerwienił się Włodarczyk.

– To za wielka kombinacja. Papier też dobry. No i teraz niech mnie pan porucznik

uważnie posłucha, żeby potem zrobić, jak tu powiem. Pan porucznik te pieniądze, te wszystkie, weźmie. Ja swoje, co mi tu ta potrzeba, mam. Szpital królewski angielski, pogrzeb mi też królewski zrobią. I prośbę mam z tym jedną tylko. To już do dowódcy pisałem. Żeby nie na tej ziemi szkopskiej. Ani w tej Holandii, gdzie nasz chłopak nawet suchego grobu nie ma, bo go zalewa od spodu. Żeby mnie zawieźli, choćby jak pokój będzie, do tego naszego cmentarza, pod Falaise. Pan porucznik wie... Tam gdzie pana majora przenoszą i tych spod Jort... Jak to się nazywa? No, do Laganerii...

– Langannerie...

– To to. Langannerie. Tam i pola nawet takie trochę jak pod Przysieką i pół pułku już tam jest, i mnie tam miejsce z nimi, swojakami, i nie francuska to już ziemia, ale że polską, naszą krwią zgnojona, więc pułkowa, polska. Dowódca na pewno spełni, a pan porucznik już tylko przypilnuje. Zaś żeby grób nie pomieszany z jakimi tam od artylerii czy z pierwszego albo drugiego pancernego. Ja do pancerniaków nigdy i za życia zdrowia nie miał...

Włodarczyk się zaśmiał. Ziętar krzywym okiem patrzył zawsze na tak zwaną „pięść dy-

wizji” – dwa pancerne pułki na ciężkich czołgach, schermanach, pozbawione tradycji kawaleryjskich i co gorsza pokpiwające z niej.

– A podhalanie albo dragoni?

– Pan porucznik sobie z poważnych rzeczy... No, jeszcze jak się dragon jaki trafi, to choć bardzo złodziejskie to wojsko, swoich rannych z portfelów obrabia, niech tam i leży gdzie przy mnie... Już mi ta nic z grobu nie wyciągnie... Chyba ten ząb jeden złoty... Ale dzielne przynajmniej, siła ich się pokładło i czołgom bracia... Tak zawsze za czołgiem jak ptaki za pługiem. Do podhalan to ja serca nie miał. Chyba jak tam który prawdziwy, narwiczki jeszcze, niech gdzie będzie. Ale tak najlepiej – żeby sami nasi, strzelcy konni. Panie poruczniku, czy aby na krzyżach tych będą proporczyki? Żeby tak w barwach pułkowych. Żółto-zielone, jajecznicą ze szczypiorkiem. *Yellow green*, mówili w Szkocji na nasz chór pułkowy. *Yellow green*. Choć Szkoci, a rozumieli! A jak nie sami swoi, to niechżeby cwancygierów było najwięcej. To dobry pułk, choć reklamiarze i o nasz zawistni...

(Cwancygierami nazywano dwudziesty czwarty ułanów).

Był zmęczony. Mówił bezładnie.

– Ale tym to już się kapelan, grabarz boski, zajmie. Do pana porucznika to ja mam te pieniądze właśnie. Pan porucznik je zabierze, zabierze, ze sobą zawiezie. Tera, zaraz. Co pan porucznik myśli? Ja mogę skończyć za dzień i tydzień; ile naszym w szpitalach forsy poginęło! Pan porucznik to zawiezie do Anglii. I potem, ja już myślę, niedługo pan porucznik będzie jechał do Polski. Na co tu ma pan czekać, panie poruczniku? Pan porucznik nie z tych, co sobie dom na wsi kupią albo do Kanady pojedą. Panu porucznikowi do Polski. Może się tam panu porucznikowi lepiej jak tu poszczęści. Choć – co ja tam wiem...

Niebieskie, przekrwione gały wywalały się na Włodarczyka.

– Pan porucznik niech nie mówi „nie”. Pan porucznik pojedzie do Polski. Jeszcze nim to nasze tu wojsko rozwiążą. Niby je prędko będą rozwiązywali? Niby Anglicy się pośpieszą? A może nasi tak tęsknią, żeby nie mieć już zaś nikogo pode sobą? Pan porucznik pojedzie do Polski. I to, co panu porucznikowi dają, to do Polski. Oszczędności moje... Niejedno się zarobiło... No, niejedno – to ze zdobycznego, wojennego...

Zaciął się. Może była pod tym nurtem jakaś wstydliva, nieczysta rafa. Ale opływał ją:

– Tera tym się wygładzi. Pan porucznik pojedzie z tym do Zagojczan. To moja, jasielska wieś. Kiedy pułk stał w Łańcucie, mogłem tam i jeździć, na święta choćby, alem nie jeździł. Święta się w pułku spędza. Ale pamiętam. Wysoko to już leży, rozrzucone. Pan porucznik był kiedy u nas w Jasielskiem?

– Nie. Przejeżdżałem tylko.

– To pan porucznik zobaczy sam. Duża wieś. Pod górę idzie. To tam pan porucznik se pojedzie, pochodzi, z ludźmi obgada, ale nie mówiąc co, potem z księdzem. Już pewno stary kanonik Wisłocki nie żyje, ale zawsze tam jakowyś pomidor się znajdzie. Grunt pan porucznik wybierze, ile tam będzie trzeba, dwie morgi co najwyżej, starczy: tylko żeby nie zaś blisko drogi samej. I z ludźmi uważać, bo to spekulanty. Mogą od pana porucznika za ten jeden mórg zaśpiewać tyle, co za akre na Piccadilly. Tak samo niech pan porucznik pieniędzy wszystkich od razu nie mienia, ale po kawałku, jak będzie budowa szła. Bo po wojnie to zawsze pieniądz spada, a dolar i złoto skacze...

Włodarczyk myślał notując sobie w pamięci. Zastanowił się przy słowie „budowa”.

– Jest w Zagojczanach szkoła – ciągnął Ziętar – ale taka to i szkoła! Pan porucznik zobaczy, jakie te szkoły w Jasielskiem. Z drzewa budowane, rozlatuje się. Pewno się i rozleciała do tych pór. Małe. Tłok tam na godzinie. Nic. Ja pamiętam. Gdyby w tych Zagojczanach inna była szkoła, to i ja, panie poruczniku, na człowieka, na ludzi bym wyrósł. Na świat bym wtedy nie patrzył jak ten nieuk na książkę, że nie wie, na co ona i o czym w niej. Ja tożem sobie przemyślał to wszystko, panie poruczniku. Więcem sobie powiedział kiedyś, że może, a teraz, kiedy wiem, że tu zostanę, to już na pewno, że za te wszystkie pieniądze, com je uzbierał sobie na lepsze lata stare, w Zagojczanach szkoła stanie. Szkoła, panie poruczniku. W Zagojczanach tych właśnie. Ale prawdziwa szkoła. Pan porucznik pamięta szkołę w Pickering?

Pickering w Yorkshire było miejscem długiego postoju pułku. Jak przez mgłę porucznik pamiętał tam duży budynek szkolny.

– To nowa szkoła, ta w Pickering. W jednej gazecie nawet pisali, że taka w całej Anglii najnowsza. W kancelarii znajdzie pan porucznik wszystkie jej plany odrysowane, co i jak. My z Kubickim to robili. Pan porucznik

je zabierze. Piękna jest szkoła w Pickering. Sale duże, okna na ściany całe, gimnastyczna, a jakże. Natryski. Muszą być natryski, panie poruczniku, niech pan porucznik pamięta, gdyby mówili, że nie, to się uprzeć, a natryski musowe, tak chcę ja. I gorące, i zimne żeby były. I ławki wszystkie porządne, i tablice nie takie drewniane tylko, a właśnie jak w Pickeringu. Mieszkania dla nauczycieli też jak w Pickeringu, żeby im było wygodnie i co lepsi żeby starali się, aby ich nie gdzie indziej, a do Zagojczan. Choć od kolei daleko. Pieniędzy powinno starczyć...

Włodarczyk nie mówił nic.

– W rok powinni ją wybudować. Może w dwa – rozlubowywał się w swej myśli Ziętar. – I boisko żeby było. Dwa. Ogrodzić. Nie śpieszyć się z budową i jinżyniera niech pan porucznik dobrego weźmie. Nie szkoda zapłacić. Najlepiej taka biała niech będzie, może z czerwonym dachem, choć ta w Pickeringu nie ma czerwonego dachu. Nasza może mieć. Z daleka będą widzieli. Przysieka, Starawa, Wolica zazdrościć będą. Może nawet i Jasielnica będzie zazdrościć. Na pewno i Jasielnica. I tak ma być napisane – niech pan porucznik to zapisze: – „Siedmio-” albo le-

piej „ośmioklasowa”, a jakby były i „dziewięcio-” i „dziesięcio-”, to i „dziewięcio-” albo „dziesięcioklasowa Szkoła Powszechna w Zagojczanach. Imienia i Fundacji Dziesiątego Pułku Strzelców Konnych...”

– Fundacji? Przecież to wy fundujecie...?

– Imienia i Fundacji Dziesiątego Pułku Strzelców Konnych. Takem to sobie obmyślił, tu leżący, i tak ma być. Panie poruczniku! Ja to jedno wiem. Póki będą gdzie w Polsce wspominać ten nasz dziesiąty pułk, póty i o chorążym Ziętarze pamięć będzie, i jak ja coś, chorąży, pułkowi stawiam, to sobie samemu to stawiam. Ustarczy. Więc, panie poruczniku, ma być taka szkoła, jak mówię, jakiej w całym powiecie, całym województwie nie ma, jak tylko na Śląsku co niektóre to były takie, szkoła jak pałac jaki, lepsza niż ten Badeniowski, a nowa, ze szklanymi oknami wielkimi. Niech pan porucznik, nim do Polski pojedzie, jeszcze tę w Pickeringu sobie oglądnie, to cztery godziny jazdy z Londynu, jedna przesiadka w Yorku, połączenia dobre. Więc ma być taka szkoła i tam mają chodzić te Jędrki a Jaśki zagojczańskie. I tam ma być taki nauczyciel i pani nauczycielka, co człowieka myśleć samemu uczą od maleńkości

samej. Że mu wolno myśleć, co ady chce. Niech pan porucznik i tego przypilnuje... O boisku to panu porucznikowi mówiłem, że ma być duże, dobre... Jak w Pickeringu... I o natryskach. Że gorące... To wszystko ma być zbudowane. Pieniędzy starczy. To już wszystko... Aha, i że w dzień święta pułkowego ma być wolne i wtedy ma nauczyciel opowiedzieć dzieciom w szkole historię pułku. Pan porucznik pamięta, że święto pułkowe to każdego 29 kwietnia, jako że 29 kwietnia 1919 roku pułk, stworzony na obczyźnie, w tamtej wojnie, we Włoszech i we Francji, wrócił tego dnia do Polski. Przekroczył granicę tego dnia 29. Mądrze to sobie wybrali na dzień pułkowego święta – dzień powrotu do Polski, prawda?

Porucznik nawet nie zauważył, jak siostra, mrużąc jakiś nieuprzejmy komentarz, odebrała dawno niepotrzebny parawan. Zrobiło się już na sali całkiem szaro i w tej szarości ginęły niemal kontury głowy na poduszce, i wszystko zlewało się w jakiś dymny mrok. I głos chorego zmęczony dobywał się poprzez ten mrok, jakby z coraz dalszej i dalszej strony, z jakiegoś drugiego, niewidocznego brzegu:

– Jest taka historia pułkowa jedna, co to ją wszyscy pisali, ale co ta ona warta! I to jest ostatnia rzecz, o jaką pana porucznika jeszcze poproszę. Jak już pan porucznik będzie w Polsce i ta szkoła się będzie stawiała, i pan porucznik czasu trochę znajdzie, to niech pan porucznik sobie zaś siędzie – ot tak, szarą godziną, jak ta teraz niby, niepotrzebną całkiem, i tak sobie wszystko poprzypomina pomalutku, nieśpieszący. I co sam w pułku widział i przeżył, i co mu inni mówili, ja nawet. Wszystko. I nawet jak pan porucznik coś tak po swojemu wygarnie, a nie ukryje, nie wycka, to dobrze będzie. Ja to tera wiem, że tak trzeba. Młoda, zdrowa dziewczucha to się nie maluje, jej tego nie trza, a dopiero taka, co to byle każdemu da, nakłada sobie na ryło a to pudru, a to farby. Nam tego nie trza. Tylko niech pan porucznik nie zapomni ani o Lamadria, ani o Jordanowie, ani o Węgrzech. I jak pułk wziął tego niemieckiego generała do niewoli pod Chambois. Będzie pan porucznik pamiętał, że to był generał dowódca korpusu?

– Przecie wiem.

– Dobrze już, dobrze. Zawsze się trzeba pytać, żeby aby na pewno. To rzecz ważna,

panie poruczniku. Tak może być, że i pułku nie będzie, i niczego nie będzie. Gdzieś tylko zostanie ten biały cmentarz w tej Lagannerii z grobem pana majora Maciejowskiego, ten sztandar nasz w czyimś wiernym ręku, i jacyś ludzie nasi, ten tu, a tamten ówdzie, a trzeci jeszcze gdzie indziej. To wtedy, rozumie pan porucznik, musi być ta moja szkoła w tych Zagojczanach i nowa szkoła, inna, i dzieci mają słuchać tej opowieści o nas tu, o tych, co byli, szli, nie doszli. Jakeśwa o innych dawno zmarłych słuchali, tak one o nas tam słuchać bedom. Opowie im to pan wszystkim, ale tym śmirusom, dzieciom znaczy się, najpierwej. Dobrze, panie poruczniku?

– Panie poruczniku, dobrze?

W tej chwili, w ów mrok wieczorny, jesienny, niemiecki, jeszcze zagęszczony milczeniem, wpadło naraz ostre, żółte światło. To w progu sali siostra przekręciła kontakt i w pół drzemiący chorzy dźwigali się po łóżkach, i głosy angielskie, cudze, poczynaly do siebie zagadywać wzajem. I pod tym światłem obcym, mrok miękkiej wyganiają-

cym, twarze dwóch Polaków tężały, stawały się spokojne, rzeczowe, obojętne, jak gdyby nic tu nie było powiedziane i jakby tu nic się nie stało, i jakby to tylko do chorego podoficera przyjechał w odwiedziny ktoś z pułku.

„Trzyście opowieści” – Warszawa 1946

Cień Gruzji

Jan szedł nie spieszący ulicą paryską, jakby to wszystko, co przeszedł przez tych lat pięć, było tylko snem, złym, koszmarnym snem. Świeciło jasne, grudniowe popołudnie, zupełnie wczesne jeszcze, toteż w tej części miasta nawet przechodniów było mniej niż zwykle. Było zatem i mniej mundurów obcych, mniej kaczkowatych, krzykliwych Amerykanów, mniej szykownych Anglików, mniej wojny i mniej khaki. Za to most Aleksandra III piętrzył po dawnemu swe złoczone, kałamarzowe szpetoty, konie, syreny i piersiste postaci symbolizujące Republikę Francuską i Imperium Romanowów; i most ten, który nigdy nie budził w Janie miłych reminiscencji, tym razem był mało polityczny, a za to bardzo dziewiętnastowieczny i paryski. Złocista szpetota carskiego mostu nabrała przez te lata patyny antyku. Idąc mostem Jan obejrzał się za siebie, na lewy

brzeg Sekwany. Chciał jakby przekonać się osobiście, czy jest – jak dawniej – na miejscu kopuła Inwalidów i wieża Eiffla. Były. Ze szczytu wieży tak zrosłej z wspomnieniami Paryża jak widok piramid z Egiptem, drapaczy chmur z wjazdem do Nowego Jorku, a kolumny Zygmunta z Warszawą, zwisała znowu *tricolore*, jakby większa tylko niż ta, która zwisała tam dawniej. Jej czerwień, biel i błękit były także jakby świeższe niż przedtem. Dalej od wieży Eiffla rysowała się błękitniejąca w mglistym powietrzu paryskim kopuła Inwalidów, niezmieniona, spokojna i daleka. Jan zszedł już z mostu i szedł skrajem w górę Champs Elysées. Po drodze mignęła znajoma twarz. To Florian Sokołów, po generalsku i angielsku wykwintny w swym mundurze *War Correspondenta*, szedł w dół od Etoile'i, pilotując śliczną, młodziutką dziewczynę, Amerykankę najwidoczniej, chłonącą rozwartymi oczyma nieznaną Paryż. „Panie Jasiu, musimy się zobaczyć, ja stoję u Scribe'a. Jak Manuel?” – zamachał zyczliwie Sokołów i zaraz odsalutował z łaskawym wdziękiem dwom młodym brytyjskim podporucznikom gwardii, którzy na jego widok wyprężyli się i zabili salutem w dach.

Po tym Paryżu Jan chodził jak po mieście czy miejscu dawnych, minionych wspomnień i może dlatego nie szedł dalej Polami Elizejskimi ku majaczącym w słonecznym, błękitnym powietrzu masywom Łuku Tryumfalnego, ale naraz zawrócił, skręcił na lewo, ku niewielkiej i dosyć wąskiej uliczce. Kasztany i platany Pałacu Elizejskiego, tuż po prawej, z zamkniętą siedzibą prezydentów Republiki, rozścieliły tu pod nogi żółte, szeleszczące i nie uprzątnięte liście. Janowi przypomniała się naraz owa scena z pierwszych prawie wierszy „Pana Tadeusza”:

*Właśnie dwukonną bryką wjechał młody
panek
I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu. Konie, porzucone same,
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto, bo drzwi od ganku
zamknięto
Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki
przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu; pragnął go
powitać.
Dawno domu nie widział.*

Nie wiedział, czemu to właśnie. Paryż nie przypominał w niczym cichego dworu w Soplicowie, a *jeep* którym wczoraj dobrnęli do Cité Universitaire także nie był zbyt podobny do litewskiej „dwukonnej bryki”. Ale nie: wiersze Mickiewicza nie bez racji dźwięczały echem w szeleście liści Elysées! Jan także –

*Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Którymi się zabawiać lubił od powicia,
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się
dawniej zdały...*

*Biegał po całym domu i szukał komnaty,
Gdzie mieszkał, dzieckiem będąc, przed
dziesięciu laty.*

Tak za każdym krokiem tej popołudniowej *flânerie* nachodziły Jana strzępy wspomnień i strzępy wierszy. Aż zrozumiał. Tajemnica skojarzeń była prosta: oto w ciągu tych niespełna czterdziestu lat Janowego żywota kolejno zawały się za nim światy jego dzieciństwa, młodości, wieku męskiego nawet. Zawalił się nasamprzód daleki Kaukaz dzieciństwa ze wspomnieniem ojca-inżyniera i drewnianej daczy w pięknej Soczi – i Erzeru-

mu, i Tyflisu. Zawaliła się i zgorzała brzoza Białoruś ze Słucka, pylne drogi, którymi od stacji w Orszy jechało się do matczynej babki, starej pani, co korespondowała z Orzeszkową, trzymała w strachu psy, służbę i wnuki, i tajiła w sercu dozgonnie nieukoiony żal, że najmiłszą z córek wydała za „człowieka z miasta”. Te oba światy – Kaukaz i Białoruś – zawaliły się najprędzej i najwcześniej. Zawaliły się nawet tak dokładnie, że Jan przyjął to jako konieczność, niezbędność, jako coś – niejako – naturalnego. Tak samo jak naturalne jest, że w pewnym wieku porzuca się dziecinne, ongiś kuszące zabawki, że nie wraca się do dziecinnych zabaw ani ubrań. Dopiero pobyt w Anglii otworzył mu oczy na to, że normalnie jest i powinno być inaczej. Będąc na stażach w brytyjskich pułkach Jan odkrył, że jego angielscy koledzy posiadają jakiś swój *home* – nawet gdy nie jest ich własnym – że gdzieś, w jakimś Somerset albo Salop, albo Huntingdonshire, albo Norfolk, albo Devon, jest jakiś dom ich dziadków, gdzie są te same wypłowiałe obicia, które pamiętali dzieckiem, te same wiktoriańskie fotografie dawno pomarłych osób, gdzie zmieniają się tylko drwa na tych samych kominkach, psy uśpione przy tych sa-

mych fotelach, i gdzie wojna – to coś, co dzieje się daleko bardzo, a rewolucja – czymś, o czym czyta się w gazetach jak o wybuchu wulkanu, tornadzie na Antylach czy gejzerze na Islandii. Paru kolegów Jana zabrało go do siebie na takich kilka dni urlopu i wtedy dopiero Jan uświadomił sobie, że normalną rzeczą nie jest, by kraje naszego dzieciństwa czy młodości obsuwały się jedne po drugich w przepaść: normalne jest, by trwały trwalej niż jedno życie, niż czyjaś młodość. Trwalej niż parę pokoleń. Zarazem Jan uświadomił sobie wtedy, jak wielkim podtrzymaniem dla Johna, Teddy'ego, Boba, dla Phelpsa, dla Cromarty, dla Irvinga był – za ich dni dunkierskich, burmeńskich, włoskich, singapurskich, w oflagu czy japońskiej niewoli nawet – ów fakt, że gdzieś tam w Anglii jest jakiś Linby Hall czy Wencesworth Hill, czy Dartley Lodge, czy jak tam się zwały, najskromniejszy, nawet całkiem skromny, ale swój, rodzinny *home*, gdzie tak samo liście żółkną w alei na jesień, tak samo króliki wyrządzają szkodę w ogrodzie wiosną, tak samo ciecze po kamieniach jakiś nic nie znaczący dopływ Severn, Leach czy Yare, tak samo *postman* przychodzi o 9.30 rano, a mleczarz już o ósmej, tak samo ciotka Betty –

w najgorszym razie Marjorie czy Fanny – celebrycie o piątej po południu zawiły a niezmiernie ważny herbaciany obrzęd. Jan zrozumiał, że trwałość tego *home*'u jest tak samo podstawowa dla trwałości Imperium jak Król, jak Parlament, jak Navy, jak Bank of England – cztery filary i świętości Zjednoczonego Królestwa. A gdy to sobie uświadomił, uświadomił sobie zarazem, że olbrzymia większość Polaków nie ma tego, co mają tamci. Wykrył jeszcze jedną polską nędzę. Dziecko, które jest podrzutkiem, nawykło do tego, by nie mieć matki i ojca, ale uświadamia sobie ich brak, gdy widzi inne szczęśliwe dzieci.

Jan widział, jak potrzeba *home*'u wdraża się tu i w innych emigrantów, jak czasem wykoślawia się w chorobliwe skrzywienie. Kontakty angielskie obudziły w nim jednak tęsknoty za tymi różnymi *home*'ami, jakie nie przetrwały w jego życiu dłużej niż dzieciństwo czy młodość. Po upadku warszawskiego powstania Jan wcześniej niż inni zdał sobie sprawę z jeszcze jednej smutnej rzeczy: oto że Polska jego młodości, to jest Polska lat pomiędzy 1922 a 1938 r., osunęła się w tę samą przepaść czasu, w jaką stoczyła się ongiś drewniana dacza w kaukaskiej Soczi i senna,

zadumana Białoruś pylnych traktów, brzoźowych borów i łopuszańskiego domu. – To, co teraz będzie, gdy wrócę – jeśli wrócę – będzie już inną Polską. Może dla jednych lepszą; może dla innych gorszą. Ale dla wszystkich inną. – I dlatego tym miłościvszymi oczyma popatrzył teraz Jan na Paryż. Paryż bowiem nie był obcy. Paryż ocalał. Paryż pozostał. Uliczne powstanie, które zmiotło z tych bruków brunatne ślady swastyki, było jak silna, letnia ulewa, co tylko zmywa asfalt, odnawia zieleń liści i orzeźwia chłodem powietrze; nie było, jak w Warszawie, burzą, która łamie korony sosen i obala na ziemię dęby. Tak, Paryż pozostał. I Paryż nie był obcy; przeciwnie, Paryż był bliższy niż te miasta i miasteczka angielskie, gdzie przecież Jan spędził więcej czasu niż tu. Jak? Dlaczego? Tajemnica kontynentu? Jednego i tego samego kontynentu i dla wspaniałego Paryża, i dla dalekich Łopuszan czy jeszcze dalszej Soczi? Może... Ale jeszcze i echo dzieciństwa, kiedy mowa francuska, jak to wtedy w Rosji bywało, wcześniej zawisła nad kołyską, kiedy w opowieściach starszych często przewijał się Paryż. A potem trzy kolejne paryskie pobyty. Ten pierwszy, 1932. Ten dru-

gi... Ten trzeci... Tak. Paryż należał do owej epoki jego życia, którą zamknął na zawsze rok 1939; i Paryż był jedną z nielicznych scen tamtego życia, na którą dane mu było wrócić. Tu i tylko tu mógł jeszcze iść ulicami, które się nie zmieniły, mijać domy, których nic nie spaliło, być tam, gdzie się było kiedyś. I Jan nie czuł żalości, że Paryż stoi, gdy Warszawa... Jan czuł w duszy wdzięczność, że przynajmniej z tyłu jego światów ten jeden przetrwał.

*

Zatrzymał się i rozejrzał.

Tak. Krągły plac Beauvau był ten sam co wtedy, owego pierwszego razu, i od razu sycił wspomnieniami. Jan pamiętał tamten wczesny brzask, pociągi mijane przy wjeździe. Pamiętał, jak pociąg stanął, krzyki: „*Gare du Nord!*”^{*} i „*tout le monde descend!*”^{**}; pamiętał, jak się znalazł w taksówce, jak przypomniał sobie, że taksówkarzom za granicą daje się napiwek – nie ustalone 10% jak w Polsce.

* (franc.) – Dworzec Północny.

** (franc.) – Proszę wysiadać.

Potem, jak próbował z tej taksówki rozejrzeć się po mieście, jak było ono wtedy wyludnione, szare, brudne – nic dziwnego: piąta rano – i jak wreszcie auto skręciło na ten plac, a z niego w zwężone przedłużenie – rue de Miromesnil. Był tam hotel wskazany mu jeszcze w Warszawie przez redaktora jego pisma; i hotel był zawiadomiony. Jan pamiętał szyld nad bistro z naprzeciwka i jak polewano ulicę, gdy wysiadał i płacił, i potem jak Mademoiselle Cécile z uśmiechem dawnej znajomej zaprowadziła go na górę. „*C'est votre chambre*”. Jan pamiętał ten pokój z olbrzymim, francuskim łóżkiem, jakich nie miały polskie ani czeskie, ani wiedeńskie hotele, z miękkim, wytartym dywanem i białym marmurem kominka. Dopiero z tym łóżkiem, pokojem i kominkiem Paryż mu się wydał jakiś bliższy. Pamięta, zaciągnął story i poszedł spać po dwóch nocach spędzonych w trzeciej klasie pociągu pośpiesznego Niegorełoję–Warszawa–Paryż. Kiedy obudził się, przez kotary w framudze okna przeciekało ciepłymi, tłustymi plamami gorące słońce i dolatywał daleki, ale potężny gwar dawno

* (franc.) – Pański pokój.

obudzonego miasta. Tak właśnie Janowi objawił się ongiś Paryż.

Hotel był tam, gdzie zawsze. Nie był ani zarekwirowany, ani zamknięty. Jan nie musiał nawet dzwonić: przecież nie była to piąta rano. Po prostu nacisnął mosiężną, wygłaskaną klamkę i pchnął szklane drzwi. Był w hallu. W pokoju na lewo chwiały się po staremu melancholijne oleandry; przy jednym z biurek ktoś pisał. Na prawo... – „*Nous sommes bondés, Monsieur, rien à faire.*” Jan poznał głos i uśmiechnął się. Wyjaśnił, że nie o to chodzi. Mademoiselle Cécile nie poznawała go, aż naraz rozlała się w manifestacjach radości. – No jakże, no jakże... *Vous étiez ici en trente deux – non, écoutez, trente trois. Puis deux fois en trente six. Puis en trente huit. Avant Munich – westchnęła. – Puis en trente neuf!*** – Wyliczała z pamięci, ze swej nieomyślnej, hotelarskiej pamięci, każdy z paryskich pobytów Jana. Sezon. Niemal miesiące. Rzucała pytania i nie cze-

* (franc.) – Nie mamy, proszę pana, wolnych pokoi.

** (franc.) – Był pan tu w trzydziestym drugim – nie, zaraz, trzydziestym trzecim. Później dwa razy w trzydziestym szóstym. Później w trzydziestym ósmym. Przed Monachium. Później w trzydziestym dziewiątym.

kając odpowiedzi pytlowała dalej. Sprowadziła opasłego, mocno postarzałego Monsieur Gastona, który przyczłapał w tej samej alpagowej marynarce, z tym samym *torchon* w łapie i wtórował grubym basem jej piszkiem. – *Alors vous restez chez nous?** – zapytała, niepomna tego, że przed chwilą „*tout était bondé*”**. I Jan nie mówił, że mieszka u przyjaciela, korespondenta „Manchester Guardian”, który odnalazł nietknięte swe mieszkanie paryskie, ani że pensja porucznika wojsk polskich to nie to, co dawniej bywało. Został. Wrócił do dawnego swego pokoju, tego „*des longs séjours*”, jak określała Mademoiselle Cécile. Szło się doń drugą klatką i na czwarte piętro bez windy; ale był stamtąd widok na pogiętą klawiaturę dachów i daleką zielen Tuileries.

Popędził metrem i zabrał swój bagaż wojskowy.

W pół godziny po powrocie ktoś zapukał do jego pokoju. – *Come in* – zawołał i, zawstydzony się bardzo, poprawił głośniej:

– *Entrez*.***

* (franc.) – Czy pan zatrzyma się u nas?

** (franc.) – Wszystkie pokoje zajęte.

*** *Entrez* (franc.) – proszę wejść.

– *J'ai une lettre pour vous** – śmiała się w progu Mlle Cécile trzymając ręce za plecami.

– List do mnie? Jak to? Już?

– A wie pan skąd?

–?

– Z Warszawy! O, nie, nie powinnam z pana tak żartować – poprawiła się naraz – nie, nie, niech pan daruje, nie chciałam... List jest zresztą naprawdę z Warszawy. Ale jeszcze sprzed wojny. Jak pan wtedy nagle wyjechał, nie wiedzieliśmy, gdzie odesłać, miał pan wrócić, pamięta pan? List leżał. Potem, gdy pan był, na śmierć zapomniałam. I teraz bym zapomniała, ale Gaston przypomniał. *Il est vieux, mais il a bonne mémoire*** . Oto list.

Jan wziął kopertę i uczuł zawód. Nie, nie mógł to być żaden z listów, jakiego by teraz pragnął. Adres był wystukany na maszynie. Koperta nosiła nagłówek wielkiego pisma, dla którego ongiś pracował Jan przez szereg lat i z którym potem zerwał, gdy redaktor począł naginać pismo do niemiłych Janowi kie-

* *J'ai une lettre pour vous* (franc.) – Mam dla pana list.

** *Il est vieux, mais il a bonne mémoire* (franc.) – Już stary, ale ma dobrą pamięć.

runków. Jakieś bardzo dawne czasy – pomyślał Jan: sześć lat i cała wojna. Czego oni mogli od niego chcieć? Zauważył, że list jest bardzo gruby: może jakaś zadawniona korekta? Otworzył. Z koperty wypadł spięty spina-czami maszynopis – Jan rozpoznał czcionki swojej „Corony” – i krótki list redaktora:

„Drogi panie Janie!

Odsyłam panu przy niniejszym maszynopis pańskiego wywiadu z prezydentem Gruzji, bo – jak przewidywałem – nie bardzo się to nadaje. Zapewne Pan pamięta, że od początku nie miałem do tego Pańskiego projektu zbyt wiele entuzjazmu. Co nas, w 1933 roku, mogą obchodzić jakieś niepodległe Gruzje i ten ich premier, który w Paryżu rekonstruuje swój gabinet, kłóci się ze swymi socjal-demokratami? Dlaczego Pan lepiej nie zapytał pana Uszaliwadze o jego historyczne wspomnienia? Może znał Kiereńskiego albo Rodziankę? Był może w stosunkach z Piłsudskim? Może by co powiedział o Polakach na Kaukazie przed 1914? Byłoby to na pewno ciekawsze od jego planów politycznych.

Pieniądze skierowaliśmy, jak zawsze, na Crédit Lyonnais, Av. Wagram. Będę wdzięcz-

ny za słowo od Pana. Przypominam wywiad z Montherlant.

Serdeczny uścisk dłoni łączę”.

Następował podpis. Listy, jakie do nas dochodzą po kilku latach – rozumował Jan – to listy od kogoś innego i do kogoś innego. I Jan czytał list nie rozumiejąc, o co właściwie chodzi. Wiedział, że list jest zaadresowany do niego, że ten Jan – to on właśnie, on sam. I wiedział, że ten, co ten list napisał, podpisał i wysłał – to także znany mu człowiek. Ale treść listu była mu tak obca jak treść listu dwóch obcych ludzi. Jakie pieniądze? Co znaczy: „jak zawsze”? I co to za wywiad z premierem Gruzji? Co za rekonstrukcja gabinetu? I Montherlant? Nie, nic nie wiedział. Ale rzucone na łóżko, zgięte we troje, leżały białe kartki maszynopisu. Jan zaczął czytać ów maszynopis – swój maszynopis. Nagłówek był długi: Jan w owym okresie lubił takie długie nagłówki. Byłem młody – pomyślał: jak dziś Marek Święcicki albo Karol Krótki. I przeczytał:

WYGNAŃCZY RZĄD WALECZNEGO

NARODU.

GRUZJA ŻYJE W PARYŻU.

WYWIAD Z PREMIEREM A. W. UWALISZADZE.

Uwaliszadze! Tak. A jak było w liście? Uszaliwadze! no, tak: niechłuj przekręcił nazwisko. Co jemu w polskiej redakcji mogło znaczyć Uwaliszadze czy Uszaliwadze? Jak dla Anglików dzisiaj... Uwaliszadze. Ach, tak, pamięta już, pamięta. Oczywiście. Uwaliszadze.

Szyby napływały gęstą, grudniową nocą, jaka nabiegała na Paryż. Gdzieś na Boulevard Haussmann huczały jakieś ciężkie, amerykańskie lory; na korytarzu jakiś głos piskliwy przypominał o „*couvre-feu*”. Jan zdjął *battle-dress*, buty – wsunął się do chłodnego łóżka i rozpiął koszulę khaki. Przekręcił kontakt nad łóżkiem. Lampa nad głową oświetlała teraz tylko jego ręce, brzeg kołdry i maszynopis nigdy nie opublikowanego wywiadu, który, zwrócony, wzgardzony, przyczaił się tu, przetrwał – i w pewnym momencie wypełził niespodziewanie, jak porą nocną wychodzi duch z cmentarza, jak na ścianę wybiega pająk; Jan czytał.

I czuł zarazem, jak silniejsze od słów wywiadu napływają wspomnienia jak ćmy do światła i jak odrzucony wywiad obrasta nimi z każdym przeczytanym słowem.

*

Są gleby, które posiadają zdumiewającą zdolność konserwacji zwłok; powietrze paryskie posiada najwidoczniej zdolność konserwacji wspomnień. Jan poczynił sobie przypominać wszystko. Widział wyraźnie niebieskie kartki notesu, w którym było wpisanych jednaście adresów danych mu przed wyjazdem do Paryża. Nazwiska były francuskie, polskie, żydowskie; wszystko możliwe zaczepienia w obcym mu mieście. Egzotyczne nazwisko Uwaliszadze figurowało na dziesiątym. A jednak był to drugi adres, pod który Jan się zwrócił. Pamięta. Telefonował przecież z hallu. Pomagała mu Mlle Cécile. Jan zapytał po francusku: „*Puis-je parler à M. Ouwalichadzé?*”*, a gdy dowiedział się, że po tamtej stronie telefonu jest istotnie M. Uwaliszadze, powiedział, że jest Janem Garnyszem, synem Stanisława Garnysza, inżyniera zatrudnionego przy budowie Transkaukaskiej Kolei Żelaznej imienia wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza. Czy

* *Puis-je parler à M. Ouwalichadzé?* (franc.) – Czy mogę rozmawiać z panem Ouwalichadzé?

Monsieur Uwaliszadze pamięta? Jego ojciec Stanisław mieszkał na Lermontowskiej. Mieli willę w Soczi... Objasnienia okazały się zbędne. Przerwał mu potok jedwabisto miękkiej francuszczyzny rosyjskiej. Czy Uwaliszadze pamięta? Jakże nie miałyby pamiętać drogiego Stanisława Fadiejewicza! Stanisław Fadiejewicz! (Jan z trudem uprzytamniał sobie, że ów Stanisław Fadiejewicz – to jego, Jana, ojciec). Uwaliszadze pamięta nawet jego, Jana, choć Jan nie może tego pamiętać: *vous étiez trop petit**. Tak, tak, Stanisław Fadiejewicz był wiernym przyjacielem pana Uwaliszadze. I prawdziwym przyjacielem Gruzji. Czy Jan Stanisławowicz jest od dawna w Paryżu? Może na stałe? A na długo? Ach, jako dziennikarz? To dobrze się składa. Doskonale. Kiedy Jan Stanisławowicz ma wolne śniadanie? Jan Stanisławowicz odpowiedział, że nawet i dzisiejsze. Ale głos przez telefon odrzekł, że dzisiejsze nie: dzisiaj jest posiedzenie *de notre conseil*. Jan nie zrozumiał, jakiej rady jest dzisiaj posiedzenie, i mało go to obchodziło, ale zgodził się na następny dzień. Na czwartek. O wpół do pierw-

* *vous étiez trop petit* (franc.) – był pan za mały.

szej. Może *dans mon bureau*? Jan zapewnił, że najchętniej stawi się u pana Uwaliszadze. Zanotował adres.

Dzielnica i ulica, gdzie mieszkał gruziński przyjaciel dawno zmarłego ojca, należała do tych dzielnic Paryża, które były bardzo modne i szykowne do czasów haussmannowskiej przebudowy miasta lat osiemset sześćdziesiątych; jeszcze szykowne, choć już niemodne, za pierwszych paru dziesięcioleci Trzeciej Republiki; ale zachowały nieco swej godności i na wiek XX. Przeważały tu kilkupiętrowe wille poprzerabiane teraz na kilka mieszkań oddzielnych, ale na zewnątrz utrzymane w poprzednim stanie. Właściciele ich najwidoczniej spekulowali na jakąś nową rozbudowę Paryża, która wtargnie wreszcie i do tej dzielnicy, wykupi tych paręset domów po cenie zawrotnej, zburzy je i wystawi na ich miejscu jakieś corbusierowskie ogromy z krytymi pływalniami, ogrodami na dachach trzynastych pięter i garażami w podziemiach. Czekaając na ten wielki dzień starali się nie wkładać zbyt wiele pieniędzy w konserwację starych ruder. Nr 28 *bis*, pod którym Jan miał zastać ojcowskiego przyjaciela, był właśnie jedną z takich. Od ulicy

dzielił go niewielki ogródek. Jan wszedł przez bramę, na której widniały jakieś dwie mosiężne wywieszki. Będąc z lekka spóźniony nie zwrócił na nie uwagi. Drzwi do willi były otwarte i do mieszkania po lewej ręce również. Tak, było to biuro. Już w korytarzu doleciały go podniesione głosy jakiejś dyskusji, prowadzonej po rosyjsku, francusku i jeszcze w jakimś innym, gardłowym języku. Spór był tak gorący, że kiedy Jan stanął w progu, sprzecząc się nie dostrzegli go wcale. Postanowił zaczekać, aż skończą, i cofnął się nieco. Widział jednak dobrze z korytarza salę. Był to niezbyt duży pokój, obity jakimś wypłóviałym obiciem; stały w nim przy sobie trzy biurka, jedna dość staroświecka maszyna do pisania oraz urządzenie telefoniczne naprawdę zabytkowych kształtów. Na ścianie za biurkami wisiała duża mapa Kaukazu, podzielona na parę kolorowych plam. Ponad nią dwa portrety i jakieś skrzyżowane chorągiewki. Jan poznał, a raczej odgadł barwy Gruzji.

Debata przybrała właśnie na gwałtowności i przeszła zarazem na ów niezrozumiały, gardłowy język. Debatujący byli trzej. Wszyscy trzej najwidoczniej Kaukazczycy. Jeden gru-

by i siwy, jeden w jakiejś wojskowej jakby kurtce, jeden dosyć młody, czarny, najbardziej pewny siebie. Była i kobieta, wyglądająca na starą pannę, o pięknych, gruzińskich rysach. Ta jakby próbowała łagodzić, ale czyniła to z taką zapalczywością, że powiększała rumor. Jan przypomniał sobie naraz bazary w Tyflisie i Soczi. Tak, to było to. Te bazary były jeszcze jednym szczątkiem dzieciństwa, strzępem jego osobistej, prywatnej – by tak rzec – ojczyzny i teraz ta rozmowa, bazary przypominająca, ożywiała w nim przeszłość. Pierwsza zauważyła go kobieta i szarpiąc dyskutujących za rękawy zaczęła ich uspokajać, co zresztą nie przyszło łatwo. Podeszła więc do Jana pytając:

– *Monsieur?*

Ale po pierwszych słowach Jana przerwała mu:

– Ach, to pan! Doskonale. Pan prezydent przyjmie pana *tout à l'heure**. Dzwoniono nam z ambasady.

Stary pan przerwał jej:

– To pan jest wysłannikiem marszałka Piłsudskiego? Właśnie chodzi o to, że ja...

* *tout à l'heure* (franc.) – natychmiast.

Jan, zarumieniwszy się nie wiedzieć czemu, spróbował powiedzieć, że nie jest niczym wysłannikiem. Nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– *Je sais, je sais** – mówił starszy pan, tak jak lekarz mówi w szpitalu do chorego, który zapewnia, iż jest już całkiem zdrow. – Wiem, wiem. Pan może być spokojny... Panowie się nie znają... Pan Garnysz... *vous êtes comte, n'est-ce pas?**... Generał... – tu zaszeleściło poetyczne i niezrozumiałe nazwisko. – Chodzi o to, że my z panem...

Ale z drugich drzwi już wylatywała starsza panna:

– *Son Excellence* pana prosi...

Ton był nagły i jakoś dla tamtych trzech nieuprzejmy. Ale oni zdwoili swe ataki:

– Trzeba, żeby pan wiedział...

– *C'est très important...****

– Słuszajcie...

W drzwiach ukazał się jednak starszy, otyły pan, łączący w szczególny sposób dostojność z poufałością. Zorientował się w mig w sytuacji. Podbiegł do Jana i podał mu rękę

* *je sais, je sais* (franc.) – wiem, wiem.

** (franc.) pan jest hrabią, nieprawdaż?

*** *C'est très important* (franc.) – To bardzo ważne.

tak właśnie, że go tym podaniem pociągnął ku sobie i okręcił. Jan się nie zorientował, gdy prezydent był już nie przed nim, lecz za nim, gdy lewą ręką zagarnął go po ojcowsku za plecy, wprowadził, a raczej wepchnął przed siebie do niewielkiego gabinetu, po czym skwapliwie zamknął za sobą drzwi. Zamykając dorzucił jeszcze jakieś gruzińskie warknięcie. Po chwili zza drzwi dochodziły jeszcze odgłosy dalszej, ale gasnącej dyskusji; wśród niej górował uspokajający pisk kobiecy. Musiała stać przy samych drzwiach.

– *Oczeń, oczeń rad* – zapewniał Uwaliszadze, po czym dodał ciszej:

– *Sortons!**

I skierował Jana ku niewielkim drzwiom za biurkiem. Wychodziły one na jakiś korytarz, ciemny, ze skrzypiącymi parkietami; minęli jakiś składzik, jakieś wejście do kuchni. (Zapachy oliwy, czosnku i baraniego tłuszczu odnawiały zawsze u Jana wspomnienia tyfliskie). Wyszli. Przeszli jakiś miniaturowy ogródek, potem czyjeś podwórze, bramę domu, wreszcie wyszli na dość gwarłą ulicę.

* *Sortons* (franc.) – Wyjdźmy

– *Nous sommes presque hors du danger** – uśmiechał się tryumfująco Uwaliszadze i spokojniej nieco podreptał na drugą stronę ulicy.

Jan szedł z przykrym poczuciem, że zaszło jakieś nieporozumienie i że on, Jan, winien tu coś wyjaśnić. Ale po kilkunastu krokach Uwaliszadze wszedł pierwszy do niewielkiej restauracji, gdzie – tak samo jak w Tyflisie i na tym korytarzu – pachniało baraniną i tak samo wyjrzały ku nim czarne, gruzińskie twarze. Uwaliszadze był tu niewątpliwie człowiekiem znanym; pytał się, wydawał dyspozycje, o coś się spierał. Jan miał wrażenie, że stara się przybierać jakieś tony wyższości, podczas gdy obsługa była życzliwie poufała. Wreszcie ulokowano ich w osobnym pokoiku; wejście przesłaniała pleciana kotara, na której widniała zabójcza podobizna Czerkiesa.

– Teraz jesteśmy już zupełnie bezpieczni – powiedział po zamówieniu potraw Uwaliszadze – powiedziałem, żeby nie mówili im, gdyby przyszli i tu, że jestem. Ale pewno będą tam czekać – zaśmiał się.

– Kto byli ci panowie? – zapytał Jan.

* *Nous sommes presque hors du danger* (franc.) – Jesteśmy już prawie bezpieczni.

– Ach, to cała historia – westchnął Uwaliszadze – nasze historie gruzińskie! Ten stary osioł jest dzisiaj szefem naszej opozycji. Generał, nadęta oferma, był ministrem wojny w poprzednim gabinecie. Tamten młody pę-taczyna... pełno z nim kłopotu. Zaraz się wszystkiego dowiedzieli. Spokoju by panu nie dali... Dla jakiego pisma pan pracuje? Do tego *chahagbili* najlepsze będzie to spokojne czerwone winko...

*

W godzinę później Jan zasiadł z powrotem w gabinecie Uwaliszadze i spijał czarną kawę, przygotowaną w mosiężnych czarkach na sposób – jak zapewniał gospodarz – prawdziwie gruziński, a który – w opinii Jana – nie różnił się od tureckiego. W dwie godziny potem też siedział w tym samym fotelu. Dochodziła piąta, gdy Jan pożegnał wreszcie swego gospodarza. Wracał smętny. Jego właściwy cel wizyty u A.W. Uwaliszadze był prawie zupełnie chybiony. Stary adwokat z Tyflisu, pomimo wszystkich zapewnień przyjaźni, powiedział mu bardzo, bardzo mało o jego ojcu, owym Stanisławie Fadiejewiczu – jak go nazywał – którego był ongiś

przyjacielem i o którym przecie matka opowiadała Janowi długie i zawile historie. A właśnie Jan, wczesnie osierocony przez ojca, był tak spragniony wszelkich o nim wieści! Natomiast parę godzin rozmowy napełniło go całą masą wiadomości dotyczących przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Konfederacji Kaukaskiej, Gruzji oraz jej rządu, którego obecnym premierem „en exil”, a zarazem ministrem spraw zagranicznych był właśnie nie kto inny niż dawny przyjaciel jego ojca – A. W. Uwaliszadze.

Po pierwszej półgodzinie Jan był zorientowany już zupełnie, w jaki to świat wdepnął przypadkiem. Ale trudno mu się było wycofać podczas *lunchu* – i to dobrego *lunchu* – prawie dosłownie z objęć starszego, godnego pana, który zawsze wobec odruchów zniecierpliwienia zagadywał znowu a to o Stanisława Fadiejewicza, a to o Jadwigę Pietrownę, a to o Soczi, że Polaka brało z powrotem na cierpliwość. Jeszcze trudniej przyszło wycofać się z czarnej kawy w domu – Jan musiał odsiedzieć. Zrezygnował. Powiedział sobie, że straci tych kilka godzin życia i Paryża na dalekie, zawile i nierealne sprawy jakiejś drugorzędnej emigracji politycznej w powojennej Europie.

Starał się nawet, zrezygnowawszy, wzbudzić w sobie zainteresowanie dla tego tematu, skoro nie mógł od niego się oderwać. Powiedział sobie, że na Inwalidów i Champs Elysées znajdzie czas nazajutrz – i pograżył się rezygnacyjnie w dziejach Gruzji.

Z wykształcenia historyk, z zawodu dziennikarz – Jan wyłuskiwał z zawiłych opowieści Uwaliszadze cały szereg różnych motywów. Był przede wszystkim motyw prawdziwej dziejowej tragedii. Zaznaczywszy, że dzieje Gruzji sięgają III wieku po Chrystusie, Uwaliszadze był jednak na tyle litościwy, że zbył jednym zdaniem kilkanaście pierwszych stuleci i szybko przeskoczył do siedemnastego, a raczej nawet już do osiemnastego wieku. Mówił o Gruzji, starym narodzie, starej kulturze i starym państwie, zmiatanym burianami tatarskich przechodów. Kiedy znikli Tamerlanowie, Dżyngischany, Złote i nie złote Hordy, wynurzały się nowe niebezpieczeństwa. Rozdarta waśniami swych wielkich rodów, pozbawiona silnej władzy królewskiej, wyposażona w archaiczną armię Gruzja – i całe międzymorze kaukaskie – znalazła się pomiędzy trzema potęgami: Persją, Turcją i Rosją. W XVIII stuleciu wzmógł się zwłaszcza napór rosyjski.

Wzdychając Uwaliszadze opowiadał, jak daleki Petersburg przekupywał złotem i straszył bagnietami, jak podjudzał Ormian-kupców i górali-Czerkiesów, jak jego ambasadorzy wynosili na tron i prowadzili za nos ostatnich, słabych i bezwolnych królów gruzińskich. Janowi dzieje te były nieznane; ale nie były obce. Późniejsze dzieje Kaukazu – wiek XIX, wiek niewoli – nie były mu obce także. Uwaliszadze pokazał sztychowy portret Szamila, robiony w tej samej sztycharni paryskiej, która wydawała w tym samym niemal czasie podobne portrety powstańczych wodzów polskich; Uwaliszadze mówił o bohaterskich obronach, o krwawych generał-gubernatorach, nieszczęśliwym narodzie i niegodziwym caracie. I wszystko to wydawało się Janowi tylko inną wersją tej samej historii. Lata tyfliskie pozostały w jego domu jakiś ciepły, sentymentalny stosunek do Kaukazu i jego narodów. Teraz opowiadanie Uwaliszadze zapadało w przygotowany grunt.

Ze znacznie mniejszym zainteresowaniem słuchał za to wplatanych uwag aktualnych, wyliczania partii gruzińskich – było ich jedenaście – premierów, generałów, ludzi, których Uwaliszadze nazywał bohaterami narodowymi, i takich, których osądzał jako zdrajców.

Uwaliszadze nie miał złudzeń, że Jan nie jest żadnym wysłannikiem Belwederu; ale pamiętał, że jest dziennikarzem. Jan płacił teraz za swe dziennikarstwo. Uwaliszadze dobywał mu z szuflady odpisy not, jakie właśnie doręczył był rządowi i ambasadorom tych i tych mocarstw, czytał mu swe memoriały i memoranda, orędzia i deklaracje. Wyliczał mu obecny skład gabinetu i wymieniał nowych członków Narodowej Rady Państwowej, rozwodził się szczegółowo nad różnicami, jakie dzielą gruzińskich eserów od gruzińskich socjal-demokratów, gruzińskich socjal-demokratów od gruzińskich narodowych demokratów, tych zaś od jakiejś młodej grupy „Prometeusza”. Wprowadzał Jana w stosunki agrarne Gruzji, w jej kwestię ormiańską. Jan pamiętał, że kiedyś, dawno, Gruzini wyrzynali Ormian – czy też odwrotnie? Uwaliszadze wyjaśniał, wyjaśniał, wyjaśniał... W głowie Jana powstał w rezultacie mętlik, którego nie mogło rozproszyć nawet dobroczynne działanie przyrządzonej (po gruzińsku) czarnej kawy. Ale wywołanie tego mętlika miało i swój praktyczny skutek: po nasłuchaniu się dwugodzinnych wywodów o najnowszych pracach rządu, dokonanej rekonstrukcji gabinetu, zmianach personalnych

w obsadzie placówek, posiedzeniach Narodowej Rady itd. – Jan nawykł do myśli, że przed nim siedzi premier pewnego rządu, że ten rząd ma państwo, zadania, prace, trudności, jakie zwykle są udziałem rządu. W miejscu człowieka, do którego szedł, adwokata A. W. Uwaliszadze z Tyflisu – wyrósł teraz całkiem inny, ledwo poznany człowiek: premier Uwaliszadze z Paryża.

Ostatkiem świadomości zapytał:

– Dobrze, ale niech mi pan powie, *Excellence* (Uwaliszadze bez większych trudności łykał ten tytuł), jak to się stało, że jest niepodległe państwo gruzińskie? Przecież nie było go przed wojną...

Uwaliszadze zatrzepotał tłustymi paluszkami:

– To bardzo proste. Polski także nie było przed wojną...

Janowi porównanie nie wydało się ani ścisłe, ani przyjemne.

– Polska – powiedział – proklamowała swoją niepodległość...

– Gruzja – zatrzepotał Uwaliszadze – tak samo proklamowała swoją niepodległość! Nie widzimy racji, dla której punkt prezydenta Wilsona o samostanowieniu narodów miałby pomijać nasz stary, tak długo walczący

o wolność naród... Co dobre nad Wisłą, dobre i nad Terekiem. Zresztą, Rząd Tymczasowy księcia Lwowa w swym orędziu z marca 1917 roku... Zarówno jak uchwała Rady Komisarzy Ludowych ze stycznia... Mowa Lenina. Podstawy prawne, na mocy których Warszawa, Helsinki, Tallin, Ryga czy Kowno mogły ogłosić swą wolę wystąpienia z byłego Cesarstwa Rosyjskiego, są absolutnie te same co te, na których Gruzja... Jedyne stan faktyczny... Wyście byli szczęśliwi. Ale jeśli chodzi o prawo narodów...

Jan był zalany logiką prawniczych, pełnych dat i cytatach, wywodów.

– Ale Polska została uznana przez mocarstwa – zaryzykował.

– A Gruzja może nie? – zapytał Uwaliszadze z tak szczerym zdumieniem, jakby ktoś powątpiewał o jego męskości.

Raz jeden jeszcze musiał Jan przyznać się do swej wielkiej ignorancji. („Ach, wy dziennikarze zachodni – wzdychał Uwaliszadze – nie wiecie najprostszycy o nas rzeczy! A przecież wasze interesy...”). Raz jeden jeszcze musiał wysłuchać długiego, udokumentowanego wywodu. Uwaliszadze był nudnym sprawozdawcą zakulisowych gier partyjnych, nie-

złym narratorem historii, ale dopiero na gruncie prawa pokazywał swą siłę. Uwaliszadze przedstawił Janowi pokrótce – bo w ciągu niespełna godziny – dzieje stosunków nawiązanych przez główne mocarstwa pomiędzy nimi a tymczasowym rządem niepodległej republiki gruzińskiej („była i u nas kwestia monarchiczna – zauważył – aleśmy ją zawczasu zlikwidowali, żeby demokratycznego Zachodu nie drażnić. Nie było zresztą odpowiedniego kandydata, a nieodpowiednich było aż za dużo”). Ententa bardzo interesowała się nami. – Podniósł oczy znad jakiegoś papieru: – Mogę pana zapewnić, że był czas, kiedy interesowała się nami, Kaukazem, znacznie bardziej niż wami, Polską. – Mówił o misjach wysłanych tu i tam, o stosunkach dyplomatycznych. Poczłapawszy do jednej z półek dobył oprawny tom sprawozdań oficjalnych Ligi Narodów i pokazał tam Janowi przedstawicieli republik ludowych Ukrainy, Krymu, Gruzji, Azerbejdżanu, a nawet Kubania. Zasiadali obok przedstawicieli Francji, Szwecji, Włoch, Hiszpanii. Równi z równymi. Tom był bodaj z 1925 roku.

– No, dobrze, ale jak się to stało, że dziś...
– zapytał wreszcie Jan.

Ten ustęp wyjaśnień Gruzina był niestety dość krótki. Ochotnicza armia gruzińska (jak i inne armie federacji kaukaskiej) nie wstrzymały lawiny Czerwonej Armii („Cóż pan chce: jest nas zaledwie dwa miliony...”). Desanty nie wstrzymały jej także. Nasz rząd, rada, przywódcy polityczni i wojskowi schronili się na statki alianckie: krążownik „Indépendance” przewiózł nas do Tulonu. Odtąd jesteśmy tu.

Westchnął.

– Już będzie dwanaście lat!

Na chwilę tusta, ruchliwa i ożywiona twarz emigracyjnego premiera ściągnęła się smutkiem i Janowi smutek ten wydał się bardziej przekonywający i prawdziwy niż najbardziej przekonywające argumentacje Uwaliszadze. Ale Gruzin otrząsnął się szybko i po chwili z dawnym ożywieniem wykladał Janowi, jak heroiczny opór stawia zaborcy cały naród gruziński, jak życie jego zbiegło do podziemi, jak tylko czekają, jak w górach i aułach górskich... Wspominał o jakimś powstaniu majowym i innym, które nazywał wrześniowym, i jeszcze o trzecim, które dla odmiany nazywał tyfliskim. Aż Jan się szczerze zdumiał:

– Dlaczego o tym wszystkim nic nie ma w gazetach?

Uwaliszadze westchnął bezradnie i znowu poszedł do swoich półek. Wyniósł z nich aż trzy księgi-teki. Jedna, najgrubsza, zawierała materiał prasowy „Agence Prométhée”. Jan nie słyszał dotąd o takiej agencji, ale domyślił się, że chodziło o oficjalną agencję owych niepodległych republik Kaukazu. Istotnie „Agence Prométhée” mieściła się nie dalej niż w sąsiednim pokoju. Uwaliszadze pokazywał Janowi ten bogaty materiał informacyjny, jakiego „Agence Prométhée” dostarczała prasie światowej. Osobny tom pozwalał zorientować się, ile tego do tej prasy dociekło. Z wycinków zorientował się Jan, że prasa światowa niezwykle mało uwagi poświęciła doli i niedoli Kaukazu.

– Nie chcą o nas nic wiedzieć – wzruszał ramionami Uwaliszadze – nie chcą – oto wszystko. Robimy, co możemy. Oni nie chcą.

– Ale was popierali na początku? – pytał jeszcze Jan.

W owej chwili stara panna ukazała się w drzwiach, zagadała po gruzińsku do Uwaliszadze, ten jej coś odszwargotał i po chwili wtoczył się do pokoju nowy Gruzin. Był młodszy i bardziej otyły niż Uwaliszadze; nosił czarne ubranie w szerokie białe paski i du-

że pierścienie na palcach. Czarne włosy lśniły pomadą. Uwaliszadze przedstawił go Janowi potokiem superlatywów, z których wynikało, że nowo przybyły już zajmuje ważne, a w przyszłości zajmie niechybnie jeszcze ważniejsze stanowiska w życiu politycznym Gruzji. Przybyły nie zdziwił się obecności Jana, jego pochodzeniu i pytaniom. Można było sądzić, że wiedział, iż go tu zastanie. Uwaliszadze tymczasem odpowiadał:

– Pan się pytał, czy nas popierano? Jakżeby nie?! Wysłano do nas misje, udzielono naszemu rządowi pożyczek, wsparto desantem. Przez kilka pierwszych lat nasze placówki i nasz rząd były uznawane bądź *de iure*, bądź *de facto*. W Paryżu, w Genewie, w...

– Ale dzięki czemu? – zapytał Jan.

Uwaliszadze uśmiechnął się:

– Widzi pan, mocarstwa Ententy były wtedy przerażone bolszewizmem. Jednocześnie widziały rozkład armii białej. Judenicz, Denikin. W odróżnieniu od nich ruchy narodowościowe Bałtyku czy Kaukazu były demokratyczne. Ten nasz demokratyzm... Ach, gdybyśmy wtedy byli jeszcze bardziej demokratyczni...

– Nafta! – przerwał dość ordynarnie przybyły.

Uwaliszadze uśmiechnął się.

– Mój przyjaciel, którego bardzo cenię, ma na te sprawy swoje poglądy. On tłumaczy wszystko naftą... ja – demokracją...

Dalsza rozmowa zamieniła się w dwugłos obu Gruzinów. Bieg wypadków przedstawiali mniej więcej podobnie, ale przyczyny każdy podawał inne. Uwaliszadze rozwodził się, jaką klęską dla sprawy gruzińskiej była przegrana grecka w 1922 r., gdy armie króla Konstantyna greckiego zapędziwszy się w głąb Małej Azji poniosły klęskę; za Grecją stało wtedy pewne wielkie mocarstwo. Przybyły dodawał z ironią, że właśnie wtedy odkryto nowe naftodajne tereny w jakimś Iraku. To, a nie grecka klęska, zmniejszyło zainteresowanie dołą Gruzji. Uwaliszadze bolał nad tym, że miejsce wielkich demokratycznych premierów, jak Clemenceau, a potem Lloyd George, zajęli mali, okazujący mniej zrozumienia: przybyły łączył tę nową porażkę Gruzji z jakimś zawiłym konfliktem o naftę wenezuelską. Jeden walił nazwami mocarstw i nazwiskami premierów, drugi – nazwami naftowych koncernów i nazwiskami naftowych królów. Uwaliszadze wskazał na etażerkę:

– Poznaje pan tych ludzi? – pytał z uśmiechem.

Jan nie musiał być dziennikarzem, żeby poznawać. Był to garnitur europejskich mężów stanu z lat 1918–1922, a nawet 1924, w różnych pozach, na różnych gabinetowych zdjęciach, z różnymi dedykacjami, ale zawsze dla pewnych Gruzinów: „*A S. EX. le Président...*” „*Un ami*”, „*Hommage à la Georgie*”. Często obok europejskiej znakomitości figurował jakiś widocznie znakomity Gruzin: i tak w towarzystwie Poincarégo Jan poznał Uwaliszadze. Uwaliszadze tymczasem sięgnął do półek etażerki. Wydobył oprawne w safian kolejne tomy, dawał je Janowi do przeglądania, rocznik za rocznikiem. Były to powklejane depesze wymieniane z okazji świąt narodowych, wstąpień na tron, objęcia urzędu i tym podobnych okazji. Lata 1918 i 1919 przedstawiały się bardzo pięknie. Rocznik 1920 był wprost imponujący. Głowy państw i premierzy ślali Gruzji najlepsze życzenia, zapewniali ją o swej głębokiej przyjaźni, byli nad wyraz wzruszeni, mile dotknięci, pełni żywych uczuć. Cały świat cieszył się w owym roku, że Gruzja odnalazła swe miejsce w wielkiej rodzinie narodów. Jeszcze dobry był rok 1921 i niezły 1922. Ale następne roczniki cierpiały na uwiad. Depesz było co-

raz mniej i były one coraz bardziej lakoniczne; coraz to częściej wystawiane w imieniu, z polecenia czy w zastępstwie kogoś. Nie było już też królów, prezydentów, premierów i ministrów spraw zagranicznych. Już tylko z tej nudnej lektury można było wywnioskować, jak świat zapominał o Gruzji.

– Polityka – mówił Uwaliszadze.

– Nafta – poprawiał tamten drugi.

Stali teraz we trzech z Janem przed wielką mapą Europy, na której ołówek oderznął z zielonej rosyjskiej plamy czerwony prostokąt Kaukazu. I naraz zgodzili się w jednym:

– Byliśmy tak daleko od tego Zachodu, na któryśmy tak bardzo liczyli!

Ale po chwili ożywili się znowu i Uwaliszadze opowiadał Janowi szczegółowo o owej rekonstrukcji gruzińskiego gabinetu w Paryżu, o zamierzonej reorganizacji służby dyplomatycznej, o nowych demarszach i misjach i innych nie mniej palących sprawach.

– Bo może jednak jeszcze tej jesieni: mam jeden bardzo pomyślny raport z Konstantynopola – objaśniał Uwaliszadze.

Jego towarzysz nie był aż tak optymistyczny.

– Nie sędzę, aby przed kwietniem przyszłego roku: koncesja Universe Oil wygasa dopiero w marcu...

I razem pożegnali Jana:

– Więc odwiedzi nas pan w wolnym Tyflisie?

A Jan był dziennikarzem jeżdżącym po świecie i może nie bardzo obeznanym w zażyłych sprawach pięknej Gruzji, ale za to na tyle zorientowanym w mechanizmie polityki światowej, żeby wiedzieć, że ani tej jesieni, ani następnego marca, ani żadnego z wielu następnych marców. Tamci wiedzieli może nieporównanie więcej od niego, jeśli chodziło o nieszczęsną Gruzję, to prawda. Ale na ów kąt mapy rozpięty pomiędzy Morzem Czarnym a Kaspijskim patrzyli przez głębokie szkła tęsknoty. I szkła te uwielokrotniały nadzieje i obniżały przeszkody.

*

Pomimo zapewnień Jan ani nie przyszedł, ani nie zadzwonił więcej do ojcowskiego przyjaciela. Dwa razy, wróciwszy do hotelu, zastał wieczorem zapiskę, że dzwonił Uwaliszadze. Poza tym czekał na niego jakiś Gruzin, który chciał się z nim koniecznie widzieć, a *en désé-*

*spoir de cause** pozostawił obszerny francuski list imieniem Pankaukaskiego Komitetu Wyzwolenia, informujący Jana, że A.W. Uwaliszadze nie posiada żadnych pełnomocnictw do reprezentowania gruzińskiego narodu. Ale nazajutrz był list od Uwaliszadze, utrzymany w ciepłym i smutnym tonie. „Przykro mi jest trudzić pana, gdyż obawiam się, że ma pan znacznie milsze możliwości spędzenia czasu w tym mieście, a jednak może – jako syn starego przyjaciela – zrobi mi pan *une faveur***”. Będę czekał na pana jutro i pojutrze począwszy od trzeciej po południu”. – Klnąc w duchu Jan zjawił się nazajutrz o trzeciej.

– Wiedziałem, że pan jednak przyjdzie – rzekł Uwaliszadze i wyłuszczył, o co chodzi.

Chodziło po prostu o zrobienie wywiadu do prasy polskiej. Jan zgodził się. Niewidoczny cień ojca czynił go zawsze powolnym na gruzińskie zaklęcia. Napisał wywiad taki, jakiego sobie życzył Uwaliszadze – właśnie o tych wszystkich zmianach, rekonstrukcjach, przegrupowaniach, no i planach. I wysłał wywiad do jedyne go pisma, jakie może mogło go

* *En désespoir de cause* (franc.) – ale gdy to okazało się niemożliwym.

** *Une faveur* (franc.) – Uprzejmość.

zamieścić – z tym przekonaniem, że pewno go nie zamieści.

Ale zrobił, jak chciał przyjaciel ojca.

Upłynęło od tego czasu parę lat i Jan był kilkakrotnie w Paryżu, za każdym razem unikając skwapliwie nieszczęsnych Gruzinów. Aż do Warszawy ścigały go zresztą odtąd listy, memoriały, biuletyny i pisemka gruzińsko-francuskie z nagłówkami w rodzaju: „Le Caucase Indépendant” lub „La Géorgie – un peuple enchaîné”. Unikał tego, a potem wstydził się, że unika.

Latem 1938 roku, podczas pobytu królewskiej pary angielskiej, Jan znalazł się w Paryżu. Nie wiedzieć jak – zaszedł do Jardin du Luxembourg. I tu naraz, wśród dzieci podlatujących na tle klombów jak wielkie, barwne motyle, zobaczył grubego starszego pana, karmiącego z wysiłkiem ryby w sadzawce. Wydało mu się, że go zna, gdy tamten podniósł głowę. Poznał Jana także.

– Niech się pan nie boi, możemy pogadać trochę: już nie jestem premierem!

I siedli na ławce. Uwaliszadze rzeczywiście postarzał się bardzo: był to już naprawdę stary człowiek. Nie był też już premierem, ale swe premierowskie perypetie zbył teraz

w paru zdaniach. Co robi? Mieszka pod Fontainebleau. Przy robotniczej rodzinie gruzińskiej. Pochodziła z tej samej wsi, z której ongiś wyszedł ojciec Uwaliszadze; Uwaliszadze w 1924 roku jakąś interwencją u Poincarégo coś im tam załatwił; teraz im się nieźle powodzi: przyjęli go na mieszkanie i utrzymanie. – Nic nie chcą brać ode mnie – żalił się Uwaliszadze. – Mam nawet osobny, słoneczny pokój na piętrze. Więc tylko tak ot, obieram ziemniaki do kuchni, nim jego żona wróci z pracy, no i uczę dzieci gruzińskiego. Żeby całkiem nie zapomniały. Jest ogródek, to ja tam zaprowadziłem ule; już mam ich czterdzieści osiem. Byłoby więcej, ale w tamtym roku coś siedem mi wymarło... To mi daje maleńki dochód, bo Francja teraz bardzo dba o pszczelarstwo. Wosk jest potrzebny dla przemysłu wojennego. Z pszczołami jest mało zajęcia. Opracowuję też dla Institut leksykon gruzińskich dialektów; mam z tego niewielkie, ale regularne honoraria...

Jan poczuł naraz przyptyw sympatii dla byłego premiera. Zaprosił go na obiad.

– Nie dziś, nie dziś – odpowiedział Uwaliszadze – muszę spieszyć na pociąg: mam domowe zajęcia...

Jan nie zapytał, jakie to domowe zajęcia wymagają obecności Uwaliszadze, ale umówił się na jeden z następnych dni. Wieczorem, wracając do hotelu taksówką, zauważył, że taksówkarz jest Kaukazczykiem. Zapytał go o adres dobrej kaukaskiej restauracji, a potem, czy zna Uwaliszadze?

– A. W. Uwaliszadze? – zapytał szofer. – Nie, ale wiem, kto to taki. On tu – nie wiem, czy pan wie – był takim naszym prezesem... premierem, znaczy się... Bo myśmy tu mieli taki nasz rząd wygnaćczy... Nawet mamy jeszcze... Ech... – westchnął. – A ten Uwaliszadze to był jeszcze jeden z lepszych. Ani się nie obłowił, ani też bardzo znowu nie mylił. I sam zrezygnował.

Jan znowu poczuł sympatię do Uwaliszadze i z prawdziwą radością spotkał go w dwa dni później. Restauracja kaukaska była istotnie jedną z najlepszych. Uwaliszadze wymawiał, że droga i że Jan – tak jak ojciec (Stanisław Fadiejewicz) – wyrzuca pieniądze, ale było widoczne, że cieszy się nią. Mówił o swych pszczołach, o dzieciach swych gospodarzy, o kuchni gruzińskiej i była w nim jakaś klasztorna, spokojna godność. Narzekał tylko na starość.

– A więc – zauważył Jan – pan się lepiej czuje od czasu, gdy pan przestał być premierem?

Czarne oczka Uwaliszadze napełniły się radością:

– O, tak – powiedział z przekonaniem – o, tak!

I Jan poczuł nieprzepartą dziennikarską ochotę stawiania dalszych pytań:

– I dlatego pan właśnie odszedł?

Twarz Uwaliszadze ścięła się nagle i zrobiła prawie ciemna:

– Nie – odrzekł jakimś drewnianym, nieznanym mu głosem. – Odszedłem, bo przestałem wierzyć.

– W co pan przestał wierzyć? Przecież nie w Gruzję?

Uwaliszadze obrzucił go spojrzeniem:

– Jak pan może... Janie Stanisławowiczu, jak pan naprawdę może... Nie, panie. Gruzja była, Gruzja jest i będzie, a tylko rozwój Gruzji może być lepszy czy gorszy, pełniejszy czy mniej pełny... a nawet i to jest zależne, skąd i jak my na to patrzymy... Pewno nigdy już nie zobaczę Gruzji i może inni służyli lepiej wiecznej Gruzji niż ja, ale nic nie mogło, rozumie pan, nie mogło podważyć mej wiary w Gruzję. Ale ja nie tylko wierzyłem w Gru-

zję, Janie Stanisławowiczu. Ja jeszcze wierzyłem w Zachód.

Uwaliszadze ściszył głos i poprzez otwarte okna restauracji napływał spokojny, wieczorny gwar Paryża.

– Widzi pan, panie Janie, my dwaj jesteśmy ludźmi nie tylko z dwóch różnych narodów, ale jeszcze z dwóch innych generacji. I przez to, niech pan mnie tylko dobrze, ale to dobrze zrozumie, z dwóch odmiennych kultur. Pańska kultura, jak wszystkie powojenne kultury Europy, była narodowa. Pan nie miał francuskich bon i angielskich dzieciennych mód, pańskimi pierwszymi książkami nie były książki pani de Ségur ani „Alice in Wonderland”... Może ja to tłumaczę dosyć okrężnie, ale niech pan poczeka. Tak. Otóż ja miałem. Ja, w Tyflisie, jak i pełno małych Rumunów w Bukareszcie, małych Rosjan w Kazaniu, ba, małych Turków w Konstantynopolu, od dziecka wychowywanych w kulturze Zachodu. Tylko inteligencja, oczywiście, ale cała inteligencja. Zaczynało się to wierszykami *Malbrouque s'en va t'en guerre*, a kończyło – kończyło Zolą, France'em, Dickensem, Kiplingiem, Maupassantem. Niech pan mi powie – jak pan pierwszy raz

czytał France'a – to było – prawda? – w przekładzie?

(Jan pomyślał, że czytał bodaj w ogóle jedną rzecz France'a, a Zolę znał tylko z nazwiska, i odpowiedział):

– W przekładzie.

– A właśnie. I dlatego to mówię. Otóż ten świat zachodni, który zagarniał nas wszystkich prawie w kołysce, nie opuszczał nas przez całe życie. Pan nie zrozumie nigdy, co to było. Wielkie sprawy, którymi żył wtedy Zachód, były naszymi sprawami. Obchodziły nas dalekich tak samo żywo, jak ludzi wyrosłych w kulturze antycznej wzrusza po dziś dzień obrona Sokratesa czy Peryklesowska pochwała Aten, wygłoszona, jak pan pamięta – nie, pan na pewno nie pamięta – na pogrzebie poległych pod Platejami. Myśmy w Tyflisie przeżywali aferę Dreyfusa. W Tyflisie. Tego z wami nie ma. Nie było. Pan daruje, że tłumaczę się tak powoli, dobrze?

– Ależ...

– Nie, nie, wiem, że to się panu wciąż jeszcze wydaje przydługie. Zrobiłby pan z tego, jak to wy, dziennikarze, trzydzieści wierszy; nie, może piętnaście tylko. A jednak trzeba. I niech pan pamięta, że ów Tyflis,

gdzie były trzy francuskie księgarnie i przychodziły wszystkie francuskie nowości, był jednak wtłoczony w Turcję Abdul Hamida i Rosję Mikołaja II. W jakieś dwie wschodnie despotcje może tym bardziej odrażające, że zropiałe już do cna. Z jednej strony rzezie Ormian – z drugiej kiszyniewskie pogromy. I wtedy ten Zachód, gdzie o jednego niewinnie skazanego oficera cała opinia stawiała do walki, wydawał nam się czymś – nie, pan nie zrozumie, czym dla mojej generacji był Zachód...

Jan zaczynał rozumieć.

– ...Tym bardziej, żeśmy Zachodu nie znali. Nie znali sami. Nie znali inaczej niż z książek. Wychowałem się na „Chacie wuja Toma”, dojrzałem pod wpływem Zoli: jakże piękny, szlachetny, wielki był ten Zachód! Jakże mnie mierziły niskie stragany tyfliskich przekupni, Ormian, Greków, Turków, Żydów: oni wszyscy – to był ten świat Wschodu, który kłamie. Zawsze kłamie. Nigdy nie dotrzymuje słowa. Jakież to było inne od tego pięknego Zachodu, który zawsze dotrzymywał raz danego słowa, który walczył o sprawiedliwość, ujmował się za jednostką nawet, miał tyle współczucia dla nieszczęśliwych Ormian i wyrzynanych Kurdów, dla

mordowanych w pogromach. I... rozumie pan teraz, gdy przyszła ta ta chwila, my, znający tylko ten piękny, książkowy Zachód, zawierzyliśmy Zachodowi.

Jan zauważył, że w restauracji zaczyna się robić pustawo, ale Uwaliszadze tego nie dostrzegął.

– O, jak wierzyliśmy Zachodowi! jakże nie mieliśmy mu wierzyć! Mówili nam to tyle razy! Składali tyle zapewnień i obietnic. Ludzie najpoważniejsi, ludzie sterujący losami narodów, ludzie, którzy będą kiedyś na pomnikach, schodzili do nas i popierali nas. Wtedy, w chwilach gorących, nie pytali, czyśmy bardzo wielcy demokraci, czy zupełnie nie, czyśmy dobrzy dla naszych Ormian, czy tacy jak Abdul Hamid, czy opieramy się na formalnie przeprowadzonej konstytucji, czy – i kogo – reprezentujemy. O tym nie było mowy. O tym zaczęło się mówić później, kiedy już nie mogliśmy być pomocni, my mali – im wielkim, a byliśmy tylko... niewygodni. Jakaśmy mogli nie wierzyć? Pan, Janie Stanisławowiczu, który nie wyrósł, jak moja generacja, pod ciepłym jeszcze tchnieniem Zachodu, także by uwierzył... Jakże nie miałem uwierzyć... Jakże mogłem przypuścić wtedy,

że... że kramarz z ormiańskiego bazaru gdy raz daje słowo... to... to jednak słowo najbardziej krętackiego z ormiańskich kramarzy jest jednak słowem, a...

– *On ferme, Messieurs!**

Uwaliszadze spuścił był głowę i podniósł ją na te słowa. Nad nimi stał francuski kelner o obojętnej, lekko zniecierpliwionej twarzy. Istotnie, dawno ostatnia para gości była już wyszła i kelner przystawał przy nich parokrotnie, co Jan dostrzegał, ale czego nie zauważył Uwaliszadze. Teraz dopiero Gruzin patrzył spod swoich zdumiałych, wracających w ten świat, brwi na paryskiego kelnera. Aż powstał z nagłym ocknieniem.

– *Ah, excusez nous. Nous sortons.*

Szli powoli w dół ku Sekwanie.

– Widzi pan, to było właśnie to. Wielka wiara mego życia. Wielka wiara mojej generacji. Wiara w Zachód. Wiara, którą wszczepialiśmy, ja i tacy jak ja, w mój naród. W mój tragiczny naród. Wszczepialiśmy ją wtedy, za dni carskich, i... i potem, za rewolucyjnych dni, wtedy kiedy światy były tam jeszcze jak nieostygła lawa, która różne może przy-

* *On ferme, Messieurs!* (franc.) – Zamykamy, panowie.

bierać kształty, jak glina, której rzeźbiarz może jeszcze nadać ten, co zechce, kształt. I... i wszczepialiśmy tę wiarę także potem stąd. Z daleka. Z Zachodu. Setki tysięcy ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o Madame de Ségur ani o Dickensie, ani o Zoli, którzy nie znają nut Marsylianki i nigdy nie słyszeli słowa „gentleman”, walczyli, marli i cierpieli w dalekiej Gruzji, z tą wiarą, która przez nas do nich przeciekła. Z tą wiarą, że Zachód... Z tą wiarą. To było przez nas tu. Przeze mnie. I... i panie Janie... to właśnie... to właśnie jest straszliwa odpowiedzialność. I, widzi pan, kiedy nie mogłem wierzyć dalej, wtedy właśnie... odszedłem. Całe moje życie skończyło się w tej jednej, jedynej nauce...

– Jakiej nauce?

Ale Uwaliszadze jakby nie dosłyszał pytania i jakby dalej ciągnął swoje myśli:

– Bo naród, rozumie pan, jest jednak czymś o wiele większym niż jedno pokolenie. Aktywny żywot pszczoły – to kilka tygodni niekiedy. Ale żywot roju – to czasami lata i lata. Otóż obawiam się, że moja generacja pszczelna wniesie do gruzińskiego ula ten jeden gorzki miód, że nigdy już więcej na tych tu liczyć nie można. Dla mnie, wychowanego

w ich kulcie, będzie to ciężka decyzja, dla młodszych tam – może nie. Ale drugi raz nigdy już nie będzie możliwe, aby ci, co zostali zawiedzeni tak straszliwie, zawierzyli tak pełnie. Pan wzruszy ramionami i powie: co wielkiemu Zachodowi po biednej małej Gruzji? Co to za buta mocarstwowa u starego Uwaliszadze? A ja jednak panu odpowiem starym przysłowiem francuskim, że nawet najsilniejszy potrzebuje kiedyś kogoś słabszego od siebie. To większa prawda, niż pan przypuszcza. I ta prawda może mieć swe zastosowanie właśnie dla niejednej Gruzji. Nas mogą jeszcze kiedyś potrzebować: ale nas wtedy nie będą mieli. Można nas było oszukać: kondotierów się z nas nie robi.

Przystanął i powtórzył jeszcze:

– I nawet nas mogą potrzebować.

Po czym poprawił:

– I będą potrzebować!

Uwaliszadze, który przypominał starego, dobrotliwego Francuza, jowialnego czasami, czasami smutnego jak teraz, naraz odmienił się. Przed Janem w półmroku latarni paryskiej, w pobrzasku idącym od Sekwany, stał teraz człowiek z jakąś inną maską twarzy, skurczoną, bardziej męską, zaciętą. Jan po-

myślał naraz, że cały pokost kultury zachodniej nie wypalił w tym człowieku jego Kaukazu i że teraz ten człowiek o pięknej francuszczyźnie i klasycznym odczuciu był tylko góralem z aułu.

W milczeniu, jakie nastąpiło, usłyszeli brzęk motorów z góry. To ciepłą nocą nad Paryżem płynęły rzadkie wtedy samoloty.

– Samoloty – powiedział Uwaliszadze – samoloty... A wie pan, że Gruzini mają świetnych lotników? Wie pan, czasem mi się zdaje, że posłyszę jeszcze warkot gruzińskich samolotów, kluczem lecących na Zachód, jak kluczem leciały u nas jesienią na Iran dzikie gęsi. Tak, jestem już stary. Ale znowu nie taki stary, żebym się nie miał doczekać.

*

Owej nocy przypomnień w paryskim hotelu śnił się Janowi warkot innych samolotów.

Silniki warkotały głucho.

Samoloty leciały na Zachód.

„Trzyście opowieści” – Warszawa 1946

Gugenmus z Gandawy

W Gandawie, wyzwolonej przez Polaków we wrześniu 1944, jest, jak wszędzie, spora polska kwatera na cmentarzu, nieco polskich dzieci i kilka polskich ulic – Skrzyneckiego, Lelewela, Pruszyńskiego (o ulicy Pruszyńskiego, i dlaczego jest taka w Gandawie – opowiem innym razem) – poza tym jest honorowy, nieoficjalny, generalny przyjaciel Polski – Mr Nicolas C. Roelants. Na widok każdego przybyłego Polaka wybiega zza półek Biblioteki Miejskiej, wita go, oprowadza, częstuje, gości, zaprasza, przemawiając polszczyzną, która nieco przypomina polszczyznę imć pana Gugenmusa z książek dziecinnych Przyborowskiego czy Gąsiorowskiego. Wie wszystko, zna wszystko. Pół mieszkania ma założone polskimi książkami, nie ma ściany bez polskiego sztychu, drzeworytu, akwaforty...

– Gdzie pan tak świetnie nauczył się po polsku? – pytamy pana gandawskiego Gugenmusa.

– O, niks trudne dla chcące – odpowiada Gugenmus, śmiejąc się do swych szczęśliwych wspomnień i nalewając przez siebie naparzoną („po warszawsku”) kawę. – Polski to taka łatwa język... Trzeba się tylko uczyć przez kobita, chi, chi, chi...

– A jak się stało, że pan się zainteresował Polską? – pytamy z pokrewnej beczki.

– Ja? Polską? A jak Napoleon, Liszt, Goethe, Balzac, interesowali się Polską? To ja właśnie tak samo...

W szkołach nie jest to przedmiotem wykładu, ale właśnie dlatego każdy wie, że Napoleona nie skusił olbrzymi Kniaziewicz, cnotliwy Dąbrowski czy nadęci mężowie Księstwa Warszawskiego – pulchne wdzięki pani Walewskiej odegrały tu bardziej decydującą rolę. Liszt by nie wiedział o Polsce, gdyby nie mówiła mu o niej stale Karolina z Iwanowskich... itd.

– A gdzież pan poznał tę Polkę czy te Polki? – pytamy już mniej dyskretnie.

– Studiowała tu w Antwerpii przed wojną i była w Gandawie, i przyszła do biblioteki poży-

czyć książkę... No i ja jej pożyczyłem tę książkę. Ale ona, zdaje się, nigdy jej nie przeczytała...

Rozumiemy. Niejedno nieszczęście zaczęło się na świecie od takiego pożyczania książek.

Gugenmus rozmarza się dalej:

– ...w trzy lata później była moją żoną.

Tempo nie było zbyt imponujące. Ale w międzyczasie gandawski Gugenmus nauczył się mowy Reja, wykuł historię Polski, nałykał się „Pana Tadeusza”, „Kordiana”, „Ojca zadzumionych”. Wie, z jakiego sukna był kontusz pana Zagłoby i jak było na imię Bohunowi, i jak była z domu Basia Wołodyjowska. Wie też, ile nafty jest w Krośnie, węgla w Wałbrzychu – kto jest (a raczej był) wojewodą w Szczecinie – wiedza o starej Polsce splata mu się z wiedzą o najnowszej. Był przed wojną w Polsce dwa razy, wreszcie kupił auto. Ten ostatni argument uznała ofiarna Polka za dostatecznie przekonujący, żeby zrobić ofiarę ze swego życia i z Białegostoku przenieść się do...

– Gandawy? – sugerujemy, patrząc na piękne miasto.

Gugenmus się krzywi:

– Skąd Gandawy: Antwerpii! Gdzieżby prawdziwa Polka mogła mieszkać w tak małym, brudnym mieście? Musiałem (wzdycha)

przenieść się do Antwerpii! Wzięliśmy tam mieszkanie na Avenue Albert w wielkim nowoczesnym bloku...

Gandawa jest pięknym miastem, wcale dużym – ćwierć miliona mieszkańców – ma dwa teatry, dwanaście kin, piękne kawiarnie, cudną katedrę, stare miasto, biblioteki, park, ale oczywiście Polka z Białegostoku nie mogła mieszkać w takiej brudnej dziurze. Czy Gugenmus odgaduje myśli naszego milczenia? Widocznie nie, bo mówi:

– O, Polki to nadzwyczajne kobiety... Bohaterki... Zadawałające się byle co...

(Ale nie byle autem) – pomyśleliśmy, a Gugenmus ciągnął dalej:

– Bo, proszę pana, czybym ja kiedy inaczej zainteresował się Polską? Siedziałbym w tych książkach i siedział, co najwyżej dokończyłbym tom trzeci mojej historii katedry gandawskiej...

– A pańska pani?

– O, wie pan, ona była taka ofiarna... Wyszła potem za mąż za polskiego lotnika i jest teraz w Polsce...

– Oooo...

– Ależ nie – uspakaja Gugenmus – żaden nietakt, broń Boże! Utrzymujemy najlepsze

stosunki! Moja matka, moje dwie siostry – one znowu mieszkają ze mną – wie pan, po prostu ją teraz ubóstwiają! Paczki posyłają, listy piszą. Nie, nie, bardzo dobrze. Ja się może tak bardzo nie nadawałem do małżeństwa...

Istotnie, kiedy Niemcy przyszli, Gugenmus schronił się z polską żoną do Gandawy. Było spokojnie, zacisznie. Tylko auto musiało stać w garażu, nie było za grosz benzyny. Gugenmus utkwiał w książkach ponownie – opracowywał pobyty brukselskie znakomych Polaków: Lelewela, Skrzyneckiego, Marii Dąbrowskiej. Co wieczór nad Gandawą szumiało ciemne niebo hukiem nadziei – to z wyspy brytyjskiej leciały na Niemcy klucze ciężkich bombowców. Nad ranem w rozerwanym szyku wracali bielejącym niebem – a bezświatlna Gandawa wsłuchiwała się w ten huk idący niebem historii. Raz samolot spadł o trzy kilometry przed miastem. Z porzaskanego złomu wydobyto zwęglone resztki lotników brytyjskich, którzy nosili niebrytyjskie nazwiska – Wątopek, Słapa, Mniszewski... Ciało jednego (jak podały gazety) nie dało się odszukać. W Gandawie było wtedy głodno tak, że państwo Gugenmu-

sowie wybrali się właśnie na wieś z plecakami po żywność, zamieniając stare portiery na jajka, słoninę i kartofle. Zeszli na boczną drogę, zgubili się, siedli odpocząć...

„Bo ty zawsze tak musisz...” – rozpoczęła nieodrodna polska żona.

Gugenmus nie zdążył zapytać, co on zawsze, gdy z krzaków wyjrzała brudna, nieogolona i nieuczesała postać z głośnym okrzykiem: „rodacy”! Był to oczywiście ów lotnik, którego ciała nie dało się odnaleźć. Gugenmus po chwili powitania został wysłany do najbliższego miasteczka, gdzie jakoś zdobył mydło i przybory do golenia. (Żona, oczywiście, została ofiarnie w lasu.) Wieczorem wrócili do domu wprawdzie bez jaj i słoniny, ale za to z głodnym polskim lotnikiem. Lotnik chował się w sypialni pani domu i nie wychodził nigdzie. – Miał tak piękne, niebieskie oczy – wspomina z rozczuleniem Gugenmus – że nie mógł się pokazać! Od razu poznaliby: „Polak”. – Odtąd na wycieczki podmiejskie po żywność chodził dla całej trójki sam Gugenmus. (Żona ofiarnie zostawała w domu.)

– No i co pan chce – kończy Gugenmus – tak się wreszcie polubili, że się pobrali! A ja tu właśnie za tydzień skończę moją pracę

o katedrze gandawskiej. Potem wrócę znowu do spraw polskich. Czy pan czasem nie pamięta, czy Skrzynecki został generałem po Grochowie, czy przed Grochowem?

I znowu się rozmarza:

– Pan się może dziwi, że ja tak łatwo wspominam. Ale czemu nie. Widzi pan. Ja tak naprawdę nie byłem człowiekiem do małżeństwa, zwłaszcza polskiego małżeństwa. Ja lubię książki. Ja lubię siedzieć w bibliotece. Ja nie lubię auta. Ja nie lubię kawiarni. Ja nie lubię tańczenia i różne takie rzeczy. Ja mam matka i siostra. One takie spokojne, domowe, gandawskie. Kawę ugotują, szlafrok zacerują, zrobią obiad – wiem ja?

Korci nas, żeby zapytać grzecznie – czemuż się więc pan z tamtą cholercią ożenił? Ale Gugenmus sam mówi:

– Ale nawet ten mol, co książki z kurzu oblizuje, i ten raz w życiu poszaleje. To była taka piękna szaleństwa mego życia. Ja się kochał! Ja kupił auto! Ja prowadził auto! Ja chodził na dansingi do „Parade”. Ja był w Polsce i widział żubry, jak one jedzą tę sztywna trawa do wódki! Ja był wózkim góralskim – takiego górala z piórkiem – na Morskie Oko. Ja był w Białymstoku i Supraśl i miał polska żo-

na. I chował u siebie polskiego lotnika. I to była romansa mego życia. Ale pan rozumie, taki człowiek jak ja, taki zwykły człowiek z Gandawy, z Belgii, bibliotekarz jeszcze, to on nie może tak całe życie, nie? Całe życie – auto! Całe życie – jeździć wózkiem góralskim do Morskie Oko! Całe życie te żubry, co jedzą trawa do wódki, całe życie polska żona – to tak można?

Stanowczo nie można. My też musimy się zegnać. Odprowadzają nas życzliwe, ciepłe uśmiechy starej pani Roelents i trzech zdrowo przejrzałych sióstr bibliotekarza. Wróciły spokojnie do starego domu, podają mu kawę, przygotowują szlafrok, umilają życie – spokojne, gandawskie życie w cieniu starej katedry, omszałych kanałów i woniejących antykiem książek. – O, Polacy są tu w Gandawie bardzo popularni. Wszystkie matki, siostry, zazdroszczą moim paniom. Wie pan – zniża głos poufnie – teściowe tu w Gandawie niespecjalnie kochają swe synowe! Słyszałem już, jak pani Dupont i Boers mówiły do matki: Żeby to jakiś dobry lotnik polski przechowywał się w naszym domu... Takie ot babskie gadanie. Jak koza do pieprzu...

– Co takiego?

– Jak koza do pieprzu... Co to ja chciał powiedzieć? No, jak musztarda po obiedzie!

Po chwili za nami jest już Gandawa, jej katedra, jej kanały, i Gugenmus. Pewno wrócił już do swych książek; pewno matka i siostry podały mu kawę; pewno *carillon* katedry gandawskiej oddzwania teraz nieszpory. Gdzieś znad nie dokończonej korekty czy starego druku podniesie jeszcze swe wyblakłe oczy i pogłowi się o dokładną datę generalskiej promocji Skrzyneckiego lub śmierci ojca Lelewela. A wszystko dlatego, że w godzinie jego życia musnęła go Polska wiewem obcego, niegandawskiego niepokoju. Dwakroć szczęśliwy człowiek. Raz, że taka „romansa” w jego życiu była. Po wtóre, że odeń odeszła. Dziwne jesteście, o Polki, jak mawia pewien współczesny mąż stanu. I trudne.

„Przekrój” 1949, nr 209–210



Spis treści

| | |
|-----------------|---|
| Przedmowa | 5 |
|-----------------|---|

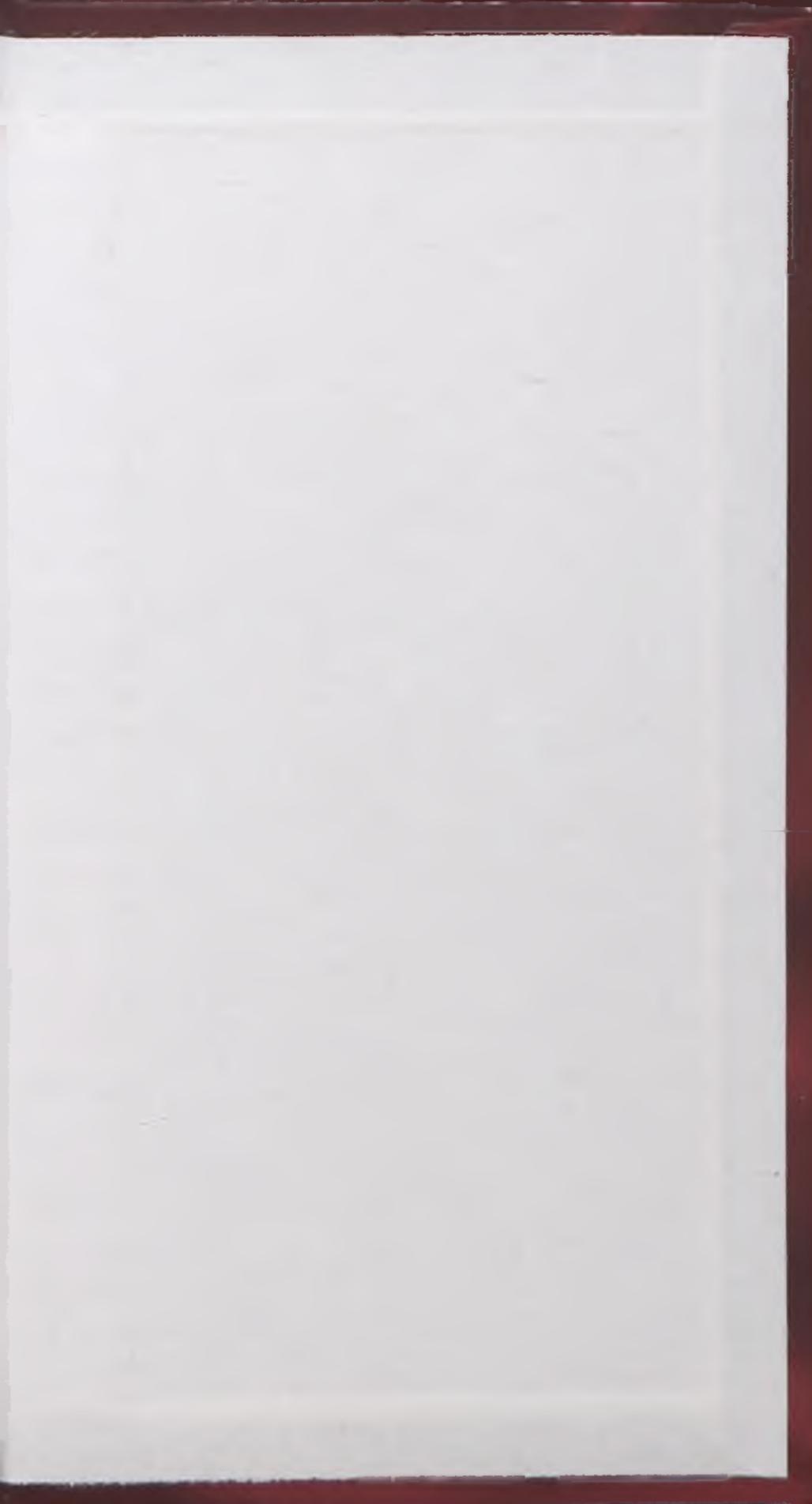
ARTYKUŁY

| | |
|--|-----|
| Roman Dmowski | 11 |
| Paderewski | 28 |
| Wincenty Witos | 39 |
| Wojciech Korfanty | 57 |
| Pamiętniki Bogdana Hutten-Czapskiego | 67 |
| Ten, co w przelomowej godzinie zwichnął plany Władysława IV | 81 |
| Karola Zbyszewskiego „Niemcewicz” | 91 |
| Gdańsk – „miasto niegdyś nasze” | 101 |
| Prawdy nie z Żeromskiego | 119 |
| Puścizna czasów saskich | 134 |
| Zagubione pokolenia | 154 |

OPOWIEŚCI

| | |
|--------------------------------------|-----|
| Człowiek z rokokowego kościoła | 177 |
| Spadochronowy witraż | 201 |

| | |
|--------------------------|-----|
| Paliki | 218 |
| Sprawa Smagacza | 245 |
| Wiatraki z Ranley | 279 |
| Strzecharz | 319 |
| Ziętarowe skarby | 335 |
| Cień Gruzji | 413 |
| Gugenmus z Gandawy | 465 |



„Za odrzucenie ofiarowanego mu stanowiska oficera oświatowego Brygady, za utrzymanie dowództwa drużyny w momencie wymarszu na front udzieliłem plutonowemu podchorążemu Ksaweremu Pruszyńskiemu pochwały przed frontem batalionu.”

24 IV 1940. Sikorski

(Wódz naczelny
Władysław Sikorski)

„Pruszyński (...) jest prawie jedynym pisarzem dwudziestowiecznym, który w wojnie odnalazł sens, mimo że mówi o daremnej walce i śmierci, jest to twórczość niebywale krzepiąca i jej ciepło promieniuje nawet na dzień dzisiejszy (...). Polska w jego rozumieniu nie może się przeciwstawiać innym narodom, jak ktoś obcy. Jest uczestnikiem, uczestnikiem Europy (...), a prawdziwe walki były właśnie po stronie wizji

161175/3

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



164248



9 788371 633287